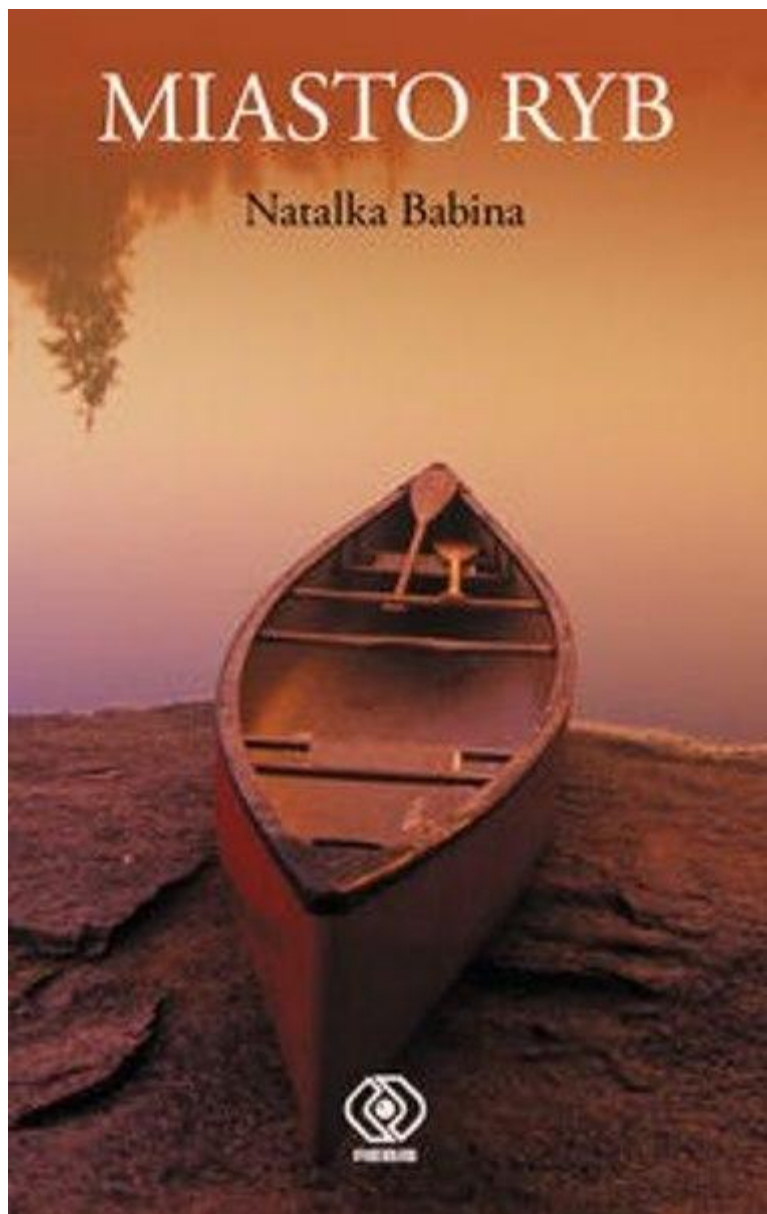


# MIASTO RYB

Natalka Babina



Natalka Babina

# MIASTO RYB

Przełożyła Małgorzata Buchalik



REBIS

**DOM WYDAWNICZY REBIS**

**Poznań 2010**

Tytuł oryginału  
Rybin gorad

Copyright © 2007 Natalka Babina, Białoruś  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Buchalik,  
Prostyń nad Bugiem 2010

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,  
Poznań 2010

Projekt i opracowanie graficzne okładki  
Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce  
© Dave Reede/All Canada Photos/Corbis/FotoChannels

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-635-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp, z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tei. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Skład: AKAPIT, Poznań, tei. 61-879-38-88

## Historia z łysym czortem

Swego czasu okropnie dręczył mnie łysy c z o r t . Przyłaził dzień w dzień, z uporem godnym lepszej sprawy. Miałam swoje sposoby, żeby posyłać go w diabły, ale ten wyjątkowo nachalny egzemplarz - trudno nawet nazwać go stworzeniem - w kółko wracał, wyskakiwał *ex machina* w najmniej oczekiwanych momentach i najdziwniejszych miejscach. Parszywy, wyleniały. Brr... Ohyda. A że stawką była ni mniej, ni więcej, tylko moja nieśmiertelna dusza, żyłam w bezustannym napięciu. Nic gorszego, jak co chwila rozglądać się i wypatrywać gorejących wrót piekła w szafie, pod pokrywką garnka albo klasycznie - w lustrze. Kto spotkał się z siłą nieczystą, ten wie, o czym mówię. Paraliżował mnie strach. Aż któregoś dnia niespodziewanie rozprawiłam się z czortem raz a dobrze. Znalazłam sposób i szczerze go każdemu polecam. A raczej każdej.

Pamiętam, że było to wieczorem, po ciężkim, upalnym dniu. Przywlokłam się z miasta zmachana i spocona. Zrzuciłam sukienkę, ściągnęłam mokre na stopach pończochy. Duszne zmęczenie mieszało się z duchotą cielska sporej baby, fuj, więc wyciągnęłam zakrwawioną podpaskę zrobioną ze starego prześcieradła i poszłam do łazienki, żeby wleźć pod prysznic. I raptem - hyc! - w ciemnym korytarzu rzucił się na mnie czort. Akcja z zaskoczenia.

Ale nic z tego. Zaskoczona, owszem, byłam, i to tak, że bez namysłu, instynktownie, trzasnęłam go zakrwawioną podpaską - a lało się ze mnie jak z cebra - trzasnęłam przez łysy łeb tak, że na jasne ściany korytarza bryznęły czerwone krople. I jeszcze, i jeszcze, i jeszcze!

Pierwszy raz walnęłam byle jak, potem nie mogłam się już opanować i okładałam parszywą łysinę z całej siły, raz za razem, wkładając w to całą nienawiść, tak długo gromadzącą się w duszy: „Zgiń, zgiń, przepadnij, siło nieczysta!” I przepadł. Kwiknął z przerażenia i przepadł. I nigdy więcej nie wrócił.

Do dziś nie wiem, co go przegoniło. Może krew miesięczna ma jakieś magiczne własności i potrafi przepędzić czorta, a może po prostu zrobiło mu się wstyd, że spasował przed zwykłą śmiertelniczką - tak czy inaczej, nigdy więcej już mnie nie nachodził. Chociaż długo się bałam, że wróci, i nie używałam podpasek higienicznych, nie kupowałam ich, dopóki nie nabrałam pewności, że czort poszedł w diabły. Żadną skrzydlatą, anielską podpaską nie wygnałabym go tak skutecznie, jak zakrwawionym strzępem starego prześcieradła.

Czyli fizjologia czasem się przydaje, nawet takim jak ja.

A zapach krwi - nie wiedzieć skąd - czuję w powietrzu do dzisiaj.

## Deszcz

Po tym wszystkim znowu przyjechałam tutaj. Na krótko. Tylko na chwilę, żeby potem wyjechać i nigdy więcej nie wrócić.

Piękna okolica. Najpiękniejsza na świecie. Siwe zasłony drobnego deszczu dzielą dal na pasma: bliżej zielono-szare, dalej szaro-zielone. Kropelki ściekają po twarzy, po długim brezentowym płaszczu. Płaszcz jest stary, twarz też nie pierwszej młodości. Brezent z latami stracił połysk, twarz rumieńce. A dusza czystość.

Stoję tuż przy granicy. Byłej granicy. Z tamtego brzegu Bugu, z prawej, dobiegają głośnie krzyki: jacyś dziwacy kąpią się mimo deszczu. Z lewej słyszę rosyjski - letnicy (ci, od których Tolik-alkoholik nie wykupił jeszcze ich spróchniałych pałaców) nawet w największą ulewę pilnują ogródków. Zawsze na posterunku.

W brezentowym płaszczu i gumowych kaloszach, z blizną na brzuchu i drugą - dla odmiany - na plecach, palce rąk dopiero niedawno zrosły mi się po złamaniach, a odciski jeszcze nie zeszły - stoję na wąskim pasie nadgranicznej łąki. Wciąż leje deszcz, trawa znika już pod wodą. Tuż przy mojej stopie przepływa w rwącym strumyku jaszczurka: spokojna, jaskrawozielona, z pięknym żółtym wzorem na grzbiecie. Rzadki gatunek, chroniony. Kiedy byłam dzieckiem i udawało mi się taką złapać, cieszyłam się bardziej niż ze zwykłej szarej. Szarych było całe mnóstwo. Rozcapierzone łapki jaszczurki podejrzenie przypominają malutkie rączki dziecka.

Łąka. Woda. Ażurowa ściana deszczowych kropelek. Jaszczurka z łapkami niemowlęcia. Po jednej stronie Polska, po drugiej Rosja. A ja stoję na wąskim, zielonym pasie granicznym. W szeleście deszczu słyszę (nie wiem dokładnie, z której strony) słodki szept:

*Kotyłasia torba  
S wełykoho horba.  
A w tij torbi  
Żyto, pszanycia,  
Chlib-palianycia... \**

\* Dziecięca piosenka ludowa z okolic Brześcia (tu i dalej uwagi autorki).

Jest w tym szepcie jakieś upomnienie. A może kpina albo pobłażliwa wdzięczność. Może wszystko naraz. Tak szepce ziemia, nasycyony deszczem czarny ił, przez wieki nanoszony tutaj nurtem Bugu. Stłumiony, ale potężny i wszechobecny głos ziemi.

Torba sturlała mi się prosto w rękę.

Torba warta życie.

Wyciągasz rękę, żeby ją złapać, i łapiesz śmierć.

A później stoisz w ulewnym deszczu i jego kropelki ściekają po zwiędłej twarzy, po brezentowym płaszczu koloru khaki, po zielonych kaloszach.

Zaraz wytrę paszczę, pogapię się jeszcze chwilę na zasłony, którymi deszcz zasnuł krajobraz, i wrócę do domu (gdzie został mój ciepły kącik, gdzie można spokojnie usiąść i pisać) i zreferuję wszystko po kolei. A kiedy skończę, wyjadę i nigdy więcej tu nie wrócę.

Pewnie wyjdzie z tego powieść, ale od razu zaznaczam, że nie wszystko w niej będzie fikcją, nie wszystkie podobieństwa do rzeczywistych osób i zdarzeń okażą się przypadkowe.

Z tym że jeśli przyjdą mnie z tego powodu przesłuchiwać śledczy literaturoznawcy, wszystkiego się wyprę. Spokojnie. Przecież akcja toczy się w roku 2012.

## Nory w czasie

Uwielbiam kopać nory w czasie. Kiedy wgryzam się w przejrzyste plastry czwartego wymiaru, niekiedy wciąż jeszcze słyszę szept ziemi. Ale rzadko.



## Stradycze, Lubcza i Dobratycze

Wszystko w moim życiu szło nie tak, jak powinno, i to od samego początku. Wbrew radom swojej matki, a mojej babci, mama pojechała mnie rodzić do niedawno otwartego w sąsiedniej wiosce małego szpitala. Babcia Makrynia nie widziała w tym żadnego sensu i tradycyjnie usiłowała odwieść córkę od durnego pomysłu, wymachując sękatym kijem. Nie odważyła się jednak uderzyć ciężarnej tuż przed rozwiązaniem, więc mama postawiła na swoim. W końcu była nauczycielką, wykształconą młodą kobietą, i wierzyła w postęp oraz w nauki medyczne i zbawczą rolę higieny. W postęp i nauki medyczne wierzył również felczer, który odbierał poród. Ale czy to zabrakło mu doświadczenia, czy może przeszkodziła dobra wódeczka, którą lubił sobie chlapanąć, przez co niósł potem kaganek oświaty nieco chwiejnym krokiem, w każdym razie sprawę porodu zawalił. Kiedy tylko odebrał dziecko (moją siostrę Uljanę, po naszymu *Wliancię*), wziął się do zaszywania rozerwanego krocza mamy, cały skupiony na tym, żeby szwy wyszły równe.

- No jak to, przecież trzeba zaszyć - odpowiadał, kiedy rodząca błagała, żeby już jej nie męczył. - Inaczej macica będzie ci się obijać o kolana. I jak będziesz wyglądać?

Tak więc szył. Mama oczywiście krzyczała i wyła z bólu, bo kiedy zszywa się mięśnie grubą igłą, na świeżej ranie i bez

znieczulenia, ból jest naprawdę piekielny. Mama nie czuła już nic oprócz bólu, toteż zarówno dla niej, jak i dla felczera (*felczara*, jak mówią u nas) dalszy ciąg porodu był sporą niespodzianką: brutalnie rozrywając ledwie założone równiutkie szwy na świat boży wychynęło kolejne dziecko. Tym dzieckiem byłam ja.

- Co za cholera?! - wrzasnął zbaraniały *felczar*. - Jeszcze jakieś lezie!

Na studiach pedagogicznych, które skończyła mama, nie uczono, jak rodzić, więc nie bardzo wiedziała, co to za cholera, i zresztą nie miała siły mówić: podczas skurczu ciało napinało się, a kiedy skurcz odpuszczał, rodzącej i tak było nie do pogawędek, musiała chociaż trochę odetchnąć. A eskulap bezmyślnie wytrzeszczał gały na to, co lekarze nazywają drogami rodnymi i czego na co dzień my, nielekarze, staramy się w ogóle nie nazywać: otoczone nastroszoną czarną szczecinką, bo do porodu włosy trzeba zgolić, ciemne pulsary dróg otwierały się coraz szerzej, pełne purpurowej krwi i bólu mamy.

Na moje szczęście do sali wróciła akurat pielęgniarka. Złapała mnie, zanim zdążył (o ile by zdążył) to zrobić roztrzęsiony pracownik ochrony zdrowia narodu, dzięki czemu nie wylądowałam na podłodze, a następnie powstrzymała eskulapa przed powtórным zakładaniem szwów, dopóki nie wyszło łożysko (po naszymu *mi-sce*).

Godzinę później wszyscy w Dobratyczach już wiedzieli, że Ewa od Makryni urodziła bliźniaki. Dwie dziewczynki.

Mama opowiadała, że kiedy pielęgniarka myła nas i zawijała w pieluszki, nie krzyczałyśmy - leżałyśmy spokojnie i z ciekawością (tak twierdziła) gapiłyśmy się na ściany i okna identycznymi ciemnymi oczkami. Nie tylko oczka miałyśmy identyczne; byłyśmy podobne do siebie jak dwie krople deszczu, we wszystkich szczegółach, co od razu zauważyły i mama, i pielęgniarka, i nawet osowiały felczar, który zdążył już tymczasem łyknąć kolejną szklaneczkę. Był zdumiony, że leżymy tak spokojnie, i wysnuł

z tego wniossek, że widać jest nam dobrze. Moim zdaniem leżałyśmy spokojnie, bo nie wyobrażałyśmy sobie dalszego ciągu tej historii. Nie wiedziałyśmy, co nas czeka. Nie wiedziałyśmy, że ludzie rodzą się nie po to, żeby im było dobrze. W najlepszym wypadku przychodzą na ten świat po to, żeby dobrze było komu innemu.

Chociaż jesteśmy z Uljanką takie do siebie podobne, rozróżniano nas bez kłopotu: od początku kulałam. Lekarka w Brześciu, do której mama zawiozła mnie, kiedy z przerażeniem odkryła moje kalectwo, powiedziała, że to skutek urazu porodowego: dziecko, to znaczy ja, rodziło się nóżkami do przodu. Uspokoiła mamę, że wszystko będzie dobrze. Ale kuleję do dzisiaj. Ledwie widocznie, ale jednak. Trudno nawet powiedzieć, że kuleję, po prostu troszkę dziwnie stawiam jedną nogę.

Urodziłyśmy się późną, dojrzałą wiosną. Takich wiosen nie ma już dzisiaj w naszych okolicach, ale świetnie ją sobie wyobrażam: jeszcze chłodne podmuchy wiatru, na piaszczystych, porośniętych chrobotkiem pagórkach kołyszą się wierzby z puszystymi, kremowo-białymi *kotkami* na wtkach; na nasypach kolejowych kwitną przywlezione tu wraz ze żwirem wilczomlecze; malutkie, białe pięciopłatkowe kwiatki jakiejś odmiany ptasiego ziela wykwitają z brązowego mchu leśnych polan. Żółte łebki kaczeńców nad rozlewiskami starorzeczy. Miękkie barwy ziemi. Ludzi prawie nie widać. Tamtej wiosny stare drewniane słupy graniczne wymieniono na betonowe, które wytrzymały kolejnych trzydzieści lat. Regularnie rozpinano między nimi nowy drut kolczasty.

Losy mamy Ewy i taty - nie, nie Adama, Anatola, mama mówiła na niego Tolik - nie należą do tej historii, ale muszę krótko je nakreślić: rodzice zginęli, kiedy miałyśmy z Uljanką po dziewięć lat. Teraz nie pamiętam już nawet ich twarzy (w ogóle mam słabą pamięć), nie pamiętam, czy mieli jakieś pasje, jakimi byli ludźmi. Nie potrafię ich sobie wyobrazić. Wydaje mi się jednak, że w

życiu mamy dominował (poza strachem przed głodem - wieczną fobią całego naszego kraju, niejednokrotnie w różnych czasach całkiem uzasadnioną) strach przed maszynami: mama bała się samochodów, kolei, prądu elektrycznego, wszelkiego sprzętu domowego i nawet lekarstw, czyli wszystkiego tego, co niosła ze sobą cywilizacja. A przecież jako nauczycielka młodszych klas powinna była propagować postęp. Bała się zresztą nie tylko maszyn, na każdym kroku prześladowały ją rozmaite strachy. Wystarczyło, żeby ojciec spóźnił się więcej niż dziesięć minut, i już zaczynała panikować: „Koniec, już po tacie. Taka ciemnica, na drodze ze stacji pusto. Na pewno jakiś bandyta przyłożył mu w głowę i teraz nasz tatuś leży gdzieś pod krzakiem nieżywy!...” Naturalnie, słysząc takie rzeczy, też wpadałyśmy w panikę.

Dzięki Tolikowi, naszemu tacie, obie z Uljaną mówimy po rosyjsku prawie bez akcentu; zawsze rozmawiał z nami właśnie w tym języku. Nauczył się go sam, bo oczywiście babcia i dziadek nie mówili po rosyjsku, a potem nauczył nas.

Ojciec, jak to mówią, wyszedł na ludzi. Przy czym tak skutecznie, że zakład w Brześciu, gdzie pracował, dał mu mieszkanie, a rok później jeszcze talon na samochód. Po samochód pojechali razem z mamą do miasta Togliatti, do Wołżańskiej Fabryki Samochodów. Mama mimo maszynofobii tak marzyła o własnym żyguli, że odkładała na nie każdą kopiejkę, oszczędzała dosłownie na wszystkim: karmiła rodzinę byle czym, ubierała siebie, mnie i Uljanę we własnoręcznie szyte sukienki z najtańszego materiału i w palta wielokrotnie łatane i przedłużane na rękawach i u dołu paskudnym przecenionym drelichem. Długo wyczekiwane żyguli koloru morskiej wody, którym rodzice dumnie mknęli z Togliatti, wylądowało w rowie gdzieś pod Pińskiem. Rodzice wrócili do domu w trumnach.

Dawno już nie oglądałam nielicznych ocalałych fotografii mamy Ewy i taty Tolika. Leżą u babci Makryni: upaprane palcami

na odwrócić, spłowią świadectwa dawno minionych chwil życia.

Tata nosił nazwisko Hadun, tak samo nazywała się z domu mama. Kiedy mama wyszła za tatę, nie musiała nawet wymieniać dowodu. Nieraz mówiono mi, że jestem bardzo podobna do babci Wliany, matki ojca, po której Uljanka odziedziczyła imię. Babcię Wlianę-Uljanę pamiętam jak przez mgłę, nawet nie rysy jej twarzy, ale ogólne wrażenie: wrażenie nieskończonej dobroci i bezbronności ukryte w oczach i w zmarszczkach. Babcia Makrynia mawiała, że babcia Uljana była *niedołęgą* - określała w ten sposób kobiety, które na przykład pozwalały się bić. A babcię Uljanę w młodości, dopóki nie podrośli synowie, mąż bijął często, mimo że był o głowę od niej niższy.

Felczera i pielęgniarkę spotkałam później jeszcze kilkakrotnie. Ją - w cerkwi w Stradyczach: chudziutka kobieta o brązowej twarzy, w wielkich, rozchodzonych buciorach, ubrana podług odwiecznej tutejszej mody w zestaw rodem z początku dwudziestego wieku: *kaptanczyk*, *szwedryk*, *spodnicia*, *szalianiwka*, czyli bluzka, sweterek, spódnica i chustka. Felczer miał twarz okrągłą i nalaną, pokrytą siateczką czerwonych żyłek, palce grube i czyste. Ubrał się źle i tanio w brzeskim sklepie „Odzież”; stale wybierano go na członka miejscowej rady w charakterze przedstawiciela inteligencji. Inteligencji również miejscowej, oczywiście. I on, i pielęgniarka są już na tamtym świecie. Nie ma też wiejskiego szpitala w Duryczach, gdzie obie z Uljanką po raz pierwszy ujrzałyśmy świat boży. Durycze przemianowano na Znamienkę. Teraz szpital znajduje się w Znamience. A to, jak sadzę, zmieniło całą jego istotę.

Droga z Durycz (albo, poprawniej, z *Duryczów*), którą przywieziono nas ze szpitala, wije się polami wzdłuż granicy; w ciepłym słońcu majaczą nędzne gospodarstwa, po lewej żmijowa dąbrowa i bagno; dalej Góra, z której widać domy *Stradców*, jeszcze dalej cmentarz i znów bagno, białe jak bawełna pióropusze sitowia, tatarak nad rudą wodą, żółte irysy. Tuż przy samej granicy,

przy drucie koleczastym, jest miejsce, w którym wystarczy stanąć na palcach albo podskoczyć, żeby zobaczyć w oddali jabłonie i krzaki bzu - szczególnie dobrze widać je wiosną, kiedy kwitną. Tam, gdzie kwitnie bez, była niegdyś wioska *Dobracicze*. Przed trzydziestym dziewiątym. Przed Sowietami. Zanim przyszedł postęp i higiena. W trzydziestym dziewiątym pojawiła się tutaj granica, a ludzi przesiedlono daleko na wschód, żeby nie przeszkadzali odpowiedzialnie bronić i strzec rzeczonyj granicy.

*Stradcze, Lubcze, Dobracicze, Durycze* - zastałam jeszcze wymowę z miękkim „cze” - to wszystko stare nazwy okolicznych wiosek. Znalazłam je w spisie z roku 1566. Do kogo należały? Do jakiegoś Strady, jakiejs Luby, jakiegoś Dobroty i jakiejs durnej Dury... Wstrzymując oddech, czytałam stary dokument w archiwum w Łucku; byłam wtedy studentką na praktykach. O Lubczach nikt z nas nawet nie słyszał, po osadzie liczącej czterdzieści dymów nie zostało ani śladu. Zniknęły. Znikła wieś jakiejs Luby. Ale pozostałe dotrwały do naszych czasów, choć przeniosły się w nowe miejsca i nieco zmieniły nazwy., Ja i siostra urodziłyśmy się w Duryczach, a wychowałyśmy w Dobratyczach.

Tutaj, w Stradyczach, Dobratyczach i Duryczach, całymi wiekami wegetowali bez ładu i składu moi krajanie - stworzenia bez twarzy, zimne, pokryte łuskami i śluzem. Żyły w norach. Brudne i nieświadome. Na szczęście już ich nie ma. Postęp, higiena i rady ludowe zwyciężyły. I teraz jest zwyczajnie. W ciepłym słońcu, w strumieniach powietrza falują widma nędznych gospodarstw, widma żmijowych dąbrów.

Niedaleko stąd, w Komarówce, urodził się pierwszy (hurra!) białoruski kosmonauta Piatro Klimuk\*. W Zakazance - Andrej Dyńko\*\*, redaktor naczelny „Naszej Niwy”. Z Gerszon pochodzi kompozytor Ihar Karnaliuk\*\*\*. A w naszych Dobratyczach mieszka, jak pewnie wszyscy wiecie, słynny poeta Miszyk Jarasz\*\*\*\*.

Gdybym nie zaprosiła do domu znanego poety Miszyka Jarsza, obeszłoby się bez dwu zabójstw.

Protestanci nie zbudowałiby sobie nowej kirkchy, wysokiej aż do nieba.

Nie latalby sobie nad Dobratyczami, Stradyczami i Zakazanką najnowszy model wycieczkowego sterowca, błyszczący, dostojny i szybki, cały przezroczysty.

Wiele rzeczy by się nie zdarzyło, gdybym tamtego dnia wyniosła swój laptop na dwór. Ale mój stary laptop bez zasilania z sieci ciągle pada i wycina rozmaite mało wesołe numery, więc zaprosiłam Miszyka do domu, a zaraz potem zadzwonił telefon.

\* Postać wymyślona przez autorkę.

\*\* Postać wymyślona przez autorkę.

\*\*\* Postać wymyślona przez autorkę.

\*\*\*\* Postać wymyślona przez autorkę.

## Welcome to Dobratycze

Witamy w Dobratyczach. Cała nasza historia (niebezpieczna jak literatura, wręcz trudno uwierzyć, że to wszystko mi się przydarzyło) rozegrała się właśnie tutaj, w wiosce opiewanej (z niejaką przesadą) w wierszach Miszyka Jarasza, poety tak utalentowanego, że słyszał o nim co dwudziesty ankietowany nie tylko w Europie, ale i na Białorusi. I to mimo że Jarasz pisze po białorusku! No dobra, przeważnie po ukraińsku.

Wioska leży w słonecznym sosnowym lesie i sosny, na które mówimy *barjaki*, przypominają ludzi; ziemia jest tu piaszczysta, chociaż to naturalnie nie „wydmy niewidzialnego morza” - w okolicy nie ma morza ani widzialnego, ani niewidzialnego, nie ma też rzeki, a tylko kilka źródełek, w tym jedno słone. Teraz, kiedy można już pójść nad Bug, droga zajmuje jakiś kwadrans, ale wtedy byliśmy odcięci od rzeki cholerną granicą zamkniętą na siedem spustów: drut kolczasty, pas ziemi niczyjej, alarmy... Tak, wtedy trudno było sobie popływać. Stąd wielką popularnością cieszył się miniaturowy zalew przy śluzie kanału melioracyjnego; ludzie często przyjeżdżali tam plażować i wypoczywać, nawet z Brześcia.

Nie zgadzam się z tezą Miszyka piszącego o „całkowitym bezludziu i bezgranicznej samotności” w Dobratyczach. Jasne, że w czasach mojego - i Miszyka - dzieciństwa każde pojawienie się



wśród starych sosen i osik obcego było dla nas wielkim wydarzeniem; częściej widywaliśmy tchórze, łasice i pasiaste warchlaki, ale później wokół lasu wyrosły rakowe guzy domków letniskowych, obok wsi zbudowano stację kolejową, zwierzęta odeszły, napłynęli za to letnicy.

Może Michaś uważa, że letnicy to nie ludzie?

Błąd. Letnicy to śmietanka społeczna. Najlepsi z najlepszych. Okoliczne spółdzielnie działkowców noszą nazwy Kombatant, Obrońca Ojczyzny i Tęcza. Moja babcia, ostatnia Mohikanka starych *Dobratyczów*, zawsze rozmawia z letnikami z wielką rewerencją - jak z niebezpiecznymi idiotami, którzy rządzą światem. Babcia ma dziewięćdziesiąt siedem lat i kiedy kolejny zdemobilizowany major czy inny podpułkownik w wyświechtanych, obwisłych na tyłku i wypchanych na kolanach niebieskich spodniach podchodzi do naszego płotu, za każdym razem proponuje mu łyk wody i podaje kubek dizajnersko usmarowany kurzym łajnem.

Babcia jest u b o g a d u c h e m; Królestwo Niebieskie stoi przed nią otworem. Gdyby nie przewyciężyła grzesznej pokusy i popełniła samobójstwo, co omal zrobiła dwadzieścia lat temu, na pewno nie weszłaby do tego królestwa, a tak - *no problem*. Wejdzie.

W epoce letników w Dobratyczach pojawiły się płoty i ogrodzenia. Wcześniej nie znaliśmy nic podobnego. Wystarczała nam gałązka na klamce albo miotła na progu - znak, że w domu nikogo nie ma i gospodarze proszą, żeby pod ich nieobecność nie wchodzić. Teraz ludzie chowają się za wysokimi płotami i zamykają na kłódkę wszystko, co waży mniej niż tonę i nie jest rozżarzone do białości. Zamiast bagien i pól mamy gargamelowate pałace letników. Żmije z wyciętej dąbrowy rozpełzły się po inspektach i szklarniach. Kiedyś baliśmy się tylko Cyganów; teraz każdy boi się każdego.

Ale pora wrócić do czerwcowego wieczoru, kiedy to uzbrojony chłopak otworzył naszą furtkę i wszedł na podwórze.

## *Welcome to our polyphony*

Świat trzyma się na mojej babci Makryni. Babcia siedzi teraz naprzeciw mnie przy poczerniałym ze starości stole; na stół, na smażone ziemniaki na okopconej patelni, do kubków z kwasem pikują z wysokiej sosny suche igły i lekkie jak puch łuski sosnowej kory. Jemy kolację na świeżym powietrzu, na dworze. W ciągu ostatnich piętnastu lat nieraz tak jadałyśmy. Czasami do stołu pod sosną przysiadali się inni: mama, tata, Uljanka, dzieci Uljanki, moja córeczka - każdy w swoim czasie. Ale dawno już nie ma mamy ani taty, nie ma też mojej córeczki i znowu siedzimy z babcią same. Dzieci Uljanki - Lina i Kazik - są w Mińsku, a Uljanka w Norwegii, na urlopie naukowym, raczy potomków wikingów jakimiś wykładami o wyprawach ich bitnych przodków w obce kraje.

Sapiąca kolejka elektryczna do miasta, ta o siódmej, zabrała już letników i w Dobratyczach zrobiło się cicho, ucichł nawet wiatr. We wsi mieszkają sami swoi, pięć domów. Też jedzą kolację pod koronami wiekowych dębów i sosen, w długich wieczornych cieniach, albo krzątają się po gospodarstwie, oporządzają bydło.

Zdziwiła nas więc późna a niespodziewana wizyta nieznanego chłopaka z wyeksponowaną na biodrze kaburą pistoletu. Beztrósko rozglądając się po wsi, szedł spokojną, pustą już o tej porze ulicą Dobratycz - o ile można nazwać ulicą gruntową drogę

pokancerowaną kołami wozów, kolejniami tak starymi, że zdążyły już zarosnąć kostrzewą i płucnicą.

Kim był i czego od nas chciał? Młodziutki, czarnowłosy, smagła, szczerą twarz. Może nie jestem najlepszą fizjonomistką, ale na moje oko nie wyglądał na bandytę.

Sprawa wyjaśniła się, kiedy tylko podszedł do furtki.

- Dzień dobry! Jestem waszym posterunkowym. Nazywam się Andrej Iljicz Rudkowski. Mogę wejść?

Babcia zerknęła na niego z ciekawością:

- *A czoho tobi, chłopcze, treba?*

- Mogę zaczerpnąć trochę wody? Gorąco, pić mi się chce.

Babcia skinęła mi głową. Podałam chłopakowi czysty kubek. Posterunkowy zaczerpnął ze studni wiadro wody i napił się z wyraźną przyjemnością.

- Tu niedaleko od wioski, przy szosie, znaleziono ciało mężczyzny - zwrócił się do mnie, oddając kubek. - Może wiecie coś panie w tej sprawie?

- *Niczoho nie znajemo* - odpowiedziała za mnie babcia. - *A szo to za win?*

Babcia świdrowała posterunkowego spojrzeniem znad grubych szkielek okularów. Chłopak westchnął i zaczął mówić.

Ale, ale - stop. Najpierw musimy rozwiązać kwestię języka. W jakim języku mam opowiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się później, żebyście zobaczyli i usłyszeli moje Dobratycze? To wcale nie takie proste. Dominuje tu oczywiście język rosyjski w formie, która nam wydaje się najzupełniej poprawna (Rosjanie, nie wiedzieć czemu, mają na ten temat inne zdanie...). Rdzenni mieszkańcy wsi mówią po ukraińsku - ale rdzennych zostało niewiele. Białoruski zna dyrektor spółki z o.o. Agrowitalika+, Wital Iwanowicz Czarota, przesiedlony tutaj po katastrofie w Czarnobyliu skądś spod Czezerska; od czasu do czasu również białoruskie radio nadaje audycje po białorusku (praktycznie przez okrągłą dobę wszyscy słuchamy tu radia przez „kołchoźniki”). Czarota, posterunkowy, lekarka, lokalna gazeta i protestancki prezbiter czasem

okraszają swoje wypowiedzi jakimś soczystym ukrainizmem czy białorutenizmem, natomiast młody pop i jego szczuplutka popadia - nigdy. Mówią wyłącznie po rosyjsku.

Po ukraińsku mówi też ziemia, ale zdarza się to bardzo rzadko.

Wiatr świszczę i szumi po swojemu, nie interesują go nasze problemy językowe.

Zatem witamy w naszej polifonii.

Oto, co opowiedział nam (po rosyjsku, wstawiając czasem jakieś ukraińskie słowo, żeby babcia lepiej go rozumiała) młody posterunkowy.

Nasza główna dobratyccka newsmakerka (skrzyżowana z chodzącą agencją informacyjną), babcia Lonicha - albo *ciocia Masza*, jak nazywał ją posterunkowy, również tym razem okazała się źródłem nowej sensacji. Wczoraj, wioząc mleko dla letników, zauważyła na poboczu szosy, w rowie, niejakiego Siwego, typowego ogródkowego pijaczka, dobrze znanego w całej okolicy. Rzezonny Siwy leżał w nienaturalnej (nawet jak na w sztok pijanego) pozycji pod cherlawą akacją. Lonicha podeszła bliżej i zauważyła, że Siwy nie żyje. Natychmiast wróciła do domu i wezwała milicję. Chwilę później funkcjonariusze byli już na miejscu. Okazało się, że Siwy został oddelegowany do sklepu w Pryłukach przez triumwirat podobnych sobie typów, z którymi spożywał w swoim ogródku napoje wysokokowe. Prawdopodobnie po pijaku wpadł pod samochód. Wszystko to zaprotokołowano już poprzedniego dnia, natomiast kolejną wizytę milicji w Dobratyczach zawdzięczaliśmy wdowie po Siwym: zawiadomiła o zaginięciu roweru, którym Siwy udał się w swoją ostatnią podróż; tymczasem milicja nie znalazła na miejscu zdarzenia, obok ciała Siwego, żadnego roweru.

- Nie, nic nie wiemy, nie widziałyśmy się wczoraj z Lonicha - potwierdziłam słowa babci.

- Trudno. Dziękuję za wodę. Smaczna - uśmiechnął się posterunkowy. - Pójdę jeszcze zajrzeć do cioci Maszy, może już wróciła.

Niespiesznie skierował się do domu Lonichy stojącego za osi-  
nowym zagajnikiem i wkrótce dobiegły stamtąd jego pokrzykiwa-  
nia: ciocia Masza z wiekiem prawie ogłuchła i żeby się z nią poro-  
zumieć, posterunkowy musiał poważnie nadwerżyć gardło.

- Był tam ktoś jeszcze? Widziała pani kogoś? - wrzeszczał, a  
ciekawski wietrzyk przynosił nam jego pytania.

- Gdzie tam, nikogo nie było! Gdzie tam, nie widziałam! Nie,  
pusto było! Nie, nie widziałam roweru! - odkrzykiwała Lonicha.

Tak naprawdę epizod z posterunkowym nie ma związku ze  
wszystkim, co wydarzyło się później. Nie był kamykiem, który  
wywołał lawinę. Kamyk upadł gdzie indziej i kiedy indziej. Ale  
wizyta okazała się pierwszą niespodzianką w długim szeregu ko-  
lejnych, które posypały się w ślad za nią i wywołały naprawdę  
groźną lawinę.

## Miłość i szczęście Heńka Urugwajca

Pierwszy kamyk kopnął Heniek Urugwajec.

Heniek Hadun Urugwajec, chudy i przystojny, amator wódki i *bab*, na co często uskarża się sąsiadkom jego żona Katia. Stolarz, kamieniarz, pszczelarz, w ogóle złota rączka, w ciągłym kontakcie z ziemią, jako że zawsze chodzi na bosaka. Tym łatwiej mógł kopnąć kamyk. I jeśli kopnął, to następnego poranka.

Trawa na podwórku przywiedła, słońce nieznacznie praży i nawet *barjaki*, czyli sosny, szumią jakoś inaczej niż zwykle. Zresztą nawet teraz potężne drzewa wyglądają, jakby upał specjalnie ich nie obchodził. A pewnie, z takimi korzeniami - prawie do samej magmy - można gwizdać na suszę i inne kaprysy pogody. Ziemię pętają sploty silnych korzeni. Żywy podziemny świat. Niewidoczna sfera wielkiego Bożego cudu.

Babcia cisnęła kijem w kurę. Babcia nigdy nie rozstaje się z kijem: orzechowym, nieokorowanym, zaostrzonym. To symbol i narzędzie, przy czym narzędzie władzy. Ciska kijem w kurę, polanem w kota, kołkiem w krowę. Cała babcia. Inna sprawa, że nigdy nie trafia. Kura dla porządku zatrzepotała skrzydłami i odskoczyła od ganku, na który właśnie zmierzała.

- *Kob tebe de!* - krzyczy babcia. To jej ulubione przekleństwo. Nie wiem, co może znaczyć.

Podnoszę kij i podaję babci. Babcia myje się w starej, rdzewiejącej umywalce. Okulary położyła na półeczce, kij oparła o sosnę. Chuda, niższa niż kiedyś, prawie ślepa. Władcza, toporna twarz wyschła i wyszlachetniała. Wnuki miejscowych, które przyjeżdżają na wieś na wakacje, nazywają ją *wieźmq*. Niepewnymi ruchami babcia chlusta garście wody w oczy. Przejrzysta studzienna woda płynie po jej pomarszczonych policzkach z ciemnych, prawie czarnych rąk. W spękaniu na palcach i dłoniach, w pory skóry głęboko wżarła się dobratycka ziemia. Tymi rękami, których nigdy nie uda się już odmyć, babcia wychowała mnie i uchowała, a ja swoimi czystymi nie potrafiłam uchować córeczki...

- Babciu, gdzie nasz kosz?

Dobrze wiem, gdzie jest kosz. Ale kiedy będę miała dziewięćdziesiąt siedem lat, moja wnuczka nie zapyta mnie o cokolwiek, byle tylko usłyszeć mój głos. Nie poprosi, żebym spróbowała zupę, którą gotuje na obiad: może za mało soli? Bo ja nigdy nie będę miała wnuczki...

Babcia tryumfalnie - „Co wy byście tu beze mnie *zrobiły?*” - wyniosła z sieni kosz.

- Może pójde do ogrodu? - pytam, z góry znając odpowiedź.

- Jeszcze czego! Z ogrodem sama dam radę. Leć pobiegaj po lesie, może gdzieś pod świerkami wysypało już kurki, najwyższa pora na kurki, chociaż taka susza. Akurat wieczorem ugotujesz zupę.

Babcia szuka sobie jakiegoś zajęcia. Zbiera spady w sadzie, pieli grządki. Chodzę za nią i z powrotem sadzę wyrwane razem z chwastami cebulki, cieniutkie marchewki, młode astry.

- *Tam, na hori!... Tam żeńcy żnuć?* - dobiega nagle zza płotu, nie wiedzieć czemu z pytającą intonacją.

Heniek Urugwajec ledwie trzyma się na nogach, oblał się, postął chwilę, chwiejąc się na wszystkie strony, potem machnął ręką i padł na ziemię, na plecy, sprawnie podkładając jeszcze czapkę pod głowę.

- *Meni, meni z žinkoj. Nie wozitsia?* - pytał dalej niebo, kiedy ruszyliśmy z babcią w jego stronę.

Heniek ma mocny, piękny głos, chudą opaloną twarz, brązowe spracowane dłonie.

- *Heniku, wstawaj!* - szturchnęła go kijem babcia. - Co to ma być, słońce dobrze nie zaszło, a ten już napity!

- *Jak słoneczko zijdzie, kochannia widyjde?* - zapytał smutno Heniek.

Przezwiseko *Urugwajec* odziedziczył po dziadku, który w początkach najnowszej historii zawędrował w poszukiwaniu szczęścia do Urugwaju. Odtąd wszyscy jego potomkowie są dla nas Urugwajczykami albo po prostu Urugwajcami. W dzieciństwie byłam przekonana, że to ich nazwisko, dopiero znacznie później ktoś mi wyjaśnił, że nazywają się jak wszyscy w Dobratyczach: Hadun.

Tak, tak, wszyscy mamy wspólne korzenie i wspólne nazwisko. I wszyscy - z nielicznymi wyjątkami - jesteśmy do siebie podobni: szeroka nasada nosa, wypukłe czoło, wystające kości policzkowe, mocne i krzywe zęby. Twarze stworzone nie do uśmiechu. Uśmiechamy się nienaturalnie. I mimo to nikt nie powie, żebyśmy byli brzydcy - potężna siła witalna obdarza nas czymś więcej niż banalną urodą.

Tymczasem siła witalna Heńka Haduna Urugwajca pod wpływem alkoholu powoli wsiąkła w ziemię. I Heniek może już tylko deklamować.

- *Oj, lipsz by ja buła kochannia nie znała!* - ryknął z uczuciem Heniek, obrócił się na bok i zamknął oczy.

Spojrzałyśmy z babcią po sobie.

- Skoczę do Luby - zaproponowałam. - Niech go zabiera.

- Gdzie tam! Nie uciągnie, za ciężki - mruknęła babcia. - Przynieś derkę, podścielimy, żeby nie leżał na ziemi.

Nie zdążyła: Michaś Jarasz, bardziej znany w Dobratyczach jako *Jaraszychin Miszyk*, w koszulce z uniwersalnym napisem



„Fuj!” i z widłami na ramieniu wracał z łąki i zaszedł do nas po drodze. (Miszyk mieszka w pobliżu. Niedługo pewnie do jego domu będą przyjeżdżać pełne autobusy turystów, żeby obejrzyć gwiazdora, na razie wpadają tylko pojedynczy wielbiciele, zamysłone brodate typy, które Jaraszycha, przedsiębiorcza babcia Miszyka, wykorzystuje do grabienia siana. Jednak tego ranka Miszyk wracał z łąki sam.)

- Odprowadzę go - powiedział Miszyk, szybko połapawszy się w sytuacji. - Widły niech tu postoją, zabiorę, jak będę wracał. Tak w ogóle już dawno się do was wybierałem, chciałem zapytać, czy da się doinstalować do Worda sprawdzanie ukraińskiej ortografii? Jak to zrobić?

- Zwyczajnie - powiedziałam. - Pokażę ci, jak wrócisz.

Miszyk bezceremonialnie złapał Heńka pod pachy, postawił na nogi i potrząsnął:

- *Pojdiom, diad'ko!* Luba już na ciebie czeka. Chłapniesz jeszcze szklaneczkę.

Heniek łaskawie pozwolił się odprowadzić.

- Luba zamiast szklaneczką uraczyła go sznurem - śmiał się Miszyk po powrocie. - To wenerolodzy tak go spolił, kładł im dach na piwnicze. Luba zamknęła ślubnego w domu, a sama poleciała rozmówić się z towarzystwem. Dobra, co z tą chochłaczką ortografią? Muszę coś sprawdzić.

Weszliśmy do domu, do mojego pokoju, gdzie na wielkim, kuchennym, całkiem niepodobnym do biurka stole stał laptop i leżały sterty papierów i teczki z rękopisami - miałam nadzieję, że zdążę trochę popracować, ale jak dotąd nie udało mi się nawet zacząć.

Odpaliłam laptopa i pokazałam Miszykowi, jak doinstalować ukraiński słownik.

Ale zadzwonił telefon i musiałam lecieć do kuchni (babcia przeważnie urzęduje w kuchni, szczególnie zimą, dlatego właśnie tam stoi telefon). Dzwoniła Uljana:

- I co tam u was? Jak babcia? Zapłaćże w końcu za komórkę! Po co ci ona w ogóle, ciągle zablokowana!

- Zapłacę. Babcia w świetnej formie. Wszystko OK. Nic się nie martw i działaj z tymi swoimi wikingami!

- Przyjadę pojutrze, kupiłam już bilet. Nie wychodź po mnie. Co wam przywieźć?

- Deszcz! Mamy tu Saharę!

Miszyk czekał, bezmyślnie przeglądając opcje słownika.

- Uljanka przyjeżdża?

Pisałam już, że Uljanka siedziała wówczas na jakiejś konferencji w Norwegii. Jest archeologiem, temat jej wykładu brzmiał bodaj: „Archeologiczne dowody obecności wikingów na terenie Księstwa Potockiego w X wieku”. A może coś pomyliłam? Zawsze płaczę się w takich rzeczach, chociaż sama niby mam coś wspólnego z nauką, w końcu z wykształcenia jestem historyczką. Zresztą mniejsza o temat wykładu Uljanki.

- No, pojutrze.

Z Miszykiem nagle stało się coś osobliwego. Jakby patrzył na mnie i nie widział. Dziwne. Pierwszy raz byłam świadkiem przyływu natchnienia, kiedy poeta zapomina o wszystkim, zagłębia się w siebie, w swój wewnętrzny świat. Na moich oczach rodził się wiersz! Miszyk głuchym głosem zapytał o to, co dopiero mu tłumaczyłam: jak doinstalować ukraiński słownik. Ale myślami był daleko, widziałam po jego oczach. I pomyślałam: czy to czasem nie sprawka Uljany? Może coś do niej *czuje*? Przecież zmienił się tak na wieść, że przyjeżdża!... O nic go nie pytałam i cierpliwie wytłumaczyłam wszystko od początku.

Babcia załomotała czymś w sieni. Miszyk ocknął się i poszedł do domu. Ale widać nie całkiem przytomny, bo zapomniał zabrać widły spod płotu.

A dzień był upalny. Rozprażony piasek parzył bosc stopy. Liście bzu smętnie obwisły. Czyściłam w cieniu kurki i leniwie (w takim upale inaczej się nie da) myślałam o przyjeździe Uli, wyobrażałam sobie, jak się ucieszy, widząc babcię Makrynię w pełni sił i zdrowia. Na mój widok też się ucieszy. Rzuci na mnie szybkie,

pytające spojrzenie, niby ukradkiem, ale przejrzy na wskroś. Zna mnie lepiej, niż ja znam samą siebie. Wie o mnie wszystko. Tylko ona wie, jak naprawdę układa mi się z Antonem. Jest moją drugą hipostazą, tylko lepszą, czystą, zdrową fizycznie i duchowo. Strumień jej życia płynie równolegle do mojego, ale ich wody się nie zlewają, tylko brzegi czasem zetkną się w najważniejszych dla nas chwilach: kiedy ona rodziła, ja cierpiałam, kiedy ja siedziałam w więzieniu, ona schudła...

Wysłałam za mąż jeszcze na studiach (Boże, jak szybko przeleciało życie!). Mąż poszedł w biznesy, dorobiliśmy się mieszkania w Mińsku, zakłęty krąg kuchnia-salon, salon-kuchnia zamykał wszelkie horyzonty. Aż w końcu usłyszałam wyrok: Nigdy nie będzie pani miała dzieci. Było to siedemnaście lat temu.

„W pani opowiadaniach jest mnóstwo skrajności - powiedział mi niedawno Dyńko. - Francuz przyjeżdża studiować nasze obyczaje i mordują go na śmietniku. Mało prawdopodobne”. A czy prawdopodobne są smakowite zapachy pieczeni w kuchni, chłodny zapach czystej pościeli w szafie, miękkie światło lampy wieczorem w sypialni, błyszczące, nawoskowane liście filodendronu w salonie - i nagle to wszystko traci jakikolwiek sens w okrutnym brzmieniu sześciu słów: Nigdy nie będzie pani miała dzieci!... Bezpłodna figa, ziarno na kamieniu... Twarz Antona, dezorientacja i panika, które przede mną ukrywa.

A potem c u d ! Narodziny mojej córeczki.

A potem ś m i e r ć .

Diagnozę rak postawiła córeczce lekarka drugiego szpitala klinicznego, gdzie malutka leżała na obserwacji. Wysłałam ze szpitala jak w koszmarnym śnie. Nie pamiętam, jak znalazłam się na Starożowskiej. Nie mogłam złapać oddechu, zdawało mi się, że szare i ziarniste mury kamienic zaraz na mnie runą, w oczach mi pociemniało i zwymiotowałam. Położyłam się na kratce kanalizacyjnej koło spożywczego, zwinęłam w kłębek. Prószył śnieg, ale

nie czułam zimnych śnieżynek. Nic nie czułam, pograżyłam się w ciemności. Odzyskałam przytomność, kiedy rozszczękał się nade mną mały piesek, a nieznajoma kobieta szarpnęła za ramię:

- Coś się stało? Może pani wstać?

To była Maria Wajciaszonak ze swoją Murzą. Dwa lata później Maria raz jeszcze wyciągnęła mnie z ciemności, zawiozła na Nawinki, gdzie przeszłam terapię odwykową.

Kiedy wychodziłam za Antona, oboje byliśmy we władzy potężnego uczucia zwanego miłością, niepowstrzymanie ciągnęło nas do siebie fizycznie, a nasze dusze były otwarte przed sobą na oścież, wręcz bezwstydnie, i zdawało się, że tak będzie już zawsze. Potem etap szalonej miłości minął, niezauważenie przeszedł w spokojną, mocną przyjaźń, która też wydawała się wieczna. Niezniszczalna. A jednak. Żona narkomanka to trudne wyzwanie. Nawet jeśli człowiek chce i potrafi walczyć o partnera. A Anton nie bardzo chciał.

Żona narkomanka. Bezdzienna. Bez woli życia. Bez błysku w oczach. Z matowymi włosami, którym nie pomoże żaden reklamowany w telewizji szampon. Niezbyt się zdziwiłam, kiedy któregoś dnia zadzwonił telefon i nieznajomy kobiecy głos w słuchawce z satysfakcją oświadczył: „W kręgach, w jakich obraca się pani mąż, wypada mieć kochankę. To nieodłączny element biznesu. A pani jest albo ślepa, albo głupia”. Aha. Ślepa idiotka. Dodam jeszcze, że rozlazła ślepa idiotka, to znaczy b e z w o l n a , i zresztą rozlazła również dosłownie - mam cellulit na biodrach. Czyli nawet nie było się czemu dziwić.

## Noc po deszczu

W końcu spadł długo wyczekiwany deszcz. Zaraz po deszczu trzeba okopać ziemniaki, jak najszybciej, żeby spiekota znowu nie wysuszyła ziemi. Poważna sprawa. Znacznie poważniejsza, niż się to może wydawać przeciętnemu internaucie czy menedżerowi. Babcia rwała się na nasze małe kartoflisko, i to już, natychmiast; z trudem udało mi się ją powstrzymać. Zimą zoperowali ją, miała kataraktę, i lekarz ostrzegał, że powinna unikać wysiłku. Tylko jak ją powstrzymać? Przyzwyczaiła się, że wszystko robi sama i że żadna praca jej niestraszna. Haruje, a potem zoperowane oko się paskudzi. Jedyne sposoby to zrobić wszystko samej, zanim babcia zdąży się połapać. Dawno już mówiłyśmy, że trzeba koniecznie okopać ziemniaki, czekałyśmy tylko na deszcz. Ale nie mogłam wyrwać się na kartoflisko, na razie pod czujnym okiem babci przesadzałam buraki i zadręczałam się myślą, że nazajutrz rano, kiedy zabiorę się za gotowanie na cały dzień, babcia złapie motykę i polezie „na kartoplę”. I znowu oko zacznie jej się paskudzić. W końcu postanowiłam okopać ziemniaki w nocy.

Po cichutku, żeby nie obudzić babci, wstałam, oblałam się dobrym litrem płynu na komary i koło jedenastej wieczorem wyszłam z domu.

Miejscowi pozakładali ogrody na żywność, przez stulecia nanszonej przez wezbrany Bug ziemi zaraz przy granicy, trzeba

kawałek przejść lasem. Nie ma nic piękniejszego nad księżycową noc w Dobratyczach. Pызaty księżyc zalewa świat fantastycznym światłem, srebrzysta poświata graniczy z gęstymi cieniami. Piaszczyste wzgórza przypominają krajobrazy Algieru, trawa w dolinkach - ilustracje czarodziejskich bajek. Taka noc jest nie tylko bezcenna sama w sobie; taka noc napełnia sensem pustą ludzką egzystencję.

Motykę jeszcze za dnia zaniosłam na kartoflisko i schowałam w brudzie. Liczyłam, że z całą akcją uporam się w cztery do pięciu godzin. Przy świetle księżycy mogłam pracować całkiem komfortowo. Znalazłam motykę i wzięłam się do roboty. Słyszałam, jak nad Bugiem koncertują żaby. Staralam się dziobać ziemię motyką w miarę regularnie, bez pośpiechu, żeby się nie zmęczyć. Fitness i basen to marny trening do pracy w polu. Nie mam hartu niezłomnych dobratyckich staruszek, nie mam ich wytrwałości i sprytu. Dziewięćdziesięcioletnia babcia Makrynina okopywała ziemniaki sprawniej niż ja, prawie o pół wieku od niej młodsza. Zastanawiając się nad tym, machnęłam kilka grządek i przystanąłam, żeby odpocząć.

I wówczas na ścieżce biegnącej wzdłuż pola usłyszałam dzwonienie - ktoś jechał na rowerze i dzwonek pobrzękiwał na wybojach. Odruchowo schowałam się za krzakiem porzeczeki. Nie miałam najmniejszej ochoty włączyć komuś w oczy. Tym bardziej że w księżycowym świetle ujrzałam niezłomną dobratycką babkę Lonichę. Ciekawe, dokąd to wybiera się tak w środku nocy? Jechała powoli, widać bała się spaść z roweru na wybojach, i jak zwykle mamrotała coś pod nosem. W końcu dzwonek ucichł w oddali. Dobrze, że się schowałam, inaczej jutro całe Dobratycze plus letnisko dowiedziałyby się, że *Makrynina Alka* łązi po nocy w pole, na kartoflisko, i pewnie *czaruje*. Lonicha na bank gotowa byłaby przysiąc, że miałam ogon wielki jak wrzeciono. Już ja ją znam.

Nie zdążyłam dobrze odetchnąć, kiedy na drodze z innej strony pola, na prawo ode mnie, pojawiła się jeszcze jedna postać,

sunąca w drugą stronę. Utalentowany poeta Miszyk Jarasz szedł szybko i zdecydowanie, ale co chwila oglądał się, jakby czymś zaniepokojony. W świetle księżycy jego twarz była trupio blada. Łaska boska, chyba on też mnie nie zauważył. Odczekałam jeszcze chwilę, wylazłam zza krzaka, złapałam oddech i znów ruszyłam z motyką w pole.

Popatrz, popatrz, jaki ruch nocą pod Dobratyczami! Kto by pomyślał... Dokąd to niesie Lonichę w głąbłą noc? Przecież nie na randkę! W tym wieku już jej nie do randek. Pewnie, całkiem spokojnie może jeszcze wyjść za mąż (po raz czwarty, a jak!), ale raczej nie siodłałaby roweru o północy akurat z takiego powodu! Czyli co? A Miszyk? Może wpakował się w romans z jakąś młodziutką letniczką, zmierzał w stronę działek!... Ciekawość gryzła mnie mocniej niż komary, bo płynu na ciekawość nie sprzedają jeszcze w drogeriach, a ciekawość - nawet kiedy człowiekowi stuknęła piąty krzyżyk - śwędzi na całego.

Parę godzin dzielnie dziobałam ziemię motyką. Ciągłe schyłona. Żaby skończyły już koncert nad Bugiem, nocną ciszę zakłócał tylko od czasu do czasu monotony, dziwny dźwięk: coś gdzieś wyło, jednostajnie, przeciągle, wycie nagle ustawało, a potem zaczynało się znowu. Znałam ten dźwięk z dzieciństwa: wtedy też czasem coś tak wyło na granicy, a my, dzieci, kojarzyliśmy ten odgłos z tajemniczą *sygnalizacją*.

Księżyc powoli przeszedł zenit, a ja kończyłam okopywać. Zostało zaledwie kilka krótkich grządek. Ale musiałam przerwać, bo usłyszałam w oddali dzwonek roweru powracającej Lonichy. Szybciutko schowałam się za porzeczką. Od razu zobaczyłam, że Lonicha jedzie z jakimś ładunkiem, z workiem na bagażniku. Nawet nie zdążyłam się zdziwić, bo serce zniecka załomotało mi w piersi ze strachu: za ścieżką, całkiem blisko, w olszynach za linią granicy, za drutem kolczastym, na ziemi niczyjej ktoś stał! Wysoka, wyższa od przeciętnego człowieka postać w dziwnym białym całunie, z czarną plamą w miejscu twarzy... I ten ktoś (albo c o ś !)

patrzył na mnie! Lonicha nic nie zauważyła i pojechała w swoją stronę. Biała zjawa zniknęła, rozmyła się w napływającej od Bugu mgle. A ja nie mogłam się ruszyć. Stałam osłupiała, czując, jak strach mrozi mi krew w żyłach, jak ściska i rozrywa wnętrze. Pięćdziesięcioletnia baba, a przeraziła się jak dziecko!... Kogo lub co widziałam? Ś m i e r ć ? Tak, śmierć!... Nie było innej możliwości. Dokładnie tak wyglądała śmierć w przesądach ludzi z Dobratycz, tak wyobrażaliśmy ją sobie w dzieciństwie: potężna kobieta w białym całunie, z okrutną, surową twarzą, czarną jak otchłań wieczności. Wprawdzie powinna mieć jeszcze kosę w rękach, ale może przegapiłam, w końcu było ciemno...

Nogi same rzuciły się do ucieczki. Byłe dalej stąd! Na ziemi niczyjej w nocy obowiązywał całkowity zakaz przebywania, więc to nie mógł być człowiek! Zresztą zjawa nie wyglądała na człowieka. Była z tamtego świata! I przyszła albo do Lonichy, albo po moją duszę! Przyjdzie znowu. Nie bez powodu mówią, że śmierć najpierw ukazuje się z daleka, a potem ostatecznie zabiera delikwenta.

Pędziłam do domu, szczerze marząc tylko o jednym: jak najszybciej zatrzaskać za sobą drzwi. Wyhamowałam dopiero koło naszego płotu, mało na niego nie wpadłam. W szarym świetle poranka (o tej porze zażarci grzybiarze wyruszają do lasu z latarkami) zobaczyłam pod domem obcego człowieka: stał na palcach i zaglądał przez okno. Krótco ostrzyżony chłopak w czarnej kurtce. Po tym, co przeżyłam na kartoflisku, nawet się już nie przestraszyłam. To w każdym razie był człowiek, żywy człowiek, i to niższy ode mnie. Bez wahania pchnęłam furtkę. Nieznajomy, słysząc jej skrzypnięcie, odwrócił się, spłoszył (zdążyłam dostrzec jego przerażoną minę) i rzucił do ucieczki. A ja pognałam za nim.

Mamy w płocie trzy furtki: do ogrodu, na stację i „na grzyby”. Nieznajomy pobiegł w stronę tej „na grzyby”, skoczył w las i zniknął za drzewami. Zaryglowałam furtkę na zasuwkę (przed czym niby miała ochronić mnie ta zasuwka, pytam dziś samą



siebie?), skoczyłam na werandę i zamknęłam drzwi na haczyk. Potem obeszłam cały dom, żeby upewnić się, że nie czyhają w nim na mnie nowe niespodzianki, wróciłam do kuchni, na wszelki wypadek raz jeszcze sprawdziłam haczyk na drzwiach werandy i mój wzrok padł na kafetierkę. Hmm...

Kawa kawą, ale dobrze zrobi mi jednak łyk czegoś mocniejszego. Trzeba przemyśleć sprawę. A dokładniej napić się, żeby przemyśleć. Już od dawna szukałam pretekstu do tego łyku. No i sam się znalazł. Babcia zmonopolizowała zapasy alkoholu w domu, wszystko szło na eksport: za konia i dla gości. Miałam jednak parę butelek whisky z *duty free*. Przywiozłam je z miasta, na wypadek gdyby odwiedził mnie ktoś nienawykły do „Błękitnookiej Białorusi” ze stacji benzynowej. Otworzyłam jedną z butelek, nalałam sporą porcję do musztardówki i natychmiast wzięłam duży łyk, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia. W głębi duszy - a nawet na samym wierzchu duszy - świetnie wiedziałam, że nie powinnam pić.

Kiedy szklanka zrobiła się pusta, spojrzałam na świat znacznie już optymistyczniej. Jak gęś z kałuży wysunęłam głowę z oparów alkoholu i w pijackim błogostanie rozmyślałam o ostatnich wydarzeniach.

Czym ja się właściwie tak zdenerwowałam? Dobra, Lonicha i Miszyk szwendali się po polach o dość dziwnej porze, ale niby co z tego? Nic! Oboje znam przecież od dziecka i nie będę ich podejrzewać o jakieś ciemne sprawy. OK, możliwe, że Lonicha nie była taka znowu święta, może czarowała na polu Makaruczki, żeby rzucić urok na ziemniaki, może chyłkiem doiła kołchozowe krowy, które teraz po nocach pasą się koło chutoru, może nakosiła siana na kołchozowej łące.

A Miszyk... Co taki Miszyk może? Poeta, romantyk, pewnie zakochany jak wszyscy poeci, czyli miałam rację: szedł na randkę z jakąś młodocianą letniczką.

Co do zjawy w olszynach na ziemi niczyjej, to pewnie faktycznie zjawa: coś, co mi się tylko przywidziało. Tak naprawdę nikogo tam nie było. Zjawy nie istnieją!... Nie jestem przecież jakąś ciemną staruchą, żeby wierzyć w zjawy - żyję w dwudziestym pierwszym wieku, mam wyższe wykształcenie! Pomyśl no logicznie, powiedziałam sobie. Byłam zmęczona, całą noc harowałam. Z tego zmęczenia coś mi się przywidziało. A człowiek, który zaglądał przez okna, to pewnie letnik z towarzystwa Siwego. Pijaczek. Miał nadzieję coś zwędzić i wymienić na wódkę. Pełno teraz takich. Jak mrówek.

Skrzypnęły drzwi werandy i stanęła w nich babcia Makrynia, z kijem w ręce, zdumiona, że już nie śpię. Whisky nieźle zakręciła mi w głowie, ale skupiłam się, wbiłam w babcię mało przytomne spojrzenie i zapytałam, co zrobić dziś na obiad. Babcia zaordynowała barszcz z ziemniakami i poszła otworzyć kurnik.

I nagle wszystko wróciło na swoje miejsce. Uwolnione kury radośnie zagdakały. Na werandę padły pierwsze promienie słońca. Wstał ranek.

A jak babcia kłęła, kiedy jej powiedziałam, że w nocy okopałam ziemniaki! Jak mnie zrugęła, że nie wiadomo gdzie szwendam się po nocach! Wyraźnie była w formie.

## Czarne Bagna

Tego lata zasuwalam jak chomik w kołowrotku: dopóki koło stoi, napycham policzki, ciekawie przyglądam się światu, nawet czyszczę futerko... Ale wystarczy, że ktoś zakręcił kołem - i jazda! Nie mogę się już zatrzymać. Tracę rozum. Padam. I nie starcza mi chomiczego rozumu, żeby wyskoczyć z pułapki.

Snułam się po domu i sama nie wiedziałam, za co się złapać. A właściwie wiedziałam, i to dobrze wiedziałam: wypadało posprzątać przed przyjazdem Uli, tylko akurat było mi nie do szmaty. Więc zamiast latać po kątach z odkurzaczem, padłam na kanapę i odpałam telewizor.

- Nacjonaliści wszelkiej maści i formatu - przemówił natchmiast telewizor - dawno już skompromitowani politykierzy i podejrzani biznesmeni, których bankructwo jest jedynie kwestią czasu i cierpliwości organów odpowiedzialnych za porządek w państwie, dostrzegli w przyspieszonych wyborach okazję do zaspokojenia swoich miernych a bezczelnych ambicji.

Swoją drogą, ciekawe, skąd białoruska telewizja bierze takich lektorów? - pomyślałam leniwie. - Nie no, niby wiadomo, według jakich zasad ich dobierają, ale mimo wszystko... Mordy szerokie na pół ekranu, świńskie oczka zalane tłuszczem, cyc rozpiera zieloną błyszczącą bluzeczkę - czysta ropucha w rui. Z takim wyglądem szczyt kariery to siedzieć w kiblu i informować „zajęte!”

- Choćby dzisiaj - pluł się tymczasem babsztyl w telewizorze - pojawił się kolejny kandydat na prezydenta. Niejaki Anton Babylow, dyrektor firmy Gamma.

Aż podskoczyłam na kanapie. Miejsce babsztyla zajął mój własny mąż. Siedział w swoim gabinecie i coś tam mówił, ale nie było słychać, ropucha zagłuszała go zza kadru:

- Naród białoruski doskonale pamięta, ile nieszczęść sprowadziło na nas niedawno czarnobylskie promieniowanie gamma, ile tragedii i łez, ile bezsennych matczynych nocy, ile cierpienia dzieci. Gamma jest dla naszego narodu symbolem nieszczęścia, tymczasem szef firmy o takiej właśnie nazwie nadużywa demokracji - i, jak widać, nazbyt chyba liberalnych - praw naszego państwa dla osiągnięcia swoich podejrzanych celów. Nie wątpimy, że obywatele zdołają odróżnić ziarno od plew i zorientują się, ile naprawdę są warci tacy kandydaci, że odpowiedzą sobie uczciwie na pytanie, czy podobni ludzie potrafią uchronić nasz kraj przed katastrofą...

Terkotała coś dalej, ale już nie słuchałam.

Rozboliła mnie głowa. On chyba zwariował! Rzuciłam się do telefonu - i stacjonarny, i komórka zajęte. Zwariował! Niewidzącym wzrokiem wpatrywałam się w ekran telewizora, gdzie szalały już jakieś koparki.

No dobrze, zwariował, wszystko jasne. Niczym innym nie da się wyjaśnić takiego numeru. W najlepszym razie zainteresują się nim służby specjalne, wywęszą wszystkie brudy do siódmego pokolenia wstecz, zmieszają z błotem, wyciągną na światło dzienne. A przy okazji wyciągną i mój koszmar, o którym ledwie zaczęłam zapominać.

Wieczór nie należał do spokojnych. Telefony Antona nadal były zajęte, telewizor bałam się już włączać. Bałam się też, że zaraz ktoś zadzwoni, znajdzie mnie w Dobratyczach i wtedy się zacznie. Ale stary telefon na półce w kuchni starego domu milczał. Robiąc śniadanie, wciąż jeszcze mimowolnie zerkałam w jego stronę.

Nagle, jakby w odpowiedzi na moje trwożne wyczekiwanie, z lasu dobiegł krótki dziecięcy krzyk. Na taki krzyk reagujesz błyskawicznie. Wypadłam z domu, odruchowo chwyciłam opartą o ganek motykę i popędziłam do furtki. Kątem oka dostrzegłam, że od strony kurnika drepce za mną, podpierając się kijem, babcia.

Co to było? Wściekły pies? Pijany bandyta?

Kilka sekund później zobaczyłam dzieci.

Blade, wystraszone, zapłakane buzie. Dziewczynka skuliła się i trzymała za łydkę.

- Żmija! Żmija mnie ukąsiła!

- Boję się! Boję się! - zawodziła druga, trochę młodsza.

- Ukąsi nas, zaraz nas ukąsi! - powtarzał przerażony chłopczyk.

Żmija nie uciekała. Była wielka i gruba. Z maleńką głową. Siedziała nieruchomo na pniu zwalonej sosny i migiała rozdwojonym językiem. Zamachnęłam się motyką i omal wrzasnęłam, kiedy bezgłowy tułów zaszamotał się rozpaczliwie, obryzgując piasek świeżą krwią.

Kiedy krew żmii kapie na chleb, chleb płacze. Piasek nie płacze, milczy, cokolwiek na niego wylejesz. Nie boję się jakoś specjalnie gadów, ale tym razem przed oczami zawirowały mi tężowe kręgi.

- Oprzyj się o mnie, dziecko. Przestańcie krzyczeć! Żmii już nie ma. Nie ma. Nie krzyczcie!

Ale dzieci krzyczały. Babcia prawie biegła i pomyślałam, że za chwilę upadnie, upadnie i na pewno złamie sobie biodro. Nie upadła. Dobiegła, oceniła sytuację nad podziw bystrym spojrzeniem zza grubych szkielek okularów, raptownie wyrwała mi z ręki motykę i z rozmachu wbiła ją w ziemię tuż obok mojej stopy. Jeszcze jedna, trochę mniejsza od poprzedniej żmija zwinęła się w skurczach na mchu, jeszcze jedna mała główka odskoczyła od tułowia.

Może szukały tu jakichś nor, może miały randkę albo imprezę

czy inne spotkanie przedwyborcze. W każdym razie nigdy wcześniej nie przepęły do Dobratycz.

- Dzwon po pogotowie! Szybko! - zarządziła babcia. - To wnuki Urugwajca.

Siłą woli przezwyciężyłam mdłości i pognałam do domu. Kiedy przy furtce obejrzałam się, ukąszona dziewczynka szła w stronę płotu, opierając się jedną ręką na motyce, a drugą o kij babci, babcia zaś prowadziła pozostałą dwójkę dzieciaków.

Na oślep wykręciłam numer Zarnickiej.

- Lenka, zmija użarła dziewczynkę w nogę, co robić?

- Nie panikuj. Ułóż nogę wygodnie. Tylko żadnych opasek uciskowych. Daj małej mocną herbatę albo i kawę. Jesteście w Dobratyczach?

- Tak.

- Będę za pięć minut, jadę ze Stradycz.

Postawiłam czajnik na gazie i pobiegłam po Zoškę. Teraz ją poznałam - faktycznie, wnuczka Urugwajca.

Noga puchła w oczach. Wyglądało to tak, jakby niebiesko-czarna farba rozlewała się pod skórą. Zoška ledwie już szła.

- Spokojnie, słoneczko, zaraz przyjedzie Alona, dam ci kawy, od razu zrobi ci się lepiej.

Zosia niepewnym gestem otarła pot z czoła i zaczęła lecieć mi przez ręce. Chwyciłam jej drobne ciało pod pachy i zaniósłam na hamak. Zosia straciła przytomność. Coś dziwnie bulgotało jej w gardle, może próbowała mówić. Byłam przerażona. Patrzyłam na nią i nie wiedziałam, co robić.

- Głowa, przekręć jej głowę! - zawołała babcia zza moich pleców i sama przewróciła dziewczynkę na bok. Zosia zwymiotowała.

Zagwizdał czajnik. Szybko zaparzyłam kawę, ale nie zdążyłam zanieść jej Zosi - trzasnęły drzwi mercedesa Zarnickiej i oto moja kochana przyjaciółka w nieodłącznym jaskrawoczerwonym żakiecie biegła do nas, otwierając równie nieodłączną torbę lekarską

i łamiąc ampułkę z przezroczystym płynem. Uszczypnęła Zosię w chudą rękę i zrobiła jej zastrzyk.

- Dobra, jedziemy do szpitala - zarządziła. - Nic się nie bójcie, od ukąszenia żmii jeszcze nikt nie umarł, ale w szpitalu dadzą jej kroplówkę z antidotum, po co ma się tak męczyć.

Zaniosłyśmy Zosię do samochodu, usadziły na rozłożonym fotelu - Lenka jeździ mikrobusem - i zapakowały pozostałe dzieciaki. Na końcu wskoczyłam ja.

- Tylko jedźcie ostrożnie! - krzyknęła babcia od płotu. - Z Bogiem!

Po drodze wysadziłyśmy dzieciaki koło domu Urugwajca i szybko wyjaśniłyśmy sytuację babci Kacycie.

- I po co zabiłyście te żmije? - ochrzaniła mnie Zarnicka, kiedy opowiedziałam jej, co właściwie się stało. - Nieuki!

- A niby co miałam zrobić? - byłam ostro wkurzona. - Dać im mleka w miseczce?

- Złapać i wynieść daleko do lasu! Albo na Czarne Bagna! - warknęła Lenka, wyprzedzając na zakręcie rozklekotanego forda. - Co za ciemnota. Jak żmija, to zaraz zabić - rozdrażniona wcisnęła gaz do dechy i strzałka szybkościomierza dobiła do stu czterdziestu (łaska boska, że sanacyjny bruk zalali jednak paskudnym asfaltem, tak nawiasem mówiąc). - Wszystkie co do jednego śmiertelne przypadki pokąsania przez żmije w Europie to tak naprawdę rezultat nieprawidłowo оказanej pierwszej pomocy. Tak zwanej pomocy! Wystarczy zacisnąć opaskę na nodze i cały organizm zatrują się produktami rozpadu tkanek. Położysz na plecach, nieprzytomny człowiek udusi się wymiocinami („Głowa, przekręć jej głowę!” - przypominałam sobie i mrówki przebiegły mi po plecach). Najprostszyc rzeczy nie wiecie! Za to jak dać motyką przez łeb - to i owszem, wiecie...

Kołowrotek zatrzymał się i chomik skonstatował, że jedzie do Brześcia w brudnej spódnicy i znoszonej, dziurawej koszulce. Lenka prowadziła samochód i wciskała mi podstawy pierwszej

pomocy, jedną ręką trzymając kierownicę, drugą wystukując na komórce numer szpitala rejonowego, w którym wszyscy ją znali, jako że lekarze też mają zwierzęta domowe.

Lenka jest weterynarzem. Mama kiedyś kategorycznie zabroniła jej zdawać na weterynarię - „lekarze od zwierząt” pracowali wówczas wyłącznie w kołchozach i mama Lenki nie życzyła córce takiego losu. Chciała natomiast, żeby córka została nauczycielką, co gwarantowało przyzwoite dochody i niezłą pozycję społeczną. Mama chciała jak najlepiej i nie mogła przecież przewidzieć, że czekają nas zmiany. Nie mogła przewidzieć też Lenka; mimo to postawiła na swoim, bo od kiedy pamiętam, kochała na zabój zwierzęta. W ten sposób Lenka nie została nauczycielką, ale weterynarzem, i przy okazji wypisała się z rodziny, jako że matka nie tolerowała nieposłuszeństwa, a to był prawdziwy bunt. Teraz Lenka ma własną lecznicę dla zwierząt, dwie córeczki z dwoma różnymi mężami i wnuczka. Czerwony żakiecik Lenki zna cały Brześć i okolica: akurat przyjechała do nas ze Stradycz, gdzie przyjmowała poród bernardynki (miot warty półtora tysiąca euro), ulubienicy rodziny pastora miejscowych baptystów. Lenka ma niesamowite dłonie: szerokie, silne, z długimi, giętkimi palcami, a do tego fenomenalną intuicję i kondycję - potrafi nie spać kilka nocy pod rząd. Nic dziwnego, że dorobiła się sporego majątku. Trzeci mąż Lenki jest od niej o piętnaście lat młodszy; kiedy oświadczył, że dla niej może zostać nie tylko gerontofilem, ale i nekrofilem, zgodziła się wyjść za niego.

Poznałyśmy się z Zarnicką na wykopkach. Chodziła wtedy do szóstej klasy w szkole nr 13 w Brześciu i była pierwszą, która zagadała do nas, *wsiowych*, kopiących ziemniaki na sąsiednich zagonach. I jedyną, włączając w to również nauczycieli, która nie kpiła z tego, jak mówimy. Znacznie później, kiedy obie z Uljanką mocno zaprzyjaźniłyśmy się już z Lenką, dostała od nas ksywki *Żarówka* i *Zaraza* - od nazwiska i podpisu: *Zara* i nieczytelny zawiąs.



Zosię wzięli od razu na reanimację, do osobnej sali. Czują się już lepiej, antidotum zaczynało działać. Lekarz zapewnił, że nie ma żadnego zagrożenia życia. Umówiliśmy się, że Zarnicka wieczorem zajrzy do małej, a ja przyjadę nazajutrz, i pognałyśmy do samochodu - Lenka musiała wracać do Stradycz.

Wysadziła mnie w Dobratyczach, zajrzała pod maskę i poprosiła, żebym przyniosła coś do picia. Dzięki temu to ja pierwsza zobaczyłam babcię. Siedziała przy stole na werandzie, na ławeczce, z odrzuconą w tył głową i lekko ściągniętą z czoła chustką. Rozchylone usta. Przekrzywione okulary na suchej, żółtawej twarzy.

Nie żyła.

## Cudza śmierć

Całe zamieszanie przy pogrzebie i sam pogrzeb pamiętam jak przez mgłę. Ludzi przyszło mało, ale za to zewsząd: ściągali ścieżkami zarośniętymi mydlnicą i purchawkami, spod chmury, raptem nawisłej nad Bugiem, ze Stradycz, z Durycz, z Zakazanki; wszyscy młodszy od babci. Stawili się w komplecie mieszkańcy Dobratycz, za wyjątkiem starej Lalki - Lalka już od dawna nie chodzi, straciła władzę w nogach. Przyszedł też Afanasij Pietrowicz, letnik zaprzyjaźniony z babcią. Tym razem nie miał za pasem nieodłącznej siekierki, ale spodnie włożył te co zwykle, tylko starannie wyprane, kiedyś chyba niebieskie. Tylko on jeden płakał, kiedy wynoszono trumnę na podwórko. On i czapla, która z szyją wygiętą w hak przelatowała akurat nad domem i w locie krzyknęła „Aj!” Widziałam to wszystko jak przez czarny woal: ludzi, trumnę i czaplę jaśniejszą od chmury, która płynęła za nią... Uljanę, Urugwajca, Lonichę, Jaraszychę, Aksankę...

Zadyszana Aksanka przyjechała na rowerze ostatnia. Nie od razu ją poznałam: wbrew regule nie roztyła się przez wszystkie te lata (dziesięć, jak nie lepiej), kiedy nie miałyśmy ze sobą kontaktu, ale i tak zmieniona była nie do poznania.

Wyglądała jak podtopiona. Chodziłyśmy do tej samej klasy, teraz została dyrektorką naszej szkoły w Stradyczach. Pomachała, położyła rower na trawie, podeszła do trumny i pocałowała babcię

w czoło. Wyprostowała się, zamyśliła i pogłaskała bladobrazową dłoń zmarłej.

Chociaż według zwyczaju było to zabronione, myłam ciało razem z Jaraszyczą i Kacią od Urugwajca - same nie poradziłyby sobie. Nie udało nam się domyc rąk i nóg. Za paznokciami, w małych pęknięciach, w porach została ziemia, która tak mocno wżarła się w skórę, że nie brało jej ani mydło, ani pumeks, i teraz pomyślałam, że nasza babcia, która wkrótce stanie się dobratyczką ziemią, w jakimś stopniu była nią już za życia. A przynajmniej jej ręce i nogi.

Aksanka oparła się o brzeg trumny i zaczęła mówić. Nawet głos jej się zmienił - zniknęły wysokie i niskie tony, brzmiał teraz zbyt równo. Mówiła po naszymu i ludzie w zdumieniu unosili głowy: widać nie tego spodziewali się po dyrektorze szkoły.

- *Ot i znów nam schodka. Znów chawajem. Ot i wite, ciotka Makrynio, ad nas pajszli. Narabilisia, napracawalisia za żyćcio, nie było wam ni wodpusku, ni wychadnych - spaczniecie zaraz. Ziamla wam pucham. Boh waszu duszu prymie i kala siabie pasadzić. A my astaniemsia tut adny, biaz was. Zarastuć burzanom waszy czornyja ścieżki. Nia budzie nam waszaje mowy i waszaje rady...*

Tylko cienki jasny pukiel wymykał się spod czarnej chustki Aksanki, jak kiedyś, kiedy byliśmy dziećmi; na twarzy i dekolcie lśniły maleńkie kropelki potu, choć na dworze właśnie powiało chłodem.

- *Ot my chawajem siodnia was, i nam horka, horka na sercy - dawno wie my siroty, a biaz was asiraciejem jaszcz boisz; my was pachawajem, a jak przydzie nasza hadzina, chto pachawaje nas? Czy astaniecca tut chto? Ale... U naszu hadzinu z nas i budzie spros - a wite śpicie spakojna, prażyli żyćcio dastojna i prawiedna, ciotka, a my was nie zabudziem.*

Aksanka skłoniła się i odeszła.

Chmura ominęła wioskę i zamiast na deszcz załapaliśmy się na zimny wiatr. Wiatr rozniósł po podwórku aromat driakwi i od

strony żółtego wiesiołka zapach zmarłej. Trumnę wieźliśmy na cmentarz wozem. Ci, którzy przybyli z sąsiednich wsi, szli za nią, natomiast mieszkańcy Dobratycz - poza Heńkiem Urugwajcem - zostali, nogi już nie te. Nie te lata.

Nie poszła też Aksanka. Objęła Uljanę, przytuliła się do mnie, powiedziała, że musi natychmiast wracać do szkoły, bo właśnie mają przywieźć nowe tablice i ławki, i obiecała, że na dniach do nas zajrzy.

Łatwo jest opowiadać o pogrzebie. O stypie pod wysokimi cmentarnymi *barjakami*, o piasku, który wysychał w mgnieniu oka i sypał się kaskadami do świeżo wykopanego grobu, o chwili, w której zabijają gwoździami wieko trumny, kiedy opuszczają ją do dołu, rzucają za nią wyszywane ręczniki...

Widziałam obok siebie swoje żywe odbicie - siostrę, gęsią skórę na jej rękach, pobladłą twarz. Babcia niejednokrotnie surowo przykazywała nam, żebyśmy nie płakały na jej pogrzebie. Płacz po takiej starej *ludzinie* naruszałby dobratycką etykietę. Uljanka nie płakała: nie płakałam też ja, ale nie dlatego, że babcia zabroniła; dręczyło mnie, czarną mgłą zaciągało świadomość pytanie, z którego nie zdążyłam jeszcze zwierzyć się Uljanie. Łatwo mi opowiadać; ciężko było stać tam na cmentarzu.

Przez wszystkie te dni miałyśmy mnóstwo do zrobienia i Uljanka nawet nie zdążyła się rozpakować. Waliza stała w sieni tak, jak przywiozłyśmy ją ze stacji. Nie było nawet kiedy porozmawiać, a to, o czym musiałam powiedzieć, nie nadawało się na krótką pogawędkę. Wedle starego obyczaju siedziałyśmy nocami przy trumnie babci, ale na zmianę, w dzień natomiast przychodziły *baby*, ale tylko w dzień, bo wiek nie pozwalał im już łązić w nocy po lesie. My zaś musiałyśmy tymczasem kupić trumnę, zamówić w cerkwi nabożeństwo żałobne, sprawić trzydzieści dwa śledzie i tyleż karpí, usmażyć miękkie kotlety dla starych dobratyckich, stradyckich i zakazańskich zębów, kupić wódkę i oranżadę plus załatwić sto pięć innych spraw. Dobrze przynajmniej, że pomagała

nam Zarnicka, kursowała swoim „mercem” do Brześcia i z powrotem. Tego dnia znalazła wolną chwilę, odciągnęła mnie na bok i cicho zapytała: „Powiedziałaś?” „Nie - szepnęłam. - Jeszcze nie”.

Ani Anton, ani Jurka nie przyjechali na pogrzeb. Jurka, mąż Uljanki, akurat był w Krakowie, gdzie organizował kongres architektów, i stwierdziłyśmy, że powinien tam zostać i spokojnie pracować, bo jeśli wyjedzie, cała impreza może się zawalić. Co do Antona, liczyłam na niego. Nadal nie mogłam się dodzwonić i w końcu wysłałam telegram. Późnym wieczorem sam do mnie zadzwonił. Obcym głosem złożył wyrazy współczucia, przeprosił za to, że nie da rady przyjechać, i zaproponował, że przyśle człowieka z pieniędzmi i samochodem. Wkurzyłam się, podziękowałam za taką pomoc i już chciałam rzucić słuchawką, kiedy nagle przed oczami stanęła mi ropucha z telewizora, o której zdążyłam już na śmierć (co za koszmarny kalambur!) zapomnieć.

- Tosik, co ty tam kombinujesz? Po co ci to wszystko? Boję się o siebie...

- Nic się nie martw - głos Antona złagodniał, przybliżył się, widać Tosik nie liczył na to, że nazwę go pieszczotliwym imieniem z czasów naszej młodości. Sama zresztą byłam zdziwiona, jakoś niechący mi się powiedziało. - Wszystko będzie dobrze. Przecież wiesz, że zawsze gram z jakimś asem w rękawie.

Jak niedorzecznie zabrzmiało to „gram”! Dawno już w nic nie graliśmy, mój drogi, całkiem zapomniałam, co to gry, wszystko w naszym życiu zrobiło się aż za poważne. Ale nie zdążyłam nic odpowiedzieć, bo do kuchni wszedł Urugwajec, a za nim zaaferowana Uljana. Byłam potrzebna do kolejnej narady technicznej i musiałam kończyć.

Po stypie wzięłyśmy się z siostrą za sprzątanie.

- Chodź na górę - powiedziała Uljanka, kiedy żałobnicy rozeszli się już do domów z za wielkiego, zestawionego z trzech mniejszych stołu. - Poleżymy chwilkę. Nóg już nie czuję.

W pokoju położyła się na kanapie i zasłoniła oczy dłonią - gestem babci, który bezwiednie od niej przejęłyśmy.

- Chyba zrobiłyśmy wszystko tak, jak nam kazała - powiedziała siostra, nie otwierając oczu. - Tak, jak chciała. Tylko ksiądz jakiś lewy, za bardzo mu się spieszyło. Jak myślisz?

- Słuchaj, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

Uljanka otworzyła oczy.

- Babcia nie umarła sama z siebie. Ktoś dosypał jej do kawy lekarstwa na serce, nazywa się toto Cardioslim Forte. Zaparzyłam kawę dla Zośki, kiedy ukąsiła ją żmija, ale przyjechała Zarnicka i kawa została na stole. A babcia, widać, swoim starym zwyczajem, żeby się nie zmarnowało, dołała mleka i wypila... No i w kawie było to lekarstwo...

- Skąd wiesz? I dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - głos Uljanki brzmiał głucho.

- Kubek z wypitą do połowy kawą stał jeszcze na stole, kiedy wróciłam z Brześcia. A wiem na pewno dzięki genialnemu węchowi Zarnickiej. Kiedy na mój krzyk przybiegła na werandę, przyskoczyła do babci i niemal od razu powiedziała: „Nie żyje”. Kolejny raz przekonałam się, jaka z niej profesjonalistka, a ze mnie ostatnia ciapa. Zarządziła, żebyśmy przenieśli babcię do domu, zadzwoniła po pogotowie, ale wszystkie karetki akurat były gdzieś w terenie, sama wiesz, jak to jest... Robiła babci sztuczne oddychanie... A potem, kiedy lekarz stwierdził zgon i pojechał, wróciłyśmy na werandę. Siedziałam jak kloc, nie mogłam nawet mówić, a ona zadzwoniła do Chwiedźki... I nagle zobaczyłam, że węszy, całkiem jak pies myśliwski. Podeszła do stołu, wzięła kubek z kawą, powąchała, spróbowała... Popatrzyła na mnie jakoś dziwnie i mówi: „Wiesz, Alka, ktoś coś do tej kawy dosypał. Dawaj paczkę!” I zabrała paczkę do laboratorium. A wieczorem znów przyjechała i okazało się, że i w fusach, i w reszcie kawy w paczce był Cardioslim Forte. W ogromnych ilościach. Takich, które mogą wywołać atak serca.

- Lekarz z pogotowia nie zauważył nic podejrzanego?  
- No coś ty. Dziewięćdziesiąt siedem lat! Co tu podejrzewać, zmarła ze starości, jasna sprawa. Wypisali akt zgonu i tyle. Nawiasem mówiąc, w akcie jest nawet atak serca, ale nikomu nie przyszło do głowy, że coś go sprowokowało. Gdyby nie Zarnicka, nic byśmy nie wiedzieli.

Patrzyłyśmy na siebie. Dwie siostry, podobne jak krople deszczu. Tylko jedna trochę chora na ciele i bardzo chora na duszy. Czytałam w jej myślach jak we własnych. Dostała przeze mnie w kość: nikomu nie życzę takiej siostry jak ja. Różnie bywało. Szukała mnie po blokowiskach w Mińsku na Róży Luksemburg i znajdowała kompletnie nieprzytomną. Płaciła lekarzom za odtruwanie. Czasem rok ze sobą nie rozmawiałyśmy. Nauczyła się dawać łąpówki. Raz nawet była wplątana w sprawę o zabójstwo.

A teraz znowu.

I co najgorsze, nic z tego nie rozumiałyśmy. Po co ktoś dosypał lekarstwa do kawy? Kto i po co?

- Tak - Uljanka pomilczała chwilę. - W co się tym razem wkopałaś?

Pokręciłam głową.

- Nie, to nie ma nic wspólnego ze mną. Nawet nie mogę sobie wyobrazić...

- Za to ja mogę! - rozeźlona siostra krążyła po niewielkim pokoju. - Bardzo dobrze mogę! Znowu zaczynasz! - usiadła i potarła czoło. - Ile można, Ałka! Przecież się umawiałyśmy! Niedługo stuknie ci pięćdziesiątka!

Milczałam i łykałam łzy, które jak zwykle napłynęły do oczu w najmniej właściwej chwili.

Uljanka jakoś odzyskała panowanie nad sobą.

- Przepraszam, siostrzyczko - usiadła i objęła mnie za ramiona.

Otarłam oczy.

- To ja cię powinnam przeprosić.

- A gdzie twoje lekarstwo na serce?

- Tam, gdzie było.

Mam kłopoty z sercem i powinnam stale brać lekarstwo, właśnie Cardiomim Forte, ale tylko pół tabletki dziennie.

Sprawdziłam, tabletek nie brakowało.

- Tak, tak, tak... Po kolei. Ktoś dosypał do kawy mocnego lekarstwa na serce. Trzeba założyć, że chciał otruć ofiarę. O ile wiem, można w ten sposób wykończyć nawet zdrowego człowieka, jeśli dawka będzie odpowiednio duża. A już chorego - na przykład ciebie...

- Albo ciebie - rzuciłam.

Uljanka zamyśliła się na chwilę.

- Tak, albo mnie. Wystarczy trochę przedawkować i mamy atak serca. Zosi może nic by się nie stało, jest młoda i serce ma, dzięki Bogu, zdrowe. Za to babcia... No dobrze, ale przecież babcia nigdy nie piła kawy... Sama powiedziałaś, wypła czystym przypadkiem. Czyli... Czyli... Czyli jedno wiemy już na pewno: lekarstwo w kawie było nie dla niej. Dla ciebie?

- Nie wiem. Ale widziałam śmierć. W nocy. Przy granicy.

- Ała, zauważyłam za lodówką na werandzie napoczętą butelkę whisky. Nic mnie już nie zdziwi, mogłaś widzieć nawet białe myszki w ślubnych welonach.

Wobec takiego dowodu nie miałam się jak tłumaczyć. Zaległa głęboka cisza.

- Babcia nie umarła swoją śmiercią. Umarła cudzą. Może twoją, może moją. I to wszystko, co na razie wiemy.

- Słuchaj, naprawdę widziałam śmierć - zaczęłam i przerwałam. Nagle dotarło do mnie, co powiedziała Uljanka. - T w o j ą ś m i e r c i ą ? Myślisz, że t o c i e b i e próbowali wykończyć?

Komu mogło zależeć na śmierci Uljany? Powiedziałam tak w złości, zdenerwowana tym, że siostra z miejsca obwinia akurat mnie. Ale dlaczego potraktowała to poważnie?

I właśnie wtedy, w chwili, kiedy tak się dziwiłam, kiedy słońce



stało już dość nisko i jego promienie wydobywały czerwień z każdej barwy, kiedy światło na dworze przybrało fantastyczny odcień, a pnie *barjaków* zabłyszczały jak miedź, usłyszałyśmy znajomy terkot silnika: traktor Białoruś żwawo sunął ku naszej bramie, a za nim melancholijnie, choć równie żwawo kłusowała przywiązana do wozu kobyłka.

Nadciągali Tolik i Walik. Kolejne dwie postacie z naszego dzieciństwa. Ludzie, z którymi dla każdej z nas, sióstr bliźniaczek, wiązały się różne wspomnienia. Mój Tolik to moje wspomnienia: zielony mech, mgła, piasek lepący się do wilgotnej skóry i szczupłe ciało, tak szczupłe, że można policzyć żebra...

## I rzucał nieprzystojne słowa, gdyż był pijany swoją władzą...

M ó j Tolik.

Do ślubu nie doszło. Po szkole wyjechałyśmy z Uljanką na studia, a Tolika wzięli do wojska. Na drugim roku zapomniałam już, że był moim przeznaczeniem. A na trzecim pojawił się Anton. Pewnie, czasem zastanawiałam się, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym nie odrzuciła kiedyś zaproszenia do klubu w Pryłukach na tańce... No, ale odrzuciłam.

Teraz Tolik pracuje jako traktorzysta. Co więcej, jest traktorzystą. Traktorzystą. Nic więcej. Kropka. Aha, i ochlapusem. Słyszałam, że w tym roku wysłał syna na studia ekonomiczne do Mińska, przy czym, uwaga, na płatne. Twarz ma opaloną na czerwono-buro, a zmarszczki tak głębokie, że nie widać dna. Jest potężny, ale powoli kręgosłup już mu osiada, a ramiona opadają. Hańdzia, jego żona, dzielnie zagania go do roboty w szklarniach, chlewie i przy szlachetnych jabłoniach.

Z Walikiem czas obszedł się łaskawiej. Walik jest brygadzystą; wcześniej pracował w kolchozie Droga Iljicza, teraz w spółce z o.o. Agrowitalika+. Zostało w nim sporo z chłopca, z którym chodziliśmy do szkoły: okrągła, świeża twarz, uśmiech... Tyle że wtedy był zawołanym chuliganem i zabijaką, a teraz zrobił się jakiś zamysłony i powolny. Jeździ wozem po całej okolicy rozwalony z

fasonem na sianie, toczka w toczkę jak kiedyś jego dziadek. Nie lubi za to służbowej terenowej niwy i prawie jej nie używa. Nie ma się dokąd spieszyć, jak mówi.

Wizyta chłopaków, o dziwo, bardzo mnie ucieszyła. Pogrzeb pogrzebem, ale aż się uśmiechnęłam, kiedy zgasł silnik, Tolik trzasnął drzwiami traktora, a Walik zszedł z wozu i porządnie przywiązał lejce do słupka bramy.

Zanim zeszyliśmy z Uljanką z poddasza, słońce skryło się za Bugiem. Znikły czerwone odbłaski. Noc, na razie przebrana na szaro, wzięła się w garść i podchodziła coraz bliżej i śmieiej.

- Nie daliśmy rady wcześniej - zawołał od płotu Tolik. - Czaraota powiedział: „Ani się ważcie! Nie puszczę! Sam chętnie bym poszedł pożegnać Makrynię Łukaszawną, ale pogoda nie zaczeka. Nieboszczka sama była gospodynią, na pewno nam wybaczy. Zwieziemy siano, a potem razem pojedziemy na grób”.

- No i miał rację, zza Bugu szła wielka chmura - dodał Walik, podchodząc. - Ale patrzcie, powiało chłodem i tyle. A szkoda, przydałby się już deszcz. Tym bardziej że zwieźliśmy dziś resztkę siana... No, nie gniewajcie się, żeśmy nie przyszli na pogrzeb. Nie wyszło.

- Nie macie co przeproszać - machnęła ręką Uljanka. - Dobrze, żeście teraz przyjechali. Chodźcie do domu. Myjcie ręce, a my sprzątniemy ze stołu...

Zebrałyśmy talerze, szklanki i widelce, postawiłyśmy czyste naczynia. Tolik i Walik odciągnęli dwa niepotrzebne już stoły i w końcu usiedliśmy.

Przez cały dzień zwijałyśmy się jak w ukropie. Przynieś, wyynieś, pozamiataj - musiałyśmy obsłużyć ludzi, którzy przyszli ostatni raz pożegnać się z Makrynią. Takie było nasze zadanie na stypie, dawno już przydzielone i starannie objaśnione przez babcię. Teraz jednak był wieczór, a to już całkiem inna sprawa. Teraz każde danie zsuwamy z trzech talerzy na jeden, koniec części oficjalnej.

Tolik odkorkował butelkę, na chwilę zawiesił nad moim kieliszkiem i pytająco spojrział na Ulę. Ula skinęła głową. Nalał.

Nie reaguję już na takie zachowania, przyzwyczałam się - słusznie, alkoholiczka nie może za siebie odpowiadać.

Cisza. Za oknem zmrok, pod sufitem goła żarówka. Co roku na Wielkanoc nakrywaliśmy stół w tym pokoju. Babcia nigdy nie siadała na honorowym miejscu, zawsze gdzieś z boku, w kąciku obok któregoś z dzieci, za to wygłaszała pierwszy toast. Przeważnie wierszem. Proste myśli, proste rymy. A teraz cisza, milczymy z kieliszkami w dłoniach.

- Co to ja miałem powiedzieć? - Tolik wstał, czego się po nim nie spodziewałam. - Pewnie nie ja powinienem zacząć, ale co tam... Chcę powiedzieć, że pierwsze, co pamiętam z dzieciństwa, to babcia Makryńka. Sami wiecie: kiedy miałem cztery lata, krużyłem lód przy brzegu i wpadłem do jeziora. A ona mnie wyciągnęła. Uratowała. Pamiętam jak dziś: wczepiam się w bryły lodu, a one wyslizgują mi się spod palców, i widzę czarną wodę, biały śnieg i błękitne niebo, i nagle czuję, jak silna dłoń łapie mnie za kołnierzyk i ciągnie, i już leżę na śniegu, nie mogę złapać oddechu, z ust bucha mi para... A ona wzięła mnie na ręce i pobiegła do wsi...

Walik wybuchnął śmiechem i od razu zrobiło mu się głupio.

- Ty miałeś cztery lata, jak cię wyciągnęła, a ja pięćdziesiąt cztery...

- Jak to?

- Będzie z miesiąc temu. Wraciałem skądś przez Dobratycze, patrzę - babcia Makrynia taszczy na plecach worek, idzie oparta na kij. Zlazłem z wozu, chcę pomóc. A ona patrzy przez te swoje okulary i mówi: „A, Waliczek! Dziękuję, ja jeszcze nie tylko worek, ale i ciebie do wsi bym zaniósł!” - „Akurat!” - „Chodź no tutaj!” Roześmiałem się i podszedłem, a ona rzuciła worek na ziemię i hop! Złapała mnie i podniosła! Wprawdzie od razu się wyrwałem, ale zdążyła mnie podnieść!... No, wieczny odpoczynek...

- A pamiętacie, jak zgasła tego, no, grubego? - ciągnął Tolik, kiedy wypiliśmy.

- Nikt w całych Dobratyczach nie wstawał wcześniej od niej.

- Ojciec opowiadał, że była jedyną kobietą, która potrafiła prowadzić kombajn.

- A jak się pobija z agronomem?

- A jak powiesiła wściekłego kota?

- I jak topiła kociaki, przeganiała psy i biła dzieci, kiedy włążyły do sadu...

- Kto zrozumie babcię, ten zrozumie wszystko - powiedziała Uljanka.

- Niesamowite słowa - zauważył Walik.

- To nie moje - wyjaśniła Uljanka.

- A ten twój startuje w wyborach, coś słyszałem? - odwrócił się do mnie Tolik. - Rzykant. Pewnie teraz pojedziesz do Mińska, żeby mu pomagać?

Pojechać do Mińska? Dotąd jakoś o tym nie myślałam. Anton mnie o nic nie prosił, sama nie chciałam się wtrącać... A tu zostaje przecież dom babci, ogród babci, gospodarka babci... Nie mogę ich tak zostawić. Czuję, że powinnam doprowadzić wszystko do porządku. Czuję, że muszę wyjaśnić sprawę śmierci babci. Tutaj, w Dobratyczach, na miejscu.

Spojrzałam na siostrę i zobaczyłam, że mnie rozumie.

Po drugiej kolejce siostra zwięźle poinformowała chłopców, że ktoś z niewiadomych powodów dosypał babci lekarstwo do kawy i że właśnie przez to umarła.

- Nie wiadomo po co, nie wiadomo o kogo chodziło - powiedziała siostra. - W takiej dawce to pewna śmierć i dla Ałki, i dla mnie - dla każdego, kto choruje na serce. Trafiło na babcię.

Tolik mimo wódki nie mógł jakoś uwierzyć.

- Oho! Czysty kryminał! „Morderstwo w Dobratyczach”, tom pierwszy i drugi.

Nikt się nie roześmiał.

- Trzeba powiadomić milicję - zaproponował Walik.

Spojrzałam na Uljanę. Milicję? Co tu pomoże milicja? Mogą wszcząć dochodzenie w sprawie usiłowania zabójstwa i szybko zamknąć je z braku dowodów, klasyka... Komu pomogła milicja? Oczywiście poza szczęśliwcami z rosyjskich seriali kryminalnych...

- Nie, żadnej milicji - pokręciła głową Uljanka. - Milicja i bez nas ma dosyć roboty.

- Dobrze mówisz! Po co nam milicja? Sami znajdziemy tego drania! - zawołał Tolik z pijackim zapalem, ale Walik ostudził go trzeźwym sceptycyzmem brygadzysty:

- Niby jak?

- Pomyślmy! Przede wszystkim: komu mogło zależeć na jej śmierci?

- Czyjej śmierci? Babci?

- I jej, i twojej, no i twojej - Tolik kiwnął podbródkiem na mnie i na Uljanę, która tymczasem wstała od stołu i usiadła na kanapie. - Zaraz zrobimy listę waszych wrogów.

- A może to już... - zaczął Walik i przerwał. - Co to była za kawa?

- Zwykła kawa - powiedziałam - Jacobs Krönung. Często ją kupuję. Paczka była zaczęta, parę razy piłam już wcześniej.

- A kiedy ostatni raz?

- No właśnie nie pamiętam! Próbowałam sobie przypomnieć, ale nic z tego. Wyleciało mi z głowy. Ale kawę piję często. Może tamtego dnia rano? Albo poprzedniego wieczoru? Pamiętam, że Miszyk wpadł do mnie jakoś w tygodniu, częstowałam go, ale potem oczywiście sama też jeszcze piłam...

- Trzeba szukać motywu - upierał się Tolik.

- Pewnie, a potem okaże się, że morderca jest akurat tą jedyną osobą, która nie miała motywu - zauważył Walik.

- Od czegoś musimy zacząć!

- Tak czy inaczej powinniśmy pójść na milicję. Powyrzucacie wszystkie otwarte rzeczy, jedzenie, i kupcie nowe, to na pewno nie zaszkodzi - dodał Walik.

- Słuchajcie - powiedziała nagle zmienionym głosem Uljanka. - Słuchaj, Ałka, wiesz, co ty tu masz?

Kiedy rozmawialiśmy, Uljanka odruchowo wzięła ze stolika koło kanapy jedną z leżących tam na stosie teczek i machinalnie przejrzała. Teraz trzymała otwartą teczkę na kolanach i patrzyła na mnie z bardzo dziwną miną.

- Wiesz, co tu masz?

- Nie wiem? To dokumenty z archiwum, zamierzałam nad nimi popracować.

- Przejrzałaś je przynajmniej?

- Nie miałam kiedy. A co?

- No to słuchajcie - i Uljanka powoli, żebyśmy lepiej zrozumieli, zaczęła czytać; niezwykle słowa dziwnie brzmiały, w ciszy wieczoru:

- „Protestacya mieszczanina Lwowskiego pana Christofa Storymowicza, cechmistrza złotników, przeciw panu Bartoszowi Kostomłockiemu o napad, zranienie y obelgę. Rzecz odbyła się w mieście Brześć w Wielkiem Xięstwie Litewskim Miesiąca Lipca Dwudziestego Ósmego Dnia Roku Pańskiego Tysiąc Sześćset Pięćdziesiątego. Przed nami, Burmistrzami, Rajcami y Ławnikami, będącymi tego dnia na sądach w brzeskim ratuszu, przemawiał y skarżył mieszkaniec Miasta Jego Królewskiej Mości Lwowa, cechmistrz jubilerów Christof Storymowicz pan Tryzna, na mieszkańca Województwa Brzeskiego, Jego Miłość pana Bartosza Kostomłockiego, właściciela wsi Kostomłoty y ziem do niej przyległych, o to, że 26 Lipca tegoż Roku Pańskiego pan Christof Storymowicz, człek stateczny, nikomu niewadzący y prawem Wielkiego Xięstwa przed napadem y oszczerstwem chroniony, znajdował się nad rzeką Bug w swoich sprawach, szedł prawym brzegiem szukając pewnej rzeczy, schowanej tam przez jego ojca, pana Storymę Tryznę, kiedy nagle pan Bartosz Kostomłocki wraz ze swoimi chłopami napadł y ciężko poranił pana Christofa y tych, którzy z nim byli, y groził mu śmiercią y krzyczał, że nie pozwoli

zabrać skarbu, który wedle prawa Wielkiego Xięstwa należy do niego, pana Bartosza Kostomłockiego, bo leży w jego ziemi. Na to pan Christof odpowiedział, że szuka nie skarbu, ale rzeczy należącej do zmarłego ojca, y pokazał na dowód cedułę, a także testament ojca. Onże ojciec dwa lata temu wracał z Miasta Brześcia do Miasta Lwowa rzeką Bugiem y koło kostomłockiego młyna napadli nań podli zdrajcy rozbójnicy, zabrali majątek y zabili ludzi, y nie mieli litości, ale przed śmiercią pan Storyma zdążył być ukryć skrzynię z kosztownościami, którą miał przy sobie, w pewnym miejscu y napisał cedułę, którą onegoż wierny sługa zawiózł do Miasta Lwowa y przekazał panu Christofowi. Pan Bartosz groził szablą y rzucał nieprzystojne słowa, gdyż był pijany swoją władzą, a hołota kijami y łańcuchami zmusiła pana Christofa, żeby oddał cedułę, a w onej cedule powiedziane jest, gdzie trzeba szukać skrzyni z kosztownościami. Pan Christof Storymowicz Tryzna oświadczył przed sądem, że jest spadkobiercą swego ojca y prosił panów Burmistrzów, Rajców y Ławników, żeby łaskawie zmusili pana Kostomłockiego do zwrotu ceduły y nałożyli nań grzywnę, a mając do pana Kostomłockiego żal wielki o pobicie y obrażę, prosił też, żeby zgodnie z prawem Sąd zapisał jego opowieść y skargę w księgach Miasta Brześcia. Tak też się stało”.

Wstrzymałam oddech i spojrzałam na chłopców. Walik uśmiechał się rozmarzony, Tolikowi błyszcząły oczy. Otwierał je coraz szerzej i radośniej. Zniknęło bez śladu ostatnie pięćdziesiąt lat, zniknął kołchoz i Agrowitalika+ spółka z o.o., i nędza, i kłopoty, nie było zagarniętych przez letników górki ani zielonych ropuch w telewizorze - w pokoju siedziały dzieci Dobratycz, przed nimi było całe życie, a ziemia stała się przejrzysta jak szkło i pod nią leżały skarby - nie tylko klejnoty lwowskiego jubilera... Uljanka patrzyła na nas ironicznie, ale widać było, że nawet ona, historyczka, przywykła trzymać w rękach starożytne papiery, jest pod wrażeniem tekstu.



- No jak, zrozumieliście wszystko? - zapytała.
- A czego tu nie rozumieć - Tolik głęboko westchnął. - Jakiś jubiler płynął Bugiem, napadli na niego zbroje...
- Rekieciarze - doprecyzował Walik.
- Racja, rekieciarze, jak ci na bazarach, a on przed śmiercią zdążył ukryć skrzynię z klejnotami i w dodatku dać synowi cedułę... To znaczy notatkę, gdzie tej skrzyni szukać... Ale co było dalej? Czy ten cały pan Kostomłocki oddał cedułę? I co ze skarbem?
- Chyba nic tu już więcej na ten temat nie ma. Dalej idą całkiem inne papiery.
- I wszystko to odbyło się u nas, gdzieś w pobliżu! Aż trudno uwierzyć.
- A coś ty myślała, że przed nami nie było tutaj ludzi? Że nie jedli, nie pili, nie zarabiali pieniędzy?
- Fajną masz pracę, Ałka! Nie to, co wożenie gnoju trakto-rem.
- Dajcie spokój, gdyby Uljanka nie zajrzała do teczki, pewnie oddałabym to wszystko nieprzeczytane z powrotem do archiwum.  
Co prawda, to prawda: całkiem zapomniałam o pracy!  
Przed wyjazdem z Mińska szukałam jakiejś chałtury, najlepiej związanej z moim wykształceniem - zawsze to lepiej niż handlować olejem na stadionie - i podpytywałam znajomych. Olga Babkowa pomyślała chwilę i powiedziała tym swoim głosem, w którym pewnie za zamkniętymi okiennicami żyje jej dusza:
- Wiesz co, zdaje się, że w naszym archiwum mają teraz jakieś zlecenia. Trzeba czytać stare dokumenty. Oczywiście za grosze, ale, z drugiej strony, to całkiem miła praca - będziesz sobie siedziała w swoich Dobratyczach, czytała i przepisywała na komputerze. OK?
- Pewnie, że OK! Idealny sposób, żeby stopniowo wrócić do zawodu (choć, na dobrą sprawę, powinnam postawić już na

sobie krzyżyk: w wieku, w którym inni szykują się do emerytury, zamierzałam zaczynać nową pracę... Praca dałaby mi jednak niezależność, a niezależności potrzebowałam dlatego, że mój mąż Anton znalazł sobie dziewczynę, o czym doniósł mi ktoś przez telefon, a znalazł i zdradził, bo nie mógł już dłużej znieść moich wyskoków i chciał żyć spokojnie, jak człowiek...)

W archiwum dali mi stertę kserokopii starych, nieczytelnych dokumentów. Kartkowałam kolejne teczki i entuzjazm powolutku mnie opuszczał. Nic z tego nie rozumiałam! Dziwne kaligraficzne zapisy albo po prostu gryzmoły, cyrylica, łacinka... Kiedyś na uniwersytecie uczyli mnie paleografii, ale kiedy to było. Zero praktyki. A w Dobratyczach z miejsca zważyło się na mnie mnóstwo kłopotów i w rezultacie teczki leżały porzucone w kącie.

Nieoczekiwanie dla samej siebie burknęłam:

- Słuchajcie, a jak ten skarb jeszcze gdzieś tu leży? Może by go poszukać? Uljanka, ile teraz mogą kosztować takie klejnoty z siedemnastego wieku?

Uljanka wzruszyła ramionami.

- Zależy, z czego i jak są zrobione. Jeśli na przykład ze srebra, to... no, nie wiem, może z kilkadziesiąt czy kilkaset dolarów za sztukę... A jeśli ze złota i dobrej, artystycznej roboty, albo z brylantami, to ho-ho... I jeśli w dodatku mają wartość historyczną, to już całkiem nie wiadomo ile, ale liczyć trzeba pewnie w milionach... Skoro pan Tryzna szukał ich, ryzykując życie, pewnie jak na tamte czasy miały dużą wartość, to nie byle biżuteria... Teraz sobie przypominam, że czytałam coś o jubilerze Tryznie, ale nie pamiętam szczegółów, nie specjalizuję się w siedemnastym wieku. Zresztą dajcie sobie z tym spokój - rzuciła znienacka, zauważwszy, jak uważnie wsłuchujemy się w jej słowa. - Szukanie skarbu. Też coś. Dziecinada.

- Dlaczego dziecinada? - aż podskoczyłam. - Bo to mój pomysł?

- Kilkaset dolarów za sztukę... - powtórzył rozmarzony Tolik i podrapał się w bujną brew. - Racja, właściwie dlaczego niby dziecinada?

- Wiecie co, kochani, takich skarbów leży w ziemi pełno. Walik słusznie mówi, przed nami też mieszkali tutaj ludzie i zarabiali pieniądze. A w tamtych czasach zakopywanie pieniędzy w ziemi było tak samo naturalne jak dziś dla nas trzymanie ich w banku, i ponieważ na każdego żyjącego dziś człowieka przypada całe mnóstwo zmarłych, to i skarbów powinno przypadać całkiem sporo, ale... Skarb znajduje się albo przez przypadek, albo dzięki starannemu zebraniu i przeanalizowaniu rozmaitych informacji. Takich informacji nie mamy. Sami zobaczcie, co wiemy: jubiler schował swój skarb gdzieś nad Bugiem, może w okolicach Kostomłotów, ale te „okolice” mogą być bardzo rozległe, w dodatku trzeba brać pod uwagę oba brzegi rzeki, a do brzegów nie mamy dostępu - prawy to ziemia niczyja, lewy to już Polska... I same Kostomłoty też są po polskiej stronie... Za mało danych. Zresztą skrzyni szukał już syn jubilera i potem jeszcze ten z Kostomłotów, który zabrał cedułę... No i mamy teraz większe zmartwienia niż skarb. W każdym razie ja - Uljanka wstała i znów podeszła do stołu. - No, wypijmy jeszcze po kieliszku. Za spokój duszy trzeba pić trzy razy, a przecież po to się tu spotkaliśmy.

## Pierwsze spotkanie z Iwanem Mitryczem Kukalem

Następnego ranka marzyłam tylko o jednym: żeby się wreszcie wyspać. Spać. Wyciągnąć się na łóżku i spać, spać, spać. Dać wypocząć napiętym nerwom. Dać odetchnąć ciału. Ale gospodar-ka przypomniała o sobie już o świcie i, chcąc nie chcąc, musiałam wstać. Z jękiem. Kury wyleciały z kurnika jak głupie, gęsi szaleń-czo gęgały, kaczki kwakały, a króliki wyrażały milczący sprzeciw, ruszając nosami; kiedy jeszcze w półśnie otworzyłam chlewik, świnia wydała tak przenikliwy kwik, że bliska byłam ubicia jej na miejscu. Zabić... To słowo przywróciło mnie do rzeczywistości. W domu popełniono morderstwo.

Babcia nie żyje.

- Wszystko zasypane jabłkami - Uljanka przytасzczyła dwa wielkie kosze papierówek i wysypała w rogu werandy. - Cztery dni nikt nie zbierał, ziemia cała biała.

Zaczęłam siekać buraki, mieszać kaszę i gotować drobne ziemniaki.

- Coś się tak wcześniej zerwała? Ja najchętniej spałabym do południa. Ale skoro już wstałaś, trzeba było wypuścić kury i tak dalej.

- Nie myślałam, że tyle czasu zejdzie mi w sadzie. Chcesz kawy?

- Pewnie. Spać już i tak nie wrócę.  
- Potem musimy pozbierać jabłka. Szkoda, żeby zgniły. Do-  
bra, ja zrobię śniadanie, a ty idź się umyć, bo wyglądasz okropnie.  
I przynieś potem ze strychu stare prześcieradła, te, na których  
babcia suszyła jabłka - zawołała, kiedy szłam już do umywalki.

Umywalka, w której babcia myła ręce. Jej ławka. Korzenie  
drzew na ścieżkach, po których chodziła. „Zarosną moje czarne  
ścieżki” - mówiła, patrząc gdzieś przed siebie. Czy kiedykolwiek  
zrozumiem, po co człowiek wydeptuje swoje *czarne ścieżki*?

Zapachniało kawą. Zarnicka przywiozła z Brześcia nową pacz-  
kę.

A na strychu pachniało starością. Kurzem i pajęczyną. Po ką-  
tach serty łachów, tych, których babcia czemuś nie spaliła; wiel-  
kie krosna, kilka starych płaszczy, cieniutka teczka, po naszymu  
*kajeta*, z którą chodzili do szkoły pewnie w latach dwudziestych...  
Przeglądałam ten chłam i znów myślałam o babci. Była niezwy-  
kła, z charakterem, z tyloma talentami... Tacy ludzie zawsze naro-  
bią sobie wrogów. Co z tego, że dociągała już do setki i że żyła,  
nie wychylając nosa z Dobratycz... W Dobratyczach też krew nie  
woda... Tak, to ją chcieli zabić, ją, nie mnie. Boże, komu ja jestem  
potrzebna?! Albo, dokładniej rzecz ujmując, niepotrzebna?  
Śmiech na sali! Jasne, żyję głupio, ale to przecież nie powód. I  
tym bardziej nie mogło chodzić o Uljaninę. Mało, że nie ma wro-  
gów - każdy jej dobrze życzy. Wszyscy znajomi po prostu ją  
uwielbiają. Jest prawdziwym człowiekiem, człowiekiem z  
zasadami, człowiekiem-oparciem. Kamertonem, dzięki któremu  
można sprawdzić czystość każdej nuty. Nie, nigdy nie uwierzę, że  
to ją chcieli zniszczyć.

Zakurzona flaszka... W czasach, kiedy znalezienie butelki - po-  
dobnie jak papierka po cukierku - było wielkim szczęściem i prze-  
życiem, zawsze zabieraliśmy ją w pole. Była opleciona drutem i  
miała wygodną - również drucianą - rączkę. Zachował się nawet

korek, czyli mocno zwinięty kawał papieru. Wyciągnęłam go i rozwinęłam. Pożółkła kartka z brulionu, ledwie widoczny w półmroku rysunek. Podeszłam do okna. Mój? Uljany? Nie. Tak rysowali dorośli w średniowieczu: starannie oddane szczegóły, ale zachwiane proporcje; rysował pewnie dorosły, pewnie nawet zdolny, ale samouk, widać, że rzadko trzymał ołówek w dłoni... Rysunek przedstawiał chłopaka: krępego, z dużym nosem, w czapce. Kołnierzyk koszuli, guziki, zelówki na obcasach trzewików. Grube, silne ręce. Na odwrocie bardzo podobna postać. Przyjrzałam się uważniej: spłóviały podpis, kilkakrotnie powtórzone imię *Stepan*.

A niżej polskimi literami, ale po ukraińsku:

*Sonce nyzenko*

*Pryhod, serdenko*

*Tody pryjdziesz*

*Jak Laiku prozenezs.*

Pismo babci. I portrety Stepana. Lonicha, nasza dobratyczka agencja informacyjna plus archiwum, opowiedziała nam kiedyś historię miłości i zdrady. W głównych rolach występowały nasza wówczas jeszcze młodzietka babcia, równie młodzietka Lalka i rzeczony Stepan. Według Lonichy babcia i Stepan bardzo się kochali i planowali ślub, ale Lalka odbiła babci kawalera ze zwykłej ciekawości - ponoć był jej jedenastym chłopakiem. Potem szybko go rzuciła, a on próbował wrócić do swojej Makryńki, ale ta pogoniła go i wyszła za naszego dziadka Wasyla. Lalce nigdy nie wybaczyła. Co prawda, to prawda - odkąd pamiętam, zawsze się kłóciły, babcia i babcia Lalka... Babcia Lalka leży teraz częściowo sparaliżowana; w odróżnieniu od naszej babci nawet na starość zachowała urodę. Ma łagodne czarne oczy i zmarszczki, które Gogol nazwałby harmonijnymi. Ale za tą urodą kryje się charakter nie słabszy, niż u naszej wiedźmy.

- No i co jej powiesz? - wzruszyła ramionami Uljanka, kiedy

pokazałam jej znalezione na strychu portrety i zaproponowałam wizytę u Lalki. - *Czy to nia wite, baba Lialka, atruili naszu babu?* Romans wierszem w pięciu pieśniach z przytupem... Daj spokój.

- Z przytupem czy bez, ale Tolik dobrze mówi: od czegoś trzeba zacząć! Może uda się znaleźć punkt zaczepienia, cokolwiek! Mamy tak siedzieć z założonymi rękami? Chcę wiedzieć, kto i po co to zrobił! Poza tym jeszcze gdzieś może być trucizna! I jak jej nie znajdziemy, będzie nieciekawie...

- Dobra, pójdziemy, tylko najpierw zrobmy porządek z tymi jabłkami. Słuchaj, przecież Lalka leży sparaliżowana. To jakaś bzdura.

Z jabłkami poszło nie tak szybko, było ich od groma, a Uljanka oczywiście musiała każde starannie obejrzeć i ocenić. Potem znów karmiłyśmy zwierzęta, sprzątałyśmy chlew - niezła świnia z tej świni - i z wizytą wybrałyśmy się dopiero pod wieczór.

Domek Lalki stoi nie tak znów daleko od naszego, po drugiej stronie pagórka. Droga wiedzie przez gospodarstwo, które niedawno kupił od spadkobierców starego Dzianisa jakiś wenerolog. Teraz wyprawiają tutaj cuda-niewidy: obłożyli dom cegłą, nadbudowali piętro, dostawili łaźnię (jakżeby inaczej), a pośrodku podwórka wykopali basen, w dodatku z fontanną. Biegają dzieciaki, pachnie szaszłykami, stół aż się łamie, wiatr furkoce nad nim w kolorowej płachcie. Przeszliśmy wzdłuż płotu z siatki. Jędrne kobiety opalały się na leżakach, mężczyźni z tych, co to dobrze wiedzą, po co żyją, pili piwo. Na ceglanej ścianie domu wisiała donica z hitem sezonu - malinową surfinią.

Dom Lalki stoi dokładnie naprzeciwko. Komin w ruinie, ciekawe, jak palą w piecu? Na podwórku wala się sucha węzowa skóra, czarny drewniany kołowrót porasta piołunem przy studni. Stara Lalka i jej córka, również Lalka, właśnie jadły obiad - siedziały na przyzbie, a na spodeczku między nimi leżały krążki omaszczonej olejem cebuli i obok chleb. Przysmaki, które zabrałyśmy ze sobą jako pretekst całej wyprawy - obowiązkowa *kucia* ze stypy, trzeba zjeść za spokój duszy, a przy okazji jeszcze parę

smakołyków, tak, tak, babciu, wiemy, że nie mogliście przyjść - okazały się bardzo na miejscu.

Babcia Lalka przywitała nas serdecznie i uprzejmie, jak to zwykle ona. Pokłoniła się nam ze swojej przyzby i podziękowała, usadziła obok siebie i zaczęła wypytywać, ale szybko połapałam się, że lepiej zrejterować: obie Lalki były najzwyczajniej w świecie strasznie głodne. Głód towarzyszył im na co dzień, jak zresztą wszystkim p r a w d z i w y m dobratyńcykom, ale niepisany miejscowy kodeks nie pozwalał się do tego przyznawać, nie pozwalał jeść w obecności obcych.

Lalka Starsza panowała nad sobą całkiem nieźle, ale Lalka Młodsza, jak to wariatka, nie odrywała oczu od misek z kotletami i galaretą. Lalka Młodsza naprawdę jest wariatką. To moja rówieśniczka; zimą i latem snuje się po lesie od sosny do sosny. W chustce na głowie, z zaschniętymi plamami krwi na koszuli wystającej spod spódnicy. Twarz albo grubo nasmarowana burakiem, albo obficie posypana jaskraworóżowym, stareńkim pudrem z przedwojennych jeszcze zapasów Lalki Starszej. Ciągle nad czymś rozmyśla w wielkim skupieniu, ale kiedy ją o coś zapytać, odpowiada dwoma zdaniami: „W zeszłą niedzielę byliśmy w cerkwi. I w jeszcze zeszłą też”. Nie, coś tam oczywiście rozumie, pomaga matce w gospodarstwie: kopie i pielę ogród, karmi kury... Ale wszystko trzeba jej powiedzieć. Z własnej inicjatywy nie przyniesie nawet wiadra wody. A innych dzieci, poza tą *niebogą*, babcia Lalka już nie ma.

Uljanka ukradkiem szturchnęła mnie łokciem w brzuch, więc zaczęłam zbierać się do odwrotu, kiedy nagle na scenę wkroczyła nowa postać.

Drogi czarny samochód - zdaje się mercedes - podjechał niemal bezgłośnie. Szczęknęły tylne drzwi i na zakurzoną, spaloną bezlitosnym słońcem trawę podwórka Lalki opuściła się noga w idealnie czystym, lakierowanym bucie i lśniącej jedwabnej nogawce. Z auta wyszedł mężczyzna.



Ile przyszło mi potem przez niego przecierpieć! Pan Bóg pewnie nawet po śmierci usadzi nas gdzieś obok siebie.

Bardzo przystojny; zdecydowane, świadczące o sile i rozwadze rysy twarzy. Głowa dość płynnie przechodząca w szyję, ciało nieco zbyt przysadziste, chociaż widać, że waga pod kontrolą.

I właśnie ten mężczyzna odegrał może najważniejszą rolę w moim życiu. Miał smagłą twarz, jakby lekko opaloną gorącym wiatrem, i zaraz pomyślałam, że powietrze owiewa go inaczej niż wszystkich innych ludzi.

- Dzień dobry - przywitał się spokojnie.

- Zdrowia życzymy - nieco podejrzliwie odpowiedziała Uljanka.

- Na-azywam się Iwa-an Mitrycz - nieznajomy mówił oczywiście po rosyjsku; część samogłosek połykał, cześć lekko rozciągał. - A panie to pewnie Uljana i Ała, prawda? Mam do pań sprawę, właśnie od was wracam - machnął ręką w stronę naszego domu. - Dobrze, że się jednak spotykamy... No jak tam, babciu, namyśliliście się? - odwrócił się do Lalki.

- Ale gdzie tam, synku! Na co to moje myślenie. Stara już jestem, będę tu umierać.

- Oj, babciu, babciu, tłumaczyłem ci przecież! Co za człowiek, można gadać i gadać, a ta dalej swoje - znowu zwrócił się do nas. - Trudno z takimi rozmawiać - uśmiechnął się dobrotliwie. - Nie to, co z tamtymi. Porządni ludzie, mądrzy, od razu doszliśmy do porozumienia.

Wenerolog najwyraźniej odczytał gest Iwana Mitrycza jako zaproszenie i rącho podbiegł do płotu.

- Sprawa wygląda tak: chcę wykupić całą tę ziemię - Kukal zakreślił ręką szeroki krąg. - Razem z górką, źródłami i dąbrową. Wasze działki również. Dobrze zapłacę. Idź, idź, zaraz do was przyjdę - odesłał z powrotem wenerologa. - Zbuduję tu ośrodek wypoczynkowy. Ile mam wam zapłacić?

- Nic. Nasz dom nie jest na sprzedaż - powiedziała zdumiona Uljanka.

- A ty co na to? - zapytał tym razem mnie.
- Nie przechodziliśmy na „ty”.
- Powtarzam, dobrze zapłacę, zapytaj tych tam - znów wskazał dom z surfiniami na ścianie. - Sto tysięcy. No jak, stoi?

Lalka Młodsza nie wytrzymała, wyciągnęła z miski kotlet i wgrzyła się w tłuste mięso; zamknęła przy tym oczy; była teraz podobna do rośliny podlanej w największy upał.

- Zwariowałaś? - zapytała Uljana.
- Jestem człowiekiem interesu. Potrzebuję tej ziemi. Sto dzieśnięć. Tylko pomyśl, ile to pieniędzy... - zmierzył Uljanę wzrokiem - całe życie tyle nie zarobisz. Wyobraź sobie, co można za to kupić. To ogromny majątek, jeszcze dla dzieci zostanie.

Kukal mówił spokojnie, uprzejmie, chociaż per „ty”, ale Uljanka była bliska wybuchu.

- Moje dzieci, mój kłopot. Powiedziałam już, dom nie jest na sprzedaż.

- Słuchaj, ta stara całkiem straciła rozum, ale ty chyba potrafisz jeszcze liczyć? Po co się tak upierasz? Kupicie sobie o wiele lepszy dom w innym miejscu.

- Sam sobie kup w innym miejscu.

Kukal uniósł brew. Z samochodu wyszło dwu wysokich chłopaków, jak żywcem wziętych z filmów klasy B. Ale ich szef nadal mówił spokojnie. Potarł czoło gestem bardzo zmęczonego człowieka.

- Tylko pomyślcie. Powiedzmy, że tu zostaniecie... To taka przyjemność mieszkać pod płotem ośrodka? Urlopowicze, hałas, wiadomo... Składałam konkretną propozycję. Ośrodek będzie ogromny. Tam główny budynek, tu bar, strumień uregulujemy, machniemy pawilon w staroruskim stylu...

Kawałek za pagórkami stał dom ojca Tolika, Jowika. Stary Jowik dawno już umarł, Tolik mieszkał w Stradyczach, ale przyjeżdżał pracować w ogrodzie. Musiał usłyszeć trzaśnięcie drzwiami, bo wyrzwał z chlewu, który właśnie sprzątał, i ruszył ku nam jak stał, z widłami w rękach.

- No dobrze, umówmy się tak - podsumował Kukał - dam wam parę dni na decyzję, ale postarajcie się tego nie przeciągać, zależy mi na czasie. I nie zapominajcie, że za pieniądze można kupić wszystko, a z domem różne rzeczy mogą się wydarzyć... Stary jest, samo próchno, korniki go żrą, nie daj Boże pożar...

Powoli odwrócił się, po czym, nie patrząc już więcej w naszą stronę, wsiadł do mercedesa i odjechał. O wenerologu zapomniał.

- Co, znowu ten sukinsyn przylaźł dom kupować? - zapytał Tolik.

- Znasz go?

- Tak sobie. Widziałem, jak przyjechał do waszej babci i jak posłała go w diabły. Pamiętacie, opowiadałem na stypie? A potem jeszcze widziałem, jak przyjechał do Lalki - dzień dobry, babciu Lalko! - i słyszałem, jak udawała wariatkę...

- Co to za typ?

- Biznesmen. Gruba ryba. Kręci jakieś interesy w Brześciu, knajpy, miejsca na bazarze... Ale mówią, że zarabia głównie na narkotykach i na prostytutce. Wszyscy go tutaj znają. Król. A teraz uparł się, że kupi naszą ziemię.

- U ciebie też już był?

- Nie, naszej działki nie potrzebuje. Chce się budować tutaj, na pagórku, przy źródłach. Niby ośrodek wypoczynkowy, ale chłopaki w robocie mówili, że zwykły burdel.

- Co-o-oooo?

- Burdel. Kurwidół.

Zapadła cisza.

- A co na to milicja? Władze? - zapytałam niepewnie.

Tolik tylko wzruszył ramionami.

Lalka Młodsza wzięła z miski kawałek szynki.

- Wiesz - powiedziała Uljanka, kiedy wracałyśmy do domu - ten cały Iwan miał powód, żeby zabić babcię. Mogę sobie wyobrazić ich rozmowę. I coś mi się wydaje, że to typ bez skrupułów i sumienia.

- Teraz, jeśli dobrze rozumiem, ma powód, żeby zabić też nas. I nawzajem.

I nawzajem? No dobra, nie ma się co oszukiwać...

Na twarzy Iwana widniały tajemne znaki. Bywają twarze puste. Bywają twarze naznaczone ciężkimi wyrokami losu. A zdarzają się takie z tajemnymi znakami. Są najpiękniejsze ze wszystkich. Taką właśnie twarz miał Iwan. Twarz, postawę, pełne wyrazu oczy - zawsze oceniałam ludzi po wyglądzie. I mało kto z wyglądu i pierwszego wrażenia spodobał mi się tak jak Iwan. Oczywiście nie sprzedamy mu domu, ale dlaczego Uljana rozmawia z nim tak ostro?

W mężczyźnie z taką twarzą można się zakochać. Co więcej, można go kochać - myślałam (zapomniawszy jakoś, że jestem wierną żoną), idąc doliną obok siostry. Nie wierzę Tolikowi. Po prostu mu zazdrości.

Kiedy przyszyliśmy do domu, komórka Uljany aż skakała po kuchni, a do płotu właśnie podjeżdżał busik Lenki.

Po rozmowie Uljanka wróciła do pokoju zamyślona.

- Muszę jechać na jeden dzień do Mińska. Pilnie.  
- To jedź. Co za problem?  
- Mam was tak zostawić?  
- A co? - zainteresowała się Lenka. - Coś się tu u was dzieje?  
- Nic specjalnego - wzruszyłam ramionami. - Niech jedzie.  
- Dobra, musimy pogadać - Lenka rzuciła okiem na zegarek.  
- Mam tylko dziesięć minut. Przede wszystkim, Ałka, widziałas jakieś nowe niezidentyfikowane obiekty? Wiesz, śmierć albo inne kobity na biało?

- Słuchaj no, nie rób ze mnie wariatki! To nie były omamy! I nie byłam wtedy pijana, dopiero później sobie chlapnęłam. Widziałam jakąś mumię na granicy, przysięgam. A ty, Uljana, też daruj sobie takie komentarze.

- Co się tak wkurzasz? Opowiedziałam wszystko Lence, to cię pyta... Jaka wariatka, jakie komentarze? Zresztą przyłaził tu

już gość lepszy niż mumia - siostra odwróciła się do Zarnickiej. - Sama miałam duszę na ramieniu.

- Wył i dzwonił łańcuchami? - uniosła brwi Zarnicka.
- Prawie - i Uljanka opowiedziała o wizycie Iwana Mitrycza.
- Czyli to prawda - spochmurniała Lenka. - Słyszałam, że

Kukal chce gdzieś tutaj budować ośrodek rekreacyjny, widziałam nawet projekt... Szczerze mówiąc, wspominali nawet, że w Dobratyczach...

- Znasz go? Jego psy też leczysz?
- On nie ma zwierząt, ale w Brześciu wszyscy znają Kukala.
- Opowiadaj.

- A co tu opowiadać. Ma kasę. Ufundował nagrodę „Brześcianin roku”. Mieszka w willi na Wycóżkach. Różnie o nim mówią. Kiedyś na jakiejś imprezie słyszałam, jak niejaki Kula opowiadał w łaźni, że to naczelny miejscowy bandzior, w dodatku „niezorganizowany” - działa całkiem samowolnie.

- Jaki znów Kula?

- Kula, czyli Kulejew. Też niezły. I też bandyta, ale zorganizowany, z miejscowych struktur. Wtedy w łaźni wyłożył całą teorię: że niby zawsze, nawet w książęcych drużynach, byli ludzie mniej lub bardziej powiązani z władzą, ludzie, którzy pomagali wyjaśniać nieporozumienia finansowe między członkami społeczności... No więc Kula właśnie tym się zajmuje, czyli pracuje społecznie...

- Czyli co, chroni swoich?
- Tak.
- Ciebie też?

- Nie, ja jestem z innej bajki, ale nie w tym rzecz. Kula opowiadał, że Kukal całkiem zwariował, zrywa umowy, nie dotrzymuje słowa... Że podporządkował sobie - przez pobicia i nawet morderstwa - mafiosów, ściągających haracze na granicy i na drodze do Mińska, plus handlarzy narkotyków, no i zorganizował całą sieć dziupli pod miastem. Właśnie na tym zbija majątek, a nie na

knajpach i handlu. Kula mamrotał coś nawet, że to Kukal stał za zabójstwem Radyjonawa. Aha, pewnie nie wiecie. Zeszłej wiosny mieliśmy tu koszmarną historię: naczelnika brzeskiej milicji Radyjonawa i jego małego synka znaleziono martwych w Lesie Lnianskim. Zabójców oczywiście nie znaleziono, ale gazety jakoś przestały pisać, że celnicy znów przechwycili partię narkotyków, a milicja rozpracowała szajkę zajmującą się dziecięcą pornografią...

Milczałyśmy. Szumiały sosny. O czym tu jeszcze mówić. Zło wirowało wokół nas, z Kukalem czy bez, wirowało, tańczyło i z przytupem sunęło w stronę naszej ziemi, beztrosko nazywanej przez Kukala „gruntami”. Pewnie ustąpiłabym mu pola, ale obok mnie na drodze tego tańca, w progu sali balowej stała siostra i dobrze wiedziałam, że kto jak kto, ale ona sobie nie odpuści. A skoro tak, to i ja nie mam wyjścia.

- Nie, Kukal nie dosypywałby niczego do kawy - pokręciła głową Lenka, kiedy Uljanka zaproponowała najprostsze rozwiązanie zagadki. - Oczywiście, jest do tego zdolny, ale załatwiłby sprawę tradycyjnie, wysłał tu kogoś ze swoich ochroniarzy z nożem czy giwerą i tyle. Szybko i pewnie. Lekarstwa dosypał ktoś znajomy, kto wiedział, na co chorujecie...

- Ale po co? Po jaką cholere?

- To już pytanie do was, dziewczyny, nie do mnie.

- Słuchaj, a dlaczego ten cały Kukal tak się przyczepił akurat do Dobratycz? Musi się budować koniecznie u nas? - zapytała Uljana.

- A skąd mam wiedzieć? Bogaci tak mają: kaprys i tyle. Krok od granicy, blisko szosy, dobre miejsce na klientów - tiorowców, turystów... Albo znalazł tu jakieś złoża, na przykład ropy. I chce jak najszybciej wykupić ziemię, póki nikt się nie połapał...

## Nic to!

Zamyślona wlokłam się nogą za nogą do ogrodu. W rękach motyka i widły, w głowie mocne postanowienie doprowadzenia do porządku grządki z truskawkami. Byłam to winna babci. Jak dla mnie truskawki mogły sobie choćby spłonąć w tej piekielnej suszy, i to im szybciej, tym lepiej... Rano Uljanka pojechała do Mińska. Pochłonięta pakowaniem i karmieniem przeklętej świni (nie wiem, na cholerę mi ta świnią, i tak nie będę w stanie nawet wziąć do ust kotletów z jej tłustej doczesnej powłoki, tak rezolutnie łypiącej na mnie świńskim oczkiem!) na jakiś czas zapomniałam o dręczących mnie od kilku dni pytaniach, ale teraz, we względnie wolnej chwili, kiedy szłam do ogrodu, najróżniejsze przypuszczenia wypłynęły na powierzchnię świadomości jak bąble bagiennego gazu z czarnego błota. Przeanalizowałam wszystko raz jeszcze i stwierdziłam, że najwyższa pora wpaść w panikę i pomyśleć o obronie.

Nagle zza krzaka wyskoczyła na drogę kobieta.

Wpaść w panikę zdążyłam. Pomyśleć o obronie już nie.

- Aksanka?! Ale mnie wystraszyłaś! - chciałam westchnąć z ulgą, ale westchnienie ugrzęzło mi w gardle.

Aksanka wyglądała przerażająco. Twarz jak maska białej śmierci. O ile na początku podskoczyłam po prostu z zaskoczenia, o tyle teraz zbiło mnie z nóg to, co zobaczyłam w jej oczach.

Ostatni raz widziałyśmy się na pogrzebie babci, umówiły na spotkanie w najbliższych dniach i rozstały w jak najlepszej zgodzie. Teraz Aksanka była rozjuszona, jakbym przed chwilą zrobiła jej jakąś wielką krzywdę, zniszczyła coś dla niej ważnego, zdradziła, zabiła jej dziecko... Pełne usta aż wykrzywiły się ze złości, a wielkie oczy zwięziły w szparki.

- Ty suko! - wrzasnęła i mocno pchnęła mnie w pierś.

Upadłam na wznak, wypuszczając z rąk cały ogrodowy inwentarz.

Aksanka złapała moją motykę, zamachnęła się zza ramienia i uderzyła. Właśnie wstawałam, ale nie zdążyłam zrobić uniku - ostrze wbiło mi się w plecy, pod łopatkę. Była to stara motyka babci, naostrzona jak dobry nóż, robiona na zamówienie u kowala zaraz po wojnie, z lekkim, olchowym, polakierowanym przez czas styliskiem.

Z bólu, szoku i zaskoczenia znów upadłam.

- Aksanka, o co chodzi!?

- Zabiję! - Aksanka złapała widły.

Mówią, że w chwilach zagrożenia życia w ludziach odzywa się ogromna siła i inteligencja i że dzięki temu czasem udaje im się uratować. Możliwe. Mnie to jakoś nie spotkało. Mam bardzo słabą wolę, nieraz się o tym przekonałam. Tak jak teraz. Zamiast krzyczeć, uciekać, robić cokolwiek, wpatrywałam się szeroko, bardzo szeroko otwartymi oczami w Aksankę i wiszące nade mną widły. Nie mogłam się nawet poruszyć.

Ale widać nie było mi sądzone zginąć na drodze z rąk przyjaciółki z dzieciństwa.

Nagle mięśnie jej twarzy rozluźniły się i dotarło do mnie, że przeżyję. Z całej siły wbiła widły w piasek tuż obok mojej głowy, fuknęła nienawistnie: „Żebyś tak zdechła, przekłeta!” i znikła za krzakiem jakby nigdy nic.

Jakoś udało mi się wyrwać motykę spod łopatki. Krew spływała po stalowym ostrzu jak gęsta farba, gwasz.

Zemdlałam.



Dalej pamiętam wybiórczo.

Dobrze pamiętam ziarenka piasku - malutkie białe, złote i szare wydmy tuż przed oczami. Zakłopotana mrówka kręci wąsikami, coś tam sobie kombinując. Czerwona plama na piasku pod ramieniem.

Lalka Młodsza. Z zaciśniętymi ustami, oblepiona różowym pudrem, policzki wymazane burakiem, siedzi obok mnie, wyciąga opalone do kolan i mleczne powyżej nogi, rysuje coś palcem na czerwonej plamie krwi i przygląda mi się z ciekawością.

- Lalka, kochana, zawołaj szybko kogoś - ledwie otwieram zlepięte wargi. - Idź, powiedz mamie.

- W zeszłą niedzielę byliśmy w cerkwi - mówi Lalka. - I w jeszcze zeszłą też.

Siedziała obok mnie, przesypując piasek z ręki do ręki... Ładne, delikatne dłonie...

Potem pamiętam, jak kołysała się nade mną twarz Jaraszychy, jakby w niebieskiej poświacie - twarz brązowa od słońca, w ramie białej chustki, na tle wysokiego nieba:

- ...spokojnie, Ałka! To nic, to nic. Tylko nie zamykaj oczu! - ale chyba zamknęłam.

Pamiętam pretensje lekarki pogotowia:

- Jak tak można? Po co wrywać motykę z rany? Trzeba było nie ruszać - burczała, sprawnie bandażując mi plecy.

W szpitalu zaraz przyleciała do mnie Zarnicka.

- Wiesz co, to już przesada! - krzyknęła od progu. - Siedzę sobie spokojnie jak ta mysz pod miotłą, a tu nagle dzwonią, że leżysz w szpitalu z jakąś raną ciętą!

- Prosiłam, żeby po ciebie zadzwonili - wyszeptalam.

Od szczodłą ręką zaordynowanych lekarstw drętwiał mi język i strasznie chciało się spać.

- Tylko się nie martw o świnię i resztę, ta sąsiadka, która cię znalazła, Wiera Mikołajewna, powiedziała, że ugotuje żarcie. Ale co się stało, na Boga? Kto cię tak urządził?!

Opowiedziałam pokrótce o napadzie Aksanki - Zarnicka kojarzyła ją zresztą, spotkały się parę razy - i podkreśliłam, że nic z tego nie rozumiem, kompletne wariactwo, więc proszę o zachowanie na razie całej sprawy w największej tajemnicy.

- Wariactwo!? Przecież ona mogła cię zabić! - Lenka zdecydowanie obciągnęła swój czerwony zakiet. - Dobra, zrobimy tak. Róbcie tam sobie, co chcecie, ale jutro, kiedy cię wypiszą - lekarz mówi, że już jutro, bo to głównie szok z bólu, wyprowadzili cię z niego - no więc jutro poproszę Chwiedźkę, żeby zawiózł ci pitbu-le. Cicho! Cztery sztuki. Przywiąże je na dworzec, będę przynajmniej spokojna, że nikt się już więcej nie będzie kręcić koło domu. Przy okazji zaopiekujesz się nimi, kiedy mnie nie będzie. Jutro jedziemy na urlop do Polski, do Kostomłotów. I wiesz co? - raptem naszła ją genialna myśl. - Zabierzemy ze sobą dzieci Uljanki!

Ledwie wyszłam z szoku i o mało nie wpadłam w kolejny.

- Chyba oszalałaś? Całą wycieczkę chcesz tam wlec ze sobą?

- No i co z tego? Kazik i Lina to już nie niemowlaki, a moje kobyłki prawie dorosłe panny. Na pewno będą się razem dobrze bawić. Zaprosił nas tamtejszy ksiądz, zrobił w Kostomłotach mały skansen: wycieczki po okolicy, cerkiew zbudowana zaraz po przyjęciu unii, stare chałupy pod strzechą... Ludzie od nas z lecznicy już tam byli, opowiadają, że super. Jest co oglądać. I można wędkować nad rzeką. A u nas, jak to mówi mój mąż, niby miasto nad Bugiem, tylko jakoś nigdy tego Bugu nie widzimy... Dobra, dzwoń do Uljany, niech leci do notariusza po papiery na wyjazd. Dzieciakom też się coś od życia należy. Uljana całkiem zakręcona, ty znowu wpakowałaś się w jakąś podejrzaną historię, a za granicą przynajmniej będzie bezpiecznie.

Uljana planowała przywieźć Kazika i Linę z Mińska do Dobratycz, ale po ostatnich wydarzeniach chyba nie było to najlepsze rozwiązanie. Propozycja Zarnickiej wyglądała kusząco.

Lenka jest chrześną Liny i bardzo ją lubi. Zresztą mimo swoich czerwonych zakietów i obracania milionami lubi wszystko, co żyje (albo i nie żyje). Córki, „kobyłki”, też się w nią wdały. Dzieci Uljany miały paszporty, a pozwolenie na wyjazd Uljana z Jurka załatwili im na początku lata - krótko mówiąc, przyznałam, że pomysł jest niezły, pogadałam z siostrą i Lena pognała organizować wyjazd. Obiecała, że zajrzy za jakieś dwie godziny.

Ale zaraz, dlaczego Lenka powiedziała, że Uljana jest całkiem zakręcona? Nie zdążyłam przemyśleć sprawy, bo przyszedł kolejny gość.

Wszedł bez pukania, przywitał się, nie czekając na zaproszenie, usiadł koło łóżka i spojrzał na mnie badawczo. Ocknęłam się z drzemki.

- Ała Anatoljewna Babyłowa? Mieliśmy już przyjemność się poznać. Nazywam się Andrej Iljicz Rudkowski i jestem, jak pewnie pani pamięta, posterunkowym z komendy w Dobratyczach.

No tak, chłopak, który niedawno przyszedł do nas napić się wody.

- Proszę mi opowiedzieć, co się stało.

Szczera, młoda, właściwie chłopięca jeszcze twarz, modnie ostrzyżone ciemne włosy. Otworzył teczkę i czeka. Lekko mruży oczy.

- Skąd pan wie, że coś się stało? Kto pana wezwał?

- Dostałem informację ze szpitala. Szpital musi zawiadamiać miejscową milicję, kiedy istnieje podejrzenie, że przyczyną urazu był napad lub próba odebrania życia albo zdrowia.

Sympatyczny. Ani śladu tak typowego dla większości milicjantów olewactwa i fałszu. Ale czy mogłam opowiedzieć mu o Aksance? Przed oczami przepływały mi sceny z dalekiej przeszłości.

...Mamy z Aksanką po dziewięć lat, idziemy w nocy na cmentarz. Sztywnie ze strachu czekamy, aż nad świeżym grobem pojawi

się *fosfor* - największe straszycło naszego dzieciństwa, pozagrobowy potwór, w którego istnienie nigdy nie wątpiliśmy. Założyliśmy się z chłopakami z naszej klasy i teraz musimy przesiedzieć na cmentarzu całą noc. Fosfor powinien wyjść z grobu trzeciego dnia po pogrzebie sąsiada ze wsi.

I naprawdę go zobaczyliśmy! Z ziemi uniósł się biały słup, zawirował na wietrze i zaczął sunąć w naszą stronę. Rzuciiliśmy się do ucieczki, a zza płotu dobiegły nas piski: chłopcy mieli tam na nas czekać. Teraz zwiewali na złamanie karku i tylko Siarozyk Basacki - ze wzburzonymi włosami i wielkimi piegami na bladej twarzy - przybiegł nam na pomoc. Potem na apelu urządzono cały sąd za zachowanie niegodne socjalistycznej młodzieży, a jeszcze potem Aksanka wyszła za Siarozyka...

...Tym razem mamy dziesięć lat i wracamy ze szkoły. Zamieć. Zamiast trzymać się torów kolejowych, postanawiamy iść na skróty przez las i naturalnie gubimy drogę. Wpadłam wtedy w panikę i gdyby nie Aksanka, pewnie bym zamarzła. Ciągnęła mnie krok po kroku, nie pozwoliła zasnąć. Całą noc krążyliśmy wokół wioski, aż w końcu nas znaleźli. Od tego czasu obie mamy odmrożone palce, zawsze bolą na mrozie.

...Pole po horyzont. Zgięte wpół okopujemy z Aksanka buraki. Rozmawiamy. Słońce przypieka nam plecy, przewiązane sznurkami strojów kąpielowych. Przed nami całe życie, bezkresne jak pole, po horyzont. Niekończące się rzędy buraków i niekończące się rozmowy. Mamy piętnaście lat.

Teraz horyzont jest o krok. Aksanka ma troje dzieci i dwoje wnuków.

Nie, sympatyczny chłopcze, nic ci nie opowiem. Nic z tego nie zrozumiesz, nikomu nie pomożesz. Sama nic nie rozumiem.

- Nie ma co opowiadać. Ktoś wyskoczył zza krzaka, pochnął mnie i uderzył. Straciłam przytomność, nic więcej nie pamiętam. Ocknęłam się dopiero w szpitalu.

- Ale miejsce, w które panią zraniono, wskazuje, że musiała pani widzieć tego, kto napadł.

Spróbowałam wzruszyć ramionami i skrzywiłam się z bólu.

- Nie widziałam, nic nie pamiętam.

- Proszę zrozumieć, że jeśli nikogo pani nie widziała - powiedział młody milicjant z naciskiem, patrząc mi prosto w oczy - będzie nam bardzo trudno znaleźć sprawcę. Może nawet wcale się nie uda.

Milczałam.

- No dobrze - rzucił zniechęcony. - Oczywiście ma pani świadomość, czym grozi składanie fałszywych zeznań?

- Mam. Pan wybaczy.

Chłopak spojrzał na mnie pogardliwie. Posiedział jeszcze chwilę i zatrzasnął teczkę.

- No nic, życzę zdrowia - i poszedł.

## Dawno już nikt tu nie śpiewał

Następnego dnia rano najechała mnie cała banda. Zarnicka z mężem Ależką-gerontofilem, dwie dorosłe córki Zarnickiej, w tym jedna z rocznym synkiem, Lina z Kazikiem i nieodłączni Łatek z Fafikiem, których dzięki układom ich pani bez kłopotów wpuszczono na oddział urazowy. Psy czekały, ludzie ciągle gadali. Czysty cyrk.

- Wpadliśmy tylko na chwilkę - oświadczyła Lenka. - Musimy zaraz zasuwac na przejście graniczne, jesteśmy tam umówieni z chłopakami ze zmiany, jak nie zdążymy, przyjdzie ze trzy dni sterczeć w kolejce. Słuchaj, w ostatniej chwili przypomniałam sobie, że trzeba ci przywieźć jakieś ciuchy, przecież nie będziesz wracała z Brześcia w tych szmatach, w których cię tu przywieźli. Weź mój żakiet. Za godzinę przyjedzie Chwiedźka i podrzuci cię do Dobratycz. Razem z psami. Dobra, dzieciaki, lecimy. Wieczorem pójdziemy nad brzeg Bugu i damy ci jakiś znak, tak że nasłuchuj. Wymyśliłam, że codziennie wieczorem będziemy dawać znaki, żebyś się o nas nie martwiła. I nie rób żadnych głupstw, jasne?! - zakończyła.

Kiedy godzinę później wyszłam na schody przed szpitalem, palący dla zabicia czasu pod osłoną pick-upa Chwiedźka nie poznał mnie w pierwszej chwili. Potem gwizdnął:

- No, no! Jak na pacjentkę urazówki wyglądasz całkiem nieźle. Kobieta-wamp. Dobrze ci w czerwonym.

OK, powiem od razu: czerwony żakiet Lenki wprawdzie nie zmienił mnie w wampa, ale za to wpakował w kolejne ciekawe historie.

Na razie jednak nic się nie działo. Spokojnie dojechaliśmy do Dobratycz. W domu zero niespodzianek. Uff.

Stadko spłoszonych kur schowało się pod krzakiem bzu, kiedy Chwiedźka wypuścił psy z auta. Cztery rasowe, białe pitbule przypominały eremitów po przejściach. Dobrze wiedziały, czego spodziewać się po ludziach i po świecie. Duma, Dama, Duch i Drań. Szczęki i małe czerwone oczka sugerowały, że lepiej nie wchodzić tym słodziakom w drogę. Siedziały spokojnie na ganku i rozglądały się po okolicy, a Chwiedźka rozciągał druty wokół domu.

- Zaraz pani da wam jeść - Chwiedźka mówił do nich tym samym tonem co do mnie. - Pomieszkacie sobie tutaj trochę, tak? Pilnujcie pani - Chwiedźka walnął się młotkiem w palec i cicho jęknął. Psy delikatnie odwróciły pyski.

- Nakarm je jak najszybciej - instruował Chwiedźka, wymachując obolałym palcem. - I nie bój się, noż kurcze! Nic ci nie zrobią. Nie czepiają się porządných ludzi. Mądre stworzenia. Każdego przejrzą na wskroś, znają się na psychologii. Zarnicka tak je wychowała.

Bez przekonania wzięłam z rąk Chwiedźki cztery miski z mięsem i podsunęłam pod różowe nosy. Tylko spokojnie...

Tymczasem Chwiedźka rozstawił przy rogach domu coś w rodzaju przenośnych budek strażniczych.

- Gotowe! Zachowuj się naturalnie. Nie próbuj ich robić w konia, bo akurat za to mogą dziabnąć, są wyczulone na kłamstwo. Jakby co, skonsultuj sprawę z nimi, a potem ewentualnie dzwoń do mnie. Cześć! - i zielony pick-up Chwiedźki zniknął za drzewami.

- Dzień dobry, pieski! - powiedziałam, rozplątując smycze, żeby odprowadzić towarzystwo na posterunek. - Powiem wam

prawdę, całą prawdę i tylko prawdę: nie wiem, kogo się teraz bardziej boję - tych, przed którymi macie mnie bronić, czy was. Przez paru waszych kolegów całe życie bałam się psów. Sierściuchy z Dobratycz nie były dobre w psychologii. A może były i wiedziały, jaka zakłamana istota ze mnie wyrośnie, jak zresztą z każdego dzieciaka. I kiedy Muchtar zrywał się z łańcucha, wszyscy chowaliśmy się, gdzie kto mógł. Dobra, wyjaśnijmy to sobie od razu: jak się odnosicie do alkoholików? Nie będę ściemniała, mam ochotę na szklaneczkę czegoś mocniejszego - co wy na to?

Dama, którą właśnie przywiązywałam, podniosła ciężki pysk i krótko szczeknęła.

Psy z zaciekawieniem patrzyły, jak karmię swoją wiejską trzódkę (szczególnie podnieciła je świnia - kiedy otworzyłam chlew, zadzwoniły łańcuchami jak potępione), nosiłam wodę, schodziłam do piwnicy. Wreszcie z solidnym talerzem jajecznicy na skwarkach i szklanką whisky usiadłam przy stole na dworze.

Mówią, że żeby przewyciężyć pociąg do alkoholu, trzeba przede wszystkim uświadomić sobie, że jest się alkoholikiem. Jakoś mnie to nie kręci. Bez alkoholu po prostu nie poradziłabym sobie w takie dni. Jadłam obiad, popijałam whisky i czułam, jak powoli się rozluźniam, jak schodzi ze mnie napięcie. Nad głową szumiały sosny. Porywy i powiewy wiatru, wirowanie miliardów molekuł w zielonych czapach igliwia, wokół potężnych miedzianych pni - w największy upał wilgotny, mokry, zawsze na „sz”, wieczny szum i szelest, arytmiczny oddech czasu. Byłam sama. Nagle pomyślałam, że już bardzo dawno nie byłam sama, sama ze sobą, pod sosnami. Poczucie samotności - jak kiedyś, dawno temu, poczucie młodości - znienacka wypłynęło z mojego ciemnego wnętrza i napełniło mnie całą. To było jak powrót do rajy, do błotnistego rajy odwiecznej samotności. Na czarnej, spróchniałej ławce, ławce niepostrzeżenie minionych lat, siedziała już nie córka, nie żona, nie zrozpaczona matka, nie ofiara, nie klientka, nie obywatelka i nawet nie amatorka absyntu - siedziałam po prostu



ja: głowa-ręce-nogi, i biło moje serce, w pajęczynie żył płynęła krew i może nawet gdzieś tam, w czerwonym mroku ciała, tała się dusza, a tuż obok nieustannie i niepowstrzymanie odbywał się odwieczny proces przemiany materii... Nie chcę o niczym myśleć, ani o śmierci babci, ani o Iwanie Mitryczu, ani o Aksance. Cholera z tym wszystkim. Mam dosyć.

Niespiesznie obeszłam dom dookoła, dałam psom po skwarce i wróciłam na ławkę. I wtedy usłyszałam zza drzew, jak ktoś dopiewuje pieśń, która gdzieś we mnie brzmiała:

*Tiepierja znaju, jak buwaje w osieni...*

*Ja czekaw. Może, czuw, a może ni...*

Dwa bardzo niskie, mocne głosy. Nie, nie zdawało mi się. Psy uniosły łby, kury przystanęły.

Dawno już nikt tu tak nie śpiewał. Wielogłosowe chóry, które w dzieciństwie słyszałam każdego wieczoru przy każdej chacie, kiedy słońce zachodziło za Bug, a ludzie wychodzili na ganek pożegnać śpiewem kończący się znojny dzień, wiatry historii wywiały już stąd za siedem gór i rzek. Ostatni raz słyszałam taką pieśń dwa lata temu, kiedy Jaraszycha wyprawiała urodziny: rosyjska część jej rodziny wróciła do Brześcia wieczornym pociągami, niebo poczerwieniało na zachodzie i zszarzało na wschodzie, i ci, którzy zostali, zaśpiewali - na kilka głosów, jak kiedyś, dawno, dawno temu. Pierwszy głos ciągnęły babcia, Lonicha i Jaraszycha. Jaraszycha wbiła wzrok w ziemię, a babcia gdzieś w chmury. Nie widziała ich, cała zmieniła się w słuch i w pamięć... Wtedy śpiewała chyba ostatni raz. Tak, ostatni. Miała dziewięćdziesiąt pięć lat i wszelkie uczucia chyba już całkiem w niej wyschły... Ja sama nie śpiewałam nigdy, jeśli nie liczyć lekcji muzyki w szkole.

Dzisiaj pieśń znów dolatywała od strony domu Jaraszychy. Jednym haustem dopiłam whisky i poszłam rozejrzeć się w sytuacji.

Dwaj przystojni chłopcy (przypakowani, ogolone głowy z *oseledcami*, szerokie chude twarze, luźne dzinsy i rozciągnięte koszulki bez rękawów, łańcuchy zwisające po brzuch) stali pośrodku podwórka plecami do siebie i wyśpiewywali rulady, od których trzepotały liście winorośli nad ich głowami. Na płocie, o który się oparłam, pobrzękiwały garnki i słoje.

Jaraszycha przemknęła się boczkim, żeby nie wpaść w kadr - trzeci chłopak filmował całą scenę.

- Dzień dobry! Kurka ci okulała, widziałaś?

- Widziałam, babciu. Dziękuję, że wezwałaś pogotowie... Gdyby nie ty, pewnie już byłoby po mnie... I że zajęłaś się gospodarstwem... Odwdzięczę ci się...

- Chodź na podwórko i siadaj, posłuchaj, jak chłopcy śpiewają! Już ty mi się odwdzięczysz... Może jeszcze zapłacisz?

Jaraszycha znów dokąś podreptała. Dobrze, że nie wypytuje, co się właściwie stało.

Pieśń ucichła. Podszedł do mnie Michaś.

- Cześć! Jak się masz?

Coś tam wymamrotałam.

- To moi przyjaciele, zespół „i”, z Łucka. Przyjechali do Brześcia na festiwal współczesnej pieśni, jakbyś nie wiedziała.

- Pięknie śpiewacie - powiedziałam. - Nagrodę macie jak w banku.

- Ała Babyłowa - przedstawił mnie Michaś.

- *Ni, pani Ała, festywal wże skinczywsia* - powiedział jeden z chłopaków, kiedy ściszałam jego silną dłoń. - *W nas - przyz hliadackich sympatij. A piersze misce - w bilorusky... Do słowa, prodiuser Anton Babyłow - wasz czołowik? Ot joho protieże jakraz i zajniała piersze misce.*

Patrzyłam na Ukrainca i nie odpowiadałam. Anton został producentem? Coś takiego. Ale przecież nie wypada powiedzieć, że nie wiem, co porabia mój ukochany mąż. Zrobiłam mądrą minę i pokiwałam głową.

- *My domowyłysia z panom Antonom pro hastroli w Mińsku. Wielmy pryjemnyj i diłowyj w was czołowik. A tiepier ot pryichały do pana Ołeksandra, chozczemo, szczob daw nam dlia pisni swoho tekstu. Wjoho wirszach - dusza ciei ziemi...*

Chłopak wziął z ławki kartkę i zaśpiewał niskim, głębokim głosem:

*Szelepaje witer, szczoś szepcze - nie czuty,  
Pid boky łuskocze zamierłu kałynu...  
Zżowtiłoho lystia letiat' paraszuty  
Szczebecze, jak płacze, beczasna ptaszyna...  
  
A w oczach stoit' beznadijnist' porożnia,  
Nudoju mowczannia zatruszuju duszu,  
I mierwi dumok daty rady nie možna  
Bo szarpaje witer, i świszczcze, i suszyt'...*

## *My, Białorusy, dzieci swabody*

Miszyka wyraźnie korciło, żeby zapytać o mój wypadek, ale przy chłopcach było mu niezręcznie i dzięki temu po chwili udało mi się wymknąć do domu bez krępujących wyjaśnień.

A więc Anton był w Brześciu i nawet do mnie nie zajrzał. Jak mam to rozumieć?

O siódmej poszłam nad granicę. Już po chwili zza krzaków, zza Bugu doleciały dźwięki akordeonu i niewidzialny chór gromko i zgodnie zaśpiewał:

*My, Białorusy, dzieci swabody,  
Nas Tarasienka wiadzie u pachod,  
Sława i ho-o-ordaśc nasza] krai-i-ny,  
Ty nas da szczaścia wiadzi upiarod!*

Wrzasnęłam „Brawo!” i zaczęłam z całej siły walić kijem w żelazną miskę. Chór był liczny, Zara wciągnęła do akcji chyba wszystkich białoruskich gości pensjonatu. A może i nie tylko białoruskich, bo gdzieś tam pobrzmiwał polski akcent. Dali znak hymnem. Oczywiście nikt nie pamiętał jego głupawych słów, śpiewali po swojemu. Bębnienie w miskę przyjęli burzliwymi oklaskami. Łączność została nawiązana.

- *Wirysz, Alko, a szo to buło?* - wychynęła zza krzaków zaintrygowana Lonicha.

- Festiwal pieśni współczesnej!

Wieczór był miękki jak jedwabna chustka. Wyobraziłam sobie, jak Lenka z dziećmi wraca brzegiem Bugu do domu, wyobraziłam sobie polską kolację, do której za chwilę zasiądą - flaki, szare pasztety z podrobów, surówka z pora, ciasto, na stole świeca i może ktoś zagra na skrzypcach... A może ksiądz, gospodarz skansenu, „nasz”, który jakimś cudem uchował się w Kostomłotach po Akcji Wisła, postawi na stole ogórki, kwas, polędwicę, ziemniaki z mięsem i pierogi, i oczywiście ktoś zagra na skrzypcach...

*Oj, des' hraje, des' hraje,  
Skrypka wyhrawaje...*

A ja mam dzisiaj na kolację whisky. I miedziane pnie sosen dookoła. I czerwone promienie słońca. Za to nie mam kwasu. Po śmierci babci nikt nie robi już kwasu, kwaśnego kwasu z chleba, zaprawionego cebulą. Taki kwas smakuje o niebo lepiej niż alkohol, ale niestety nigdy nie wyszedł mi jak trzeba. Oczywiście mogę wrzucić do trzylitrowego słoja pokrojony na kawałki chleb i zalać wodą, ale od kiedy babcia umarła, nie ma już kto doprawić go cierpką goryczą samotnych wilczych zim ani słodem chłodnych i jasnych wiosennych dni, ani zapachem jałowcowego dymu, ani wanilią starej, bardzo starej melodii, rozlewającej się kiedyś nad wielką, ciemną rzeką... Nie mam już takich przypraw.

Rozszepkana cisza letniego wieczoru wtulała się w las. Coś uderzyło mnie w plecy i wyrwało z zadumy. Tak bardzo chciałam do babci, że czym prędzej zamknęłam dom i niemal biegiem pomknęłam na cmentarz. Lasem to raptem dwadzieścia minut drogi.

Wieczorami na leśnym cmentarzu nie spotyka się ludzi. Jest pusto. Tylko starzy mieszkańcy wioski spoglądali na mnie z owalnych medalionów na pomnikach. Kobiety w chustkach, zmieszani mężczyźni bez czapek... I szum sosen nad grobami.

Nie było się kogo wstydzić. Upadłam na świeży grób, objęłam go ramionami i zawylałam. Płakałam tak, jak zabroniłam sobie

plakać na pogrzebie. Piasek koło mojej twarzy szybko zrobił się mokry, a pod brzuchem rozsypał na boki. Po jakimś czasie poczułam, że ktoś na mnie patrzy. Za płotem stało dwu młodziutkich pograniczników. Cmentarz leży w lesie przy samych drutach, grób babci jest pierwszy z brzegu. Pocułam złość.

- I co się tak gapicie? Darmowe przedstawienie? Koncert dla Białorusi? Wynocha pilnować granicy, bo szpiegów nawpuszczacie! - warknęłam i chłopcy z kałasznikowami i bagnetami posłusznie ruszyli wykonywać swój zaszczytny obowiązek i niezbywalne prawo.

Usiadłam i otarłam łzy. Poprawiłam piasek na grobie. Wprawdzie nie zrobiło mi się lżej, ale czasem dobrze się tak wypłakać, żeby mieć siłę żyć dalej.

I wówczas skądś z bliska dobiegł znajomy głos dzwonka przy starym rowerze. Lonicha? Dzwonek ucichł.

Tak, Lonicha. Nie miałam ochoty na spotkanie, więc dałam nura za wieńce. Jej też zresztą było nie do pogawędek. Zostawiła rower przy bramie, czujnie rozglądając się na boki, podeszła do drutów rozciągniętych wzdłuż pasa granicznego i przygarbiona bardziej niż zazwyczaj chyłkiem zaczęła skradać się w stronę grobowca.

Na naszym cmentarzu jest stara kapliczka i grobowiec. Nie wiadomo, kto je zbudował. Może jakiś tutejszy magnat. Swego czasu, mimo ostrych zakazów dorosłych, dokładnie zbadaliśmy te obiekty. W kapliczce znaleźliśmy tylko wypłowiałą Matkę Boską, a w niewielkim, na wpół zapadniętym w ziemię grobowcu w ogóle nic poza kurzem i pajęczynami. Jeden róg budowli całkiem się rozsypał, a z klepiska wyłaziły korzenie drzew. Przypominały żmije, co przydawało staremu grobowcowi tajemniczości.

Chuda postać Lonichy mignęła między drzewami. Wytrzeszczyłam oczy ze zdumienia: moja szanowna sąsiadka, całkiem jak ja czterdzieści lat temu, przelazła przez maleńkie okno grobowca!

Sucha, brązowa ręka jeszcze moment trzymała kamienny parapet, potem coś szcęknęło i nastąpiła cisza.

Sporym wysiłkiem woli zamknęłam usta i delikatnie wstawiłam szczękę na miejsce. O co chodzi?! Po co Lonicha prawie w nocy włazi do grobowca? I w dodatku potajemnie, żeby nikt nie zauważył?

Nagle panująca na cmentarzu wieczorna cisza wydała mi się złowroga. Zza pomników powoli wylewał się szary mrok, z łap świerków osypywał drobnutki, srebrzysty brokat czasu... Gdzieś daleko zawył alarm. Rozpaczliwie, na jednej nucie. I wtedy - jak wówczas nocą w ogrodzie - zobaczyłam za drutami granicy potężną białą postać. Płynęła nad ziemią, wiatr rozwiewał biały całun, a w miejscu twarzy czerniało coś straszego... Zjawa kierowała się ku mnie.

Nerwy miałam napięte jak postronki. Krzyk zamarł mi w gardle.

Ale zjawa zniknęła. Dopiero co płynęła nad trawą i raptem ciach, jakby zapadła się pod ziemię. Ocknęłam się z osłupienia i w panice rzuciłam do ucieczki. I tak cud, że nie dopadł mnie zawał, w końcu w moim wieku...

Nie bałam się iść przez las na cmentarz, bo przecież co ma wisieć, nie utonie. Zupełnie nie bałam się wieczorem na cmentarzu - w końcu leżeli tam moi bliscy, kochani ludzie, moi i ich przodkowie, i jestem pewna, że nikt z nich nie zrobiłby mi żadnej krzywdy ani za życia, ani po śmierci... Ale ta ogromna biała zjawa okazała się kroplą, która przepelniła czarę. W każdym razie moją czarę. Nijak nie umiałam sobie racjonalnie wytłumaczyć zjawiska - no właśnie, wielkiej zjawy - które już drugi raz dane mi było zobaczyć. Pędziłam do domu, co chwila oglądając się przez ramię, i wciąż zdawało mi się, że za moimi plecami bezgłośnie wyrasta z ziemi to straszne białe coś. Nieważne, że mam już na karku piątą krzyżyk, nieważne, że wokół warczą samochody i turkocą pociągi,

mruczą przewody wysokiego napięcia i zderzają się fale elektromagnetyczne... Zakorzeniony od wieków czy może wrodzony strach przed siłą nieczystą i poczucie kompletnej bezbronności podniosły mnie z ziemi i pognały na złamanie karku, byle dalej od cmentarza. Serce łomotało mi w piersi, nie mogłam złapać tchu i tylko czekałam, aż tuż za mną kłapnie jakaś okrwawiona paszcza...

Do rana nie mogłam zasnąć. Ciszę wypełniały poszczekiwania moich strażników, szum opon na szosie i wycie alarmu na granicy, zwykle odgłosy nocy. Było bardzo ciemno, ledwie widziałam zarys okien. Piekła mnie rana na plecach, więc wierciłam się i wciąż nie mogłam znaleźć wygodnej pozycji.

I po jaką cholere, tak na zdrowy chłopski rozum, polazłam wieczorem na cmentarz? Śmiertelnie się wystraszyłam i w dodatku znów wsadziłam nos w nie swoje sprawy. Czy babcia leży tam, w grobie? Nie, jeśli cokolwiek po niej zostało, to tylko tutaj, w domu. W domu, gdzie rok po roku płynęło jej życie, a nie na cmentarzu, gdzie trzeciego dnia po śmierci zakopaliśmy jej doczesne szczątki. Padłam na grób! Co za scena! Babcia nigdy by tak nie zrobiła. To całkiem nie w jej stylu. Wszystko przez whisky. Przez alkohol. Nie trzeba pić i zaraz wszystko wróci do normy! A skoro już diabli mnie tak ponieśli, skoro niechcący weszłam z butami w cudzą tajemnicę, trzeba było dokładnie sprawdzić, gdzie się podziała Lonicha, co za zjawia snuje się po granicy i w jakim niby celu? Kiedy Lonicha wlaźła do grobowca, mogłam poleżeć za nią! I niby co bym tam zobaczyła? - ostudziłam samą siebie, ale wyobraźnia karmiona lekturą książek Stephena Kinga już namalowała odpowiedni obrazek: szatan w białym całunie chłepce w zapomnianym grobowcu krew z szyi Lonichy... Znów obróciłam się na drugi bok.

Nie, dosyć tego. Przed chwilą mignęła mi jakaś trzeźwa myśl... Aha, że jeśli już szukać babci, to nie na cmentarzu w lesie, ale tutaj, w domu. W przystępie tęsknoty i bezsenności wylazłam



spod kołdry i, nie zapalając światła, po omacku, przez kuchnię, przemknęłam się do pokoju babci, do „tamtego domu”. Babcia też zawsze chodziła tak po ciemku. Często wstawiała w nocy. Pod jej bose stopy trafiały ziarenka piasku, igliwie, szyszki, suche gałązki. Mam takie same stopy: szerokie, z wystającymi kostkami i szorstkimi, spękanyymi piętami, i też czuję teraz igliwie na podłodze. Ale nigdy nie poczuje się tak, jak ona, Makrynia, stara i silna kobieta z ciężkim charakterem. Kobieta, która wychowywała mnie i wychowała. O której prawie nic nie wiem i nigdy się już nie dowiem. Nie dowiem się, o czym myślała, chodząc tak nocą po domu - najpierw starym, drewnianym „tym domu”, później przerobionym i rozbudowanym. Czy kiedykolwiek była szczęśliwa? Nigdy jej o to nie pytałam, a teraz nie starczy mi już wyobraźni ani rozumu, żeby znaleźć odpowiedź. Nie znam też odpowiedzi na inne pytanie: czy kiedykolwiek sama poczuje się szczęśliwa? Czy choć raz będę szczęśliwa przez wszystkie te lata, które jeszcze zostały mi do końca?

W „tym domu” wszystko zostało jak za życia babci. Łóżko, stół, kilimy na ścianach - dziewczyna z jeleniem, para tańczy krakowiaka, kwitną bławatki... I pachnie jak zawsze - ciałem babci, słomą z siennika, pierzem i trochę piaskiem. Usiadłam na łóżku i zamknęłam oczy. Nie usłyszę już jej śpiewu, nie dotknę jej ręki... Pod oknem szczerknęła Duma, zadzwonił łańcuch. Odchyliłam firankę i nawet się nie zdziwiłam: za płotem czerniała czyjaś postać. Ktoś, ktokolwiek to był, patrzył w nocy na dom. Potem ruszył wzdłuż płotu, a za nim pobiegł na drucie Drań... Szłam od pokoju do pokoju, równoległe z tym, kto obchodził dom z zewnątrz, a między nami niespokojnie miały się psy. Zrobiłam pełny krąg i wróciłam do „tego domu”. Ciemna postać pozostała jeszcze chwilę i rozplynęła się w mroku.

## Powiedzmy to sobie szczerze

Anton zdecydowanym, twardym gestem podsunął mi papiery.

- Zrozum, muszę to zrobić.

Siedzieliśmy na dworze, przy drewnianym, czarnym ze starości stole, za płotem błyszczał mercedes Antona; ludzie, którzy z nim przyjechali, poszli przespacerować się po lesie, a mój mąż - według leżących przede mną dokumentów już od siedemnastu lat były - patrzył na mnie chłodno i mówił:

- Powiedzmy to sobie szczerze. Ty... nie, właściwie nie ty, a niektóre fakty z twojego życiorysu mogą okazać się w mojej kampanii kamieniami, które pociągną mnie na dno.

„Ale przecież minęło siedemnaście lat!” - chciałam zawołać i on to chyba wyczuł.

- Przy czym masz wyjątkowe szczęście do różnych dziwnych historii. Jasne, minęło siedemnaście lat. Kobieta przeżywa tragedię, pakuje się w kłopoty, ale w końcu wychodzi na prostą, wraca do normalnego życia - zachowywał się nerwowo, wstał i zaczął spacerować wokół ławki. - Śledztwo umorzono, ale w archiwach zostały jakieś ślady i oni na pewno je znajdą! Zrozum, mamy tylko jedno wyjście, zróbmy tak, jak ci proponuję: antydatujemy wszystkie dokumenty, żeby wyszło na to, że już wtedy byliśmy po rozwodzie... Tylko w ten sposób unikniesz skandalu, ja zresztą też. Wszystko już załatwiłem, znalazłem ludzi, którzy podpiszą, co trzeba. Obydwojgu nam wyjdzie to na zdrowie...

Anton prosił, żebym podpisała dokumenty zaświadczające, że siedemnaście lat temu wzięliśmy rozwód. Byłam oszołomiona. Wertowałam kartki, usiłowałam cokolwiek przeczytać i nic nie rozumiałam. „Masz wyjątkowe szczęście do różnych dziwnych historii”, tłukło mi się w pamięci.

I znów musiałam opuścić głowę, jak kilka dni temu, kiedy siostra zarzuciła mi to samo. Ale teraz oprócz poczucia winy, do którego zdążyłam już przez tyle lat przywyknąć, wezbrała we mnie fala gniewu i popędziła na spotkanie identycznej fali emitowanej przez Antona. „Przecież to nie ty zajmowałaś się wtedy moimi sprawami, tylko Uljana! Ty miałaś wszystko gdzieś, dla ciebie mogłam sobie choćby zdechnąć na ulicy Róży Luksemburg albo trafić na całe życie do więzienia!”

- A twoja siostra też przegina - Anton zataczał coraz szersze kręgi wokół ławki i coraz bardziej się gorączkował. - Zrezygnowała ze współpracy ze mną i poszła do sztabu Harabca. Żona-narkomanka z siostrą-nacjonalistką! Świetne rekomendacje w kampanii prezydenckiej...

Nie wierzyłam własnym uszom: Uljana w sztabie Harabca?

Co ona tam robi? Harabiec był jednym z tych polityków, o których nawet ja musiałam słyszeć. Właściwie nie przypominał polityka, nie potrafił uśmiechać się dyżurnym uśmiechem numer pięć. Bardzo długo nie decydował się na emigrację i dopiero po zamachu, kiedy cudem udało mu się ocalić życie, wyjechał. Za granicą kontynuował działalność i ropuchy w telewizorze średnio raz na tydzień demaskowały go jako „politycznego żebraka”. Nie mogły się, widać, powstrzymać. Nawet ci, którzy nie słuchali radia Swaboda, wiedzieli, co porabia Harabiec: dzisiaj przyjął go prezydent Polski, wczoraj wystąpił w Senacie USA, jutro przemówi w ONZ. Przez niedopatrzenie, a może dla pozornego wydłużenia listy opozycyjnych kandydatów, jakoś nie znaleziono formalnych przeszkód uniemożliwiających startowanie w wyborach człowiekowi, przebywającemu stale za granicą. Harabiec

zarejestrował się jako kandydat na prezydenta. Ropuchy natychmiast zmieniły taktykę i przestały o nim wspominać, podobnie zresztą jak o innych kandydatach opozycji. I moja siostra pracuje w jego sztabie!

Anton ściszył głos.

- Byli już u ciebie ludzie z telewizji? Jeszcze nie? No to będą. Mnie już wypytywali i o ciebie, i o twoją siostrę. Powiedziałem, że nic nie wiem, że rozstaliśmy się siedemnaście lat temu i od tamtej pory nie utrzymujemy żadnych kontaktów. Po tej rozmowie postanowiłem poprosić cię o to, o co właśnie proszę - ratujmy się obydwójce, podpisz te papiery! Aha, tutaj masz akt notarialny, kupiłem ci dwupokojowe mieszkanie na Czerwonoarmiejskiej. Wiesz, zawiozłem tam już nawet twoje rzeczy. Proszę, weź klucze. A to podpisz i kiedy do ciebie przyjdą, powiedz to samo co ja: że nie utrzymujemy ze sobą żadnych kontaktów. Tylko o to cię proszę.

Określenie „odjęło mowę” ma, jak się okazało, całkiem dosłowne znaczenie. Chciałam coś powiedzieć, ale nie potrafiłam nawet otworzyć ust. Mąż się mnie wypiera, żeby nie drażnić ropuch. To naiwność czy po prostu pretekst, żeby zrobić coś, o czym już dawno myślał?

Tymczasem z jego twarzą działo się coś dziwnego. Oczy pozostały zimne, ale kąciki ust podejrzenie zadrżały... Nie chciałam patrzeć, jak płacze. Czym prędzej złapałam długopis i podpisałam papiery.

Powiedział „dziękuję” i wprawnym ruchem zgarnął dokumenty ze stołu. Po chwili wahania pochylił się, żeby mnie pocałować. Odkoczyłam. Jego ochroniarze czy może doradcy - chociaż z wyglądu raczej ochroniarze - popatrzyli spode łba i wsiedli do samochodu. Mercedes odjechał.

Dobrze pamiętam, jak kiedyś na studiach, po powrocie z nart albo podczas gry w koszykówkę, nagle gdzieś w głębi duszy rosła

mi radosna pewność: „jestem młoda” - jakieś fizyczne, fizjologiczne szczęście, święto; pamiętam, że po po-odzie równie nieoczekiwanie poczułam, że „jestem życiem”, i usłyszałam w sobie muzykę, moją własną, uroczystą muzykę. Teraz równie wyraźnie i mocno, jak kiedyś młodość i macierzyństwo, poczułam coś, co podstępnie i nieświadomie gryzło mnie już od siedemnastu lat: jestem stara, stara i wypalona.

I jeszcze pomyślałam, że przez całą rozmowę z Antonem, po tym, jak powiedział już, o co mnie prosi, nie wydobyłam z siebie ani jednego słowa.

Starość to milczenie.

## Czuję się stara

Wyciągnęłam zza lodówki butelkę whisky. Jack Daniels. Wierny, choć zdradliwy przyjaciel, piekący wilkołak.

Myśli nerwowo machały ogonami i wczepiały się w siebie nawzajem.

Co mam teraz robić? Stuknęłam szyjką butelki o brzeg szklanki. Nalałam.

Muszę się uspokoić. Muszę wziąć się w garść. Wypiłam łyk i wyszłam na ganek. Usiadłam. Przede mną rozpościerał się znajomy od zawsze widok: wspaniałe namioty sosen, dalej łągi z oplecionymi jeżyną krzakami wikliny, piaszczyste wydmy z przecinkami jałowców i wijąca się między nimi droga. Szara, zielona, gorzka szata ziemi. Zielone ścieżki węży, czarne ścieżki ludzi. Po niebie kołują kanie, nad nimi samoloty.

Jestem stara. Jestem stara, odstawiam szklankę i płaczę na ganku, a wokół stoją kury i przechylają łebki.

Po paru chwilach stara otarła łzy, poszła po pszenicę, sypnęła kurom, wróciła na ganek i znów złapała szklankę.

Wspaniałe nowiny. Cholera, tego lata powinnam już do nich przywyknąć! Anton wyrzucił mnie jak wypalonego po sam filtr papierosa. Człowiek, którego kochałam i uważałam za męża, męża danego od Boga, tolerował mnie dotąd tylko z lenistwa. Od jak dawna? Może od samego początku? Z każdym łykiem wzbierała

we mnie złość. I co, teraz antydatuje kolejne dokumenty, weźmie - lata temu - ślub z odpowiednią do jego nowych celów kobietą: z jakąś żelazną damą biznesu albo, na odwrót, słodką panienką o błękitnych ślepkach... Szkoda, że nie zapytałam, któż to będzie teraz uchodził za jego żonę. Uchodził? O nie, to ja tylko „uchodziłam”... Może przez wszystkie te lata miał inną, prawdziwą rodzinę? Bo jaka ze mnie żona?

Po śmierci córki, kiedy zrozumiałam, że nigdy więcej nie zajdę w ciążę, całkiem popłynęłam. Było mi wszystko jedno. Są w Mińsku miejsca, po których snują się takie cienie ludzkich nadziei. Anton zamartwiał się, woził mnie po prywatnych lekarzach (którzy w tamtych czasach starali się zbytnio nie afiszować ze swoją działalnością), Uljanka rozpaczała, biła mnie nawet i też wozila po lekarzach, ale uciekałam i piłam. Czułam, że wpadam w otępienie, zaczynała mnie boleć wątroba, ale co z tego. Co z tego. Byłe nie myśleć o dzieciach, których nigdy nie urodzę, o tych na zawsze zamurowanych we mnie zarodkach, których już nikt nie obudzi. Zapominałam tylko wśród moich cieni na ulicy Róży Luksemburg. Cienie znały sposoby.

Potem spotkałam Goszę. Nie przypominał cieni - wielki, spokojny, z miłą, szeroką twarzą, promieniujący sympatią. Szybko się zaprzyjaźniliśmy. Do miłości nie byłam wtedy zdolna ani psychicznie, ani fizycznie, do przyjaźni - owszem. Jak się potem okazało, Gosza wyręczał się mnóstwem takich idiotek jak ja. „Kochana, proszę, zanieś to pod ten adres, nie wyrabiam się dzisiaj”. Zostałam kurierem, nosiłam narkotyki, oczywiście nic o tym nie wiedząc. Ale też oczywiście domyślając się wszystkiego, bo sama byłam już wówczas narkomanką i, szczerze mówiąc, miałam wszystko w dupie. Któregoś razu wysłał mnie z kolejną paczką, dał klucz, adres, kazał zamknąć mieszkanie i wrócić. W mieszkaniu leżał na łóżku w sypialni martwy chłopak, nastolatek. Nawet nie zdążyłam krzyknąć, kiedy wpadli milicjanci i wykręcili mi ręce. Sprawdzili, co jest w paczce. Heroina.

Trafiłam do więzienia. Na półtora roku. Na Waładarkę. Tam, w więziennym szpitalu, leczyli mnie z narkomanii. Kto przeszedł przez coś takiego, przejdzie przez wszystko inne. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Siostra, z którą nie rozmawiałam od dobrego roku, przysłała natchmiast, kiedy tylko zezwolono na widzenia. Była tak samo wyczerpana i żółta jak ja, chociaż to nie ona siedziała za kratami. Wówczas cała sprawa była już wyjaśniona: sympatyczny Gosza kierował siatką dilerów i spokojnie, z premedytacją co jakiś czas wystawiał takich jeleni jak ja, żeby odwrócić uwagę od siebie i innych rekinów biznesu. Działał precyzyjnie: kiedy szesnastoletni chłopak przedawkował i umarł - może na oczach Goszy - wysłał mnie do jego mieszkania akurat wtedy, kiedy miała się tam zjawić milicja. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane i rozegrane. Milicja dostała zwłoki narkomana i dilerkę z dowodem przestępstwa, heroiną. To ostatnie bardzo ucieszyło funkcjonariuszy. Zanosilo się na spory wyrok. Gosza zmył się i moje zeznania wyglądały idiotycznie: nikt nie mieszkał pod adresami, które wskazywałam, nikogo nie było w znanych mi domach, na ulicach... Oficer śledczy - nie zdradzę tu oczywiście jego nazwiska - nie wierzył mi za grosz. Nie uwierzył też Uljanie, chociaż parę razy się z nią spotkał. Krótko mówiąc, ze względu na moją przeszłość dostałam półtora roku; do wyroku zaliczono mi areszt, więc prosto z sądu wyszłam na wolność.

Uljanka wzięła mnie pod rękę, Anton szedł obok, ale nie było mnie z nimi.

Brud i ból więziennego życia nie dręczyły mnie tak, jak świadomość tego, że - wprawdzie pośrednio i niechcący - przyczyniłam się do śmierci chłopaka. Twarze jego rodziców w sądzie... Nie, nigdy tego nie zapomnę.

Nauczona doświadczeniem nie pchałam się już ani między ludzi, ani między cienie. Po prostu kupowałam alkohol i upijałam się w samotności.



Dlaczego Anton nie zdecydował się wtedy na rozwód? Mniej by mnie to bolało. Wtedy w ogóle mało co mogło mi sprawić ból.

Od czasu do czasu z butelką w torebce zataczałam magiczny krąg: porodówka na Padleśnej, drugi szpital kliniczny, Barawliany, Cmentarz Północny... Przy każdym ogrodzeniu wypijałam po łyku. Kiedyś w rezultacie zasnęłam na tej samej kracie koło szpitala, na którą trzy lata wcześniej upadłam w dniu, kiedy lekarze postawili diagnozę mojej córeczce. I znowu, jak wtedy, podniosła mnie Wajciaszonak. Jak zwykle obchodziła z psem, jak strażnik, ulice Mińska, żeby podnosić z brudnego śniegu samotnych, pijanych degeneratów. Tydzień później odwiozła mnie do szpitala psychiatrycznego na Nawinkach. Leczone tam metodami niemal więziennymi, bezpłatnie, może dlatego się udało. Czy raczej względnie udało: podniosłam swój status z alkoholiczki na zwykłą pijaczkę. Ale nikt już mi nie ufa, wszyscy pilnują, żeby w domu nie było alkoholu.

Dobra, dosyć tego, co mnie tak wzięło na wspomnienia? Po co? Co było, to było.

## Brześć-Włodawa

Poranek iskrzył się promieniami słońca. Zrobiłam co trzeba w obejściu i pobiegłam na pociąg: chciałam wyjechać po Uljankę. Musiała mijać w tym czasie Baranowicze, jechała z Mińska. Ale mój pociąg był inny, lepszy. A właściwie lepszy do czasu.

Od kiedy w Dobratyczach pojawili się letnicy i dla ich wygody zrobiono tu stację kolejową, staram się nie jeździć pociągami. Nawet moja gruboskórna natura nie może znieść tych koszmar-nych scen. „Do Dobratycz”, rzucają beztrósko letnicy przy kasie. Są ich chmary.

Kolej przyczyniła się do naszej krzywdy. Albo do tego, co i tak stać się musiało.

Pamiętam inne pociągi. Jechały z Dobratycz w wielki świat, a potem wracały. Na stację szło się kawał drogi lasem, po torach. W wielkich oknach pociągu wschodziło albo zachodziło słońce. Jechały do pracy albo z pracy sprzątaczkki, pielęgniarki, robotnicy drogowi (*win robyt' na szosi* - mówiono o nich z szacunkiem), tragarze, kopacze, pomoce kuchenne, kolejarze i stróże z zakładów elektromechanicznych, a także nieliczni przedstawiciele elity: kasjerki, sprzedawczynie i kelnerki. Kolejka o 9.30 przyjeżdżali z Brześcia nasi nauczyciele, lekcje w szkole zaczynały się o 10.00, kiedy przychodzili ze stacji... W dni wolne od pracy czasem jechali

do miasta odświętnie ubrani pracownicy kolchozu, z miasta zaś przybywali odwiedzający opuszczonych rodziców strażacy, ślusarze, kierowcy i niższej rangi milicjanci. W pociągu rozmawiało się o życiu i o śmierci; stałych podróżnych tytułowano „ciociami” i „wujkami”, grano w durnia, ale nie śpiewano, a w trzecim wagonie zazwyczaj zbierała się młodzież. Później o śmierci mówiono coraz częściej, a o życiu rzadziej, zapomniano o tradycjach trzeciego wagonu i w końcu któregoś dnia rano zobaczyłam, jak letniczka budzi starego kolejarza, który spał wyciągnięty na ławce. Szarpnęła go za ramię; obudził się i chwilę trzymał nogi w powietrzu, żeby nie wybrudzić skarpetek. Później wsunął stopy w buty, usiadł, oparł się o okno i znów zasnął.

Coś stało się wówczas z moim wzrokiem. Zamiast kobiety w średnim wieku zobaczyłam pobielony grób w jasnej garsonce, czysto wyszorowany i wyperfumowany, z wyszminekowanymi ustami, polakierowanymi paznokciami i trwałą typu „owieczka”. Widziałam to bardzo wyraźnie.

Grób usiłował się nawet tłumaczyć. „No przecież tyle ludzi - powiedział, siadając. - Nie ma wolnych miejsc”.

Wspominałam już, że nie lubię ludzi? Nie? No to teraz wspominam. I nie uznaję żadnych nieuchronnych zmian. W komplecie z moją mizerną posturą i gruboskornością nie daje to wprawdzie jakiegoś wybuchowego koktajlu, ale na wszelki wypadek radzę trzymać się z daleka. Nas, swoich, z Dobratycz, Stradycz i Zakazanki, było kiedyś niewielu. A potem przyjechali ludzie i zdeptali Dobratycze, Stradycze i Zakazankę. I wtedy my też staliśmy się ludźmi. Nawet ja w pewnym sensie. Gdybym miała dzieci, z całą pewnością byłyby już ludźmi. Nic nie mogę na to poradzić, ale staram się jeździć pociągami jak najrzadziej.

## Rodzona siostra i dwa dworce

Trochę spóźniłam się na dworzec w Brześciu. Uljanka maszerowała już po peronie. Zawołałam, obróciła się i obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

Przez całe życie odróżniano nas po ubraniach (OK, czasem też po tym, że kuleję), bo ubieramy się całkiem inaczej. Ja rozjaśniałam długie włosy, Uljana strzygła się krótko i farbowała na czarno; ja nosiłam rozkloszowane spódnice i spodnie, fantazyjne sukienki, wybierałam pastelowe, niedookreślone, delikatne kolory - piaskowy, zielonkawy (jak gąski zielonki) i beżowy - natomiast charakter mojej siostry wymagał wyrazistej oprawy, prostych linii i zdecydowanych kolorów: czerwieni, błękitu i ostrego fioletu, który Maria Wajciaszonak nazywa *juliovym*.

Tym razem na dworcu okazało się, że bez żadnych wcześniejszych ustaleń zamieniłyśmy się rolami.

Przyjechałam w czerwonym żakiecie Zarnickiej: tak promieniował purpurowym sukcesem, pewnością siebie i przebojowością, że na przekór wszystkiemu postanowiłam na chwilę wejść w cudzą rolę, wypróbować kawałek cudzego życia. Na początku czułam się wprawdzie nieswojo, ale kiedy przefarbowałam włosy na hiszpańską kruczą czerń (właśnie przez fryzjera spóźniłam się na dworzec) wszystko zaczęło do siebie pasować. Nowe życie!

- Zaciął mi się zamek i nie mogłam wejść do domu - mówiła siostra, oglądając mnie z każdej strony. - Musiałam przenocować

w twoim mieszkaniu, no i wzięłam twoje ciuchy. Co to za żakiet? Ale czekaj, najpierw powiedz, jak się miewasz. Rozmawiałaś już z Aksanką?

- Nie, jeszcze nie - zaczęłam od najważniejszego pytania. - Rana już prawie nie boli. Żakiet pożyczyłam od Zarnickiej. Widziałaś się z Antonem?

Uljana wzięła mnie pod rękę i poszłyśmy w stronę mostu.

- Nie. Mieszkanie jest ładne, duże - opowiedziała mi o mieszkaniu podarowanym przez Antona; sama przecież jeszcze go nie widziałam. - Rzeczy stoją na razie na kupie w jednym pokoju. Anton nie miał czasu. Chyba wie, co robi. Tak że spokojnie. Potem jeszcze o nim pogadamy, a na razie opowiem ci, co się stało przed chwilą. Wysiadłam z pociągu, stoję, nagle ktoś mnie zaczepia: „Pani jest Ała Babyłowa?” Obejrzałam się - jakaś młodziutka panna, na oko fałszywa, farbowana; nawet nie czekała, co odpowiem. „Pani mnie nie zna, ale to nie ma znaczenia. Po prostu chcę panią ostrzec. Grozi pani poważne niebezpieczeństwo” - odwróciła się i w nogi. A ja za nią.

„Proszę zaczekać! Kim pani jest? Jakie niebezpieczeństwo?” A ona: „Nieważne, kim jestem. Niech się pani trzyma z daleka od Antaniny Dłuskiej” - albo Hłuskiej, nie dosłyszałam, a ona wskoczyła do pociągu, akurat ruszał, i tyle ją widziałam.

- Dłuskiej? Hłuskiej? Kto to niby jest?

- A skąd mam wiedzieć?

Przystanęłyśmy. Promienie słońca zalewały brudny, pusty o tej porze peron, ale wokół nas znowu zbierały się chmury.

- Zauważ, że ona wzięła mnie za ciebie, jestem w twojej sukience. Czyli zna ciebie, a ty pewnie znasz ją. W każdym razie z widzenia.

- Powiedz raz jeszcze dokładnie, jak wyglądała.

- Nijak - wzruszyła ramionami siostra. - Jakieś trzydzieści lat, ruda, farbowana, figura, no wiesz, standardowa, średniego wzrostu, z twarzy mało sympatyczna.

- Nic mi to nie mówi - ja też wzruszyłam ramionami.

Przeszliśmy kładkę dla pieszych i starymi uliczkami powlokliśmy się na dworzec autobusowy. Słońce skryło się za lekką mgiełką, nadciągał upał; nad nami unosił się gęsty oddech miasta. W 1596 roku, kiedy sir Francis Drake napadł na miasteczko Riohacha, ojców miasta Brześcia turbowała ważka kwestia zamówienia nowego zegara na wieżę ratuszową i zapewnienia bezpieczeństwa w związku z niespodziewanie wielkim napływem obserwatorów soboru, zainteresowanych kwestiami wiary i polityki wyznaniowej. Nie wiem, jak i na ile ucierpiała w oblężeniu Drake'a Riohacha, ale w Brześciu nie zachował się z tamtych czasów nawet kamień. Ani ratusz, ani wieża, ani wskazówki zegara. Jednak domy i dachy startego przez Rosję z powierzchni ziemi starego miasta Brześcia pod tym zamglonym letnim słońcem jakimś cudem wciąż żyły i zdawało mi się, że słyszę ich widmowy oddech.

Nowe miasto też oddychało. Na ceglany murze byłego gimnazjum imienia Traugutta, obecnie akademii pedagogicznej imienia Puszkina, ktoś wykaligrafował literami metrowej wysokości:

„Tarasienka już wymięka!”

Farba była jeszcze mokra. Kobiety w lekkich jedwabnych sukienkach, studentki w zalotnie poszarpanych tu i ówdzie dzinsach i ogoleni na łyso zabijacy przystawali i wybuchali śmiechem, aż w końcu nadjechała milicja. Z radiowozu wysiadł surowy funkcjonariusz z pędzlem w dłoni i zabrał się do zamalowywania ohydy.

- Słuchaj, a ten pociąg, do którego wskoczyła, dokąd jechał?

- Do Moskwy.

- A może zauważyłaś coś jeszcze na peronie? Wiesz, jakieś torby z ciuchami z Pińska, skrzynki ze śmietaną, puzony w futerałach?

- Owszem - potwierdziła siostra. - Jakbyś zgadła: torby z ciuchami z Pińska, skrzynki ze śmietaną i puzony. No, może nie puzony, a jakieś gitary w futerałach, na jedno wychodzi.

Na dworcu autobusowym wszystkie ławki okazały się zajęte, więc przycupnęliśmy na szerokim parapecie. Było tu nieco chłodniej niż na ulicy. Miejskowi też czekali. Opalone dzieci, opalone

kobiety, opaleni mężczyźni i opaleni staruszkowie, niektórzy z takimi głębokimi oczami...

Kim była ta kobieta, która zaczepiła moją siostrę na peronie? Kolejna zagadka. Czyżby ktoś na mnie polował? Po co? Komu znów weszłam w drogę?

Daniła Żukowski powiedział kiedyś, że w moich opowiadaniach nie dopuszczam do tryumfu sprawiedliwości, że rozczaruję, dławiąc naturalne pragnienie czytelnika, żeby dobro zwyciężyło zło. Może w prawdziwym życiu też kogoś skrzywdziłam i rozczarowałam tak bardzo, że teraz ten ktoś się mści?

Nagle Uljanka szarpnęła mnie za rękaw.

- Ałka!

Ocknęłam się z zadumy.

Jego twarz w zasadzie mogłaby być piękna. Nie było w niej agresji, ale budziła strach. Zachowywał się tak, jakby robił nie całkiem to, co zamierzał, ale wiedziałyśmy, że specjalnie podszedł do nas. Patrzył gdzieś w przestrzeń i lekko chwiał się w gorącym powietrzu.

Uljanka pociągnęła mnie na drugi koniec poczekalni. „Narkoman!” - szepnęła.

Po chwili znów był obok; zapadnięte policzki, ciemne oczy i strach. Znowu strach.

Akurat przez megafony zapowiedziano nasz autobus, więc szybko ruszyliśmy do wyjścia. Chłopak ciężko, jakby brodził w wodzie, powlókł się za nami, ale przy drzwiach dał spokój i zawrócił.

Spojrzałam na Uljanę.

- To narkoman - powtórzyła. - Znam go. To syn Czaroty.

Nie miałam pojęcia, że to syn naszego dyrektora. Za to od razu zorientowałam się, że narkoman. Sama dwa razy wychodziłam z tego szamba. Czego mógł od nas chcieć? Może ktoś postanowił przypomnieć mi, kim jestem?

## Aksanki nie ma w domu

W końcu zebrałam się w sobie i pojechałam do Stradycz, do Aksanki, pogadać. Niepotrzebnie się denerwowałam: dom był zamknięty. Sąsiadka powiedziała, że Aksanka i Siarhiej pojechali na cały dzień do Brześcia, a jutro wybierają się do Mińska, i to na dłużej, do jakiegoś lekarza. Wróciłam do domu z niczym.



## Ale po co?

Pokłóciłam się z Uljaną.

Wszystko zaczęło się od tego, że okropnie chciałam sobie chlapnąć, ale oczywiście nie mogłam tego zrobić przy siostrze. Od samego rana narastało we mnie świetnie znane wszystkim alkoholikom rozdrażnienie. Warczałam, prychałam i ciągle tylko szukałam, do czego by się przyczepić. No i znalazłam - do polityki, a konkretnie pracy w sztabie Harabca.

- Taaa, polityk. Pajac, nie polityk. A ty nie lepsza. I po cholere walic głową w mur? Myślisz, że coś zmienisz? Rozejrzyj się, dziewczyno! Kijem Bugu nie zawrócisz! U nas wszyscy są tacy jak Tarasienka, dlatego go wybierają. Wart Pac pałaca.

Uljana też od samego rana była nie w humorze, widać coś ją gryzło, więc nie pozostała mi dłużna:

- I kto to mówi! Ty?! Po cholere? A po cholere w ogóle żyjemy? Po co ty żyjesz? Żeby pić? Pij.

Przez cały dzień usiłowałyśmy nie wchodzić sobie w drogę. Zająłam się gospodarstwem, a ona siedziała z telefonem w piwnicy - jedynym względnie chłodnym pomieszczeniu. Wieczorem obojętnym tonem poinformowała, że musi jechać, i pojechała.

Ujęłam się dumą i nawet nie zapytałam, dokąd i po co.

Za to w końcu mogłam się napić.

## Nowa dusza

Nie umiem rozmawiać z ludźmi. Dzieli mnie od nich gruba ściana z przezroczystej waty. Nie rozumiem ich. Jedni wybierają cytryny z samego dna skrzynki i godzinami łożą po stoiskach z ciuchami. Inni mają w nosie tych pierwszych. Dyrektorki. Grubi mężczyźni w średnim wieku. Pedagodzy, cha, cha. Moi bracia-alkoholicy. Młodzież, a jakże. Każdy ich ruch i każde słowo są obrzydliwie przewidywalne. Wytłumaczalne. Chociaż sami go nie rozumieją. Ich żarty trafiają w pustkę.

Ten, kto nauczył się nowego języka, otrzymał nową duszę. To czeskie przysłowie dało mi do myślenia jeszcze w czasach, kiedy słowo *dusza* uważano za równie nieprzyzwoite, jak *dupa*. Nauczono mnie nowego języka i otrzymałam nową duszę. Właściwie niewiele wiem o mojej nowej duszy. Co porabia? A stara? Może odeszła? Nie, co jakiś czas daje o sobie znać mimowolnym gestem, nieartykułowanym dźwiękiem... Żyje - bo dusze nie umierają - ale schowała się w kącie... Zabunkrowała gdzieś w pięcie. Albo w wyrostku robaczkowym. Tutaj wszyscy mają nowe dusze - konsumenci i producenci, dyrektorki, mężczyźni, moi bracia-alkoholicy i nawet siostra... Nawet moja idealna siostra ma gdzieś w małym palcu zwiniętą w kłębek, przyczajoną starą duszę. Dusza płacze, bo jest stara. I tak nie mam na co narzekać, przecież od zawsze rozumiałam język mojej nowej duszy. A co mają powiedzieć Indianie? Buszmeni? Mieszkańcy wielkiej Czarnej Afryki?

Zadzwonił telefon. Złapałam szklankę whisky i rozeźlona na swoje życie (miało być inne, cholera) przeniosłam się z ganku do domu.

Męski głos zapytał o Uljanę Anatoljewną.

Byłam nadal obrażona o naszą wczorajszą kłótnię i o to, że siostra nie wtajemnicza mnie do końca w swoje sprawy, więc zamiast zwyczajnie wyjaśnić, że wyjechała i wróci pewnie jutro, siorbnęłam ze szklanki i mruknęłam do słuchawki:

- Tak?

- Iwan Kukał, przepraszam, że niepokoję - szybko i energicznie powiedział męski głos. - Musimy się spotkać, i to pilnie. Chodzi o panią i o pani siostrę. Szczególnie o siostrę. Mam dla pani ważne informacje. Proszę jej na razie nie mówić o naszej rozmowie. Czy moglibyśmy umówić się jutro w Brześciu?

Sama nie wiem, co mnie bardziej zdziwiło - czy to, że Kukał w ogóle zadzwonił, czy to, że mówił po białorusku, czy w końcu to, że chciał się spotkać z Uljaną w mojej sprawie. Umówiłam się z nim w kawiarni „Na Rynku”.

Pierwszy raz w życiu podałam się za własną siostrę. Co gorsza, nie miałam pojęcia, co akurat dzisiaj przyszło mi do głowy. Może to nie ja, tylko moja stara dusza? Jak to mawiał pan Burulbasz: „Kaciaryna! Nie wiesz nawet dziesiątej części tego, co wie twoja dusza!”

## Madame sąsiadka

Kawiarnia „Na Rynku” faktycznie mieściła się na bazarze, na drugim piętrze nowego białego budynku, nad rzędami różnobarwnych markiz. W środku ściany wyłożono piękną, ładującą podobną do prawdziwej, starej, cegłą; atmosfera jak w zamku, choć wystrój całkiem współczesny: szklane stoliki, awangardowe krzesła, zwisające z sufitu na łańcuchach drobne lusterka powolutku obracające się wokół własnej osi i rzucające na ściany słoneczne zajaczki. Miły chłód - pewnie klimatyzacja. Kukal poderwał się z miejsca i pierwszy wyciągnął rękę.

- Proszę wybaczyć, będę mówił po rosyjsku - powiedział. - Znam białoruski, ale kiedy go używam, więcej myślę o tym, jak dobrać właściwe słowa, niż o tym, co właściwie chcę powiedzieć.

Zaprowadził mnie do stolika ukrytego za kolumną.

Po tym wszystkim, czego nasłuchałam się o Kukalu, uważnie studiowałam wyraz jego zdecydowanej, ogorzałej twarzy o ostrych rysach. Nie, wyglądał całkiem sympatycznie.

Kelner - bardzo profesjonalny jak na kelnera z knajpy przy bazarze - natychmiast przyniósł bowl, odkorkował francuskiego szampana i musujący strumień trysnął do okrągłego szklanego naczynia z zalanymi białym winem brzoskwiniami.

Kukal uniósł kielich.

- Na zdrowie! Dziękuję, że pani przyszła. I jak? - zapytał, próbując napoju. - To pani ulubiony, prawda?

- Tak.

Usiadł wygodniej i rozwichrzył włosy.

- Nawet nie wiem, jak z panią rozmawiać - uśmiechnął się i nagle jego rysy zmiękły. - Pani mi nie ufa, uważa niemal za wroga. Muszę zdobyć pani zaufanie, zanim się dzisiaj rozejdziemy. A zaufanie kogoś takiego jak pani można pozyskać tylko bezwzględną szczerością.

Jeszcze poprzedniego dnia opracowałam strategię specjalnie na potrzeby tej rozmowy, a właściwie postanowiłam zastosować starą studencką zasadę: lepiej milczeć, wtedy jest szansa, że wezmą cię za mądrą. Milczałam więc, a Kukał mówił dalej.

- Jestem człowiekiem interesu. Może trochę szorstkim, ale tak to już jest w moim fachu. Kazałem zebrać informacje na pani temat i znaleźć wśród nich coś, dzięki czemu zmuszę panią do sprzedaży tej działki. Ale to, czego się dowiedziałem, skłoniło mnie do zmiany planów - przerwał, a potem kontynuował nieco ściszym głosem. - Zrezygnowałem z budowy w Dobratyczach i postanowiłem przekazać pieniądze na kampanię wyborczą pana Harabca.

Napisał na serwetce liczbę z czterema zerami.

- Proszę.

- Dlaczego pan to robi?

- Jestem patriotą - powiedział zupełnie poważnie i wyciągnął banknoty. - Myśli pani, że tacy jak ja nie mają ojczyzny? Że kochają tylko pieniądze? Nie. Pochodzę z tych samych stron co Harabiec, z łohojszczyzny, i rosyjskiego nauczyli mnie dopiero, kiedy musiałem iść do szkoły, oczywiście rosyjskiej, bo białoruskiej w okolicy nie było... Zawsze sympatyzowałem z Frontem Narodowym, chociaż nie zawsze - w obecnych warunkach, sama pani rozumie - mogłem przyznawać się do tych sympatii...

Tego się nie spodziewałam. Co innego nasze prywatne porachunki, a co innego wybory. Nie mam bladego pojęcia o polityce. Czy Uljana wzięłaby te pieniądze dla Harabca? Kilka grubych paczek dolarów, banknoty ściągnięte gumkami. Na pewno by się przydały. Brać? Całkiem ładna suma...

Kukal przesunął banknoty w moją stronę.

- Proszę schować. Lepiej, żeby takie pieniądze nie leżały ot tak sobie na stole. Nawet jeśli to stół w mojej własnej kawiarni.

- Nie mogę wziąć na siebie takiej odpowiedzialności - wymamrotałam. - Muszę się skonsultować z panem Harabcem.

- Proszę skorzystać z mojego telefonu.

- Nie, nie, teraz to niemożliwe - (przecież nawet nie znam jego numeru!). - Odłóżmy to do jutra.

- Przykro mi, jutro wyjeżdżam na trzy miesiące. Musimy załatwić to dzisiaj. Dlatego uprzedzałem, że to pilna sprawa.

- Mówił pan też, że ma dla mnie jakieś informacje o mojej siostrze - przypominałam.

- Tak, ale najpierw skończmy sprawę pieniędzy. Oddzielmy kotlety od much - uśmiechnął się przyjaźnie. - Proszę przekazać to panu Harabcowi. Szczerze życzę mu zwycięstwa w wyborach i jestem pewien, że wygra, że ma duże szanse. Idą nowe czasy, idą zmiany, nie chcę stać z boku i tylko biernie się przyglądać. Na dłuższą metę byłoby to co najmniej nierozsądne.

Mówił pewnym, spokojnym tonem. Uwierzyłam mu. I już, już wyciągałam rękę, już wyobrażałam sobie, jak z tryumfem przekazać pieniądze Uljanie, jak zrehabilituję się w jej oczach, już usta składały mi się w decydujące „skoro tak...” kiedy przypadek, częsty przyjaciel takich idiotek jak ja, przyszedł mi z pomocą.

W tymże ułamku sekundy, w którym wyprostowałam palce, żeby wziąć banknoty, zwisające z sufitu lusterka zawirowały tak, że kątem oka zauważyłam w nich ukrytych za załomem ściany

mężczyzn. Mężczyzn z bronią, w maskach i w czarnych mundurach z napisem ODDZIAŁ SPECJALNY. I wtedy zrozumiałam. To była pułapka. Zasadzka. Ktoś chciał mnie zrobić, a właściwie nie mnie, tylko moją siostrę. Może Kukał przygotował sfałszowane banknoty, może nasze prawo zabrania finansowania kampanii pieniędzmi pochodzącymi z nielegalnych, a w każdym razie niepewnych źródeł, a może w ogóle nie wolno nam nawet dotykać dolarów... W każdym razie nie miałam wątpliwości, że ledwie położyłabym dłoń na obcej walucie, specnazowcy wypadliby zza rogu i z miejsca mnie aresztowali... Wykonałam szeroki gest nad banknotami i złapałam kieliszek.

- Hmm... Mogę jeszcze łyk? - zapytałam, starając się uśmiechać nie mniej życzliwie niż mój rozmówca. - Szczerze panu dziękuję i na pewno jak najszybciej przekażę panu Harabcowi pańską propozycję. Ale to on musi podjąć decyzję. Myślę, że pański wyjazd nam nie przeszkodzi. Pieniądze może nam wręczyć jakiś pański zaufany człowiek, chętnie przyjdę na kolejne spotkanie; można też po prostu przelać je na konto, otwarte dla kandydata przez Centralny Komitet Wyborczy...

- Paskudny spadek zostawiła nam po sobie miniona epoka - pokręcił głową Kukał. Widać zrozumiał już, że podstęp się nie udał, ale próbował wyjść z całej sytuacji z honorem. - Pani nadal mi nie ufa. Bóg jeden widzi, że to zbytek ostrożności. Niemniej moja propozycja jest nadal aktualna. Proszę, żeby pan Harabiec skontaktował się ze mną telefonicznie.

- Przekażę.

- Dobrze, tak się wobec tego umawiamy. A teraz sprawa pani siostry - zmarszczył brwi: wyraźnie przygotowywał mnie na nieprzyjemne wiadomości, które jednak musiał, po prostu dla spokoju sumienia musiał mi zaserwować. - Pani siostra panią śledzi. Pracuje dla swojego męża. Wie pani, że był w Dobratyczach? Właśnie wtedy jej to zlecił. Nagrywa pani rozmowy i wysyła mu do Mińska. Proszę, niech pani posłucha - wyciągnął z kieszeni

malutki dyktafon i usłyszałam moją wczorajszą kłótnię z Uljaną.

Kręgosłup odmówił mi współpracy. Osunęłam się na oparcie krzesła.

- Dobrze, że ją tak pani ustawiła. Czy wcześniej miała już pani jakieś podejrzenia? - wyłączył dyktafon.

Byłam kompletnie oszołomiona. Różnych rzeczy się spodziewałam, ale to... Jedno jest pewne: mamy w domu podsłuch. I jeszcze chwila, a uwierzę, że sama go zainstalowałam na polecenie Antona!

- Jak pan zdobył to nagranie?

- Wolałbym nie zwierzać się ze szczegółów. Powiedzmy, że mam pewne doświadczenia. Na przykład jeden z członków sztabu Babilona to mój człowiek.

W oku Kukala mignął groźny błysk. Zrozumiałam, że jego świat jest dla mnie jeszcze większą abstrakcją niż ten zwyczajny. Dlaczego tak się nas uczeplił? Czego chce? Może mnie otruli? Zażył jakieś antidotum, a ja zaraz wyciągnę tu w bólach kopyta? Pieniądze i władza - pięknie, właśnie wlałam w szajs po same uszy. Co zrobiłaby na moim miejscu Uljanka?

- A właśnie, skąd pan wie, że przepadam za brzoskwinowym bowiem?

- Mówiłem już, zebrałem trochę informacji na pani temat.

- Ale dlaczego takich drobiazgowych i osobistych, po co?

- Jestem z natury ciekawski. Bardzo. Chciałem wiedzieć jak najwięcej o mojej uroczej przyszłej sąsiadce. Oczywiście, kiedy jeszcze zamierzałem budować się w Dobratyczach i na wypadek, gdyby jednak nie sprzedała mi pani swojej działki.

W bowlu wprawdzie nie było trucizny, ale sam alkohol zaczął już wyprawiać ze mną to, co zwykle: wpadałam w euforię i samochwalstwo. A co mi tam. Świat leżał u moich stóp.

- Kukal! - warknęłam. - Masz mnie za idiotkę? Wierzę mojej siostrze i wiem, że nie nagrywa naszych rozmów. A tym swoim glinom - wskazałam sufit, a zbaraniały Kukal wbił weń



tępo wzrok - powiedz, żeby na drugi raz lepiej się chowali. Żegnaj. I jeszcze coś, zapamiętaj sobie: zz-zejdź nam z drogi, bo pożałujesz. Możesz to sobie nagrać na swój zasrany dyktafon!

Wstałam i starając się nie stracić równowagi, podążyłam do wyjścia. I nagle Kukal ryknął dzikim śmiechem. Śmiech uderzył mnie w plecy jak mokra szmata.

Mocno wczepiona w poręcz szczęśliwie zesłam po schodach i znów znalazłam się pod jasnym słońcem Brześcia.

Bazar kipiał życiem. Jakiś Uzbek usiłował wcisnąć mi daktylę. W szpitalach o tej porze pobierano krew do porannych badań, po ulicach sunęły ikarusy i śmigały prywatne busiki. Dobry Boże, jak dobrze, że nie mam dzieci. Zero problemów. Zero odpowiedzialności. Jedyne i zasadnicze pytanie brzmi: pić czy nie pić? A gdybym tak miała dzieci i gdyby któregoś dnia zapytały: „Mamo! Jak ty żyjesz? I jak my mamy żyć?!” - oho, ciekawe, jak bym się wtedy czuła.

Otarłam pijackie łzy, powlokłam się na Dworzec Poleski, dziabnęłam tam piwo w bufecie, złapałam pociąg jedenasta sześć i wróciłam do Dobratycz.

Po euforii dopadło mnie przygnębienie - alkoholicy wiedzą, o co chodzi. Prawie depresja. I złość.

Uljana była już w domu, przyjechała swoją nowiutką skodą. Po pobliskim pagórku łazili jacyś ludzie. Coś tam mierzyli, rozstawiali pasiaste tyczki i zaglądali w lunety teodolitów.

Dostrzegłam ich, zanim jeszcze dotarłam do domu.

- Gdzie ty byłaś? - zapytała siostra.

- Co to za jedni?

- Pewnie jacyś geodeci od Kukala. Będą tu coś budować.

Dokąd, halo, stój! - i rzuciła się za mną.

Słowa „geodeci od Kukala” błyskawicznie wskazały mi konkretny obiekt tłumionej dotąd agresji. W sieni zawsze stała w kącie siekiera, którą babcia rąbała drwa. Złapałam ją i bez słowa pognałam na pagórek. Krew zalewała mi oczy. Za mną gnała

Uljanka. „Stój, zatrzymaj się! - wrzeszczała. Ludzie z teodolitami przerwali pracę i obserwowali całą akcję. - Uciekajcie, ona was zabije! - lamentowała Uljanka. - Uciekajcie, to wariatka! W nogi, jeśli wam życie miłe!”

Było co oglądać! Kobieta w czerwonym żakiecie z siekierą w ręce i szalem w oczach; za nią jeszcze jedna, właściwie identyczna i też w czerwonym ubraniu, wrzeszcząca jak potępieniec: „Ona was zabijeeeeee!”

Dwie dziewczyny i chłopak, czyli „geodeci”, zamarli. Chyba pierwszy raz zetknęli się z czymś takim i nic nie rozumieli. Chłopak ocknął się pierwszy. Złapał teodolit i wziął nogi za pas. Dziewczyny z piskiem pobiegły jego śladem. Cała trójka w mgnieniu oka wsiadła do zaparkowanego u podnóża pagórka gazika, odpaliła silnik i zniknęła za zakrętem drogi. Cisnęłam za nimi siekierą i nawet prawie trafiłam (czy rzut siekierą włączono już do dyscyplin olimpijskich? Jeśli tak, łapię się do reprezentacji narodowej). Zwycięstwo! Uczciłam je połamaniem w drobne szczapki zapomnianej przez ekipę tyczki.

Uljanka padła na trawę i wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

- Boże, ty naprawdę jesteś wariatka! Co to miało być?! Przecież to nie ich wina! Dostali zlecenie i tyle.

- A co, miałam spokojnie patrzeć? Niedoczekanie!!! Teraz pięć razy pomyślą, zanim tutaj wrócą.

Usiadłam na trawie obok siostry i zaczerpnęłam dłonią wody z bijącego opodal źródelka.

- Ten skurwysyn Kukal mówił rano, że zrezygnował z budowy, a teraz przysyła geodetów! Dobra, nie wytrzymałam, ale ani trochę nie żałuję! Niech się cieszy, że go tu nie było, dostałby za swoje.

- Kukal? Widziałas się z nim? - spoważniała siostra.

Nie było wyjścia. Opowiedziałam o spotkaniu w kawiarni.

- Nie wiem, czy dobrze zrobiłam. Gdyby nie ten cholerny alkohol, może wyciągnęłabym z niego więcej...

Uljana zamyśliła się.

- Wiesz co, Alka, nie da się z tobą nudzić, co prawda, to prawda. Myślę, że nie powinnaś robić sobie wyrzutów, sytuacja jest w miarę jasna. Jeśli choćby połowa tego, co wiemy o Kukalu, jest prawdą - a podejrzewam, że wszystko się zgadza - to mamy przechłapanie. Gość pomaga władzom, władze jemu. Ręka rękę myje. A ten podsłuch... Wiadomo, boją się Harabca, a ja pracuję w jego sztabie. Poproszę, żeby przyjechali nasi chłopcy i wyczyścili dom. Zobaczymy.

Tego dnia poczułam dla Kukala coś w rodzaju wdzięczności: dzięki niemu pogodziłam się z siostrą.

## Czerwony żakiet

Uljana była zapracowana po uszy i w dodatku nie najlepiej się czuła, więc misja przywiezienia dokumentów z brzeskiego sztabu Harabca spadła na mnie.

- Idź pod ten adres - tłumaczyła siostra, krzywiąc się z bólu i trzymając za brzuch - znajdź niejakiego Alesia Bakunowicza i powiedz, że jesteś ode mnie. Da ci zieloną teczkę. Powtórz.

Skrupulatnie powtórzyłam, włożyłam czerwony żakiet Zarnickiej i poszłam na pociąg.

Wysiadłam na Dworcu Poleskim i zamyślona powlokłam się piechotą do sztabu. Nie zwracałam szczególnej uwagi na to, co dzieje się dookoła, aż do chwili, kiedy dosłownie kilka kroków od celu dopadli mnie dwaj faceci w czarnych mundurach, chwycili pod ręce i błyskawicznie wciągnęli do stojącego opodal autobusu z ciemnymi oknami. Nie zdążyłam nawet pisnąć. Rzucili mnie na podłogę.

Przejście ze słonecznej ulicy do wrogiego półmroku było zbyt nieoczekiwane.

- Leż, kurwa, bo ci tak przyjebię, że nie wstaniesz! Skończyły się, kurwa, żarty!

Uniosłam głowę i spróbowałam wstać.

- Leżeć, mówię, kurwa!

Chłopak w kurtce ze znanym mi już napisem ODDZIAŁ SPECJALNY nad kieszenią na piersi wprawnie, z rozmachu kopnął

mnie w prawą dłoń. Zabolalo tak, że wrzasnęłam tylko: „Nie! Proszę!”, skuliłam się, przewróciłam na plecy i podciągnęłam nogi pod brzuch.

- Co, kurwa, zachciało ci się zabawy? Żegnaj się z życiem, suko! - drugi specnazowiec odbezpieczył automat, zarechotał i dorzucił: - Zaraz pojedziemy na poligon, jeszcze nie tak, kurwa, poprosisz, faszystowska dziwko!

Autobus ruszył.

Byłam oszołomiona, ale starałam się w miarę racjonalnie ocenić sytuację. Specnazowców było dwu, obaj postawni i młodzi, ale tak napakowani agresją i złością, że aż od nich odrzucało. Wyglądali jak klony: grube karki, nalane twarze, potężne ciała. Działali na zimno, z wyrachowanym okrucieństwem.

Ręka puchła, pęczniała jakimś płynem.

- Dziwka!

Po kolejnym kopniaku w połamaną dłoń ze strachu i bólu zemdlałam. I całe szczęście.

Kiedy odzyskałam przytomność, wlekli mnie gdzieś pod rękę. Z trudem uniosłam nieco głowę i zobaczyłam tablicę „Sąd Rejonowy w Brześciu”. Potem znowu zemdlałam.

Jeszcze potem jak przez mgłę zobaczyłam kobietę w czarnej todze. Pamięć mam marną, ale tego indywiduum długo nie zapomniałam: „E.A. Hrajczyk, sędzia”.

- Wstać! - powiedziała. - Proces w procedurze uproszczonej w sprawie przeciwko Uljanie Anatoljewnej Borysewicz z oskarżenia publicznego z artykułu 156 paragraf 1, „wykroczenie przeciwko porządkowi publicznemu”. Sąd otrzymał protokół poświadczający, że oskarżona obywatelka Borysewicz wyrażała się niecenzuralnie w miejscu publicznym, zaczepiała przechodniów i nie reagowała na wielokrotne upomnienia funkcjonariuszy: szeregowego Szuszko i szeregowego Pacziwego...

Pod stołem zauważyłam wystające spod czarnej togi chude nogi sędzi w gumowych sandałach. Pięty przypominały nieogoloną,

tępą, brudną twarz. Twarz jak rozdrażnione, złośliwe i bezradne pięty. Połamane palce bolały coraz mocniej, bałam się, że za chwilę zacznę wyć. Sędzia przeglądała akta.

Pacziwy szarpnął mnie za ramię, dając znak, żebym wstała. Nie wytrzymałam. Zawylałam. Kobieta w todze rzuciła mi krótkie spojrzenie, zlustrowała spuchniętą, siną rękę, którą przyciskałam do piersi jak dziecko, i spokojnie ciągnęła:

- W sprawie przedstawiono dowody w postaci zeznań szeregowych Szuszko i Pacziwego. Wyrok w imieniu Republiki Białorusi: dziesięć dni aresztu.

Mokre młaśnięcia sandałów pod stołem. *That's all*. Nie zabrałam dokumentów, przefarbowałam włosy na czarno i mam na sobie czerwony żakiet. Te sukinsyny wzięły mnie za Uljanę. Polityka nie interesowała mnie ani trochę, ale tyle przynajmniej wiedziałam: w czasie kampanii wyborczej areszt jest u nas typowym środkiem zagrzewającym kandydatów i ich sztaby do walki o lepszą przyszłość.

Przechwyciłam spojrzenie jednego ze specnazowców.

Oczywiście mogłam powiedzieć, że nie jestem Uljaną. Może daliby mi spokój i wypuścili. Ale wtedy dalej polowaliby na moją siostrę. O nie, niech już lepiej zostanie na wolności. Musi im nieźle bruździć. Dobra, jakoś wytrzymam, przecież mnie nie zabiją!

Kiedy Szuszko powlókł mnie z powrotem do autobusu, przestałam być taka odważna. Na szczęście więcej nie bili.

Specnazowcy zawieźli mnie, jak się później wyjaśniło, do brzeskiego aresztu i przekazali tamtejszym strażnikom, po czym zniknęli; wiązanki przekleństw rozplynęły się w chłodnym powietrzu.

Gruby milczek w moim wieku, ubrany już nie na czarno, a w zwykły szary mundur milicjanta (nie rozróżniam tych wszystkich belek na pagonach) zanotował moje dane w książce przyjęć, spojrział na poturbowaną rękę i podniósł słuchawkę.

- Dajcie lekarza do dyżurki.

Lekarz, też już niemłody i równie milczący, zrobił mi jakiś zastrzyk, po którym ból zelżał, a potem dwu milicjantów zawiozło mnie do szpitala miejskiego, gdzie założono mi gips.

„Dam pani bandaż gipsowy, jest lżejszy niż zwykły gips, będzie wygodniej” - szepnął doktor w izbie przyjęć, czarując nad moją ręką. Potem wróciliśmy do aresztu.

Drugi raz w życiu trafiłam do więzienia.

Dowlokłam się do drewnianego podestu służącego tutaj za łóżko, zwinęłam się na nim w kłębek i, o dziwo, natychmiast zasnęłam.

## Pachnie człowiekiem

Obudziłam się o świcie. Czerwona cegła ścian, grube mury wokół okna i czerwone promienie porannego, letniego słońca na biodrach.

Po chwili przypominałam sobie, co się wydarzyło.

Kiedy się poruszyłam, ciało odpowiedziało bólem w najróżniejszych miejscach. Mimo to wstałam.

Uljana pewnie odchodzi teraz od zmysłów, martwiąc się, że zniknęłam. Chociaż może ktoś ze sztabu widział, jak mnie zwiłali z ulicy? Przecież to tuż pod ich biurem.

Rozejrzałam się po celi. Nieotynkowane ściany, prycza, stół i taboret, oczywiście przykręcone do podłogi. Sedes. Umywalka. Sanatorium! I nieoczekiwanie przyjemny zapach: wilgotnej cegły, wapna, starego kurzu i potu. Pachnie ludźmi. A może nawet człowiekiem.

Podeszłam do okna. Kiedy stanęłam na palcach, udało mi się zobaczyć kawałek podwórza, mur z identycznej jak ściany cegły, a za nim pustą ulicę i Muchawiec. Znad rzeki płynęła lekka mgła i słychać było śpiew ptaków, buszujących po nadbrzeżnych zaroślach. Pluskały ryby. Gdzieś niedaleko warczały samochody.

No tak, brzeski areszt. Urządzono go w starym więzieniu, zbudowanym w czasach, kiedy miasto dopiero co przeniesiono ze starego miejsca na nowe. Jeden z najstarszych gmachów Brześcia.

Skrzypnęły drzwi. Odwróciłam się. Do celi wszedł młodziutki milicjant. Dobrze wiedziałam, jak należy się zachować. Stanęłam



obok przychy i wyraźnie powiedziałam: „Barysiewicz Uljana!”

Chyba go zaskoczyłam.

Przyniósł herbatę w plastikowym kubku i jakieś kanapki, zawinięte w wyrwaną z zeszytu kartkę w kratkę.

- Jest pani głodna? - zapytał całkiem nieregularnie i wtedy dotarło do mnie, że owszem, jak wilk. Nie jadłam już blisko dobie.

- Tak.

- Proszę.

- Co to takiego?

- Bez obawy. To moje drugie śniadanie. Mama dała mi do pracy. Dopiero dzisiaj wpiszą panią na listę, czyli dostanie pani tylko kolację. Proszę jeść - i postawił kubek na stole.

Poczułam łyzy na policzkach. Gardło miałam tak ściśnięte, że nawet nie mogłam mu podziękować. Wyszedł.

Mało co w życiu wzruszyło mnie tak bardzo, jak ten plastikowy kubek z niezbyt gorącą herbatą.

I o ile czerwony żakiet Zarnickiej zaprowadził mnie tutaj, do starego brzeskiego więzienia, o tyle ta ciepła herbata od młodego milicjanta sprawiła, że wyszłam na wolność. I nie tylko.

W tej herbacie było samo dobro.

Patrzyłam na kubek i ocierałam łyzy, i wtedy zrozumiałam, że nie mogę się poddać.

Nie mam prawa.

Zrozumiałam, że Bóg nie odwrócił się od tej ziemi.

I że do samej śmierci będę po stronie Boga, a nie diabła. Później zresztą też.

Nagle strach wyparował. Zniknął. Strach, który jeszcze wczoraj tkwił we mnie tak głęboko - strach przed specnazowcami i przed życiem. Nigdy więcej niczego się już nie bałam.

I wtedy przyszła do mnie babcia.

Wzięłam kubek i znowu wyjrzałam przez okno.

Wypiłam łyk.

Coś dziwnego stało się z moim wzrokiem: stopniowo rzeczy stawały się tak wyraźne, że szczegóły przysłaniały samą ich formę.

Wypiłam łyk.

Coś dziwnego stało się z moim wzrokiem: stopniowo rzeczy stawały się tak wyraźne, że szczegóły przysłaniały samą ich formę.

Stara cegła murów. Wyszczerbienia. Kurz na szybach otwartego okna. Kraty z grubych prętów. Asfalt na dworze rozpląnął się, a mgła znad rzeki rozwiała, ścichły odgłosy miasta i raptem jakbym wynurzyła się spod wody w całkiem innym miejscu niż to, w którym zanurkowałam.

Nie, nadal stałam przy oknie i w lewej, zdrowej ręce trzymałam kubek z herbatą, ale tam, za kratami, za otwartym oknem wszystko było już inne.

Zmieniło się powietrze i opadła mgła. Zmieniła się też ulica: zniknął asfalt, jakby ktoś zwinął go z ziemi, został tylko bruk. Nie słyszałam już warkotu samochodów, za to ptaki rozśpiewały się jeszcze głośniejsze. Ktoś rąbał drwa i odgłos uderzeń unosił się nad rzeką. Pachniało dymem. Gdzieś daleko kobiety pokrzykiwały w nieznanym mi języku.

Zza rogu wybiegł rudy pies.

Za nim pojawił się wóz zaprzężony w konia. Przy wozie szedł mężczyzna. Trzymał w rękach lejce. Był w marynarce, kaszkiecie i na bosaka. Obok dreptała dziewczynka w chustce, również na bosaka.

Wpiłam się wzrokiem w tę parę.

W konia.

W wóz.

Rudy pies obwąchiwał kurz na drodze i skakał koło muru.

Wóz podjechał bliżej i zobaczyłam, że jest pełen ryb. Ogromne ciemne sumy leżały wprost na sianie, obok stały plecione z wikliny kosze.

Dziewczynka uniosła głowę i spojrzała w okno więzienia.

Potem spytała o coś mężczyznę.

Dźwięki stały się wyraźniejsze i usłyszałam głos mężczyzny:

- Nie, Paweł nie siedzi tutaj, tylko w Berezie.
- Tato, a dlaczego on jest w więzieniu?

- Za politykę.
- Jak to?
- No, wygadywał na Piłsudskiego.
- Ale co wygadywał?

Mężczyzna, nie zwalniając, schylił się do dziewczynki i szepnął jej coś na ucho.

Usłyszałam jej śmiech.

Byli już całkiem blisko, o rzut kamieniem. Patrzyłam na ich twarze i wydawało mi się, że skądś je znam. Czarne włosy, szerokie nosy, nierówne mocne zęby w rozchylonych w uśmiechu ustach...

Dziewczynka przykucnęła, żeby podrapać się w nogę, i wtedy zauważyłam, że brakuje jej połowy małego palca lewej ręki. Dobry Boże! Przecież to moja babcia! Wiele razy opowiadała, jak w dzieciństwie okaleczyła się sierpem! To ona, na pewno ona, nawet palce u stóp ma identycznie powykręcane! Babcia ze swoim tatą!

Zza rogu wybiegła smągła kobieta w rozchełstanej koszuli; trzymała na rękach dziecko, raz po raz oglądała się za siebie i krzyczała coś w gardłowym języku, którego nigdy wcześniej nie słyszałam - klóciła się z inną kobietą, również pokrzykującą zza płotu.

- Tato, co te Żydówki krzyczą?
- Klóć się. Jedna wrzeszczy na drugą za to, że...

Drzwi celi znów zaskrzypiały. Odruchowo obejrzałam się i natychmiast znów spojrzałam w okno, ale nic już za nim nie było. Ani dziewczynki, ani jej taty, ani Żydówki z dzieckiem na rękach... Na drodze znów pojawił się asfalt, znów zawarczały samochody...

- Barysiewicz, szykuj się do wyjścia!

Tym razem był to gruby milicjant, który poprzedniego wieczoru przyjmował mnie do aresztu.

Wciąż jeszcze trzymałam w rękach plastikowy kubek. Herbata nie zdążyła do końca wystygnąć. Cała wizja trwała zaledwie kilka

sekund. A może wcale jej nie było? O nie, co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości. Jestem wręcz pewna, że była to nie wizja, ale rzeczywistość. Odwiedziła mnie babcia, przysłała z krainy, o której nic nie wiemy.

- Barysiewicz, idziemy! Słyszysz mnie pani?
- Tak, słyszę. Dokąd idziemy?
- Do KBB.
- Pan żartuje?
- Nie, nie żartuję. Dostałem rozkaz doprowadzenia pani do

KBB.

- Mogę zabrać herbatę i kanapki?
- Niech pani bierze.

Po drodze pokrzepiłam się śniadaniem młodego milicjanta. Brzeskie KBB mieściło się przy ulicy Lewaniewskiego, w starym polskim gmachu, cichym i klimatycznym. Zaprowadzono mnie do pokoju 156 na parterze.

Czekał tam na mnie poważny, stateczny mężczyzna. Siedział przy zupełnie pustym biurku; na jego twarzy malowała się misja. Jeszcze wyraźniej malowała się na karku. Wiecie, ten specyficzny rodzaj misji. Wstał, przywitał się ze mną i poprosił, żebym usiadła, ale nie podał swojego nazwiska. Dobrze ustawiony głos, pedantycznie przyczesane włosy.

Z namaszczeniem odpowiednim do sytuacji i lekkim ojcowskim protekcjonalizmem przemówił:

- Uljano Anatoljewna, jest pani rozsądną osobą i świetnie zdaje sobie pani sprawę, w jakich znalazła się opalach. Grozi pani proces kryminalny. Dobrze pani wie, do czego piję.

- Nie, nie mam pojęcia.

Mówił oczywiście po rosyjsku.

- Wobec tego wytłumaczę. Ale najpierw proszę to podpisać - położył przede mną jakiś papier.

- Co to jest?

- Zobowiązanie, że nie powie pani nikomu, o czym tu rozmawialiśmy.

- Nic nie podpiszę.
- Niemożliwe. Musi pani.
- Nic nie muszę. Przecież nie wszczęliście jeszcze dochodzenia, prawda? Nie. Wobec tego zgodnie z prawem mogę nie tylko odmówić podpisania czegokolwiek, ale też w ogóle rozmowy z panem.

Był mocno zdziwiony. Przeszedł do wrzasków.

- Co pani sobie wyobraża?! Czy pani w ogóle wie, gdzie się znalazła? Tu nie tacy jak pani podpisywali co trzeba!

- A czy pan zdaje sobie sprawę, że rozmawia z kobietą, która mogłaby być pańską matką? Dlaczego pan na mnie wrzeszczy?

Wyprostował się, zacisnął szczęki i zmienił ton.

- Radzę współpracować. Konfrontacja nie leży w pani interesie.

- Sama zadbam o swój interes.

- Skąd w pani tyle agresji? Porozmawiajmy spokojnie i konstruktywnie.

- Boli mnie ręka. Pańscy koledzy wczoraj podczas zatrzymania połamali mi palce.

- Zatrzymania dokonali specnazowcy, to nie moi koledzy. Pracujemy w różnych wydziałach. Może wezwę lekarza, da pani jakieś środki przeciwbólowe?

- Nie trzeba. Jestem gotowa wysłuchać, co ma pan do powiedzenia, ale niczego nie będę podpisywać.

- Skoro tak... Nie to nie - zamyślił się na chwilę, a potem wyciągnął związaną tasiemkami teczkę. - W tej teczce, obywatelko Barysiewicz, mam zeznania pewnego obywatela, którego podburzała pani do działań terrorystycznych, konkretnie do zatrucia wody w mińskich wodociągach...

Nie wytrzymałam. Oparłam głowę na zdrowej ręce i jęknęłam.

Oczywiście zinterpretował to po swojemu i wyraźnie się ucieszył.

- Powiem otwarcie: jeśli pójdzie pani na współpracę, jestem gotów zapomnieć o tej przykrej sprawie... Przecież potrafi pani logicznie myśleć. Proszę się zastanowić nad moją propozycją. Chyba wciąż nie ma pani świadomości, z kim się związała. Harabiec to marzyciel, polityczny idealista. Niby ma jakichś zwolenników, ale to mięczak, nie potrafi utrzymać ludzi w ryzach. Nigdy, powtarzam, nigdy nie poprzemy takiego człowieka, a bez naszego wsparcia o zwycięstwie w wyborach nie ma nawet co marzyć. Jest bez szans. Musi pani zrozumieć, ta walka jest z góry przegrana. A taki na przykład pani szwagier, mąż siostry-alkoholiczki - spojrział mi wprost w oczy - szybko zrozumiał, czym to pachnie i zrezygnował z kandydowania na rzecz obecnego prezydenta. I proszę, dostał ulgi podatkowe i koncesję na sprzedaż wódki. Proszę mi wierzyć, umiemy docenić ludzi, którzy idą na współpracę z nami.

- O jakiej współpracy pan mówi?

- Dobrze zna pani Harabca, sporo czasu spędza pani w jego sztabie. Ma pani dostęp do informacji, które nas interesują. Nie, nie chodzi o jakieś drobne donosy, wiem, że to dla pani nie do przyjęcia. Ale może opowie mi pani, o czym rozmawiał na spotkaniu z prezydentem Stanów Zjednoczonych? Na pewno wie to pani z pierwszej ręki...

- Pan również wie. Przecież założyliście u nas podsłuch, prawda?

- Owszem, ale Sanalejew znalazł nasze pluskwy, sama pani widziała!

- A tak... Faktycznie.

- No właśnie. W każdym razie interesują mnie rozmowy Harabca z prezydentem Stanów Zjednoczonych, kanclerzem Niemiec i...

Kabebista obszernie wyjaśnił, czego jeszcze oczekuje od mojej siostry. Mówił spokojnie, gładko, pewnym tonem, a ja wpatrywałam się w jego twarz. Anton spasował... A może od samego początku chodziło mu tylko o to, żeby się trochę potargować i dostać jakieś profity za rezygnację? Najwyraźniej władza przekonuje

do siebie na różne sposoby: jednych wsadza do więzienia, innym daje ulgi podatkowe, byle nie przeszkadzali... A bywa jeszcze ciekawiej: Uljana zatrąwa wodę w Mińsku, super! Skąd oni biorą takie pomysły?

- Przepraszam, a tak właściwie po co miałabym zatrąwać tę wodę?

Kabebista stracił wątek.

- Żeby wywołać masowe niepokoje i rozruchy, które mogłyby doprowadzić do obalenia praworządnej władzy.

- Aaa, jasne, przepraszam, że weszłam panu w słowo. Proszę mówić dalej. Chwilkę, jedno pytanie: jak pan się nazywa?

- Ściapan Fiodarawicz.

- Jest pan żonaty?

- To nie ma żadnego związku z naszą rozmową.

- Naturalnie. Wie pan, Ściapanie Fiodarawiczu, jednak nie będę z wami współpracować. Może pan śmiało wszczynać śledztwo w sprawie tych wodociągów.

- Popelnia pani wielki błąd.

- Błądzą, więc jestem.

- Grozi pani dwanaście lat więzienia.

- Nie, to pan grozi mi dwunastoma latami więzienia. Ale to jeszcze nie znaczy, że zostanę na nie skazana.

- To mogę pani zagwarantować.

- Trudno, odsiedzę swoje.

- Co za odwaga! Zapewniam, że w celi pani przejdzie.

- A właśnie, skoro już o tym mówimy. Odbywam karę aresztu, prawda? Chciałabym wrócić do celi. To koniec rozmów na dzisiaj.

Ściapan Fiodarawicz postraszył mnie jeszcze trochę, zapowiedział, że „jutro znów sobie pogawędzimy”, poradził dokładnie przemyśleć całą sprawę i w końcu odesłał do aresztu.

Zaraz po powrocie do celi poprosiłam konwojenta, żeby przekazał swoim przełożonym, że chcę złożyć ważne oświadczenie. Niemal natychmiast zjawił się oficer; oświadczyłam, że nazywam

się Ała Anatoljewna Babyłowa, nie mam zamiaru odsiadywać cudzej kary i chcę napisać oficjalne podanie o zwolnienie.

- Zaraz, zaraz, jak to? - osłupiał oficer.
- Tak to. Nazywam się Ała Babyłowa.
- Dlaczego nie powiedziała pani o tym od razu?
- Bo byłam w szoku. Dopiero teraz wracam powoli do siebie.

Proszę o papier i długopis.

- Masz ci los! - jęknął oficer. - Proszę zaczekać z tym podaniem, pogadam z naczelnikiem.

Milicjant wyszedł.

Mogłam tylko czekać. Wypuszczą mnie albo i nie. Jeśli zależy im tylko na Uljanie, to pewnie wypuszczą. Ale jeśli, powiedzmy, Uljana teraz gdzieś tam na wolności podniesie alarm, zaczną mnie szukać i wejdzie w pole widzenia kabebowców, zgarną ją i wcale niekoniecznie wypuszczą przy okazji mnie (na przykład dlatego, że zwyzywałam funkcjonariuszy). Pozostawało liczyć na wzajemną niechęć milicji i KBB: nawet jeśli milicja musi uczestniczyć w takich akcjach, robi to niechętnie. Z formalnego punktu widzenia jeśli ja to nie ja, protokół o zatrzymaniu nie ma żadnej mocy, czyli nie ma też podstaw, żeby trzymać mnie dalej w areszcie, tak?

Tym razem przyszło aż trzech milicjantów.

- Kto może potwierdzić pani personalia?
- Tutaj w Brześciu na przykład moja przyjaciółka, Alona Hieorhijewna Zarnicka, i mój znajomy, Fiodar Kopać, nie pamiętam, jak mu jest po ojcu.
- Czy Anton Babyłow to pani mąż?
- Owszem.
- A Uljana Barysiewicz to pani siostra?
- Tak.
- I gdzie w tej chwili przebywa?
- Pojechała na tydzień do Mińska, w interesach.
- Proszę zaczekać.

Milicjanci wyszli, a kiedy wrócili, było ich już pięciu. Wpatrywali się we mnie z nieskrywanym zainteresowaniem, jak w jakąś, nie



przymierzając, szantrapę. Niezła aparatka, mówiły ich miny. Po-  
tem zjawił się jeszcze jeden, z wielkimi gwiazdami na pagonach.  
Uniósł brwi i pozostali szybko zmyli się z celi.

- Proszę podpisać, Ało Anatoljewna.

- Co to jest?

- Decyzja o zwolnieniu z aresztu tymczasowego na podstawie  
artykułu 234 paragraf 3 w związku z pojawieniem się nowych  
okoliczności w sprawie, świadczących o błędnej identyfikacji  
zatrzymanego.

- Nieźle! Nawet jest na to paragraf.

- A tak, znaleźliśmy.

Przeczytałam decyzję i podpisałam.

- Dziękuję panu.

Milicjant patrzył na mnie z mieszaniną ironii i sympatii na ład-  
nej, starannie wygolonej twarzy. Mógł być moim rówieśnikiem.

- Ostro pani pogrywa. W takich czasach to niezbyt bezpiec-  
zne - pokiwał głową, próbując ukryć lekki uśmiech. - Umówimy się  
na kolację? Trzeba jakoś uczcić całą tę historię.

- Świetnie! Ale czy panu wolno spotykać się prywatnie z za-  
trzymanymi?

- Oczywiście. Pod warunkiem, że zostali zwolnieni.

- Wobec tego dobrze, byle nie dzisiaj, muszę się trochę ogarnąć.

- Jasne, rozumiem. Aha, Ściapan Fiodarawicz dowie się o  
tym zwolnieniu dopiero jutro rano, dzisiaj skończył już pracę - i  
milicjant zamknął za sobą drzwi.

Niedługo potem wyszłam na ulicę przed aresztem, tę samą, po  
której rano snuła się mgła i wpełzała w okratowane okna, a boso-  
nogi woźnica i jego córka wieźli ryby na targ.

Teraz promienie wieczornego słońca padały na wielkie liście  
starego płątana przy więziennej bramie, prawnuczka woźnicy  
przyciskała do piersi zagipsowaną rękę i kompletnie nie wiedziała,  
co dalej.

## Krąg

Do domu dotarłam taksówką: kierowca siódmego z kolei auta odważył się zabrać brudnego i rozchełstanego stracha na wróble w gipsie.

Kiedy stanęłam w drzwiach, Uljana wybuchnęła płaczem; zdążyła mnie już pochować.

W miarę składowanie opowiedziałam jej, co się ze mną działo.

- Poluj na ciebie. Nie wiem dlaczego, ale chcą cię wsadzić. Musisz zejść do podziemia - jeżeli wiesz, jak to zrobić.

- Wiem, wiem... Ale trzeba przemyśleć całą sprawę. A ty... Ty mnie po prostu... Nie mam słów. Świetna robota. Za coś takiego masz z góry odpuszczone wszystkie grzechy. Co za bydlaki!

Padłyśmy sobie w ramiona. Gorący, żywy prąd siostrzeństwa przepłynął przez nasze splecione palce.

- No dobra, ale co dalej? - zapytała retorycznie Uljana, ocierając łzy. - Może jedź ze mną do Mińska?

- Nie, nie pojedę. Kto nakarmi kury, świniaka i resztę? Zostanę i posiedzę w domu, są przecież psy, nie będę nigdzie łązi. Skoro mój Babilon zrezygnował z kandydowania i wybrał jakieś ulgi podatkowe, nic mi już teraz nie zrobią. Ale ty... Najważniejsze, żebyś sama nie wlażała w paszczę lwa. Jak chcesz się dostać do Mińska? Przecież od razu cię zgarną.

- Zgarną albo i nie. Też nie są przecież wszechwiedzący. Wczoraj pomylili cię ze mną, dzisiaj nie połapali się, że dalej siedzę na wsi...

- Ale to milicjanci z aresztu się nie połapali. A kabebowcy jutro tu przyjadą.

- Czyli muszę jechać dzisiaj, natychmiast - podsumowała siostra i rzuciła okiem na zegarek. - Zdążę na pociąg z Pragi.

Podeszła do telefonu i wystukała numer.

- Tolik, to ja. Tak, tak, zdechła nam świnka. Przyjedź jak najszybciej, musimy zakopać ją przed zmrokiem. Tak, mam. Dobra, czekam, pospiesz się.

Zrobiło mi się nieswojo.

- Co z moją świnią?!

- Nic, daj spokój, to umówione hasło. Widziałam się z nim, razem cię szukaliśmy - szepnęła Uljana.

Kiedy Tolik wpadł do domu, Uljana była już spakowana i gotowa do drogi.

- Ałka, co się z tobą działo? - ryknął od progu. - Gdzie cię diabli nosili, nie wiedzieliśmy już tutaj, co robić!

W jego głosie usłyszałam... W tym dziwnie mocnym dziś głosie... E, dobra, mniejsza o to. Zdawało mi się. Przecież jestem stara.

- Tolik, odwieź mnie na dworzec. Wszystko ci po drodze opowiem, ale teraz lecimy, żeby się nie spóźnić - i Uljanka pociągnęła go do wyjścia.

Zamknęłam za nimi drzwi, usiadłam na ławie i dłuższą chwilę nie byłam w stanie się ruszyć.

Trzęsło mną dobre dwadzieścia minut, potem jakoś wzięłam się w garść i poszłam do łazienki.

Umyłam się, trzymając rękę w górze, żeby nie zamoczyć gipsu.

Wyciągnęłam z lodówki whisky. Łyknęłam z gwinta.

I wtedy znów usłyszałam samochód.

Tolik wrócił.

Pobiegłam przytrzymać psy.

Nie weszliśmy do domu. Nie weszliśmy do domu, który mógł być zapluskwiony, w którym ktoś otruł babcię, a ja nie potrafiłam temu zapobiec, w którym stały i leżały telefony, przez które mógł nas dorwać pokręcony świat.

Tolik mocno trzymał mnie za rękę. W milczeniu poszliśmy w głąb nocnego lasu.

W srebrzyste światło księżyca i głucho jak pustka cienie.

W jedwabisty mech i piasek.

Tam, gdzie czterdzieści lat temu kopaliśmy ziemianki.

Tam, gdzie trzydzieści lat temu piórka mchu przylepiały się do chłodnej skóry.

I krąg czasu znów zamknął się po trzydziestu latach.

Dwoje alkonautów w świetle księżyca.

I tylko żebra nie tak łatwo już przeliczyć pod skórą.

## Ochrzan od Wajciaszonak

Głos Marii w słuchawce telefonu brzmiał jakoś ponuro. Mamrotała o swoich dagleziach i krwawnikach, ale wiedziałam, że chce powiedzieć coś całkiem innego.

- Czytałaś mój artykuł w „Naszej Niwie”? - zapytałam, w głębi duszy licząc na komplementy (opisałam swoje przejścia w sądzie i w areszcie, i teraz od rana w kółko ktoś do mnie dzwonił, w tym nawet amerykański dziennikarz Horst David, o ile dobrze usłyszałam jego nazwisko - prosił o zgodę na przedruk w swojej gazecie).

- Czytałam - odpowiedziała z goryczą Maria. - Skręca mnie już, jak na was patrzę. Nie mogę! Jak w ogóle mogłaś napisać coś takiego! Ty, która sama przeżyłaś tragedię?!

- Ale o co ci chodzi? - osłupiałam.

- O co, jeszcze pytasz, o co, ile można wam mówić! Kiedy w końcu zaczniecie słuchać?

- Yyyyy? - wciąż jakoś nie łapałam.

- A niby kto napisał: „I tych, którzy fałszywie świadczą przeciwko nam w sądach, i tych, którzy katują nas za ciemnymi szybami autobusów, i tych, którzy gardłują z ekranu telewizora - wszystkich ich prędzej czy później ukarze samo życie. Bo życie zawsze jest sprawiedliwe. I dlatego kara ich nie minie. Nie minie ich ludzka pogarda. Rak języka. Puste oczy ich dzieci. Bezdenna, tępa pustka”.

Maria groźnie zawiesiła głos.

- No i co? Co cię tak oburzyło? Uważasz, że życie ich nie ukarze? - zapytałam.

- Jak mogłaś napisać coś takiego o dzieciach? Puste oczy dzieci! Przecież sama byłaś matką, sama straciłaś dziecko! Są jakieś granice! Dzieci to tabu. Świętość. Przeżyłam i nie oszalałam tylko dlatego, że wieś potraktowała mnie nie jak córkę osadnika, dla którego przed przyjściem Sowietów wszyscy harowali pewnie za jakąś marną garść żyta, a jak dziecko boże... Kim ty jesteś, żeby tak pisać o dzieciach? Jak możesz komukolwiek życzyć pustych oczu dzieci?!

Oberwałam po całości. Przez chwilę czułam, jak wzbiera we mnie złość, a potem nagle opada. W rozmowach z Marią zdarza się to często: jej ostry, bezapelacyjny ton traci moc, kiedy wyobrażam sobie bezradność spojrzenia za okularami w cieniutkiej złotej oprawce.

Odłożyłam słuchawkę i w tejże chwili skrzypnęła stara kłamka - do kuchni wpadł Miszyk.

- No cześć, Ałka! Słuchaj, masz sprawny telefon?

- Tak, właśnie skończyłam rozmawiać.

- Mogę zadzwonić? U nas zepsuty, a w komórce jak zwykle karta się skończyła.

- Pewnie, dzwoń.

Wysłałam z domu, żeby mu nie przeszkadzać.

Do wieczora nie mogłam otrząsnąć się po reprimendzie Marii: może naprawdę jestem jakimś zwyrodnialcem i niedaleko mi do tych łgarzy i sukinsynów, o których pisałam w „Naszej Niwie”?

## Nie wygracie tych waszych wyborów

Horst David okazał się chłopaczkiem z niesforną wichurą lnianych włosów i żelaznymi zasadami profesjonalisty. Postawił warunek: albo przyjadę autoryzować wywiad, albo sam mi go przywiezie. Koniecznie musi mieć mój podpis i nie będzie załatwiał tego mailem czy innym faksem.

Zdecydowałam, że to ja ruszę się do Mińska. Sztab Harabca ustanowił Uljanę kuratorem okręgu brzeskiego, więc mieszkała teraz w Dobratyczach. Dostała dwu roślących ochroniarzy, Saszę i Dzimę, którzy nie odstępowali jej ani na krok w Brześciu i na spotkaniach z wyborcami we wsiach, natomiast w Dobratyczach wrzucali na luz, przebierali się i z entuzjazmem pompowali wodę, podlewali ogródek i tresowali świnię (już trzeciego dnia znalazła pierwszego prawdziwka!).

W tym towarzystwie siostrze nic nie groziło - mogłam śmiało skoczyć do stolicy. Obejrzę nowe mieszkanie, może spotkam się z eksem i przede wszystkim na spokojnie przemyślę całą tę historię z Tolikiem...

Do Mińska przyjechałam w porze, o której bladzi mieszczanie wracają z pracy, a opalone emerytki z działek. Było upalnie i duszno, i dziwnie się czułam, patrząc na szare miasto po zielonych przestrzeniach mojej wsi. Dziwnie czułam się też w metrze i potem, kiedy szłam wydeptanym nabrzeżem Świsłoczy i szukałam

swojego nowego domu. Dom okazał się nie tak znów nowy: monumentalna stalinowska forteca z gipsowymi zdobieniami, zabytek czasów, w których miliony ludzi żyły nadzieją, że kiedyś przeprowadzą się do takich pałaców.

W pałacach mieszkali głównie wybrańcy, ale dla podtrzymania nadziei w masach co mniejsze lokale zasiedlano robotnikami i sprzątaczkami. Teraz gips osypywał się z fasad, a z mieszkań dochodziły odgłosy generalnych remontów i wymiany okien. Weszłam na pierwsze piętro, wyciągnęłam klucze, otworzyłam drzwi i zatrzymałam się w progu. Za chwilę zrobię mały krok, który okaże się wielkim krokiem ludzkości - chyba jakoś tak powiedział Armstrong na Księżycu? No i zrobiłam... Wysokie sufity, obłazące tapety i dziecięce rysunki na drzwiach. Anton - albo ktoś inny na jego polecenie - przywiózł tu nasze meble. Stały stłoczone w jednym z dwu pokoi. W szafie na półkach leżała moja bielizna. W lodówce zepsute jedzenie...

Obejrzałam imponujący gąszcz pleśni na kielbasie i postanowiłam nie spotykać się już z Antonem.

Wódka na drzwiach lodówki była za to całkiem OK, tyle że ciepła.

Powoli zapadł zmrok i rozświetloną ulicznymi latarniami miejską noc spędziłam na nieposłanym łóżku; zasnęłam, zanim dotarłam do końca flaszki.

...Horst David, jak już powiedziałam, okazał się chłopaczkiem z niesforną wichurą lnianych włosów i żelaznymi zasadami profesjonalisty. Zasady obowiązywały tylko, kiedy pracował. Zaprzyjaliśmy się błyskawicznie; poprosił, żebym pokazała mu Mińsk. Zrezygnował z wycieczki do Miru i Nieświeża, na linię Stalina, na uroczysko w Chatyniu i na Kopiec Chwały.

- To gdzie wobec tego chce pan jechać?

- A możemy po prostu zwiedzić miasto? Chciałbym zobaczyć, jak się tutaj żyje. Zobaczyć i zrozumieć.

Pojechaliśmy.



Cokolwiek chciał zrozumieć, zabrał się do tego nader oryginalnie: zataczaliśmy wielkie kręgi, coraz dalej od centrum. Wzięliśmy taksówkę na Krugłej, obejrzelśmy pomnik Zwycięstwa, pomknęliśmy Komunistyczną, Kupały, Uljanowską, Kaźłowa, Maszerawa, Zwycięzców, Lenina, aleją Partyzantów, alejami Dzierżyńskiego, Żukowa, Alibiegowa, Gazety „Prawda”, Gazety „Zwieszda”... Horst wypytywał o gmachy, które mijaliśmy, a kiedy zauważał jakiś nowo wybudowany, wysiadał z taksówki i rozmawiał z robotnikami o cenach metra kwadratowego; chodziliśmy po zatłoczonych targowiskach i pustych „centrach handlowych”, zajrzeliśmy do salonu samochodowego i do USC... Chłopak wciąż gadał: z handlarzami, przechodniami i nowożeńcami, podszedł nawet do funkcjonariuszy drogówki, polujących z radarem na kierowców - zapytał, ile mandatów wypisali od rana... Taksówkarz był oczywiście zachwycony - jego licznik już dawno zwariował. W końcu wyjechaliśmy na obwodnicę, do dzielnicy willowej z mnóstwem nowych, często niewykończonych jeszcze domów. Tarasawo, Żdanowicze, Kamienna Górka, Zacań, Cnianka tłoczyły się przy szosie jak szlachta przed królem podczas sejmu: w najbogatszych strojach i z głęboko skrywanym kompleksem niższości. W Cnie Horst poprosił, żebyśmy skęcili i obejrzelі wieś. Nigdy wcześniej nie byłam w tej okolicy i nie wierzyłam własnym oczom: tysiące hektarów zabudowane wielkimi pałacami i poprzecinane rozjeżdżonymi, pełnymi kolein drogami. Wieżyczki, czerwona cegła i naturalny kamień, kute kraty i wysokie, dwumetrowe ogrodzenia... Sporo wywieszek „Na sprzedaż” i ceny: pięćset tysięcy „jednostek umownych” (każda warta dolara), sześćset tysięcy... Rekordzistą okazało się zameczysko wysokości Mount Everest wzniesione na brzegu jeziora: jedyny milion. Zatrzymaliśmy się w pobliżu. Od zasnutej czymś zielonym i oślizłym wody ciągnął podejrzany fetor. Wiatr wzbijał chmury kurzu nad wysypaną zwierem drogą, którą przyjechaliśmy, i toczył po żółkłej od suszy

trawie plastikowe butelki. Horst ruszył w stronę willi, ja zostałam w samochodzie - trudno wziąć mnie za potencjalnego kupca domu za okrągły milion...

Kiedy jechaliśmy już na lotnisko, chłopak (nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat) zdecydowanie oświadczył:

- Nie wygracie tych waszych wyborów. Problem nie w tym, że większość zagłosuje na obecnego prezydenta - nic podobnego, ta większość ma poczucie odpowiedzialności i sprawiedliwości. Ale w waszym kraju właśnie powstała warstwa bogatych na wpół właścicieli, na wpół urzędników. Wielka grupa absolutnie amoralnych - albo zdemoralizowanych - ludzi, którzy non stop dostają dzikie - jak wy tu mówicie, wściekłe? - pieniądze. I nie zaryzykują ich utraty w przypadku zmiany władzy. Za wysoka stawka. Przy tym wciąż jeszcze nie czują się pewnie. Pewność przyjdzie z czasem. A na razie wygrają wybory. Wścieklizna to straszna choroba, i wasze społeczeństwo właśnie na nią zapadło.

## Pozdrowienia od Tarasa Ślizołki

Spojrzenie, którym odprowadziła naszą kawalkadę Lonicha, było tak przenikliwe, że aż się zaniepokoiłam, czy czasem nazajutrz któraś z jej synowych nie wypadnie na nas z motyką (Wola - żona Walika i Wandzia - żona Tolika; Wandzia jest dojarką, a Wola babcią klozetową w Brześciu; Wandzia jest bardzo gospodarna, a w oczach Woli zawsze widać jakiś specyficzny, dobrotycki smutek). Tymczasem z motyką wypadła Aksanka i to właściwie bez żadnych podstaw - w końcu z jej Siarhiejem nie jeździłam na ryby.

Bo jechaliśmy na ryby. Wiecznie zabiegana Uljanka spała ostatnio nie więcej niż pięć godzin na dobę i w kółko tłukła się gdzieś po obwodzie brzeskim, aż tu nagle sama zaproponowała, żeby powędkować, a również wiecznie zapracowani Walik i Tolik, którzy zdaje się często wręcz nocowali w swojej Agrowitalice, nie wiedzieć czemu entuzjastycznie przyjęli tę propozycję. Dziwne.

Przyjechaliśmy nad Kopany Rów - maleńki dopływ Bugu, rzeczkę, której wbrew nazwie nikt nigdy nie przekopał ani nie wyregulował; ryb było tu nieco mniej niż w stawach gospodarstw rybnych, ale też i mniej ludzi: miła cisza i spokój.

Wieczór spędziliśmy rozkosznie. Głównie dzięki kremowi przeciw komarom.

W zatoczce pośród drzew wszyscy oprócz Uli zarzuciliśmy wędki. Chłopcy byli czymś wyraźnie podekscytowani, szczególnie Tolik.

Zapadła cisza.

Opodal bezszelestnie wynurzyła się z nurtu wydra i równie bezszelestnie zanurkowała z powrotem.

- Dobra, co jest?

- Chcę... - powiedzieli jednocześnie Uljanka i Tolik i jednocześnie zamilkli. - Ty pierwsza - rzucił po chwili Tolik.

- Ech - westchnęła Uljana. - Masz pozdrowienia od Tarasa Ślozki.

Chłopcy patrzyli na nią pytająco. Tak, kojarzyłam to nazwisko.

Bodaj w dziewięćdziesiątym szóstym roku Taras wraz ze swoimi kolegami, ukraińskimi nacjonalistami z UNSO, przyjechał do Mińska na akcję Czarnobylskie Drogi. „I jak tam, synku, dokąd zaprowadziły cię te twoje drogi?” - pyta Andrzej Chadanowicz w jednym ze swoich wierszy. To samo pytanie zadał ukraiński konsul, odwiedzając Ślozkę w więzieniu. Do dzisiaj nie wiadomo, kto sprowadził wtedy Ukraińców i kto tak naprawdę przewracał samochody, wzywając do ataku na pałac prezydencki. Może po prostu prowokatorzy z KBB. W każdym razie Ukraińców zatrzymano, osądzono i skazano na półtora roku; kiedy Uljanka dowiedziała się o tym, zaczęła im nosić paczki, a potem, kiedy władza uznała, że dość już tej demonstracji siły i mogą wyjść z więzienia, zaprzyjaźniła się z nimi. Ślozka dowodził całym towarzystwem. Co ciekawe, w trakcie afery dorobił się narzeczonej i do domu wrócił już nie sam. Może znowu chce nas odwiedzić, tym razem z okazji wyborów?

Uljana krótko opowiedziała chłopakom powyższą historię, wyciągnęła z kieszeni złożoną na osiem karteczkę i podała mi zdecydowanym ruchem.

- Dasz radę przeczytać? Nie, nie tak, odwróć.

Tolik i Walik przysunęli się bliżej.

Słońce zniknęło już za horyzontem, pozostawiając tylko pas różowych chmur, ale było jeszcze wystarczająco jasno, żeby bez kłopotu odczytać tajemniczy tekst.

Była to kserokopia jakiegoś niewielkiego kawałka papieru czy może pergaminu pokrytego starosłowiańskimi literami.

Wyblakłe, szare, napisane niemal ciurkiem i bez znaków przestankowych głośiły:

- *Naprtiw kostomłot młynu - dukalam - naprawym bieriezie jak pahorok wnori poddubom karpus pokaże... Co to jest?!*

- Ceduła pana Tryzny! - wrzasnął Tolik.

Uljanka znów ciężko westchnęła i pokiwała głową.

Okazało się, że po stypie postanowiła napisać do swojego znajomego i kolegi po fachu, niejakiego Panamarowa, szefa oddziału akt starych w Archiwum Lwowskim, i poprosić go, żeby sprawdził, czy nie mają czasem jakichś dokumentów dotyczących rodu jubilerów Tryznów.

- Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że cokolwiek znajdzie - opowiadała Uljanka, siedząc na brzegu Kopanego Rowu. - Nie mają jeszcze katalogów elektronicznych, archiwum jest ogromne, akta ledwie się mieszczą i prawie nikt nad nimi nie panuje, a do tego Panamarow jest wiecznie taki zajęty... Dlatego bardzo się zdziwiłam, kiedy po tygodniu zadzwonił do mnie, żeby ustalić, jak - przez kuriera czy pociągiem - dostarczyć mi znalezi-sko. Zapytałam, jak mu się udało i jakim cudem tak szybko, na co powiedział, że pod lufą pistoletu, i wybuchnął śmiechem. Okazało się, że szefem ochrony jest w archiwum Taras Ślózka. Taras przypadkiem zobaczył mój list na monitorze i dosłownie sterroryzował biednego Panamarowa bronią, po czym razem zabrali się do poszukiwań i znaleźli w magazynach, co trzeba. No i Taras załącza pozdrowienia... Krótko mówiąc, przysłali mi wielki stos kserokopii - testamenty, pozwy, nawet uniwersał Chmielnickiego, w którym pojawia się nazwisko Tryzna. To bardzo znana rodzina,

król nadał im specjalny przywilej, zezwalający na handel z Han-  
zą... No i w ten sposób znalazłam ten dokument.

- No dobra, ale dlaczego tak ciężko wzdychasz? - zapytał To-  
lik, cały rozpromieniony.

- Bo teraz na bank będziecie szukać skarbu pana Tryzny, nie  
zdołam was już powstrzymać. Miałam wam nie pokazywać tego  
świszka, ale sumienie mi nie pozwoliło.

- A po co niby masz nas powstrzymywać?

- Bo szanse macie bliskie zeru, za to kłopoty murowane.

- Jak to bliskie zeru? Przecież tu jest wyraźnie napisane: na-  
przeciw Kostomłotów. Pewnie był tam jakiś młyn...

- A co to jest „karpuś”? - przerwałam mu w pół słowa.

- Karpuś to imię. Męskie. Karp.

- Czyli co, młyn był na prawym brzegu?

- Na prawym.

- To mamy przekopać ten brzeg? Przeorać traktorem? Jak się  
tam dostaniemy? Przecież to już granica, za drutami.

- E, bez przesady z oraniem. Jutro przywożą nam wykrywacz  
metal. Właśnie o tym chcieliśmy wam z Walikiem powiedzieć.

- Co przywożą?

- Wykrywacz metalu.

- Jaki znowu wykrywacz?!

- Wojskowy.

- Pięknie!

- Stwierdziliśmy z Tolikiem, że ten skarb to nasz ostatni ratu-  
nek - tłumaczył Walik. - Jesteśmy splukani. Musimy zdobyć jakąś  
forse. Dlatego chcieliśmy się z wami spotkać i ustalić jakiś plan  
działania.

- Wiecie, płacę za małego siedemset doliców za semestr, a  
troje młodszych też trzeba będzie wykształcić...

- Własnym uszom nie wierzę, dorośli ludzie! - Uljanka złapa-  
ła się za głowę. - Musimy pracować, działać, zmieniać władzę, a  
ci się biorą za szukanie skarbu... Jesteście niepoważni!

- Dzisiaj w radio mówili to samo o Harabcu. Niepoważny idiota. Pakuje się w jakieś zabawy. Nie wie, co znaczy życie. I że trzeba pracować. I żebyśmy byli dorośli.

- Tak, tak, jesteśmy dorośli i wszystko to już wiemy - przytaknął Walik. - Brygadzysta ma się kiedy nauczyć, naogląda się życia do syta. Od kiedy pamiętam, w kółko ktoś uczy mnie żyć. I proszę, w jakim gównie siedzę od tych nauk. Co mi szkodzi spróbować?

- Skąd wzięliście ten cały wykrywacz?

- Brat Handzi służy w Jużnym, w saperach.

- Spółka „Zero szans” - skrzywiła się Uljanka.

- A właśnie, że nie - zaproponowałam. - Chłopaki mają rację. Co nam szkodzi spróbować? Wchodzę w to, choćby po to, żeby znów dostać się na pas przygraniczny, ostatnio byłam tam, kiedy miałam jakieś dziesięć lat i nic nie rozumiałam...

- Jasne. Powiedz jeszcze, jak zamierzasz się tam dostać? Przyczepisz sobie do butów łosie kopyta czy wykopiesz tunel?

- Może i wyko... - i tu nagle mnie oświeciło. - Nic nie muszę kopać! Tunel już jest, i chyba nawet wiem gdzie!

Opowieść o tym, jak Lonicha włąziła do grobowca, chłopcy przyjęli najpierw ze skrywanym niedowierzaniem, a potem z jawnym już entuzjazmem. Uljana wciąż była sceptyczna.

- No nie wiem. Jak byliśmy mali, sto razy zbadaliśmy cały ten grobowiec i nie było tam żadnych tuneli.

- Tak, czterdzieści lat temu nie było. A teraz są. Sami zobaczycie. Jedziemy?

- Jasne, tylko powieś na traktorze transparent: „Ludzie! Jedziemy szukać tunelu!” Po pierwsze, nie teraz, po drugie, nie taką hordą! Powolutku, po cichutku... I tak Lonicha mało już sobie oczu nie wypatrzyła...

- Dobra, to wpadnę dziś do was - zaproponował Tolik - obgadamy sprawę. A co do tego, jak dostać się na pas przygraniczny, też mamy z Walikiem pewien pomysł...

## Na granicy i za granicą

Wiecie, co to granica? Ludzi, którzy na niej mieszkają, rozpoznacie z daleka.

Mają w oczach smutek.

Ich przestrzeń otwiera się tylko na wschód. Od zachodu zamyka ją drut kolczasty. Tylko kanie swobodnie latają tam i z powrotem.

Starszy facet w marynarce marengo stoi przy drzwiach pociągu i w pewnym miejscu, kiedy tory zbliżają się do granicy tak, że przez trzy sekundy widać w oddali kawałeczek starego Kodnia, staje na palcach i wyciąga szyję...

I w letni dzień, kiedy fala upału kołysze w powietrzu krzakami wikliny, zdaje się, że tam, za drutami, zaczyna się coś niezmiernie, niewiarygodnie pięknego. Zaczyna się, ale nie dla nas: po drodze są druty.

Na tamtym brzegu Bugu, za sowiecką granicą, zostały Kodeń z ruinami pałacu Sapiehów, Kostomłoty z drewnianą cerkwią zbudowaną szesnaście lat po Unii Brzeskiej, słynący cudami prawosławny klasztor w Jabłecznej... Są poza naszym światem. A pociąg relacji Brześć-Włodawa nie jedzie do Włodawy, kończy bieg na tym brzegu, w Tamaszowce.

Za granicę, za drut kolczasty, na pas ziemi niczyjej, który tak nęci nieosiągalnym pięknem, trafić mogą jedynie ludzie ze specjalnymi przepustkami. Na przykład pracownicy spółki z o.o.



Agrowitalika+. Pas ziemi niczyjej ma szerokość kilometra i biegnie wzdłuż Bugu; Agrowitalika+ wypasa tam krowy i sieje żyto. Kiedyś, kiedy jeszcze chodziliśmy do szkoły, też nas tam wysyłano: kosiliśmy kołchozową trawę. Wówczas jeden jedyny raz znalazłam się w miejscu, gdzie dawniej stały Dobratycze. Biegaliśmy po starych sadach; do dzisiaj czuję w ustach smak zapomnianych, starych gatunków jabłek...

W miarę upływu lat coraz częściej śnią mi się tamte, dawne Dobratycze. Ukośne, ostre promienie słońca, takie, jakie zdarzają się tylko w snach, czarne belki chat, czarne furtki, czarna ziemia... I korci mnie, coraz bardziej mnie korci, żeby tam wrócić. Rozejrzeć się. Przysłuchać.

Tolik przyjechał o dziewiątej, tak jak się umawialiśmy.

Na potrzeby tych, którzy mogli nagrywać naszą rozmowę, wymieniliśmy parę nic nieznaczących zdań i powiedzieliśmy sobie „do widzenia”. Tolik, patrząc mi prosto w oczy, machnął ręką: dobra, włącz!

No i włąłam. Rozejrzałam się na boki i wśliznęłam się przez otwartą klapę do cysterny na wodę.

Na ziemi niczyjej jest mnóstwo paszy, ale brakuje wody - do Bugu nie wolno się zbliżać - więc Tolik codziennie wozi traktorem cysternę wody dla krów. Chłopcy zamierzali przemycać w cysternie wykrywacz metalu i przy każdej okazji szukać skarbu - obaj często jeżdżą służbowo za druty.

W nocy spotkałam się z Tolikiem w lesie i uprosiłam go, żeby mnie też zapakował do cysterny. Czasem warto sobie pozwolić na jakąś głupotę.

Może zresztą nie taką znów głupotę, bo Tolik zgodził się prawie bez oporu. Powiedział, że pogranicznicy już od dawna nie sondują wody długim drągiem, co powinni robić według przepisów. Raz na ruski rok prosili Tolika, żeby otworzył klapę, i bez większego zainteresowania zaglądali do cysterny. Umówiliśmy się, że jeśli usłyszę łoskot otwieranej klapy, zanurkuje i będę siedziała pod wodą, dopóki starczy mi powietrza.

A poza tym nawet jakby co, to przecież jestem wolnym człowiekiem i mam prawo zrobić czasem jakieś głupstwo - od siedemnastu lat nie mam męża! Słowem, Tolik zgodził się na wszystko i rano traktor zajechał przed dom.

Nigdy nie forsowaliście granicy w ciągniętej przez traktor cysternie na wodę? Szkoda, bardzo polecam. Po takim doświadczeniu rafting, jachting czy inne ekstremalne nurkowanie mocno tracą na atrakcyjności. Kurczowo wczepiona w jakiś wihajster na klapie, plując wodą i tańcząc na śliskim, półokrągłym dnie beczki szaloną tarantelę, byle tylko utrzymać się na nogach, szybko przestałam obawiać się pograniczników. W razie czego przynajmniej mnie uratują... W ciągu pięciu minut, których potrzebował nasz traktor, żeby dotrzeć od domu do posterunku na granicy, jakieś osiem razy byłam o włos od utonięcia i całkiem straciłam nadzieję, że dotrę na miejsce żywa. Najpierw starałam się jeszcze chronić gips przed zamoczeniem, ale szybko odpuściłam: nic z tego.

Traktor ostro zahamował. Zapadła głucho brzęcząca w stalowej beczce cisza; po kilku stuleciach znowu ruszyliśmy. Wzburzone fale bez ładu i składu odbijały się od ścian i zalewały mnie z głową. Kiedy po kolejnych paru stuleciach traktor zatrzymał się i Tolik wyciągnął mnie na świat boży, wyglądałam jak błotna ruszałka: ujmująco zielonkawa, z glonami we włosach, bosa i wkurzona. Czysta ryba.

- Zwariowałaś! - wrzasnęłam. - Mało tam nie wykorkowałam! Mogłeś jechać ostrożniej! I skąd ta woda, z bagna?

- Przecież uważałem - mamrotał Tolik. - A woda ze studni, wszystko według przepisów. Pewnie na ścianach coś się poosażdało - zdjął mi z głowy i uważnie obejrzał pęczek glonów.

- Uważałeś! - woda spływała ze mnie strumieniami. Nie miałam się w co przebrać ani nawet czym wytrzeć. Trzęsło mnie z zimna, ale w prażącym słońcu szybko dochodziłam do siebie. Złość też mi już mijała.

Rozejrzałam się wokół. Jestem, wreszcie jestem w miejscu, do którego tak długo w ślad za kaniami ulatywał mój wzrok. I naprawdę jest tu jakoś inaczej niż u nas, za drutami. Nie ma porozrzucanych plastikowych butelek i papierów? Nie ma hałasu? Powietrze jest wilgotniejsze i nie pachnie tak sosną? Stara droga szerokim łukiem okrążała bagnisko... U nas dawno już nie ma takich krętych dróg.

- To było pierwszy i ostatni raz! Ale grunt, że jesteście. Posiedź tutaj na razie pod gruszą - Tolik zakrzywionym prętem wyławiał z cysterny moje buty. - Jadę teraz do krów, a potem zaczniemy szukać. Przy okazji coś ci opowiem, zaraz odzyskasz humor.

Traktor kaszlnął i zniknął za zakrętem.

Dzika grusza błyskała listkami na lekkim wietrze.

Roślinność podmokłych łąk słała się wokół jak dywan.

Znowu się rozejrzałam. Ani żywej duszy. W oddali zamierał warkot traktora. Słońce. Błyski listków gruszy. Pusta droga. Nie-wielka nizina, za nią gąszcz wikliny i jaworów, i za nimi - wiedziałam przecież - Bug.

Rozlewiska Bugu.

Po którym pływały dłubanki i pychówki.

Po którym płynął kiedyś młyn, a na młynie kogut.

Chciałam biec do niego, do Bugu, który był bogiem tyłu pokoleń moich przodków.

Ale Tolik kazał czekać, więc położyłam się na ziemi, zamknęłam oczy i nasłuchiwałam.

I nagle... Nagle to zdarzyło się po raz drugi. Znienacka zaczęłam widzieć wszystko tak ostro, że całość zatarła się w szczegółach. Trawka koło oka, za nią kolejna. Buraczkowa łodyżka smółki. Wiatr. Błyszczące w słońcu listki gruszy. Ziemia zadrżała - gdzieś niedaleko pędzili konni. Jakie powietrze! Całkiem zmieniło smak.

Ziemia dudniła coraz mocniej, jeźdźcy byli coraz bliżej. I jeszcze lekki tupot - widzę, przed nimi biegnie dwu ludzi, dorosły i

chłopczyk, dorosły ma ciekawą czapkę - wielką i futrzaną, szerszą niż ramiona...

Warkot silnika zagłuszył dudnienie kopyt.

Powietrze znów pachniało jak przedtem.

Wszystko skończyło się, zanim zdążyłam zrozumieć, o co chodzi. Traktor przyhamował koło gruszy.

- No, do roboty - Tolik wyskoczył z kabiny, złapał mnie za rękę i pomógł wstać. - Mała zmiana planu. Byłem wczoraj na cmentarzu. W grobowcu faktycznie znalazłem ukryte za płytą solidne drzwi z patentową kłódką, nie udało mi się jej otworzyć, trzeba będzie popróbować z różnymi kluczami. Teraz idziemy nad Bug, sprawdzimy, czy nie widać gdzieś na tamtym brzegu młyna. Zrobimy wstępne rozpoznanie terenu. A potem na cmentarz - twoja racja, za drzwiami jest pewnie tunel i bardzo chciałbym wiedzieć, dokąd prowadzi. Szybko, przepustkę mam tylko do czwartej.

Tolik nie dał mi się napatrzeć na rzekę moich snów. Pognaliśmy na zarośnięty brzeg; szukał i węszył jak chart na polowaniu, pospiesznie, ale starannie. Od czasu do czasu nader zwinnie wpiął się na drzewa i rozglądał po okolicy; podnosił niskie łapy sosen, przeczesywał splecione krzaki i zarośnięte mchem rowy i wsadzał nos w darń, starając się jak najlepiej przygotować do metodycznego poszukiwania skarbu. A przy okazji opowiadał, co odkrył w grobowcu.

- Jeżeli jest wejście, to musi być też wyjście, prawda? Drzwi są nowe, zrobione całkiem niedawno. Tunel musi prowadzić za granicę. A jeśli tak, bardzo ułatwi nam to sprawę. Będziemy mogli przychodzić tutaj, kiedy nam się spodoba.

Pomyślałam o podróży w cysternie i musiałam przyznać mu rację.

Biegaliśmy po jakichś dolinkach, chaszczach i kępach wikliny.

- Ciekawe tylko, po co Lonisze ten tunel? - myślał głośno Tolik.

- W tym miejscu były kiedyś Dobratycze, prawda?

Tolik uniósł głowę i rozejrzył się wokół.

- Tak, chyba tak. Czekaaj, gdzie my dokładnie jesteśmy? Aha, patrz, droga - machnął ręką na wschód - obok ten wielki jawor, a tam...

Raptem mocno szarpnął mnie za ramię, obalił na ziemię, zrobił straszną minę i przycisnął palec do ust.

- Pogranicznicy - szepnął bezgłośnie.

Wtuliłam się w trawę.

Pogranicznicy szli wzdłuż ogrodzenia, słyszeliśmy ich głosy.

- Czuję zająca. Szkoda, że nie mogę go spuścić.

Powrót pustą cysterną był nieco przyjemniejszy. Znalazłam miejsce, w którym dało się w miarę stabilnie stać, i Tolik bez kłopotów dowiózł mnie do domu.

Pół godziny później w lesie, w dziurze po ziemiance, którą wykopaliśmy przed czterdziestu laty, podsumowaliśmy zaistniałą sytuację, jak to ujmują agencje informacyjne.

Tolik przyniósł wykrywacz metalu. Przypominał coś w rodzaju stalowego odkurzacza. Poświstywał i mrugał czerwoną lampką. Kiedy Walik podsunął mu pod nos zardzewiałą puszkę, lampka zamrugła na zielono i odkurzaczy dla odmiany zawył.

- Reaguje na wszystkie metale, kolorowe też. Zasięg dwa metry w pionie i poziomie - wyjaśniał Tolik, przeszukując polanę. - Pożyczyłem na tydzień. No dobra, czyli co mamy? Po pierwsze, cedule ze wskazówkami, gdzie szukać skarbu - na prawym brzegu, na wysokości Kostomłotów, naprzeciwko młyna. Dzisiaj obejrzeliliśmy z Alką okolicę, nie widać żadnego młyna. Trzeba pojechać do Kostomłotów i rozejrzeć się na miejscu. Czyli co najmniej dzień w plecy.

- Nie musimy jechać - powiedziałam. - Przecież tam siedzi teraz Zarnicka, wszystkiego dowiemy się od niej przez telefon. Co więcej, może nawet wyjść na brzeg z tamtej strony.

- Super! No to zostają drzwi w grobowcu.

Tolik wyjaśnił Walikowi, o co chodzi.

- Hm, może zapytamy Lonichę wprost? - zaproponowałam.

- I jak to sobie wyobrażasz? Przecież nie wiemy, co ma wspólnego z tym tunelem. Może w ogóle nie będzie chciała rozmawiać? Poza tym jest głucha. Musiałabyś wrzeszczeć tak, że w Pryłukach usłyszą... Nie, wymyślmy coś innego.

- No to trzeba ją śledzić - powiedział Walik. - Skoro była tam raz, prędzej czy później pójdzie znowu.

- I co tak na mnie patrzycie? - warknęłam, doskonale wiedząc, czego oczekują.

- Uljanka jest zajęta, my pracujemy... Śledzenie spada nie ciebie, nie ma wyjścia.

- *Only you...* - zaśpiewał Walik à la Presley, całkiem nieźle mu wyszło.

Tylko pokręciłam głową. Mam strugać bohaterką harcerkę, siedzieć całymi dniami na drzewie i wypatrywać Lonichy?!

- Wiecie co, może po prostu wyważymy te głupie drzwi! - zaproponowałam.

- Aha, a Lonicha czy Bóg jeden wie kto jeszcze wkurzy się, też zacznie nas śledzić i wpadniemy. Mowy nie ma! Musimy działać ostrożnie.

- A jak pójdzie tam na przykład dopiero za miesiąc? Albo wcale?

- Obserwuj ją na razie, a my z Walikiem od jutra zaczynamy szukać. Przewieziemy wykrywacz w cysternie i zostawimy w skrytce. Czasu będzie mało, bo przepustki na ziemię niczyją zawsze wypisują krótkie. Trudno, jakoś sobie poradzimy. Możesz od razu zadzwonić do Zarnickiej?

Zarnicka prawie się nie zdziwiła, kiedy zapytałam, czy w Kostomłotach jest jakiś stary młyn, za to zdziwiliśmy się my: zapewniła, że najbliższy młyn jest dziesięć kilometrów od wsi i wcale nie nad Bugiem - chodziło o wiatrak w skansenie w Siemiatyczach.

Tolik oświadczył, że w tej sytuacji trzeba w ciągu tygodnia przeszukać cały brzeg naprzeciw Kostomłotów i że jutro Zarnicka powinna nam jakoś wyznaczyć początek i koniec wsi. Nie zdążyłam złapać za telefon, kiedy sama do nas zadzwoniła.

- Mówi - przekazałam szanownym kolegom - że właśnie zapytała staruszkę na ulicy i że ta nie pamięta żadnego młyna w Kostomłotach, ale są jakieś pale, które podobno zostały po starym młynie. - Słuchaj, Lena, dowiedz się dzisiaj, gdzie to jest, i jutro o... - spojrzałam pytająco na chłopaków.

- O dwunastej.

- O dwunastej, czyli według polskiego czasu o jedenastej, wyjdź na brzeg dokładnie na wysokości tych pali i posiedź z pół godzinki. Nie, na razie nie mogę. Potem. Możesz po prostu siedzieć albo łowić ryby, pleść wianki, jak sobie chcesz. Pewnie, dlaczego nie z dziećmi. Najważniejsze, żeby dokładnie przy palach i żeby cię było widać z drugiego brzegu. Zrobisz nam ogromną przysługę. Dobra, pa, później zadzwonię.

## Nie wszystkie bumerangi wybierają wolność

Wieczorem dzięki Saszy i Dzimie, którzy wrócili do domu nieco wcześniej niż zwykle i podlali ogród, miałam czas, żeby spokojnie przemyśleć, co się ze mną dzieje. Uljanka siedziała w piwnicy (w miłym chłodzie) i pisała tekst nowych ulotek, Sasza i Dzima pracowali, a mnie oddelegowano do gotowania kolacji, czyli ziemniaków z kurkami, których nabierałam z pomocą tresowanej świni.

Woda piękną, przejrzystą strugą płynęła z wiadra do rondla i z wiadra do czajnika.

Najciekawsze, że względnie spokojnie znosiłam wszystkie wariackie wydarzenia tego lata. W piątej dekadzie życia mało co może już człowieka zdziwić. Wpadłam w jakieś odrętwienie moralne, które pomogło mi przetrzymać i śmierć babci, i akcje Kukula, i areszt... Może nie odrętwienie, a hart ducha, sama nie wiem. A może zwykła głupota, jakiś niedorozwój umysłowy: dzień w dzień takie rewelacje, a ta idiotka siedzi w swoich Dobratyczach i karmi świniaka... Ale, po pierwsze, kto ma go niby karmić, a po drugie, nawet jeśli stąd wyjadę, co to zmieni? Kukal dorwie mnie nawet w Mińsku. A tutaj przespaceruję się po lesie, posłucham odwiecznego szumu sosen, pobuszuję wzrokiem po splątanych iglastych gałęziach i ogarnia mnie taki spokój...



Uljanka zawsze umiała logicznie myśleć, znajdować przyczyny i skutki, a teraz też przecież zdążyła się pogubić. No, ale przynajmniej wie, co ma konkretnie robić. Kiedy wczoraj pomagałam jej przeładować wydanie specjalne „Towarzysza” - kierowcy udało się zgubić kabebowski ogon i mieliśmy tylko dwadzieścia minut, żeby przerzucić stutysięczny nakład do innego auta, dojechać do Dobratycz i zatrzeć ślady - cała nasza szóstka (Ula, ja, Sasza, Dzima i dwaj kierowcy) zmachała się okropnie i kiedy obie ciężarówki pognały już w różne strony, nie mogłam się nawet napić: przeforsowana zdrowa ręka trzęsła mi się tak, że wylewałam wodę z kubka. Siostra napiła mnie, potem siebie, otarła spocone czoło, położyła się na ławce i powiedziała:

- Brawo, Ałka! Jesteś normalnie jednoręka bohaterka! Gdyby nie ty, pewnie by się nie udało - i dodała: - Nigdy nawet nie myślałam, że usiądę za kierownicą i, co gorsza, będę gubiła jakieś ogony, redagowała ulotki i drukowała je na risografie w piwnicy... I uśmiechała się do szefów wydziałów ideologii, żeby wynająć salę na spotkanie, i szarpała z redaktorami jakichś „Czerwonych Gońców” czy innych „Więści Radzieckich”... Swoją drogą, ciekawi ludzie - spoważniała. - Nie wierzę, po prostu nie chcę wierzyć, że babcia zginęła przeze mnie, dlatego, że pomagam Harabcowi, chociaż on sam tak uważa. Nie chcę wierzyć! Bóg by do tego nie dopuścił. Ale gdybym mogła cofnąć czas, postąpiłabym tak samo. Pamiętasz takie powiedzenie: rób, co trzeba, a będzie, co będzie. No więc robię, co trzeba. Tylko że konsekwencje spadają również na ciebie. Każdego dnia dzieje się tyle nowego, nie ma kiedy myśleć. Możemy się tylko modlić, żeby uprzędzić ewentualne nieszczęścia.

Jak zwykle - jak przez całe życie - musiałam się z nią zgodzić.

Będzie co będzie.

I tylko bardzo, naprawdę bardzo chciałam zrozumieć, jak to się dzieje, że trafiam do przeszłości, i jak robić to nie przypadkiem,

ale na własne życzenie. Nie mogłam doszukać się żadnej reguły, niczego, co łączyłoby obie wizje i pozwoliło zrozumieć ich funkcjonowanie. Z zamyślenia wyrwał mnie zapach spalenizny. Na szczęście zdążyłam jeszcze uratować kolację.

Sasza i Dzima akurat wrócili z ogrodu i myli ręce przy starej umywalce na podwórku, a my z Uljanką nakrywałyśmy stół pod sosną. Niosłam rondel z ziemniakami, a Uljana talerze i widelce, kiedy raptem Sasza, zerknąwszy w naszą stronę, zamachał namydlonymi rękami i wykonał imponujący skok.

Wylądował na naszych ramionach i wszyscy troje grzotnęliśmy na ziemię, przy czym ja bokiem, a Sasza akurat na moją zagipsowaną rękę. I wówczas tuż nad moim nosem przeleciał... bumerang! Najprawdziwszy bumerang, wielki, naostrzony i ciśnięty z ogromną siłą, zatoczył łuk w powietrzu i jak na bumerang przystało, poleciał z powrotem - w stronę pagórka, z którego go pewnie rzucono. Psy szczekały i rwały się z uwięzi.

Sasza i Dzima odwiązali Dzidę i rzucili się w ślad za bumerangiem w gęste, splątane krzaki. Siostra pomogła mi wstać.

- Patrz, Uljanka, nawet nie wysypałam ziemniaków! Kolacja uratowana! - to było pierwsze, co przyszło mi do głowy. W zdrowej, wyciągniętej ręce trzymałam rondel.

- Kolacja! Dobrze, że jesteśmy całe. Ale świszczą!

- No.

- Hm, do tej pory KBB chyba nie miało na wyposażeniu bumerangów... Wyobrażasz sobie, co się dzieje, jak dostaniesz takim gnatem w potylicę? Inna sprawa, że zaczynam się przyzwyczajać: dzień w dzień jak nie areszt, to próba zabójstwa!

- E tam, bumerang to nie bomba atomowa! Ani nie, ten, no... pistolet atomowy. A na nas to tylko atom!

Złapał nas atak nerwowego śmiechu.

Tymczasem wrócili zdyszani Sasza z Dzimą. Wepchnęli nas do domu i odwołali kolację na świeżym powietrzu, za to kategorycznie zapewnili, że bumerang nie miał nic wspólnego z KBB.

- Wykluczone!
- To kto to był?
- Nie wiemy. Na pagórku było pusto. Bumerang też zniknął. Wicie, nie wszystkie bumerangi wybierają wolność - niektóre wracają do swoich właścicieli. Ale jedno jest pewne: to nie kabełki. Bumerang wymagałby specjalnych procedur; bez procedur w organach ani rusz - powiedział Dzima. - Pracowałem tam przecieź. Sasza też. Możecie nam wierzyć.

I usiedliśmy do kolacji. Wierzyłam Dzimie, ale jakoś mnie to nie uspokajało.

## Na czatach

Na czele drużyny poszukiwaczy skarbów stanął z własnej i z nikim niekonsultowanej woli Tolik. Pozostawało pytanie, czy aby na pewno nadaje się do roli hetmana. W każdym razie to on rozkazywał i wypadało słuchać.

Nie, na początku *na czatach* było mi całkiem wygodnie. Znalazłam na podwórku miejsce, z którego doskonale widać było całe obejście Lonichy, zaciągnęłam tam fotel bujany, ustawiłam w cieniu i zaczęłam obserwować ruchy sąsiadki.

Jednak po jakimś czasie okazało się, że ruchów tych jest ciut za dużo. Tolik chyba upadł na głowę. Sami powiedzcie: ledwie usiadłam, kiedy Lonicha pobiegła w stronę jeziora, pewnie do krowy, ale co, jeśli stamtąd pomknie na cmentarz? - więc rzuciłam się w krzaki i skradałam za nią krok w krok. Po powrocie Lonicha na chwilę weszła do domu, ale ledwie zdążyłam złapać dech, kiedy - tym razem na rowerze - ruszyła w stronę letniska. Całe szczęście, że jechała w miarę wolno, bo roweru oczywiście nie miałam... Potem jeszcze raz poszliśmy do krowy i do ogrodu (nasze ogrody leżą obok siebie, więc przy okazji wypieliałam grządkę marchewki). W końcu przylazła Jaraszycha i powiedziała, że kolchoz okopuje traktorem ziemniaki nad jeziorem (na szczęście Lonicha jest głucha, więc wszystko dokładnie słyszałam). Miałam dość i tym razem nie poszłam za nimi, tłumacząc sobie, że niedługo wrócą, a

Lonicha nie polezie przecież do grobowca z Jaraszyczą. I słusznie, ale później musiałam jeszcze pójść na stację i poczekać, aż mój *obiekt* sprzeda tam jabłka. W przerwach karmiłam kury, gęsi, króliki i świnię oraz rozkopywałam mounteveresty naryte przez tę ostatnią. Kiedy między pnie dobratycyckiego lasu zaczął wpełzać zmierzch, nie czułam już nóg. I wyobraźcie sobie, co mnie ogarnęło, kiedy niez mordowana Lonicha po wieczornym dojeniu i ogarnięciu gospodarstwa znowu wsiadła na rower, powiesiła na ramie torbę i ruszyła w drogę.

Tym razem jechała ścieżką biegnącą wzdłuż torów kolejowych. Nie było wyjścia: powlokłam się tuż za nią; gdyby się obejrzała, byłoby po zawodach. Miałam jednak nadzieję, że się nie obejrzy, bo siedemdziesięciolatki raczej nie wiercą się na siodełku. Bingo: jechała na cmentarz. Przy samym cmentarzu miałam zamiar zbiec ze zbocza i skradać się dołem. Lonicha była głucha, więc nie powinna mnie słyszeć, nieraz zresztą byłam świadkiem uroczych wiejskich scenek: Lonicha pedałuje dostojnie po wąskiej drodze, a za nią wlecze się trąbiący jak ranny łoś letnik w fordzie czy innej mazdzie.

Przed samym cmentarzem zaczęła hamować - oczywiście nogą, jak wszystkie nasze kobiety - więc błyskawicznie czmychnęłam z torów w krzaki. Byłam zdyszana i podekscytowana. Lonicha zesła z roweru, rozejrzała się i pomknęła ścieżką w dół. Wśliznęła się za ogrodzenie cmentarza i szybko wlaźła przez okienko do opuszczonego grobowca; po chwili wciągnęła też torbę. Zajrzałam w okienko. Zdażyła już odciągnąć płytę. Otworzyła drzwi, schyliła się i zniknęła w ciemnym przejściu. Wówczas również wlaźłam do grobowca, najciszej jak umiałam podkradłam się do drzwi, wyciągnęłam przygotowaną zawczasu plastelinę i zdjęłam odcisk klucza. Uff.

Nic nie zakłócało głębokiej ciszy wieczoru.

Nie miałam zegarka i zdawało mi się, że minęła wieczność, zanim Lonicha znów ukazała się w oknie. W ustalonym już szyku

wróciliśmy do Dobratycz. Natychmiast zadzwoniłam do Tolika i radośnie szczebiocąc o wszystkim i o niczym, rzuciłam umówione hasło: „Nie, ani śladu grzybów, ale znalazłam dziś kozaka wielkości czapki”. Wieczorem Tolik przyjechał po plastelinę i podziękował mi za wzorowo wypełnione zadanie. Czysty hetman, mówiłam.

Przed zaśnięciem poleżałam parę minut z nogami zadartymi na ścianę - babcia nauczyła mnie kiedyś, że to najlepszy sposób na zmęczone i obolałe stopy.

## Sasza i Dzima w akcji

- Proszę tutaj potrzymać, Ało Anatoljewna - Dzima podał mi kawałek deski. - Dobrze, a teraz tam...

Naprawialiśmy dach. W nocy przez dziurę w gonce - ostatnio nie padało, więc nikt z nas o niej nie wiedział - na strych wleciała sowa i okropnie nas wystraszyła. Narobiła rabanu, miotła się po strychu i demolowała, co jej wpadło pod skrzydła; dobrze, że w domu byli chłopcy, inaczej pewnie do rana nie odważyłybyśmy się zajrzeć na górę. Oślepiąca światłem latarek wpadła na stare krosna; Saszy udało się narzucić na nią kapę i wynieść szamocący się kłęb na podwórze. Sowa ma bardzo konkretne łapy, a wyraz dzioba w świetle latarki całkiem już niesamowity. Coś w rodzaju: cholera, co tu robić? Dziobnąć czy zesrać się ze strachu?

Krótko mówiąc, rano wzięliśmy się za naprawę dachu. Wspólna praca sprzyjała pogawędkom.

- Dziesięć lat robiłem w organach. Kiedy studiowałem na politechnice, szukali u nas ludzi, złożyli mi propozycję i tak to poszło. Uwaga, ta deska tutaj. Dobrze. Zgodziłem się. Skończyłem szkołę KBB, zacząłem pracować w urzędzie w Mińsku. Wszystko OK. Zajmowaliśmy się narkotykami. Całkiem nieźle mi szło. Byłem dumny, kiedy udało nam się obniżyć współczynnik handlu w mieście o całe dwadzieścia osiem procent... Ale potem, dziesięć lat temu, połapałem się, że coś nie tak. Nie, nie, deska OK, proszę

trzymać jak poprzednio, o właśnie. Coś nie tak z naszym urzędem. Oczywiście od początku miejsce było specyficzne, ale, po pierwsze, pracowali tam porządni zawodowcy, a po drugie, zachowywali się przyzwoicie. A potem wszystko zaczęło się zmieniać. Sensowni ludzie znikali, jedni po cichu, inni trzaskając drzwiami. Kilku moich kolegów wyjechało za granicę, poprosili o azyl polityczny. Po korytarzach snuły się jakieś podejrzane typy, podobne do...

- Do wieprzy? - zapytałam, przypominając sobie Ściapaną Fiodarawicza.

- Wieprzy? - zdumiał się Dzima. - Nie, raczej do dzikich psów. Ruszyła nagonka. Znienacka spuścili nas ze smyczy i wielu kolegów na rozkaz „bierz go!” dostawało autentycznego ślinotoku. Koszmar. W dodatku pojawił się całkiem nowy typ szefa - nowoczesny menedżer. Jeden taki zaczął kierować naszym wydziałem. I kiedy dotarło do mnie, że zamiast niszczyć znalezione narkotyki, puszcza je dalej w obieg, tyle że innymi kanałami, dałem spokój. Zwolniłem się.

- Mogłeś z tym jakoś walczyć.

- Walczyć z KBB? Albo grasz według ich zasad, albo przegrywasz na starcie. Postanowiłem odejść, zanim wciągną mnie w gorsze historie. Jakiś czas byłem bez pracy, a potem spotkałem Saszę. Pracował już wtedy u Harabca. Dołączyłem do niego.

- A co robił wcześniej Sasza?

- Był w wywiadzie wojskowym. Mało się znamy. Oho, idzie sąsiad.

Rozpłasczeni na dachu widzieliśmy Dobratycze pod niezwykłym kątem. Miszyk od Jaraszycy powoli, ze spuszczoną głową dreptał u stóp pagórka. Nawet nas nie zauważył.

Nad dobratyckim lasem płynęły piękne obłoki. Bałam się spaść, więc pełzałam po dachówkach, kurczowo wczepiona w drabinę. Właśnie miałam schodzić na ziemię, kiedy przypadkiem obróciłam głowę i zamarłam. U stóp pagórka, przy jednym ze



źródełek, wirował żywy krąg. Ostrzyżeni pod garnek albo i z większą fantazją chłopcy, dziewczyny o szerokich taliach, z błyskiem w oku, trzymali się za ręce i podśpiewując, tańczyli krakowiaka.... Słyszałam polskie słowa, leciały ponad drzewami, widziałam wilgotną ziemię pod bosymi stopami tancerzy i soczystą, zieloną trawę, na której nie wyschły jeszcze krople deszczu. Znow jakimś cudem wpadłam w norę w czasie, i znowu w międzywojnie. Kim byli ci ludzie? Nie odrywałam od nich oczu, bałam się, że lada chwila znikną, rozwieją się jak poprzednie moje wizje. Krąg sunął po łące równo i lekko, głosy splatały się ze sobą. Jedna z dziewczyn śmiała się, zamiast śpiewać; bose stopy wybijały rytm na miękkiej ziemi. Czy to moi ziomkowie z Dobratycz? Jeśli tak, musi być wśród nich babcia, stąd ta wizja. Ale gdzie? Jest! Urodziwa dziewczyna w białej chustce zawiązanej pod brodą i w fartuszk; uśmiechnięte oczy, gładka, błyszcząca twarz. Chłopak, z którym tańczy, obejmuje mocno jej talię i wysoko unosi rękę... Ściapan? Czy raczej mój dziadek? Nie, wiem z rodzinnych opowieści, że dziadek miał czarne włosy i był nieco zgarbiony, a ten jest blondynem i trzyma się prosto. A Lalka? Okrągłe czarne oczka, krągłe łydki, gałązka kwitnącego głogu za pasem... Tancerze obrócili się i krąg ruszył w drugą stronę. Boże, jak pięknie tańczą, jak czysto śpiewają! Czy ja naprawdę widzę to i słyszę? Ostrożnie zerknęłam na Dzimę. I to był błąd. Dzima nie widział ani nie słyszał, co dzieje się na łące; spokojnie wbijał gwoździe. Odwróciłam się i omal nie zawyłam z rozczarowania. Krąg zniknął! Zniknął przeze mnie! Został tylko strumyk. Nie trzeba się było ruszać! Następnym razem będę ostrożniejsza... o ile w ogóle będzie jakiś następny raz. Westchnęłam.

- Co, ciężko trzymać? Idzie Sasza, zaraz panią zastąpi.

Sasza właśnie wychodził z lasu, taszcząc na ramieniu solidne polano. Chwilę później siedział już z nami na dachu, a ja szykowałam się do zejścia.

- Zaraz, zaraz, Ało Anatoljewna. Proszę powiedzieć, jak układają się pani stosunki z Miszykiem Jaraszem? - zapytał Sasza.

- Normalnie, po sąsiedzku - wzruszyłam ramionami. - Kiedy był mały, a ja młodsza, parę razy się nim opiekowałam, kiedy ciotce Wierze coś wypadło. Ale wierszy dla mnie nie pisał, jeśli o to chodzi.

- Nie, nie o to. Miszyk śledzi panią albo Uljanę Anatoljewna.

- Że co?

- Śledzi. Kabluje. Donosi.

- Niemożliwe... Dlaczego pan tak myśli?

- W lesie słyszałem, jak rozmawiał z kimś przez komórkę, opowiadał, że wczoraj widział akcję z bumerangiem. Szło to jakoś tak: „Kiedy obserwowałem obiekt, na Babyłową i Barysiewicz dokonano ataku za pomocą bumerangu”. Cytat prawie dosłowny.

- Miszyk donosi? Nie wierzę! - zawołałam.

- Ale to prawda. Pytanie tylko, komu.

- Wobec tego natychmiast do niego pójde i zapytam. Jestem pewna, że to jakieś głupie nieporozumienie.

- O nie - pokręcił głową Sasza. - I tak nie powie prawdy, za to zrobi się ostrożniejszy, zrozumie, że go zdemaskowaliśmy. Cokolwiek czy ktokolwiek za tym wszystkim stoi, musimy działać delikatnie. Po cichu. Też zaczniemy go śledzić i jestem pewien, że wkrótce cała sprawa się wyjaśni.

## Chmury nad Ameryką

Mimo wszystko każdy poranek w Dobratyczach to jedna wielka radość. Nawet podczas tak długiej i paskudnej suszy. Świt. Perłowe obłoczki rozbiegają się na boki z miejsca, gdzie za chwilę wszędzie słońce. Jest jeszcze chłodno. Gospodynie zapalają po domach błękitne płomyki kuchenek gazowych albo żółty ogień w piecach, ciasto skwierczy na patelni i zmienia się w naleśniki. Niedługo połowa lata, ale w krzakach śpiewa jeszcze parę ptaków.

Na ścieżce prowadzącej do naszego domu ukazał się jakiś facet. Najpierw pomyślałam, że pewnie letnik, ale kiedy się zbliżył, wrzasnęłam z radości i pobiegłam mu na spotkanie. Był to Waleryk Urugwajec. Właściwie powinniśmy nazywać go Amerykaniem. Jako jedyny z dobratyńczyków został inkorporowany nie przez Rosję, ale przez Stany Zjednoczone. On też - jak niegdyś jego pradziadek - ruszył w świat szukać szczęścia, ale w odróżnieniu od pradziadka nie wrócił na stare śmieci. Pradziadek Iwan karczował sekwoje w amazońskiej dżungli i nieraz różni macho parachowali mu kości z powodu nazbyt białej małżonki, Waleryk natomiast został menedżerem i ożenił się z miejscową dziewczyną (nie wiem, jakiego koloru skóry). Ostatnio widziałam go jakieś osiem lat temu, przedostatnio na balu na zakończenie szkoły. A teraz proszę, właśnie spokojnie idzie sobie po zasypanej igliwem

ścieżce do naszego domu. Spiczasta czaszka, szeroki nos - typowy chłopak z Dobratycz, ale skórę wygarbowały mu wiatry łagodniejsze niż nasze, nadbużańskie. W szortach, z nietutejszym wyrazem twarzy i w nietutejszych butach; zanim zawisłam mu na szyi, zdążyłam odnotować wszystkie te „nietutejszości”.

- Ech, czemu w Ameryce nie ma takich kobiet jak ty? Smutno bez takich oczu...

- Co tak u ciebie? Nosisz lód z gór? - zapytałam, wspominając naszą rozmowę sprzed trzydziestu lat; powiedział wtedy, że jedzie do Ameryki szukać lodu, który Indianie znosili ze szczytów Andów w doliny i uważali za wielki cud przyrody. - Bez jakich oczu? Maleńkich, niewyspanych i zalanych tłuszczem?

- Nawet nie wiem, czy te góry w ogóle istnieją... A oczy... Wiesz, tam naprawdę wszystkim tłuszcz je zalewa, może z wyjątkiem aktorów z Hollywoodu i Broadwayu. Duża kasa, dużo taniego jedzenia i w rezultacie talie szersze od ramion...

Usiedliśmy na ławce pod gruszą.

- Chcesz whisky? - zapytałam. - Mam nawet lód.

- Coś ty! - machnęła ręką Waleryk. - Tylko mój ojciec pije takie wynalazki. A my w Ameryce raczymy się piwem z colą, i to wyłącznie wieczorami. Daj mi wody ze studni, ciągle ją tu piję, to taki smak z dzieciństwa...

Waleryk naprawdę pił naszą wodę tak, jak znawcy piją koniak - małymi łykami, nie wypuszczając kubka z rąk. Rozmawialiśmy przyciszonym głosem.

- Jak tam ojczyzna demokracji?

- Wiszą nad nią takie same czarne chmury, jak i tutaj nad wami - powiedział całkiem poważnie Waleryk. Żart nie wyszedł.

- Widzisz tu jakieś czarne chmury?

- A ty nie widzisz?

- Sama nie wiem - mruknęłam, ukradkiem zerkając na niebo.

- Może i widzę.

- Moi rodzice bardzo się postarzeni. Ojciec pije, matka płacze... Siostra zajęta własną rodziną, a ja nie mogę zabrać ich ze sobą - powiedział Waleryk, spuszcżając głowę.

Ujął mnie ten mimowolny, chłopięcy gest.

- Dlaczego? Nie dadzą im wiz?

- Nie mogę ich stąd zabrać. To tak, jakbym ich zabił. Nie dadzą rady tam żyć. Moja żona i dzieci nie mówią ani po ukraińsku, ani po białorusku...

- Twoja żona i dzieci pewnie nawet tutaj nie mówiłyby ani po ukraińsku, ani po białorusku, ale rozumiem, o co chodzi.

- Rozumiesz? Obawiam się, że nie. Tam, za morzem, wśród obcych, człowiek tak strasznie tęskni...

- Tutaj też tęskni, może nawet mocniej. Wiesz, Waleryk, myślę, że Hala nie zabiera rodziców do siebie, do Brześcia, nie dlatego, że ich nie chce albo nie kocha. Po prostu wie, że miasto to dla nich śmierć. I nic na to nie poradzisz, ani tu, ani tam. Oni czekają na śmierć i strasznie się jej boją. Dlatego ojciec pije, a matka płacze.

- Czasem wydaje mi się, że moje dzieci wcale nie są moje - ciągnął Waleryk. - Fizycznie są do mnie podobne, ale to wszystko. Nawet ich nie kocham. Nie mam poczucia, że ciągle siedzą mi na karku, wystarczy, że wyjdę z domu, i zaraz o nich zapominam...

- I co w tym złego? Nikt nie powinien siedzieć ci na karku, a tym bardziej dzieci. Trudno mi o tym mówić, bo sama nie miałam ani dzieci, ani nawet rodziców.

- Przepraszam.

- Nic się nie stało.

- Więc myślisz, że to nie moja wina?

- Co? To, że wyjechałeś do Ameryki? Pewnie, że nie. Inna sprawa, że wszyscy, ty też, jesteśmy winni, i to bardzo winni. Sama nie wiem czemu. Ale jesteśmy. Mówiłeś o czarnych chmurach. Takie chmury nie zbierają się nad głowami niewinnych...

- Przywiozłem ci prezent - powiedział innym już tonem Waleryk po krótkim milczeniu. Włożył rękę do kieszeni. - Proszę. Niemiecka mapa naszych okolic z czasów pierwszej wojny światowej. Zobacz, jaka dokładna, i z odręcznymi napisami.

Schyliłam się nad mapą. Była świetnie zachowana, czytelna, pewnie dlatego, że zrobiona nie z papieru, tylko z jakiegoś rodzaju ceraty. Niemieckie litery precyzyjnie oddawały brzmienie tutejszych nazw: Dobratytschy, Jablotschyn, Granne; w wioskach widać było każdy dom i każdy chlew; nad brzegami dawno wyschłych rzek stały nieznane mi osady.

Notatki robił niemiecki żołnierz, Waleryk przełożył je: „tu należąca do wsi pole, trzeba je obejść, skręcając kilometr na południe”, „linia obrony Rosjan” itp. Mapa była oczywiście ciekawa, ale nawet nie przypuszczałam, że ta perełka niemieckiej kartografii wkrótce przyda się nam znacznie bardziej niż wojskom cesarskim w 1914 roku.

Waleryk siedział długo, aż w końcu przyszedł po niego stary Urugwajec, nieźle już podpity. Zaśpiewał mi kilka piosenek i zabrał syna do domu.

## Lepiej kłaniać się własnej dupie...

Rozmowa z Walerykiem bardzo mnie wzruszyła. My, ludzie z Dobratycz, nie rozmawiamy zbyt często. Daleko nam do bohaterów Dostojewskiego z ich monologami na trzy rozdziały książki. Jeżeli Waleryk zaczął mówić, to znaczy, że go przycisnęło. Że boli. Nie ma się co dziwić. Kto nie czuje się winny wobec rodziców albo - jak w moim wypadku - wobec babci?

Babcia też bała się śmierci. Pewnie w jakimś momencie albo w jakimś wieku każdy z nas zostanie sam na sam ze strachem przed śmiercią, nawet jeśli sam o nią prosi. Babcia często mówiła mi, że prosi już o śmierć, że ciężko jej żyć, i zawsze patrzyła przy tym tak, jakby w głębi duszy spodziewała się, że ją pocieszę, że powiem: *szo ty, babo! Ty ne wmresz nyhdy!* Jak rozwiać taki ostatni, śmiertelny strach? Nigdy nie zgodziła się na przeprowadzkę do mnie ani do Uljany, którą, nawiasem mówiąc, kochała chyba bardziej. Surowa i szorstka pozostała tutaj, sama, samotna i wierna całe życie wyznawanej zasadzie: „lepiej kłaniać się własnej dupie niż cudzej głowie”; rąbała drwa i rozpaliała ogień; może nie umarłaby nigdy, może dalej podsycałaby to światło, gdyby ktoś jej nie otruł.

Przeżyłam z nią całe życie i ani trochę jej nie znałam. Nigdy nie dzieliła się ze mną swoimi myślami; nigdy nie pytała o moje sprawy; nigdy nie przyjechała do mnie na zimę ani nawet w gości.

I nagle teraz, dopiero teraz, zrozumiałam, dlaczego: nie uważała mnie za PRAWDZIWĄ wnuczkę. Uljany zresztą też nie, i też nigdy jej nie odwiedziła, ale do niej odnosiła się nieco łagodniej. Może Uljana przypominała w czymś babcię? Tak czy inaczej nie byliśmy prawdziwymi wnuczkami i babcia nie wiązała z nami żadnych nadziei. Zaplątana w nitki wyciągnięte z czasu, omotana pasami ciągnącymi się z ziemi, skrępowana sznurami deszczy i mrozów wiedziała, że ona, Makryńka, jest ostatnia, że na niej spoczął cały ciężar naszego rodu i że nikt jej nie pomoże, nikt jej nie uratuje, i że od tego strasznego ciężaru lada chwila wszystkie nitki, pasy i sznury porwą się w diabły...

Wiedziała, że my jesteśmy już i n n e .



## Z procą do ONZ

Znowu zadzwonił Kukal. Poznają go już po głosie.

- No jak tam, Ało Anatoljewna? Jak się pani czuje? Bowl był w porządku? Wszystko OK? Halo! Halo, jest tam pani?!

Kukal wie, że to byłam ja!

- Jestem, jestem, tylko nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Doskonale pani rozumie. Myślę, że musimy spotkać się jeszcze raz - nie w Dobratyczach, sama pani wie dlaczego, ani nie w kawiarni, bo okazało się, że też nie jest bezpieczna. Może w „Kalince”, mam tam swoich ochroniarzy...

- Zaraz, zaraz, miał pan wyjechać na trzy miesiące z miasta. Już pan wrócił? Tak czy inaczej nie mam ochoty na żadne spotkania.

- Proszę posłuchać: sam zostałem w to wrobiony i chciałbym się spotkać choćby po to, żeby to pani udowodnić. Poza tym mam nowe informacje o pewnej osobie...

- O mojej siostrze?

- Rozumiem ironię. Tę sprawę też zresztą mogę wytłumaczyć, ale lepiej w cztery oczy. Nie, tym razem dotyczy to pani babci, a dokładniej jej śmierci. Co do pani, myliłem się, sądząc, że rozmawiam z pani siostrą, ale tym razem jestem już pewien...

Następnego dnia rano Chwiedźka zawiózł mnie pod drzwi „Kalinki” - najbardziej eleganckiej restauracji w Brześciu.

O obstawę zatroszczyła się Zarnicka.

- Pojedziesz z Chwiedźką - postanowiła, kiedy opowiedziałam jej przez telefon o rozmowie z Kukalem. - Tak na wszelki wypadek.

Byliśmy na miejscu trochę wcześniej, gdzieś o wpół do dziesiątej. Wolałam zaczekać w samochodzie.

- Słuchaj, może skoczę na giełdę samochodową, to tutaj zaraz, dwa kroki, już dawno miałem kupić nowe wycieraczki i ciągle coś mi wypada. Hm? - zapytał Chwiedźką.

- Leć, i tak nie ruszę się stąd przed dziesiątą.

- Super, wrócę za pół godziny - powiedział Chwiedźką i poszedł.

Nie zdążył jeszcze zniknąć za rogiem pobliskiej kamienicy, kiedy na chodniku obok naszego pick-upa zaparkował czarny mercedes Kukala i z jego wnętrza wysiadł sam niekoronowany król Brześcia. Z restauracji wybiegł w jego stronę jakiś chłopak.

Byłoby mi głupio, gdyby Kukal zobaczył, że przyjechałam pierwsza i czekam na niego, więc szybciotko zwinęłam się na siedzeniu tak, żeby mnie nie zauważył.

- Jedź do Dobratycz - usłyszałam surowy głos Kukala. - Do tej starej idiotki. Zabierz ją razem z córką i odstaw na poligon. Tylko uważaj, żeby nie było wtopy!

- Oczywiście, Iwanie Mitryczu, proszę się nie martwić. Może pan na mnie liczyć. Sprawa załatwiona.

- A potem natychmiast wracaj.

Wyprostowałam się.

Kukal wchodził do restauracji, a chłopak, który z nim rozmawiał, wsiadał do dżipa.

Mówili o Lalce i o Lalce Młodszej! Chcą je zabić! Cholera, co tu robić?! Może zadzwonię, tylko do kogo? Uli nie ma w domu, telefonu Urugwajca nie znam, zresztą też na pewno dokąds wyszedł! Poszukam Chwiedźki! Gdzie? Giełda jest spora, ładnych parę hektarów... Może zaczekam? Ale to jeszcze pół godziny, w tym czasie chłopak wykończy obie Lalki! Wobec tego pójdę do

Kukala i postraszę go, powiem, że wszystko słyszałam i idę na milicję. Super, roześmieje mi się w twarz... Nie ma wyjścia: muszę jechać sama. Za kierownicą siedziałam równo miesiąc, przy czym dwanaście lat temu. Trzydzieści dni po egzaminie wpakowałam się po pijaku w jakieś ogrodzenie. Anton uroczyście porwał wtedy moje nowiutkie prawo jazdy i zabronił zbliżać się do auta.

Chwiedźka zostawił kluczyki w stacyjce. Z szaleństwem w oku patrzyłam na kołyszący się przy nich brelok. Serce podeszło mi do gardła. Dojadę? Nie miałam wyboru. Ci bandyci chcą zabić moje sąsiadki. O nie, niedoczekanie! Będzie, co ma być, jadę!

Nabazgrałam na kartce: „Pojechałam do Dobratycz. A.”, położyłam liścik na chodniku i przycisnęłam grudką ziemi z pobliskiego klombu. Usiadłam za kierownicą. Tylko spokojnie. Jak to szło? Aha. Kluczyk. Przekręcić kluczyk w stacyjce. Silnik ryknął i zamilkł. Nie, nie tak, najpierw trzeba wrzucić luz. Teraz chyba zwolnić sprzęgło i jednocześnie nacisnąć gaz, no proszę, świetnie, i kręcić kierownicą, inaczej wjadę w kuper tego mercedesa. Silnik wył, ale samochód stał w miejscu. Cholera, bieg! Nic już nie pamiętam, ratunku! Za szybko puściłam sprzęgło i pick-up, wysunięty już całą maską na ulicę, znów zgasł. Ruszyłam za piątym razem.

Jechałam dzikimi skokami, ale jednak jechałam. Kłopotów miałam teraz cały pęczek: zdążyć do Dobratycz przed bandytą Kukalą, nikogo nie rozjechać i nie wpaść w łapy milicji, bo raczej trudno byłoby jej wytłumaczyć, co robię za kierownicą bez papierów... Czy Chwiedźka znajdzie kartkę, czy nie narobi alarmu, że mu ukradli auto? Boże, jak się zmienia biegi?

O takich drobiazgach jak kierunkowskazy nawet nie pamiętałam.

Drodzy czytelnicy, którzy pewnie nawet po chleb do sklepu za rogiem jeździecie nowiutką beemwicą - nigdy, nigdy mnie nie zrozumiecie! Kurczowo wczepiona w kierownicę, z nogą przylepioną

do pedału gazu, na trzecim biegu (cudem doszłam do trzeciego i nie ryzykowałam dalszych zmian!), unikając jakichkolwiek skomplikowanych manewrów, wpatrzona w drogę przed sobą pędziłam w stronę przedmieść, odprowadzana czarną smugą spalin... Przechodnie na chodnikach odwracali się, słysząc ryk silnika, bo na każdym czerwonym świetle niemilosiernie cisnęłam gaz, bojąc się, że silnik znów zgaśnie.

Jechałam!

Dopiero na polnej drodze odważyłam się zmienić bieg i nawet mi się udało. Znów docisnęłam gaz i pomknęłam dalej.

Miałam szansę zdążyć. Liczyłam na to, że chłopak od Kukala pojechał asfaltową szosą, wygiętą łukiem w stronę Ukrainy. Była też inna droga, stara i znacznie krótsza, chociaż w fatalnym stanie. Mało kto o niej wiedział i mało kto z niej korzystał. Biegła pośród pól. Nie było tu przechodniów ani innych aut i wreszcie mogłam otrzeć pot z czoła... Otarłam i raptem pomyślałam: no dobrze, ale niby jak obronię Lalki? Rzucę się na chłopaka? Pobiję go? Czym? Mój Anton zazwyczaj woził pod siedzeniem niewielki toporek, często przydatny w drodze. Może Chwiedźka też ma coś w tym guście? Nie zdejmując prawej nogi z gazu, poszperałam pod fotelem, ale tylko zgubiłam sandały. Dobra. W sumie po co mi toporek? Pchać się z toporkiem na pistolet tego bandyty? Bez sensu! Jeśli zdążę przyjechać odpowiednio wcześniej, może uda mi się po prostu schować Lalki, ale jeśli się spóźnię?

Nie miałam czasu myśleć. Byłam już w Dobratyczach. Po chwili zobaczyłam podwórko Lalek.

Przy bramie stał srebrny dziup.

Chłopak, który rozmawiał z Kukalem, ciągnął do niego starą Lalkę - włókł ją po ziemi, a jej nogi, sine, spuchnięte kłody, ryły bruzdy w suchym piasku; jego kompan wpychał do samochodu Lalkę Młodsza.

I wtedy dotarło do mnie, że nie wyhamuję! Zwyczajnie zapomniałam, jak się to robi. Sprawa rozwiązała się sama. Pędziłam

na złamanie karku i pewnie właśnie to uratowało Lalkom życie. No, może jeszcze przywiązanie bandytów do ich ślicznego auta.

Wychyliłam się przez okno - na szczęście było otwarte - i wrzasnęłam, ile sił w płucach:

- Rozwalę wasz samochód! Uciekajcie! Nie mam hamulców!  
Z DROGI!!!

Bandyci odwrócili głowy i zareagowali błyskawicznie: porzucili ofiary, wskoczyli do dżipa i z piskiem opon uciekli.

Fakt faktem, zabrakło mi jakichś trzydziestu centymetrów, żeby skasować im dupy. Dżip wyrwał się spod samej maski pick-upa świetnej marki moskwicz. Silnik miałam gorszy, za to rozpęd lepszy. Oczywiście, gdybyśmy byli na asfalcie, zgubiliby mnie w mgnieniu oka. Ale goniłam ich po dobratycznej drodze. Gruntowej. Z koleinami. Rzucalo mną po całej kabinie, mimo to nie zdejmowałam nogi z gazu. Żadne z nas nie mogło zjechać na pobocze - kawałek za wsią zamiast piaszczystych wydm wyrosły rowy i wały umocnień wojskowych, starannie wykopanych jeszcze za czasów Związku Radzieckiego. Dachowanie jak w banku, szczególnie przy tej prędkości. Tyle wiedziałam nawet ja. Ale czym skończy się pościg? Przecież nie mogę tak gnać za nimi bez końca? Ledwie zdążyłam o tym pomyśleć, kiedy z dżipa wysunęła się ręka z pistoletem i padł strzał.

Ze strachu natychmiast przypomniałam sobie, jak się hamuje. Dokładniej rzecz ujmując, przypomniały sobie moje nogi: odruchowo wcisnęły właściwe pedały i pick-up niemal stanął dęba. Uderzyłam głową o przednią szybę tak mocno, że na czole już po chwili zaczął kiełkować dorodny guz.

Dżip zniknął w oddali. Za otwartym oknem słyszałam równą ścianę cykania koników polnych. Suchy upał. Szum osikowych listków nad rowami.

Już przy czwartym podejściu udało mi się zawrócić na wąskiej drodze (jeszcze ze trzy takie akcje i mogę śmiało startować w zawodach w jeździe figurowej).

Kiedy wtoczyłam się na podwórko Lalki, Lalka Młodsza próbowała podnieść matkę z ziemi. Dość płynnie wyhamowałam i wyskoczyłam z auta.

- Ciociu, zaraz was zabiorę. Ci bandyci mogą tutaj wrócić. Lalka, dawaj razem.

Lalka Starsza tylko jęczała, chyba odjęło jej mowę. Była ciężka jak każdy chory człowiek; jakoś udało nam się zaciągnąć ją do samochodu. Kazałam Lalce Młodszej biec do nas na podwórko. Pod domem zostawiłam Starszą w samochodzie - sama nie byłam w stanie jej wyciągnąć - i jednym skokiem dopadłam telefonu. Znalazłam w jego pamięci numer, spod którego dzwonił Kukał, i drżącymi palcami nacisnęłam kombinację klawiszy.

- Ty skurwysynu! - ryknęłam w słuchawkę. - Zaraz dzwonię do Uljany i do swojej przyjaciółki z „Narodnej Woli”, i jeśli mnie albo moim sąsiadkom coś się stanie, zrobią taką aferę, że się nie pobbierasz! Nawet na to nie lic. Mam dowody, nagrałam wszystko kamerą, i twoją rozmowę z tym bandytą, i jak ciągnęli Lalkę do samochodu, i jeszcze jak strzelali. Dziewczyny pójda na policję, do prokuratury, nawet do ONZ! Jeszcze raz zaczepisz kogoś z Dobratycz, to popamiętasz, bucu! - i rzuciłam słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

Naturalnie nie brzmiało to zbyt serio, ludzie pokroju Iwana Mi-trycza raczej nie boją się ONZ, ale co miałam zrobić? Czułam się jak Dawid zaczepiający Goliata, tyle że ja w walce przeciwko właścicielowi „Kalinki” nie dysponowałam nawet kalinową procą. Miałam tylko bezbrzeżny, odziedziczony po przodkach szal w duszy i bezmierną, nabytą przez ostatnich pięćdziesiąt lat rozpacz. No i nie zależało mi jakoś specjalnie na życiu.

## Śmierć nie opuszcza Dobratycz

Lalka Starsza wyglądała naprawdę fatalnie. Nie mogła się ruszać ani mówić. Musieliśmy wezwać lekarza z prywatnej kliniki w Brześciu.

- Wylew - powiedział i zaczął wypisywać stos recept.

Kiedy wyszedł z domu, upewnił się, że Lalka go nie słyszy, i dodał w odpowiedzi na moje pytanie:

- Kto to wie, wylew może się zdarzyć z różnych powodów. Wiek, stres, nadmierne podniecenie... Musi pani wiedzieć, że rokowania są złe. Proszę się przygotować na najgorsze. Chyba że zdarzy się cud...

Cud się nie zdarzył. Następnego dnia Lalka umarła.

Był to drugi pogrzeb tego lata, drugi i znacznie cięższy.

Lalka Młodsza spokojnie patrzyła, jak myjemy jej matkę, układamy w trumnie, wstawiamy w złożone dłonie świecę. W cerkwi i na cmentarzu też była spokojna. Do czasu. Kiedy zasypywano grób, szarpnęła się nagle i rzuciła na grabarzy, wyrwała im z rąk łopaty, cisnęła w krzaki, a sama wskoczyła do dołu i zaczęła garściami wygrzebywać stamtąd piach i zrywać wieko trumny. Chciała, żeby matka wyszła. Ludzie osłupieli. Uljana, która stała koło mnie, nagle rozpląkała się na głos. Wówczas Waleryk Urugwajec i pozostali mężczyźni ocknęli się i wyciągnęli Lalkę Młodszą z grobu. Długo się szamotała, w końcu zdołali jakoś odprowadzić

ją do samochodu. Młody pop też otrząsnął się z zaskoczenia i jako tako dokończył nabożeństwo.

Krewni Lalki mieli po pogrzebie zabrać nieszczęsną wariatkę i odwieźć do ośrodka opieki - nie mogła przecież zostać tutaj sama, a żaden z nich nie mógł wziąć jej do siebie. Nic z tego: uciekła z samochodu, a kiedy krewni debatowali, co dalej, i na chwilę zostawili ją bez nadzoru, całkiem zniknęła nam z oczu. Pod długich i bezskutecznych poszukiwaniach wieczorem wszyscy rozjechali się do domów.

Nazajutrz rano Lalka Młodsza siedziała na naszym podwórku, na ziemi, a obok niej leżało ciało Lalki Starszej, nocą wykopane z grobu. Ręce zmarłej, jeszcze wczoraj splecione na piersi, teraz zagięły się za plecy, nogi z nienaturalnie wykręconymi stopami leżały szeroko rozrzucone na trawie. Zesztywnienie pośmiertne minęło, ciało weszło w kolejny etap rozkładu...

Uljanka dzwoniła do Brześcia, a ja karmiłam Lalkę. Nie chciała odejść od matki i jadła, siedząc obok trupa. Jak udało jej się zaciągnąć ciało tak daleko? Albo po śmierci zrobiło się lżejsze, albo w wariatkę wstąpiła nadludzka siła. Patrzyłam, jak Lalka Młodsza łapczywie siorbie barszcz nad ciałem matki, i czułam, że sama zaczynam wariować. Przyjechali wezwani telefonicznie krewni w obstawie grupy sanitariuszy ze szpitala psychiatrycznego, ale Lalka znów była szybsza: na ich widok skoczyła w las. Nie zdołali jej dogonić. Ciało Lalki Starszej krewni zabrali z powrotem na cmentarz.

- Teraz codziennie będzie nam przynosiła matkę na podwórko - stwierdziła ponuro Uljana, kiedy w końcu zostałyśmy same. - Nawet granitowa płyta na grobie jej nie powstrzyma.

Nic nie odpowiedziałam. Poszłam na werandę i wyciągnęłam zza lodówki whisky. Siostra nie zareagowała, więc piłam prosto z gwinta ciepły, palący płyn tak długo, aż w końcu poczułam, że mam dosyć. Wówczas, trzymając się ściany, poszłam do pokoju, namacałam łóżko, upadłam na nie i wyłączyłam się na amen.



## U nas każdy ma prawo głosu

Jedliśmy śniadanie: ja, Uljana, chłopcy-ochroniarze i Chwiedźka. Chwiedźka w zastępstwie Zarnickiej spędził noc wśród ekskołchozowych krów, które mało bystry pastuch (też już eks, jak doniósł Chwiedźka) wyprowadził przez nieuwagę na zmoczoną rosą koniczynę. Krowy udało się uratować i rozradowany Czarota wręczył Chwiedźce kopertę. Jej zawartość wprawiła zastępcę Zarnickiej w doskonały nastrój, więc z samego rana wpadł do nas na śniadanie. Żebyśmy nie wyrzucili go z domu za tak wczesną pobudkę, kupił w sklepie nocnym na przejściu granicznym całe mnóstwo pyszności: kawior, śledzie, pieczone kurze skrzydełka, korniszony, faszerowaną kaczkę i grzyby shiitake. Kaczce i uśmiechowi nie zdołaliśmy się oprzeć.

- Nie przebierajcie się! - krzyczał, wykładając jedzenie na talerze. - Co może być lepszego od śniadania z kawiozem i świeżą kawą w piżamach! Długo będziemy to wspominać! Dobratyckie śniadanie w stylu japońskim! A nie, europejskim! Albo amerykańskim! Dobra, wszyscy do stołu!

- Styl! Toż to bezwstydną pogwałcenie stylu! Nigdzie na świecie nie jada się takich śniadań - zauważyła Uljana, przeciągając się na ganku. Najpierw sprawdziła, czy przypadkiem nie ma gdzieś Lalki Młodszej. Chwiedźka był tak wesoły, że, chcąc nie chcąc, wpadliśmy w dobry humor. Na zmartwienia będzie jeszcze czas.

- Racja! Bo to oryginalne śniadanie dobratyckie... Wszelkie prawa zastrzeżone. Pospieszcie się, zgłodniałem - wołał Chwiedźka, rozkładając ostatnie sztuce.

No więc siedzieliśmy przy stole: w piżamach, nad świeżą kawą i kawiozem. Chwiedźka sypał żartami, na werandę przez otwarte drzwi wpadał chłodny powiew, po podwórku biegały psy, na okoliczność przyjazdu Chwiedźki spuszczone z łańcuchów.

- Śmierć tym, co nas nie lubią! Niech żyje i mnoży się, ile wlezie, białoruski bocian! - kubki wesoło stukwały o siebie, parując w las aromatem kawy. - Włączmy jakąś muzykę!

- Raczaj telewizor - Dzima chwycił pilota. - A zamiast muzyki będziemy podziwiali Ałę Anatoljewną w roli gwiazdy ekranu.

Chwiedźka nie znał jeszcze tej historii. Spojrzał na mnie pytająco.

Drugiego i ostatniego dnia mojego pobytu w Mińsku, gdzie pojechałam spotkać się z Horstem, w nowym mieszkaniu nagle zadzwonił telefon. Byłam pewna, że to ktoś do byłych właścicieli - sama nie wiedziałam, jaki mam numer - i, niewiele myśląc, odebrałam. Ale okazało się, że to do mnie. Szukała mnie redaktorka jakiejś „Gorącej rozmowy”, programu analitycznego (cokolwiek to znaczy), pani o niezwykle - jak na telewizję białoruską - miłym głosie; chciała, żebym coś skomentowała.

- Ja? - zdumiałam się. - Dlaczego ja? Co mam skomentować?

- Tak, pani. Jest pani siostrą znanej działaczki, poniekąd artystką... Myślę, że nasi telewidzowie chętnie usłyszą, co pani sądzi o aktualnych wydarzeniach.

- Raczaj nie spodobają się pani moje sądy. Uważam, że to, co się dzieje, to skandaliczne bezprawie.

- Świetnie, opowie pani o tym przed kamerą.

- Ale przecież nigdy tego nie puścicie.

- Dlaczego nie? Pewnie rzadko ogląda pani nasz program (co

prawda, to prawda, pomyślałam). U nas każdy ma prawo głosu.

- A czy może mi pani obiecać, że moje słowa nie zostaną wyrwane z kontekstu ani przekręcone? I jakie pytania zamierza mi pani zadać?

- Oczywiście, obiecuję. A pytanie brzmi: jak ocenia pani szanse obecnego prezydenta w najbliższych wyborach?

Zadzwoiłam do Uljany. Poradziła, żeby zgodzić się na wywiad: trzeba korzystać z każdej okazji, żeby się wypowiedzieć, ale też bardzo uważać, bo wiadomo, jak ci z telewizji potrafią manipulować, z białego zrobią nie tylko czarne, ale i szaroburo-malinowe.

Umówiłam się z ekipą zdjęciową na brzegu Świsłoczy. Przyjechali ponury operator, redaktorka, która do mnie dzwoniła, i prowadząca program, upalona z wyglądu pańcia z oczami jak miski i kolorowymi malowidłami na paznokciach. Nieliczni przechodnie omijali nas szerokim łukiem.

Jeszcze raz zapewnili, że nie zamierzają manipulować tym, co powiem.

- Proszę się tak nie przejmować. Wszystko będzie dobrze - uśmiechnęła się redaktorka. Oczywiście miała tlenione włosy, uszmińkowane na różowo usta, czarne i brązowe cienie do powiek plus zęby zrobione przez dentystę-dyweraanta.

- Nie, nie, musicie mi to obiecać całkiem serio.

- Obiecujemy serio.

Dziewczyna z tipsami wypluła gumę i podsunęła mi pod nos mikrofon.

- Proszę powiedzieć, jaki wynik uzyska w najbliższych wyborach obecny prezydent?

- Myślę, że prezydent nie wygra. W radio i w telewizji ciągle słyszymy, że zwycięży, że zagłosuje na niego osiemdziesiąt sześć procent wyborców, ale to przecież bzdura. To jedynie dowód - podobnie jak inne fakty, takie jak pobicia, aresztowania i przesładowania działaczy opozycyjnych - że wybory zostaną sfalszowane,

przy czym sfalszowane bezczelnie, głupio i całkiem jawnie, z absolutnym lekceważeniem praw wyborczych naszych obywateli. Myślę, że sporo ludzi zagłosuje na innych kandydatów. W praktyce duże szanse na zwycięstwo ma Harabiec. Wzywam wszystkich, żeby głosowali właśnie na niego. W odróżnieniu od obecnego prezydenta nigdy nie kłamał, nie jest zamieszany w żadne brudne skandale i gorąco kocha swój naród.

- Znakomicie - powiedziała redaktorka. - Wystarczy.

I pojechali.

„Wywiad” mieli puścić dzisiaj, specjalnie sprawdziłam w programie telewizyjnym - najpierw rano, a potem wieczorem, w najlepszym czasie antenowym.

No i puścili. Ubaw mieliśmy dziki.

Użyli starych, oklepanych chwytów, najwyraźniej licząc, że oglądają ich sami idioci. Identycznie uczesane nauczycielki-blondynki, żołnierze w furazerkach, studenci na tle desek kreślarskich, budowlańcy w nowiutkich kaskach, emeryci z zaślinionymi ustami i wąsaci włoscy parlamentarzyści jak jeden mąż twierdzili, że obecny prezydent wygra, że obecny prezydent nie może nie wygrać, że obecny prezydent jest najlepszy i że będą modlić się za obecnego prezydenta, a także, że obecny prezydent wygra, obecny prezydent nie może przegrać...

Chwiedzka powiedział, że skoczy do samochodu po syrop na wymioty, bo czemuś mu niedobrze. Ale nie zdążył. Prowadzący program skrzywił się, żeby ściągnąć z twarzy błogi uśmiech, zrobił surową minę i oświadczył:

- Nasz prezydent jest tak wybitną postacią, że nawet tak zwana opozycja nie ma wątpliwości co do jego zwycięstwa. Jak doskonale wiemy, wielu spośród opozycjonistów to narkomani i alkoholicy, gotowi za butelkę wódki czy brudnego dolara sprzedać honor i Ojczyznę. Na przykład wieloletnie narkomanki i alkoholiczki, siostry Ała Babyłowa i Uljana Barysiewicz. Jedna z nich

jest zaufaną współpracownicą emisariusza wywiadu amerykańskiego, który usiłuje wspiąć się na fotel prezydenta, żeby potem odwdziżyć się swoim panom, oddając im majątek naszego narodu. Ale nawet jego zaufani współpracownicy wiedzą, że nie ma na to szans.

I na ekranie pojawiłam się ja. Zaraz, naprawdę tak wyglądam?! Sine worki pod oczami, skrzywiona, zapuchnięta morda... Skrzywiona morda wyjąkała:

- Myślę, że prezydent wygra, że zagłosuje na niego osiemdziesiąt sześć procent wyborców. Wzywam wszystkich, żeby głosowali właśnie na niego. Nigdy nie kłamał, nie jest zamieszany w żadne brudne skandale i gorąco kocha swój naród.

Cięcie.

- Jak widzimy - prowadzący wrócił przed kamerę - nawet zdegenerowane elementy pseudointeligenckiej bohemy rozumieją, że nasz obecny prezydent jest niekwestionowanym liderem tej kampanii wyborczej i że jego zwycięstwo jest nieuniknione. A teraz wiadomości z zagranicy. Na Białorusi panuje spokój i porządek, natomiast zagranicą wstrząsają kolejne katastrofy. Silny huragan zaatakował wybrzeże Stanów Zjednoczonych...

Wszyscy siedzieli jak skamieniali i starali się na mnie nie patrzeć. Chwiedźka odstawił kubek na stół. Poczulałam, że czerwienią mi uszy.

- Nic takiego im nie mówiłam.

- Jasne. Ja mówiłam - rzuciła Uljana. Lekko drżały jej dłonie.

- Przysięgam, że nic takiego nie mówiłam. Mogę powtórzyć wam wszystko, co wtedy powiedziałam, bo długo potem myślałam, czy było w porządku - i powtórzyłam całą oryginalną wypowiedź.

- Jasne - skwitował Dzima. - Posiekali i zmontowali. Nieźle się napracowali, szczególnie przerabiając Ałę Anatoljewną na goblina. I po mistrzowsku wykorzystali to, że jesteście bliźniaczkami - wyszło, że mówiła Uljana Anatoljewna. Świetna

robota, mucha nie siada.

- Pozwę ich do sądu - wymamrotałam.
- Taaa... Zaraz po emisji zniszczą nagranie i nic im nie udowodnisz.

- Wieczorem sama ich nagram!
- Dla sądu to żaden dowód.
- No to wydrapię tej redaktorce oczy.
- Dosyć tego! - Uljana walnęła dłonią w stół. - I tak już nagrywałaś! Wystarczy.

Aż podskoczyłam.

- I po co na mnie krzyczysz? Tak poza wszystkim to dzwoniłam do ciebie i sama mi poradziłaś, żeby iść na ten wywiad!

- Poradziłam, bo też jestem głupia! Zapomniałam, że wiecznie pakujesz się w jakieś idiotyczne historie, wszystko potrafisz schrząnąć. Człowiek-demolka. Rozwalasz, co popadnie. Swoje życie i moje przy okazji. I po co Bóg stworzył nas bliźniaczkami? Kiedy wreszcie uwolni mnie od ciebie?

Siostra wyrwała mi z ręki butelkę whisky, cisnęła nią o ścianę i wybiegła na dwór.

Wszyscy siedzieli ze spuszczoneymi głowami.

Wiedziałam, że siostra jest wykończona, zdenerwowana, że jest jej bardzo ciężko. Ale jakoś mnie to nie pocieszało.

Tak zakończyła się moja kariera telewizyjna.

A do redaktorki i tak zadzwoniłam, żeby powiedzieć jej, co o tym myślę. Wysłuchiwała moich chaotycznych wrzasków i absolutnie spokojnie i beztrząsco powiedziała:

- Nagranie wyszło słabej jakości i z przyczyn technicznych musieliśmy usunąć niektóre fragmenty, ale przecież nic nie dodaliśmy. To wszystko były pani słowa, prawda?

Ci ludzie nie są z marmuru ani z żelaza. Są z gumy.

## Zakrwawiona szmata - reaktywacja

Narastał we mnie strach. Nieokreślony. Ciężki. Rozboląła mnie głowa. Nic nie mówiąc, zlazłam z dachu (tym razem montowaliśmy z chłopakami antenę satelitarną). Sasza i Dzima odprowadzili mnie wzrokiem.

- Dobrze się pani czuje?

- Dobrze, ale zejść już na dół. Coś mi się w głowie kręci.

Dzima spokojnie stukał dalej młotkiem.

Stałam na ziemi i nogi się pode mną ugięły. Usiadłam na ławce, otarłam pot z czoła. Bolało mnie i ścisnęło w dole brzucha; po chwili poczułam, że krwawię. Ból nieco zelżał. Krew płynęła falami, raz mocniej, raz słabiej.

Od dobrych dziesięciu lat nie zdarzyło mi się coś takiego.

Wtedy nie rozumiałam, co to znaczy.

Wieczorem nieznajoma dziewczyna doręczyła mi wezwanie do prokuratury. „Wzywa się pana/panią Ałę Anatoljewną Babyłową do stawiennictwa w charakterze oskarżonej celem złożenia zeznań. Należy stawić się w Prokuraturze miasta Brześcia...” Dziewczyna odebrała pokwitowanie, wsiadła do opla i odjechała.

- Co to ma być? - zapytałam retorycznie, trzymając w dłoniach żółtawy kwit. - Niby o co mnie oskarżają? Jakaś kolejna podpucha?

Nazajutrz błądziłam po ślicznie wyremontowanych korytarzach

prokuratury w poszukiwaniu właściwych drzwi. Właściwe drzwi - podobnie jak wszystkie inne - były obite skajem i budziły respekt.

- Można? Mam wezwanie.

Zza biurka zerknął na mnie człowiek o czarnych, zaczesanych do tyłu włosach, opalony i z kartoflanym nosem. Drogi czarny garnitur wisiał na nim jak worek ozdobiony czerwoną palmą krawata. Oczy bez dna. „Człowiek z pożaru - przemknęło mi przez głowę - sam węgiel i ogień”.

- Obywatelka Babyłowa? Proszę wejść.

Zrobiłam kilka kroków i stanęłam. Obok wielkiego prokurator-skiego biurka stało parę ładnych, skórzanych foteli, a pod ścianą kilka starych stołków, ale wołałam nie siadać.

Stałam i czekałam, a prokurator z popielatą twarzą pisał coś w wielkim skupieniu. Po minucie skończył.

- Proszę siadać - wskazał stółek przy wejściu, ale podeszłam do biurka i usiadłam w fotelu.

- Dziękuję.

Prokurator uniósł głowę i ogień na jego twarzy zmienił nieco odcień. Uderzyła mnie w twarz fala nienawiści tak mocna, że aż się odruchowo odsunęłam. Z takimi pełnymi nienawiści spojrzeniami miałam ostatnio do czynienia dość często - na spotkaniach wyborczych organizowanych przez Uljanę zawsze zjawiali się faceci w dresach i farbowane kobiety, prowokowali bójki i awantury, wrzeszczeli podczas przemówień Harabca, pluli, gwizdali... I patrzyli właśnie tak jak prokurator. Ale ich nienawiść nie była skierowana bezpośrednio na mnie; siedząc na widowni, z ciekawością obserwowałam, jak młodzi mężczyźni wyprasają dresiarzy z sali albo jak chuderława aktywistka odiera ataki jakiejś namolnej pańci z miejskiego komitetu partii, albo jak w pierwszym rządzie wstaje staruszka, biała jak gołębnica, podchodzi do prowodyra zadymiarzy, łapie go za ucho i wyprowadza, mamrocząc:

- No, szczeniaku, porozmawiam sobie z twoją matką...



Teraz jednak to ja byłam wyłącznym obiektem nienawistnego spojrzenia. Przez chwilę zdawało mi się, że „A.T. Majdzienka, Prokurator miasta Brześcia” (co z niejakim niepokojem przeczytałam na identyfikatorze przyszpilonym do czarnego garnituru) zaraz wyciągnie z kabury pistolet i powie coś w rodzaju: „No, dziwko, nadeszła twoja ostatnia godzina, módl się, jeśli wierzysz w Boga!” Ale nie: prokurator uporczywie patrzył mi wprost w oczy i milczał. Chyba chciał, żebym spuściła wzrok. Niedoczekanie.

- W jakiej sprawie zostałam tu wezwana? - zapytałam.

- Jest pani oskarżona o nieumyślne spowodowanie śmierci Makryni Łukaszawnej Hadun, urodzonej w 1909 roku - warknął.

Pistolet byłby chyba lepszy... Spodziewałam się oskarżeń związanych z udziałem mojej siostry w tej idiotycznej kampanii - o to, że się podszywałam, że znieważyłam albo i pobiłam oddział specnazowców, w każdym razie o coś, do czego zdążyłam się już w ostatnich miesiącach przyzwyczać. A tu niespodzianka!

- Macie jakieś dowody? - zapytałam przez ściśnięte gardło.

- To ja zadaję pytania.

- Czyli co, nie powie mi pan nawet, na czym opiera się wasze oskarżenie? Gdzie domniemanie niewinności?

- Pani jest bezczelna! I jeszcze śmie mówić o niewinności!

- A co? - zdziwiłam się. - Nie lubicie tutaj tego słowa?

Prokurator zmrużył oczy. Siła jego spojrzenia jeszcze wzrosła.

- Jak pani wytłumaczy obecność lekarstwa na serce Cardiomim Forte w kawie, którą spożyła ofiara?

- A z czego pan wnosi, że było tam jakieś lekarstwo?

- Przeprowadziliśmy rewizję i ekspertyzę...

- Rewizję? Pod moją nieobecność? Bez powiadomienia mieszkańców? To naruszenie prawa! A poza tym rewizja wymaga nakazu prokuratora!

- Przecież jestem prokuratorem, wydałem nakaz. Przeszukaliśmy dom w obecności świadków, z zachowaniem wszelkich procedur. Ekshumacja ofiary...

- Co?! Ekshumowaliście moją babcię?! Jak mogliście!

- Jak mogliśmy? - prokurator wstał i pochylił się nade mną. - Ma nas pani za durni? Za kompletnych idiotów? Połasiła się pani na spadek, a tu wpadka! O, z takiej sprawy trudno się wykręcić. Dowody przeciwko pani są więcej niż przekonujące. Mógłbym z czystym sumieniem natychmiast wsadzić panią do aresztu, ale na prośbę pewnego bardzo wpływowego obywatela ograniczę się do deklaracji, że do czasu zakończenia śledztwa nie będzie pani nigdzie wyjeżdżała. Pisz! - zniecierpliwiony rzucił mi w twarz kartkę. - Ty i tylko ty mogłaś zrealizować zbrodniczy plan, wiedząc, że ofiara choruje na serce, tylko ty mogłaś jej dosypać lekarstwa do kawy. Tylko ty i siostra miałyście motyw, tylko wy mogłyście odnieść korzyść ze śmierci ofiary, to znaczy otrzymać spadek i uwolnić się od dalszej opieki nad staruszką. Nieźle to sobie wykombinowałaś! Nic nie wiem, nawet nie było mnie w domu, kiedy babcia kopnęła w kalendarz... Ale my mamy świadka, który słyszał, jak rozmawiałyście z siostrą: zasiedziała się stara, pora jej już do grobu... Co, nie tak było? Jestem pewien, że podczas śledztwa znajdziemy kolejne dowody. Nie wykonaliśmy jeszcze analizy daktyloskopijnej, ale myślę, że to właśnie ona wyśle cię za kraty, i to na bardzo długo!

Z gabinetu prokuratora wyszłam na miękkich nogach. Nie tylko z powodu pytań, które mi zadawał i z których jasno wynikało, że jestem morderczynią, ale przede wszystkim po obejrzeniu zdjęć zrobionych przez milicyjnego fotografa podczas ekshumacji babci... Kompletnie wyczerpana oparłam się o ścianę. Omiotłam mętłym spojrzeniem otoczenie i kogoś zobaczyłam w głębi korytarza, obok plastikowego parapetu przy plastikowym oknie, jednego z tych cudów, którymi apgrejdowano stary gmach? Otóż stał tam i

bezczelnie gapił się na mnie Kukal. We własnej osobie. „To wszystko na jego zamówienie!” - rozumiałam. To on zabił babcię, to on zorganizował przesłuchanie, to on jest owym „bardzo wpływowym obywatelem”, na którego prośbę prokurator zrezygnował z aresztowania - bo przecież z aresztowaną nie da się podpisać umowy kupna-sprzedaży nieruchomości, a deklaracja o nieopuszczaniu miejsca czasowego zamieszkania tylko ułatwi mi sprawę... Moje oczy znów zaczęły widzieć ostro, a spojrzenie stało się twarde i przenikliwe. Zobaczyłam martwą, wykopaną z grobu Lalkę na naszym podwórku i martwą, wykopaną z grobu babcię na stole w prosektorium... I ogarnął mnie szal, doskonale znany w całej okolicy szal dobratyckich Hadunów.

Ruszyłam w stronę Kukala. Szłam coraz szybciej. W pewnej chwili niezgrabnie schyliłam się i wyciągnęłam z majątek nasiąkniętą krwią podpaszkę - Kukal skrzywił się z obrzydzeniem - i z rozbiegu, bez słowa walnęłam nią drania po łbie, tak jak kiedyś czorta. Tyle że Kukal, w odróżnieniu od czorta, nie zniknął. Zaczął się bronić. Najpierw lekko mnie odpychał i zasłaniał się ramieniem, ale kiedy przyłożyłam mu w nos gipsem, wciąż jeszcze opancerzającym mi rękę, z całej siły walnął pięścią w twarz, tak, że odrzuciło mnie o dobre trzy metry. Rozpłaszczyłam się na ścianie i upadłam.

Kukal soczyście zaklął, kopnął mnie na pożegnanie, splunął i szybko zbiegł po schodach na dół.

Cała we krwi, lejącej się ciurkiem z nosa i z rozbitej wargi, we łzach płynących mimo mojej woli, z głową, w której huczało od uderzenia, leżałam pod ścianą w prokuraturze i nie mogłam wstać, a po korytarzu krążyli pracownicy: przebiegały młodziutki sekretarki na obcasikach, maszerowali mężczyźni w mundurach, defilowały wyfiokowane baby o dupach wielkich jak miłosierdzie boskie... Ani jedna osoba nie podeszła do mnie, nikt nie pomógł mi się podnieść, nikt nawet nie zawołał milicjanta z dołu. W końcu jakoś zebrałam się w sobie i dosłownie wypelzłam na ulicę.

W dziaśle chwiał mi się wybity przez Mitrycza ząb. Przechodnie omijali mnie, schodząc na brzeg chodnika. Ledwie wlokłam nogi, mało co widziałam i szłam na ślepo. Tylko jedno podtrzymywało mnie na duchu: świadomość, że cholerny Kukal jest teraz równie jak ja upačkany krwią, i mniejsza o to, że moją, nie własną. Choć w nos przyłożyłam mu całkiem fachowo, więc może i własną... Po drodze natknęłam się na pompę, jedną z tych, które zostały w Brześciu jeszcze z polskich czasów. Spróbowałam trochę się obmyć, ale gdzie tam: woda leciała tylko kiedy naciskałam na dźwignię, a kiedy puszczałam dźwignię, żeby nabrać jej w dłonie, przestawała. Próbowałam na różne sposoby, ale złapałam zaledwie kilka kropli. Poczulałam, że te krople za chwilę staną się moimi ostatnimi nie tylko w dosłownym, ale i przenośnym znaczeniu, że przeleją czarę, że za chwilę zawyję na całą ulicę, i wtedy usłyszałam za plecami znajomy głos:

- Puść, pomogę.

Obejrzałam się. Przy pompie stała Aksanka. Była podejrzenie radosna. Nacisnęła na dźwignię, woda zabulgotała i popłynęła wartkim strumieniem; z rozkoszą wsadziłam pod nią głowę. W końcu doprowadziłam się do względnego porządku. Najwięcej czasu zajęło mi zmycie plam krwi z gipsu.

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytałam.

- Zaraz ci powiem. Chodź, usiądźmy na skwerze. I najpierw kupimy lody - dobrze ci zrobią na tę rozbitą wargę, a ja już zapomniałam, jak smakują, powspominam dzieciństwo.

Kupiłyśmy śmietankowe w czekoladzie (plus zestaw higieniczno-egzorcystyczny w kiosku obok). Przechodnie wprawdzie przestali nas omijać, ale patrzyli spode łba: siedzą dwie baby na ławce w taką paskudną pogodę, jedna z ręką w gipsie i obitym pyskiem, druga w sukience jak z emerytki zdartej i liżą lody...

Dłuższą chwilę milczałyśmy.

- Powinnam cię przeprosić - westchnęła w końcu Aksanka, biorąc mnie za rękę.

- Że łupnęłam mnie mochyką? - wymamrotałam. Spuchnięta warga wprawdzie po lodach trochę mniej bolała, ale nadal mówiłam, jakbym trzymała w ustach kartofel. - Nie ma spchawy. Pchawie jusz sapomniałam i pchawie się sachoilo. Od tamtej pochysdąszyli mi jechcze słamać rękę, wybić sąb i mało nie chosbili gchowy bumechaniem... Więc nie masz sa co pchepchaszac.

- Nie, nie chodzi tylko o motykę. Rzecz w tym, że to przeze mnie wezwali cię dzisiaj do prokuratury. Tak, tak, dobrze słyszysz - potwierdziła, widząc, jak w zdumieniu marszczę brwi.

## Rak

Teraz bolało mnie już wszystko po kolei: swędziała i ćmiła ręka pod gipsem, piekły rozbite wargi i nos, szczypało dąsłło, w którym chwiał się jak huśtawka wybity ząb, a do kompletu dokuczał brzuch. Serce zaś gryzła - od kiedy minął atak szału - żmija niepewności i rozgoryczenia. Przecież nie jestem jakimś terminatorem, tylko pięćdziesięcioletnią kobietą. Przez opary alkoholu nie widziałam i nie chciałam widzieć świata, nie umiem być silna i twarda, brak mi pewności i wiary, brak mi odwagi w takich tarapatach... Aksanka patrzyła mi w oczy i ścisnęła rękę. Nie widziałyśmy się bardzo długo; co tak właściwie o niej wiedziałam? Tylko tyle, że wiele, wiele lat temu siedziałyśmy w jednej ławce, że jest dyrektorką szkoły, że ma troje dzieci i dwoje wnucząt, że siedzi tutaj w tej starej sukience, w której, dobrze pamiętam, chodziła jeszcze jej matka - różyczki na zielonym tle (zdaje się sztuczny jedwab?), że ma na nogach pantofle na gumowej podeszwie... Że jej ciało jest nadal szczuple, ale brak mu już niegdysiejszej sprężystości.

- To rak - powiedziała i uśmiechnęła się blado; wyglądała żałośnie, ale szybko wzięła się w garść. - Rak. Dziwne. Żyjesz, jakbyś miała żyć wiecznie, latasz, kombinujesz, dzieci, pieniądze. I nagle: rak.

- Masz... nowotwór? - słowo „rak” nie chciało mi przejść przez gardło.

- Nie ja. Siarhiej. Niedawno postawili mu diagnozę. Często

boląca go głowa. Dlatego zresztą nie pił, po wódce całkiem mu ją rozsadzało. A ja, durna, jeszcze się cieszyłam: lepiej, żeby boląca, niż żeby się walał pod płótem. To były pierwsze objawy. A potem już poszła lawina: guz zaczął błyskawicznie rosnąć, zajął nos, tak że prawie nie ma jak oddychać, okropnie wybałuszył jedno oko... W końcu Siarhiej zszedł z traktora i poszedł do lekarzy. Ale za późno.

- Boże! Dlaczego tak to zaniedbaliście? Dlaczego nie poszedł na badania wcześniej?!

- Tak, też ciągle zadaję sobie to pytanie. No, zaniedbaliśmy - ja cały czas w szkole, ciałem i duchem, a w domu robota, ogród podlać, krowy, gęsi... Dzieci... Nie ma się kiedy ani po dupie podrapać, ani zjeść, ani posiedzieć, ani porozmawiać. Zresztą już od dawna nie spaliśmy... nie spaliśmy razem. On w kółko, dniem i nocą przy traktorach - sama wiesz, zawsze musi dopilnować, żeby wszystko grało. Perfekcjonista. I ciągle coś: a to Józik po pijaku łapę w kombajn włoży, a to ktoś kradnie po nocach benzynę, a to coś tam jeszcze. No i tak sobie żyliśmy. Lekarz w Brześciu, na Reczycy, trzeba się zebrać, pojechać, cały dzień stracić, i to nie jeden. Pamiętam, bo akurat w szkole była hospitaacja, cieszyłam się, dobrze nas ocenili, lecę do domu jak na skrzydłach, a tam Siarhiej siedzi na ganku. Czego on siedzi, myślę, słońce jeszcze wysoko. A on tylko głowę podniósł i popatrzył, tak popatrzył, że serce mi w piersi zamarło. Boże, Boże, co z nim? Taki chudy, żółty jakiś, twarz wykrzywiona z bólu...

Miesiąc czekaliśmy na wyniki badań. Onkolog w przychodni rejonowej, sam zresztą chory na raka i jedną nogą w grobie, powiedział, że daje najwyżej pół roku. Medycyna w takich przypadkach... Nie pamiętam, jak dojechaliśmy do domu. A syn od razu powiedział: „Trzeba jechać do Borowlan, na płatną konsultację”. Pojechaliśmy. Na szczęście. Znowu wszystkie badania. Tomografia, USG, coś tam jeszcze, i w końcu tamtejszy lekarz - taki starszy, Hienadź Jafimawicz, oświadczył: „Nie mam dla państwa dobrych wiadomości, choroba jest zaawansowana, potwierdzam

diagnozę mojego kolegi z Brześcia. Powiem wprost: leczenie, które możemy zaproponować w ramach przyjętych procedur, będzie jedynie objawowe, a dokładniej paliatywne: spróbujemy zmniejszyć cierpienie. Ale - mówi i odkłada na bok okulary - nauka wciąż się rozwija. W Europie pojawiło się niedawno nowe lekarstwo, Zaratex. Nawet na takim etapie choroby daje bardzo, ale to bardzo obiecujące rezultaty. W naszej klinice nie podajemy go ze względu na bardzo wysoką cenę. Miesięczna terapia kosztuje około trzech tysięcy dolarów i musi trwać minimum rok. Za to po roku do półtora guz zazwyczaj zmniejsza się na tyle, że łatwo go już usunąć tradycyjną metodą, to znaczy naświetlaniem albo chemioterapią. Jeśli tylko sytuacja finansowa państwu na to pozwala, radzę spróbować. Oczywiście mam świadomość, że mówiąc o Zarateksie, często dokładam jeszcze pacjentom cierpienia... Tak czy inaczej uważam, że to mój obowiązek. Powiedziałem, co mogłem, decyzja należy do państwa. No i jeśli zdecydujecie się państwo na tę terapię, mogę prowadzić pacjenta bezpłatnie”.

Ałka, pochowałaś córeczkę, ale czegoś takiego jednak nie przeżyłaś: wiesz, że istnieje lekarstwo, ale nie możesz go zdobyć... Zaczęłam liczyć: nawet jeśli sprzedamy wszystko, cały nasz majątek: dom, samochód, ziemię, zbierzemy do kupy może ze trzydzieści tysięcy. Nie starczy nawet na rok. A gdzie mieszkać w tym czasie? A dzieci, a wnuki? Co im po nas zostanie? Figa z matką... Jadzia musi jeszcze się uczyć, to też kosztuje. Nie, tak się nie da... Czyli co, niech umiera, mój mąż, mój ukochany?

I nie tylko umiera, ale cierpi. Długo. Na oczach moich i dzieci. Pamiętam, jak babcia przed śmiercią całymi dniami krzyczała. Powiesić się? Kto ma się wieszać, ja czy on? W nocy po powrocie z Borowlan płakaliśmy: pierwszy raz od wielu miesięcy, może i od roku siedzieliśmy razem i płakali... Była ciemna, duszna noc, u sąsiadów głośno grała muzyka, a nasz dom milczał, przeczuwając śmierć...



Następnego dnia wezwano mnie pilnie do rejonu. Zatelefono-  
wali do domu, bo do pracy nie poszłam. Działalam czysto mecha-  
nicznie, odruchowo, ale pojechałam. W gabinecie szefa już na  
mnie czekali. Dziwnie miłkiwy szef powiedział, że ktoś chce ze  
mną porozmawiać, po czym wyszedł.

Ten drugi został. Wypłowiwały blondyn. Ostre rysy, ale twarz  
rozmyta. Pomyślałam, że pewnie któryś z uczniów znowu dał się  
złapać z ulotkami i wysłucham tradycyjnej reprimendy. Ale nie.  
Blondyn powiedział, że od dłuższego czasu mi się przyglądają. Że  
jestem sumienną pracownicą. Odpowiedzialną. I że na pewno  
wiem, że w takich ciężkich czasach naszym obowiązkiem jest  
współpraca. I że wie o chorobie mojego męża... Zaproponował mi  
stanowisko przewodniczącej okręgowej komisji wyborczej. Jeśli  
się zgodzę, mogę liczyć na sfinansowanie terapii Zarateksem.  
Zgodziłam się, kiedy tylko skończył zdanie.

- Niezli są. Skąd był konkretnie ten blondyn, z jakiego urzę-  
du? I jak się nazywa?

- Tego nie mogę ci powiedzieć. Za nic. W każdym razie za-  
pewniał, że nigdy we mnie nie wątpił, że jest mu bardzo miło, że  
taka piękna kobieta jak ja będzie się z nim teraz często spotykała i  
tak dalej. Na co ja, że zrobię wszystko, co trzeba, pod warunkiem,  
że natychmiast otrzymamy pieniądze na lekarstwo albo samo le-  
karstwo. Obiecał, że nazajutrz dostarczy pierwsze opakowanie, a  
potem co miesiąc kolejne. I dotrzymuje słowa - Aksanka wes-  
tchnęła przeciągle, choć niezbyt ciężko, tak jak zazwyczaj wzdy-  
cha człowiek, który sprawdza, czy czasem nie boli go serce. -  
Hienadź Jafimawicz odnotował już znaczne polepszenie. A wkrót-  
ce, sama rozumiesz, przyjdzie godzina „W”, kiedy będę musiała  
za to zapłacić...

- I co potem? Co potem, po wyborach? Pozwolą Siarhiejowi  
dokończyć terapię?

- Na początku umówiliśmy się, że tak. Że opłacą całość. Ale  
niedawno znowu mnie wezwali, tym razem do prokuratury, na roz-  
mowę z Majdzienką. Nie był już taki miły. Ma dziwny zwyczaj,

zawsze spuszcza wzrok i podnosi go tylko po to, żeby rzucić pogardliwe spojrzenie. Bez dłuższych wstępów powiedział, że wezwał mnie za radą tego blondyna, że jako prokurator zajmuje się rozpracowywaniem pewnej groźnej organizacji zdeklarowanych wrogów naszego państwa; organizacja bardzo się ostatnio zaktywizowała, jej członkowie przygotowują rozmaite prowokacje, w tym zamachy bombowe i zatrucie, ujęć wody, oczywiście po to, żeby destabilizować stabilną sytuację w kraju. I że dwie takie zbrodniarki znam osobiście: ciebie i Uljanę. Musimy jak najszybciej przerwać waszą przestępczą działalność, zanim zdążycie wciągnąć w te brudne sprawy młodzież, no i zanim kogoś zamordujecie.

- A ty uwierzyłaś i napadłaś na mnie z motyką?!

- A skąd! Gdzie tam uwierzyłaś. Ale słuchaj dalej. Okazało się, że prokurator wezwał mnie w konkretnym celu. Powiedział, że tylko ja mogę teraz przerwać łańcuch waszych zbrodni i że muszę podpisać oświadczenie: słyszałam waszą rozmowę, mówiliście, że trzeba wysłać babcię na tamten świat, przyszła na nią pora. Dzięki oświadczeniu uda się was spacyfikować. Dodał jeszcze, że jako prokurator świetnie widzi pewne prawne niedostatki podobnej metody, ale kiedy gra toczy się o spokój i nawet życie wielu obywateli, szlachetny cel uswięca wszelkie środki... I że jest pewien, że go dobrze rozumiem. Tym bardziej że od tego zależy kontynuacja terapii mojego męża. I tak dalej.

- Pięknie. Czyli to ty jesteś tym świadkiem oskarżenia, którego nazwiska nie zamierzają ujawniać ze względu na dobro sprawy?

- Ja. Co zrobisz. Jak to mówią: dałam palec, wzięli całą rękę. Ale nie do końca. Odmówiłam podpisania oświadczenia, nakrzyczałam na prokuratora, a on na mnie. Trzasnęłam drzwiami. Jeszcze tam, w prokuraturze, biegnąc korytarzem, zrozumiałam: nie ucieknę, prędzej czy później podpiszę oświadczenie, bo ciągle widzę przed sobą wybałuszone oko Siarhieja... Wróciłam do

domu. Byłam wściekła na siebie i na tych sukinsynów, krew aż we mnie kipiała. Następnego dnia musiałam iść na chutor, do Anisiczuków. Ich syn urywał się z praktyk w kolchozie, bo, jak tłumaczył, nie chciało mu się tracić czasu na bezsensowną robotę. Szłam ze zwieszoną głową przez Dobratycze, rozmyślałam, co tu teraz robić, chociaż sama już dobrze wiedziałam, że wyjście jest tylko jedno. I wtedy wyszłaś zza krzaka. Wiesz, jak to jest, kiedy człowiek jest wściekły na siebie i wyładowuje się na kimś? Z samego dna duszy wypływa coś obrzydliwego, nieludzkiego. Możesz wtedy uderzyć nawet dziecko albo cisnąć o ścianę kociakiem. Właśnie w takiej chwili pojawiłaś się na mojej drodze. Kiedy wpadłyśmy na siebie koło ogródków, to ty, tylko ty byłaś już winna wszystkich moich nieszczęść: wiesz, siedzicie w tym waszym Mińsku, od luksusów w głowach wam się przewraca, jakieś teatry, kawiarnie, zagranice, a tutaj człowiek całymi latami nie widzi choćby jednej jasnej chwili życia, i zbliża się śmierć, i przyszło ze grosze sprzedać duszę diabłu... Ja też jestem z Hadunów, wpadam w nasz słynny szał. No i zarobiłaś motyką po plecach... Bardzo to potem przeżywałam, naprawdę. I postanowiłam, że podpiszę to cholerne oświadczenie, ale przy okazji o wszystkim ci powiem. Przed podpisaniem wytargowałam coś jeszcze: Siarhiej dostał lekarstwo na całe dziewięć miesięcy z góry.

- Tyle dobrze.

- Nic w tym dobrego, ale mogło być gorzej. Kiedy się dowiedziałam, że wzywają cię do prokuratury - Lonicha w godzinę zdążyła poinformować całą wieś - postanowiłam, że cię uprzedzę. Nie zdążyłam, pojechałaś już do miasta, dopiero teraz cię znalazłam. Bałam się, że cię aresztują, dlatego tak się ucieszyłam na twój widok. Z kim się pobijałaś, chyba nie z prokuratorem?

- Z Kukalem.

- Z Kukalem! Czyli też jest w to zamieszany. Ciągnie swój do swego...

Zamyśliła się.

Co wiedziałam o Aksance oprócz tego, co sama mi opowiedziała? Wychowałyśmy się razem w Dobratyczach. Pochyliłam się, objęłam ją i pocałowałam spuchniętymi wargami.

- Spokojnie. Jakoś nam się uda. Najważniejsze, żeby Siarhiej wyzdrowiał. Dobrze zrobiłaś. Powiem więcej: nie było innego sposobu.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Ci gówniarze usiłowali nas skłócić, rozdzielić. Nic z tego.

- Bolać cię jeszcze te plecy?

- Nie, już się prawie zagoiły. Masz siłę, że ho-ho!

Pokiwała głową.

- Kiedy tylko Siarhiej wyzdrowieje, siła akurat mi się przyda. Jeszcze pokażę tym gówniarzom!

Gówniarze. Worki gówna. Kiszki zwieńczone czarną albo blond szczeciną. Pęcherze moczu. Miękkie chuje w nowiutkich wykafelkowanych mieszkaniach, w saunach, w skórzanych fotelach. Ale nie ma się co poddawać, bo przecież jest Aksanka, są Dobratycze, no i jest Saszka Anisiczuk, który urywa się z praktyk w kolchozie.

Wtedy pomyślałam, że to wystarczające powody, żeby żyć dalej.

Długo jeszcze siedziałyśmy na ławce. Opowiedziałam Aksance o truciznie w kawie, o bumerangu, o planach Kukala dotyczących Dobratycz, o śmierci Starej Lalki... Korciło mnie, żeby wspomnieć też o skarbie - gdybyśmy go znaleźli, odpadłby problem finansowania terapii Siarhieja, ale odpuściłam: a jak nie znajdziemy? Nic gorszego od takich złudnych nadziei...

- Życie ma swoje żelazne prawa i nigdy prawda w nim nie umiera - powiedziała w zadumie Aksanka, kiedy się żegnałyśmy.

- Co? - nie zrozumiałam.

- To cytat z Janki Kupały - wyjaśniła przyjaciółka. - Uczę białoruskiego, tak mi się przypomniało...

## Pułapka na osy

Nie tak prosto wejść do brzeskiego aresztu. Długo dobijałam się do okienka grubych stalowych drzwi tego elementu systemu penitencjarnego Republiki Białorusi; kiedy zdawało mi się już, że blaszany huk przeraził całą okolice i wypłoszył ryby z Muchanki, w końcu w okienku pojawiła się twarz dyżurnego milicjanta. Na prośbę podejrzanie wyglądającej baby (podającej się za niejaką A.A. Babyłową) o widzenie z naczelnikiem zareagował wyraźnym wahaniem. Ale kazał poczekać.

Kwadrans później zdumiony naczelnik - równie wesoły jak przy naszym pierwszym spotkaniu, ale chyba też nieco zakłopotany - osobiście otworzył mi drzwi.

- Anatoljewna! Co panią znów do nas przywiało? Proszę wejść - i weszłam do ponurego gmachu.

- No więc? - dopytywał milicjant, usadzając mnie przy biurku w swoim gabinecie. - Rzadko się zdarza, żeby ktoś z własnej woli przychodził do aresztu. Spodobało się pani u nas?

- Otóż to. Proszę zamknąć mnie jeszcze raz w tej samej celi, w której wtedy siedziałam, i niech mi nikt nie przeszkadza, dopóki sama nie wyjdę.

Odjechał krzesłem od biurka.

- Ale z pani osa! Co to ma znaczyć? Sama pcha się pani do pułapki, to znaczy do celi?

Wokół ust, gdzieś po pyzaty, gładko ogolonych policzkach równiutko ostrzyżonego, sympatycznego milicjanta w mundurze błąkał się niepewny uśmiech. Nie było wyjścia. Szczerze opowiedziałam o wszystkim, czego wstydziłam się nawet przed siostrą, nawet przed Tolikiem: o widzeniach, które dla zdrowo myślących ludzi muszą przecież wyglądać na ciężkie delirium. Ale to nie delirium ani nie halucynacje, zapewniłam. To nora w czasie. I wszystko to nie dzieje się przypadkiem. I że bardzo chcę trafić do tej nory jeszcze raz. I że długo rozmyślałam, jak to zrobić, i że postanowiłam spróbować znów w tym samym miejscu (na dach bałam się włączyć w moim obecnym stanie - wciąż kręciło mi się w głowie, a w areszcie było przynajmniej pod tym względem bezpiecznie). Opisałam mu wszystko, co usłyszałam i zobaczyłam tamtym razem: jak stukały we mgle końskie kopyta, jak ciężkie szare sumy rzucały się przy koszach i jak z rezygnacją zwieszały wąsy, jak w świeżych powiewach wiatru od rzeki płynęły dźwięki żydowskiego języka...

- Jest pani pewna, że to nie była halucynacja? - zapytał po dłuższym namyśle.

- Tak, jestem pewna. A nawet jeśli to halucynacja, chcę ją zobaczyć jeszcze raz. Chcę zobaczyć moją babcię, kiedy była małą dziewczynką. Chcę przynajmniej spróbować, i właśnie po to muszę dostać się do celi.

Znowu się zamyślił.

- No dobrze! Zaraz zawołam ludzi, zaprowadzą panią. Powodzenia!

- Dziękuję! Bardzo panu dziękuję!

- Podziękuję mi pani, jak się uda - ostudził mój entuzjazm, a potem dodał z naciskiem: - Może komuś, kto rozbił nos Kukałowi, pobyt w celi wyjdzie na zdrowie. Tu przynajmniej pani nie dopadną. Kaśpiarowicz! - krzyknął w otwarte drzwi na korytarz. - Odprowadź panią do celi dwadzieścia trzy!

No, no, niezły mają obieg informacji.

Drzwi celi zatrzasnęły się za moimi plecami. Drewniana pryzca, umywalka i sedes.

Usiadłam na szarych deskach. Och! Ale ze mnie idiotka! OK, jestem w celi. I co dalej? Czy naprawdę liczyłam, że w tak prymitywny sposób, niemal siłą, wkopię się w przeszłość? Tylko rozbawiłam biednego milicjanta...

Bez jakiegokolwiek nadziei podeszłam do okna.

I wtedy *to* znowu się stało. Natychmiast. W mgnieniu oka.

Znowu widziałam tak szczegółowo, że wszystko rozbijało się na płataninę detali. Nieotynkowane cegły. Kurz. Krata. Popatrzyłam za kratę.

Więzienne podwórze zniknęło. Nie było też brukowanej drogi, której się spodziewałam. Przez chwilę nie mogłam złapać tchu - wdychałam całkiem nowe, niezwykle powietrze i moje płuca nie potrafiły się do niego przyzwyczaić. Było pięknie. Po prostu pięknie.

Szumi i chlupie rzeka; przejrzysta woda, tak głęboka, że aż brunatna; na małych progach szemrzą strumienie. W soczystej, zielonej trawie wiją się dwie ledwie widoczne koleiny traktu. Na wodzie tysiące białych plamek grzybieni; tysiące żółtych kropek nenufarów z zielonymi talerzami liści; a jakie kwiaty na brzegu! Nie wiem nawet, jak się nazywają, nigdy takich nie widziałam: różowe i białe, jak gwiazdki; jakieś cudowne, przypominające bezy, lilie z płatkami w czarne kropki; o, i jeszcze stary, dobry mieczyk. A tam? Czyżby chryzantemy? W rozproszonym, spływającym z nieba świetle - chyba przed chwilą padał deszcz, lekkie szare chmury zasłaniają słońce - w świetle, które odbijało się od nurtów rzeki, kwiaty wyglądały jak fantastyczne zwidy albo sny. Gdzie jestem?

Na trakcie pojawił się ktoś ubrany w czerwoną szatę. Przypominał kolejny wielki kwiat. To kobieta. Niewysoka, chuda kobieta w ciemnoczerwonej sukience, mocno wciętej w tali. Dziwny materiał, niespotykany krój - widać, że to nie nasza epoka. Twarz

obramiona wysokim, białym strojnym czepcem, spod którego nie wystaje ani jeden włos; ciemna twarz ze lśniącymi, szeroko otwartymi oczami. Spiczasta czaszka, wąskie wargi. Sama mogłabym mieć taką twarz, gdybym potrafiła panować nad swoim życiem; taką twarz mogłaby mieć również babcia, gdyby nie kołchozy i radio; taką twarz mogłaby mieć moja córka, gdyby żyła i gdyby na świecie nie było po kostki grzechu. Nie miałam wątpliwości, że to kobieta z *Hadunów*.

Doszła do krzywej wierzby i przystanęła. Zza jej pleców doleciał tętent kopyt i wkrótce opodał wstrzymał małego konika i zeskoczył z siodła niewysoki, chudy jeździec.

- Oj, pani Makryniu! Tak się cieszę, że pani przyszła - pocałował ją w rękę i przycisnął do piersi; widziałam czarne, nierówne brzegi ich paznokci, a nawet włoski i pory na skórze.

- Nie wiem, panie Staryma, czy to dobrze, że się spotykamy? - szepnęła. - Co będzie, jak się dowiedzą?

- Dlaczego szepcesz, moja kochana? Przecież nikogo tu nie ma.

- To prawda - powiedziała Makrynia już na głos i rozpląnęła się w uśmiechu. - Z przyzwyczajenia.

Mówili w języku, który świetnie rozumiałam. W języku ludzi z Dobratycz. Tak mówiła babcia, tak mówiłam ja. I tylko od czasu do czasu przewijały się jakieś nieznane mi słowa.

Ale również wtedy, podobnie jak dzisiaj, w naszych okolicach mówiono *wite* zamiast *wy*. Stary język dopełnił naszą polifonie.

- Nie musimy się ukrywać - mówił miękko Staryma. - Nie robimy nic złego ani w oczach ludzi, ani Boga. Ale teraz, pani, pomówmy o najważniejszym. Specjalnie wezwałem panią tu, za miasto, żeby nam nikt nie przeszkodził. Czy da mi dziś pani odpowiedź? Czy zgadza się pani wyjść za mnie?

- Powiedziałam w domu, że idę do Młynów.

- Pani Makryniu, serce moje, pytam, czy zostanie pani moją żoną?



- Och, niczego bardziej nie pragnę - westchnęła ciężko Makrynia. - Ale czy to możliwe?

- A dlaczego by nie?

- Jesteśmy różnej wiary, pan unita, ja kalwinka...

- I co z tego? Co drugi ślub teraz taki. Mój sąsiad niedawno ożenił się z kalwinką, a wiosną ksiądz Sanguszką wziął sobie protestantkę... Nic nie mam przeciw pani wierze, a i pani przecież nic nie ma przeciw mojej, więc jakaż to przeszkoda?

- Dobrze, może nie wiara. Ale wójt z wójtową? Ponoć wójtowa poprzysięgła, że za mąż wyjdę po jej trupie.

- Po trupie to po trupie, niech sobie umiera!

Makrynia zaszamotała się w objęciach kochanka.

- Tak też sobie właśnie powiedziałam: skoro ta wyskubana kwoka chce mi zrobić na złość, to - znów zniżyła głos do szeptu - chętnie jej pomogę. Wyjdę za pana i wtedy zobaczymy. Pan wójt z żoną dawno już na mnie krzywo patrzy; kiedy tylko mąż umarł, zaczęli się mnie czepiać. Pewnie, wdowę łatwo krzywdzić, nikt się za nią nie wstawi. Na wiosnę zaorałam bezpański zagon za Nałozkami, to się zaraz wójtowa wściekła, że ta ziemia kiedyś do niej należała. Zdarłam jej wtedy czepek, bezbożnicy jednej, ale wszystko na nic: zaraz w nocy kazała Martynkowi - temu, co u nich służy - zasiać zagon żytem. Sądu się nie boi! Pewnie, ławnicy i rajcy będą trzymać stronę wójta, ale i ja tak łatwo się nie poddam! Skoro tak, niech wszystkim będzie krzywda: jak tylko żyto wzeszło, mój Naczko zaraz je skosił. A moje żaki kto porwał? Ona, wójtowa, i to własnymi rękami, nie żal jej nawet było w muł zaleźć po dupę.

Słyszałam, że Makrynia rozkręca się coraz bardziej. Tak mówią ludzie, którym nazbierało się zgryzot - nieważne nawet, czy ktoś ich wtedy słucha, czy go to ciekawi. Ale pan Staryma słuchał uważnie.

- Chcą zabrać mi przez sąd spadek po mężu, bo mąż był ich dalekim krewnym, siódma woda po kisielu: wójtowa jest od

Kukalów, a to znów jakaś rodzina Hadunów. Czy ja wyglądam na taką, co pozwoli, żeby jej dzieci głodowały, a jakaś stara ropucha stawiała na swoim?

- Nie wygląda pani, oj nie - uspokajał ją Staryma. - I dzieci mają szczęście, że im się taka matka trafiła, jak orlica z orlętami. Chcę, żeby moje dzieci też miały taką matkę. Widziała je pani przecież, tylko Chrystosz w razie czego jakoś sobie poradzi, a reszta to jeszcze maleństwa, jedno drugiemu nie pomoże. Niech je pani przygarnie, niech je pani pokocha jak prawdziwa mama! Pani Bóg zabrał męża, a mnie zabrał żonę. I może teraz chce, żebyśmy się poženili.

- A czy nie skrzywdzi pan moich, panie Staryma?

- Nigdy, przysięgam. I chcę pani powiedzieć, że dobry Bóg błogosławi moją pracę. Nie musi się pani obawiać: nieruchomości i ruchomości mam w bród, klejnoty, które wyrabiam, kupuje nawet sam miłościwie nam panujący król, a inne do Niemiec posyłam albo w moich sklepach we Lwowie, w Łucku, w Lublinie i w Brześciu z powodzeniem sprzedaję. Teraz znowu kupiłem w Niderlandach i w Turcji złoty drut i kamienie i zrobiłem niemało rozmaitych...

- Pani Ało, koniec tej nirwany! - ryknął mi ktoś do ucha i nie dośłyszałam, czegoż to niemało zrobił pan Staryma.

Stał nade mną komendant aresztu.

- Przecież prosiłam, żeby nie przeszkadzać!

- Przykro mi, to bardzo ważne. Właśnie dowiedziałem się, że władze poszukują niejakiej Ały Anatoljewnej Babyłowej, mniejsza o rok urodzenia. Czy pani rozumie, co to znaczy?

- Co?

- Od chwili, kiedy roześlą wszystkim posterunkom list gończy z pani zdjęciem, każdy mundurowy, od funkcjonariusza drogówki po kabebistę, będzie zobowiązany zatrzymać panią przy pierwszym spotkaniu. I wróci tu pani już oficjalnie, ale obawiam się, że nie na długo - coś mi mówi, że sprawa skończy się prawdziwym

więzieniem, oczywiście po sprawiedliwym procesie. Nasze sądy działają szybko i sprawiedliwie... Proszę zauważyć, że już rozmawiając teraz z panią, popełniam wykroczenie. Ale zrobię coś jeszcze: odwiozę panią w bezpieczne miejsce, mojego samochodu nikt nie będzie sprawdzał. Byle nie do Dobratycz, bo całkiem możliwe, że już tam na panią czekają, przy czym niekoniecznie milicja, pewnie jacyś mniej przyjemni koledzy. No, chodźmy.

Jakaś cząstka mnie kurczowo trzymała się wilgotnego brzegu wezbranej rzeki, więc myślałam na zwolnionych obrotach. List gończy? Gdzie ja jestem? O czym mówił ten jubiler? Naczelnik złapał mnie za ramię i potrząsnął.

- Ej, co jest z panią? Idziemy, powiedziałem! Jasne?

- Jasne, jasne - westchnęłam, ostatecznie wracając do rzeczywistości. - OK, skoro nie boi się pan kary za naruszenie obowiązków służbowych, jedźmy do kliniki Zarnickiej.

- Zarnickiej? Znam ją, ale ona przecież wyjechała!

- Wyjechała, ale zostawiła na miejscu kogo trzeba.

Kiedy malutka kia naczelnika krążyła po wąskich uliczkach carskiego Brześcia Litewskiego, w końcu postanowiliśmy przedstawić się sobie jak należy i przy okazji przejść na „ty”.

Naczelnik miał na imię Anatol, jak mój tata.

- Powiedz, dlaczego mi pomagasz? Możesz mieć kłopoty.

Anatol parsknął.

- Wiesz, lubię takich ludzi jak ty. I podobają mi się twoje opowiadania. No, co tak patrzysz? Owszem, czytuję „Naszą Niwę”. Dobra, leć już, oso jedna. Lepiej, żeby nikt nas razem nie widział. Zadzwonię.

Klinika Zarnickiej znajdowała się w pustej bocznej uliczce starożytnego miasta, więc Anatol mógł być spokojny: w pobliżu nie było ani śladu ludzi. Parę pokoi, szumnie zwanych gabinetami, na drzwiach błyszczące tabliczki: „Psy, koty i inne ssaki”, „Ptaki” „Gady i płazy”, „Sekretariat”. Weszłam do sekretariatu.

Takich słów z ust Chwiedźki jeszcze nie słyszałam. Powiedzmy sobie szczerze - czegoś takiego w ogóle jeszcze nie słyszałam, nawet w autobusie ze specnazowcami.

- Do mnie mówisz?!

- A co? O, to ty! Nie, jasne, że nie do ciebie, przepraszam - Chwiedźka zrobił się buraczkowy. - Wkurzyli mnie na całego. Dziś rano przyszło kolejne rozporządzenie - podał mi kartkę. - Cholerne sukinsyny! Przeginają. Siadaj.

Na papierze firmowym inspektoratu bezpieczeństwa sanitarnego, higieny i działalności weterynaryjnej widniało, co następuje:

„Do kliniki weterynaryjnej «Doberman-pinczer», właścicielka J.H. Zarnicka, siedziba firmy....., numer konta bankowego....., nr licencji....., wydanej w przez.....

#### Rozporządzenie

Celem ochrony prawa i zapewnienia bezpieczeństwa, a także uniknięcia prowokacji ze strony elementów społecznych należy zorganizować PRZEDTERMINOWE głosowanie minimum 86% pracowników kliniki oraz członków ich rodzin. Ponadto zapewnić należy całkowitą NIEMOŻNOŚĆ prowadzenia w pomieszczeniach firmy rozmów dotyczących kampanii wyborczej, szczególnie zaś wymieniania nazwisk kandydatów (za wyjątkiem nazwiska obecnego Prezydenta). W przypadku zignorowania powyższych zaleceń na podstawie art. 36a ustawy o działalności weterynaryjnej (niespełnienie wymogów podyktowanych przez organy władzy) licencja na prowadzenie działalności weterynaryjnej zostanie klinice cofnięta w trybie natychmiastowym. Prawidłowa realizacja rozporządzenia będzie kontrolowana na terenie kliniki przez powołane do tego osoby, występujące incognito.

Kierownik inspektoratu bezpieczeństwa sanitarnego, higieny i działalności weterynaryjnej”.

- Co za absurd - powiedziałam, oddając Chwiedźce kartkę.

- Absurd i szczyt głupoty. A wczoraj dostałem prawie identyczny od komitetu wykonawczego partii, wynajmujemy od nich

lokal. Tylko ci dla odmiany zagrozili nam, że jeśli nie zorganizujemy przedterminowego głosowania i nie zabronimy rozmów o kandydatach, wymówią umowę najmu „w związku z prowadzeniem działalności niezadeklarowanej w umowie”.

- I co, podporządkujesz się?

- .....!

- Ale przecież zabiorą wam licencję i wyrzucą na zbity pysk!

- Alona Hieorhijewna powiedziała, że się ich nie boi. I że jakby co, przeniesiemy się na Ukrainę. No dobra, ale co ty tutaj robisz? Co się stało? I dlaczego, na Boga, znowu jesteś pobita?

Krótko zrelacjonowałam mu co ciekawsze wydarzenia dnia, nie przyznałam się tylko, że sama poszłam do aresztu - skłamałam, że spotkałam Anatola w prokuraturze.

- No i poradził mi, żebym na jakiś czas zniknęła im z oczu.

Chwiedźka zamyślił się.

- Wiem! - ryknął w końcu radośnie. - Ukryjemy cię w domkach dla bobrów!

- Yyyy, jakich domkach?

- Dla bobrów. W twierdzy. Wital dobrze ich pilnuje, nie wpuszcza nikogo obcego, nawet milicji. Posiedzisz, aż się wszystko uspokoi.

Wiedziałam już, o czym mówi. Przy starej, pustej twierdzy, tam, gdzie Muchawiec zlewa się z Bugiem, tego roku pojawiły się bobry. Pewnie przyszły z Polski, bo na Białorusi w promieniu wielu kilometrów dawno już wyginęła niemal cała fauna. Bobry zwały kilka drzew, zbudowały tamę, żeremia i zostały. Wyglądało na to, że na dłużej. Dyrektor twierdzy zażądał, żeby je odstrzelono, bo przecież niszczą nadbrzeżne wierzby, psują pejzaż i niespodziewanie zabiegają drogę wycieczkom, przez co te nie mogą się skupić na zwiedzaniu. I tym by się pewnie skończyło, gdyby nie determinacja wykładowcy biologii z miejscowej Akademii Pedagogicznej, Witala Kanapackiego. Udało mu się namówić

władze do stworzenia przy twierdzy miniaturowego rezerwatu. Następnie pojechał do dyrektora, podsunął mu pod nos świeżo podpisany dokument i oświadczył, że jako strażnik rezerwatu zabrania oprowadzania wycieczkowiczów po tej części terenu i w ogóle zbliżania się na mniej niż pięćset metrów. Między Witałem a dyrektorem wybuchła regularna wojna, ale prawo stało po stronie Witala. Był zresztą doświadczony w podobnych przeprawach i nie bał się niczego - to on obronił wcześniej zarośnięty splątanymi krzakami, w których gnieździły się rozmaite drobne ptaszki, brzeg Muchawca (zamierzano wznieść tam kolejny lodowy pałac), lasek zamieszany przez czarne bociany (miał iść pod domki letniskowe) i kilka podobnych miejsc. Budowlańcy i właściciele działek bali się wchodzić mu w drogę. Wital zbudował niedawno obok żeremi dwie budki: jedną bliżej twierdzy, skąd pilnował, żeby nikt nie laźł bobrom w szkodę, i drugą przy samej tamie, gdzie w wolnych chwilach prowadził obserwacje zwierząt.

- W tej drugiej sobie posiedzisz. Nic się nie bój, nie wepchniemy cię do nor pod wodą.

- A niby dlaczego, nory też są w porządku. Bohaterowie Verne'a siedzieli w termitierze, niestety już nie pamiętam, jak się to dla nich skończyło. Ale słuchaj, Chwiedźka, może my przesadzamy? Może wrócę spokojnie do domu, do Dobratycz, i nic się nie stanie? Gdybyś tak wcześniej skoczył tam wy badać sytuację...

Zadzwonił telefon i Chwiedźka podniósł słuchawkę.

- Halo. Tak, to ja. Jasne. Przekażę.

Spojrzał na mnie przeciągle.

- No, to masz odpowiedź. Nie, nie przesadzamy. Dzwoniła Lilka z „Narodnej Woli”. Dzisiaj aresztowali twoją siostrę. Podobno poszła cała fala zatrzymań. Prosiła przekazać, żebyś się nie martwiła. Zajmą się Uljaną, wszystko będzie OK. No, jedziemy

do bobrów. Nikomu nie pomożesz, jeżeli sama trafisz do więzienia. A na wolności możesz się do czegoś przydać.

W aucie zwinęłam się na siedzeniu w kłębek, żeby nie leżeć w oczy milicji, i rozmyślałam o aresztowaniu Uljany. Awantura z użyciem niecenzuralnych słów w miejscu publicznym czy coś ciekawszego tym razem?

Chwiedźka natomiast wciąż pieklił się o rozporządzenie:

- Pewnie po wyborach okaże się, że zwyciężył zbierając osiemdziesiąt sześć procent „za”. Bo niby dlaczego tak im zależy akurat na osiemdziesięciu sześciu? Poszaleli. Zero wyczucia. Choćby dla przyzwoitości mogliby się ciut maskować. Mają nas za kompletnych idiotów. A sami są durni i tyle.

Głupota i absurd spadły na nasz kraj jak fala koszmarnych upałów. Zdawało się, że już nigdy nie miną. Na potężnych billboardach ustawionych wzdłuż wszystkich szos szczerzyła zęby, rechoła i nabijała się z nas wielka, ohydna twarz.

## Miasto ryb

Tysiące śpiewaków rozdymały piersi i nadrywały struny głosowe tuż nad moją głową. Panie bobrowe - Wital nauczył mnie odróżniać samice od samców po wyrazie pyszczka - wychodziły z domków, składały łapki na brzuszkach jak gospodynie na fartuszkach i w zadumie słuchały koncertu. Później, wyrwane z krainy marzeń piskiem któregoś z młodych albo gderliwym pomrukiem bobramęża, otrząsały się i dawały nura w wodę, do domu, do obowiązków. Miejsce bobrowej zajmował zakłopotany bóbr, mało zainteresowany śpiewem jakichś tam ptaków: poważnie i odpowiedzialnie ciągnął płaski ogon do olszyny i wgryzał się w korę... Obserwacja życia zębatych drewnogryzów działała na mnie lepiej niż środki uspokajające; kiedy człowiek widzi kochającą się parę bobrów i ich rozrabiające młode, od razu robi mu się jakoś lżej na duszy. Gdyby nie te komary... Wital zabronił mi używać płynu na komary, żeby nie niepokoiła zwierzaków chemicznym zapachem. W dzień można było jeszcze wytrzymać, ale o zachodzie słońca wolałam nawet nie myśleć...

Budka byłaby za mała dla dużego psa. Człowiek mógł w niej tylko siedzieć. Ale lepiej siedzieć przy żeremiu, niż maszerować po celi, jak powiedział Wital. Podłogi nie było, siedziałam więc wprost na ziemi - dobrze przynajmniej, że ciepłej.



Wyciągnęłam nogi. Bardzo chciało mi się spać. Tam, w drugiej budce koło twierdzy, czuwa teraz Wital. Oparłam się wygodniej.

I wtedy coś mną szarpnęło.

Ocknęłam się i otworzyłam oczy. Wiklinowe ściany budki, stara deska zamiast drzwi. A dalej mur zamkowy i droga, i zgiełk, i wozy z workami, wozy z sianem, wozy z suknem... Znowu. Znowu wpadłam w norę.

Podmiejski trakt kipiał życiem; słyszałam wyraźnie okrzyki i strzępy rozmów, widziałam szeroko gestykulujących ludzi, a oprócz tego most, kałuże w grząskim mule i barwne, niezwykle ubrania...

Leciutko przekręciłam głowę i wszystko zniknęło.

Drżąc ze zdenerwowania, znowu zamknęłam oczy. W pełnym bezruchu czekałam na szarpnięcie. Najważniejsze jest skupienie, tym razem nie mogę przerwać wizji.

Szarpnięcie.

Most; kałuże pod kołami; drewniane hołoble i skórzane zbroje; jasnorude psy.

Plecy dwojga dzieci. Szare zgrzebne kaftany. Jeden chłopiec ma włosy białe, drugi czarne, ostrzyżone nietypowo, jakby ciachnięte nożem. Obaj noszą czapki, a dokładniej kawałki szarej tkanki zwinięte w kołpaki.

- *Dywys', dywys'* - usłyszałam. - *On de matka skacze.*

Spojrzałam w stronę, w którą wskazywał chłopiec, i rzeczywiście zobaczyłam Makrynię poganiającą bosymi piętami małego czarnego konika. Nie zatrzymała się ani nawet nie zwróciła uwagi na chłopców i wkrótce zniknęła za bramą.

- Idziemy do domu? - zapytał starszy. - Może matka da nam jeść?

- Nie da - drugi chłopiec przywiązywał do grubego szarego sznurka coś przypominającego żelazny haczyk. - Nie ma czasu. Raina wyszła z domu, Naczka też. Chodźmy lepiej do pani wójtowej, ona nas nakarmi.

- Matka zbije nas, jak się dowie. Powiedziała, że nie wolno nam tam chodzić.

- Nie dowie się, nic jej nie powiemy. No, gotowe, chodźmy lepiej nad rzekę, złowimy suma. Matka nas pochwali.

- Ostatnio i przedostatnio nic żeśmy nie złowili.

Chłopcy podeszli bliżej. Widziałam teraz wyraźnie ich brudne stopy i cienkie, sine z zimna łydki.

- Patrz, w rzece widać jakby drugie miasto - młodszy wskazał ręką. - Miasto ryb.

W spokojnym nurcie wezbranej, sięgającej samych krańców skarp rzeki odbijały się mury zamku, okiennice, mosty i drzewa. Kształty i kolory, a wszystko nawet wyraźniejsze, czystsze, oczywistsze niż pierwowzór. Jakby tam, pod wodą, naprawdę stało jeszcze jedno miasto - miasto ryb, podwodne i podstępne, patrzące dachami domów w dół. Jakby te dwa miasta, nierozłączne, złane w jedną całość, nagle wyrosły z ziemi, ze wspólnych korzeni, rozkwitły pośród zielonych łąk jak pąk życia, jak kwiat malwy z przejrzystymi, jedwabistymi płatkami - mosty, mury, drzewa nad wodą i pod wodą. Jakby i tu, i tam żyli ludzie.

Chłopcy pobiegli; chudziutcy i kościści, z pyszczków bardzo podobni do Makryni - jeden blond, drugi czarny, obaj z subtelnymi wersjami jej mocnych, szerokich rysów twarzy. Za mostem skręcili na brzeg Bugu.

Staralam się nie poruszać, wodziłam tylko oczami, obserwowałam okolicę; pokąsane przez komary policzki piekły mnie od łez. Bałam się je obetrzeć, żeby nie wypaść z nory.

Niewielkie, przysadziste konie ciągnęły wozy; przeszło kilku mężczyzn z siekierami i łopatami na ramionach.

Jakim słodkim językiem tu mówili! Każde słowo odbijało się w pamięci jak zalana gipsem moneta...

Do miasta powolutku wkroczyła przez most ciężarna kobieta, w wielkim skupieniu wsłuchana w swoje ciało. Z bramy wyjechała jej na spotkanie Makrynia na krępym koniku. Ciężarna uśmiechnęła

się do niej, a Makrynia zauważyła ją w ostatniej chwili i bez specjalnego entuzjazmu ściągnęła wodze. Jedna z kobiet była energiczna i zdecydowana, druga miękka i jakby wilgotna; sukienka zadzierała jej się na brzuchu i gnioła na podolku, okrągła twarz nabrzmiała i zaokrągliła się jeszcze bardziej. Widać było, że lada dzień urodzi.

Ciężarna podeszła do Makryni i oparła się o jej kolano - pewnie po to, żeby ta nie odjechała.

- Niech będzie pochwalony!

- Teraz i na wieki.

- Ciągle gdzieś gonisz, Makryńka. Dokąd to?

- Naczko pojechał do Zahoran, zepsuła mu się brona i posłał mnie po drut. Muszę się spieszyć, bo ziemia całkiem wyschnie.

Makrynia szarpnęła uzdę.

- Oj, jeszcze zdązycie. Postój tu ze mną chwilę, muszę trochę odpocząć. Może już więcej się nie zobaczymy.

Surowe rysy Makryni nieco zmiękły, ale wciąż nie schodziła z konia.

- Niby dlaczego mamy się już nie zobaczyć? Co ty wygadujesz?

- Boję się, bardzo się boję porodu. Pewnie umrę. Śnią mi się złe sny.

- Sny jak sny. A porodu każda się boi. Pięć razy rodziłam i zawsze w strachu. Tak czy tak urodzisz. Nie ma wyjścia. Będzie dobrze. Patrz, ilu w Brześciu ludzi, wszystkich ich matki jakoś urodziły.

- Nasza Wolka sześć dni się męczyła i nic, nie urodziła. Zośka Kuleszycha i Maryna z Wałynki zmarły w połogu. Tanka Hnaliowa... Modliłam się już do świętej Paraskewy, Hańdzię wysłałam do karmelitów, żeby postawiła świeczkę Marcecie, jak to u nich przyjęte, ale dalej coś czuję; że to wszystko na nic...

Makrynia schyliła się i pogłaskała ciężarną po bladej dłoni.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Tyle czasu prosiłaś Pana Boga o dziecko, teraz Matka Boska pomoże ci rodzić. Jak chcesz, ja też przyjdę. Chociaż twoja świekra zna się na tej robocie, sama tyle razy rodziła, ile tam, jedenaście?

- Przychodź, Makryńko, przyjdź, proszę, będę spokojniejsza. Nikomu już o tym porodzie nie mówię, boję się, że ktoś rzuci na mnie urok, tylko tobie jednej wszystko powiedziałam. Już tak dawno się nie widziałyśmy... Ciągłe jakieś sprawy, kłopoty... A pamiętasz, jak razem szalałyśmy na tańcach? Jak jeździłyśmy do pana Kopcia na wesele Maryny?

- Pamiętam, a jakże. Dobrze już, dobrze, przyjdę, kiedy po mnie poślesz. A teraz Naczko czeka. Pora w drogę - Makrynia spięła konia i ostatnie słowa wykrzyczała już z mostu.

Biedna ciężarna powlokła się do bramy.

Wital przyniósł mi zupę w termosie.

## Jeszcze jedno rozporządzenie

Przesiedziałam w budce trzy dni.

Komary pogryzły mnie tak, że twarz przypominała księżyc w pełni. „Poprawiłaś się na buzi”, powiedziałyby pewnie moja siostra. Ale siostra siedziała w areszcie. I, prawdę mówiąc, jakoś się tym specjalnie nie przejmowałam, tak jak nie przejmowałam się komarami, bo codziennie przy wtórze ich brzęczenia, kiedy wokół zapadała cisza, kiedy tylko bobry bobrowały w swoim żeremiu, trafiałam do starego Brzeźcia, do miasta ryb - na trakt wiodący z Wołyńskiego Przedmieścia do zamku; właśnie na tym trakcie stała przypadkiem moja budka. Co ważne, codziennie wpadałam w ten sam czas: lato gdzieś w połowie siedemnastego wieku. Na początku nie byłam pewna, który to wiek; ustaliłam go na oko, a dokładniej na podstawie ubiorów, z grubsza przypominających te, które pamiętałam z płócien siedemnastowiecznych malarzy; nadto kilka razy obilo mi się o uszy słowo *szwajdnica* i słyszałam, jak dwaj mieszczanie rozmawiali na moście o niejakiem *Chmielu*... Może chodziło o Szwedów i Chmielnickiego? Mniejsza zresztą o wiek; obserwacja tego dawnego świata wciągnęła mnie po uszy. Jak wygłodzony człowiek nie potrafi oderwać się od jedzenia, jak zakochana nie może porzucić kochanka, tak i ja nie mogłam napatrzeć się na miasto ryb - moje miasto, pełne ludzi i koni, pełne życia i śmierci, pełne jasnego powietrza. Od czasu do czasu wiatr

przywiewał do mnie zapachy: chleba i innej strawy, zgnilizny, siana, węgla, dymu i owiec. Słyszałam, jak w mieście grają hejnał. Słyszałam śmiech, tętent, krzyki i piosenki - przeciągłe i głośne. Od czasu do czasu mijała mnie pędem Makrynia, konno albo w powozie. Widziałam też dwie jej córki. Nie poznałam natomiast jej piątego dziecka i nic nigdy o nim nie słyszałam. Może zmarło? Chłonełam bez opamiętania wszystko, co przynosiły mi wizje: byłam jak żona rybaka z bajki, która nie potrafiła już poprzestać na tym, co miała, czyli w moim wypadku na niezwyklej łatwości wejścia w tamten świat - wystarczyło na chwilę zamrzeć w bezruchu, żeby przeniosło mnie na trakt przy wjeździe do miasta; marzyłam teraz, żeby wtargnąć do środka, za umocnienia z ciężkich bali. Nie myślałam natomiast zupełnie o najważniejszym - kto, dlaczego i po co pozwala mi nurkować w nory w czasie.

Tam, w budce koło żeremi, uświadomiłam sobie w końcu z pełną wyrazistością coś, co od dawna już chodziło mi po głowie: Bóg trochę przeliczył się z możliwościami - w siedemnastym wieku starczało mu jeszcze dusz, żeby uczciwie obdzielić każde ciało jedną, ale w naszych czasach dusze zrobiły się deficytowe: na każdą przypada ładnych parę ciał.

Skąd taka myśl? Nie wiem, jak to wyjaśnić. Widziałam niskich, ubranych przeważnie w łachmany ludzi niedługo - tyle czasu, ile potrzeba, żeby przejść przez most i zniknąć za bramą albo wyjechać z bramy i zniknąć za zakrętem traktu. Ale każdy z tych brudnych oberwańców - włóczęgów, cieśli, ziemian i chłopów - każdy z nich miał w sobie coś, czego niemal nie spotykałam u moich współczesnych...

Budka okazała się znakomitą kryjówką; nikt nawet się do niej nie zbliżał, długa aleja prowadząca z twierdzy na brzeg Bugu zawsze była pusta; nie pałętali się tu ani chłopcy z miasta, bo miasto było daleko, ani bezdomni, bo na cóż niby mieliby tu liczyć, ani nawet wycieczki, bo tych nie wpuszczał Wital. Wital raz dziennie przynosił mi jedzenie. Nalewał z termosu do kubka zupę albo

herbatę i możliwie zwięźle relacjonował nowości: aresztowano w sumie około dwustu opozycjonistów, w tym moją siostrę; oskarżono ich o to, że pod pozorem przedwyborczego posiedzenia sztabu zorganizowali zlot terrorystów. Telewizja nakręciła reportaż o znalezionych w sztabie kałasznikowach, pieniądzach, narkotykach i - całkiem już ni z gruszki, ni z pietruszki - filmach pornograficznych.

Sytuacja nie wyglądała zatem zbyt wesoło, ale, jak już wspomniałam, byłam dziwnie spokojna.

Trzeciego dnia Wital przyprowadził Chwiedźkę.

- Dzwoniła dziś Lilka, mówi, że Uljanę i resztę wypuścili.

- Coś mi to śmierdzi. Wszystkich? Bez procesu?

- Bez. Podobno przez pomyłkę zgarnęli razem z opozycją dwu obserwatorów międzynarodowych, no i sama rozumiesz... Chcąc nie chcąc, musieli się ze wszystkiego wycofać.

- Niemożliwe! Jakoś nigdy dotąd żadni obserwatorzy nie przeszkadzali naszym władzom robić, co im się podoba.

- A jednak - wtrącił się do rozmowy Wital. - Skończyły się dobre czasy. W radio Swaboda mówili, że na posiedzeniu sztabu były dwie kobiety z OBWE, raczej nie z takich, co to dadzą sobie w kaszę dmuchać, no i kiedy wpadli specnazowcy, udawały, że należą do sztabu. Dopiero potem, kiedy ktoś przemycił do aresztu komórkę, zadzwoniły, gdzie trzeba, i narobiły szumu. Najlepsze w całej historii jest to, że jedna z nich okazała się kuzynką prezydenta pewnego sporego państwa. I podobno jej prezydent osobiście zadzwonił do naszego i powiedział mu parę słów do słuchu. W rezultacie zwolniono wszystkich zatrzymanych. Lilka mówi, że szykuje się odwilż. To jak, posiedzisz tu jeszcze czy zaryzykujesz i wyleziesz?

Zawahałam się. Z jednej strony korciło mnie, żeby jeszcze zostać i pobuszować po mieście ryb. Z drugiej wiedziałam, że pora wracać do Dobratycz, w końcu Chwiedźka nie może zajmować się w kółko moim drobiem i świnia, no i Wital też dostanie za tę akcję po uszach. Jeżeli ktoś mnie tu znajdzie, na bank zamkną rezerwat,

a te śliczne zwierzątka pewnie wystrzelają... Skoro Lilka uważa, że idzie odwilż (a ma nosa do takich spraw), powinnam zaryzykować.

- Jadę do domu. Myślę, że niebezpieczeństwo minęło.

Po drodze zadzwoniłam do Uljany. Rozmawiałyśmy nie żeby o niczym, ale jakoś bez serca. Siostra była po uszy zakopana w teraźniejszości - jej czas szumiał, gwizdał i pokrzykiwał hasłami; nie opowiadała nawet szczegółowo o aresztowaniu - było, minęło, teraz trzeba skupić się na przyszłości. Ja zaś wciąż jeszcze siedziałam w mieście ryb. Mój czas pluskał i płynął brunatną wodą Bugu, w którego falach dwaj chłopcy łowili na haczyk sumy. Zainteresowała mnie tylko jedna wiadomość:

- A właśnie, wiesz już, że wyszło rozporządzenie, na mocy którego osobom prywatnym zabrania się szukać skarbów? Teraz może to robić wyłącznie państwo, a osoby prywatne albo stowarzyszenia muszą występować o specjalną koncesję. Jeżeli jej nie otrzymają, grozi im odpowiedzialność karna, konkretnie do dwu lat więzienia. Wyobrażasz sobie, ile o nas wiedzą?

- Myślisz, że wiedzą?

- Nie mam żadnych wątpliwości. Więc miej to na uwadze, kiedy rozmawiasz przez telefon. Aha, a tak poza tym myślę, że nie bez racji się za to zabraliśmy.

- Za co?

- Jak za co, za to. Tylko bardzo cię proszę, nie gorączkuj się i nie narób znów głupstw, jak to tylko ty potrafisz.

No i tak właśnie rozmawia ze mną siostra. I to bynajmniej nie starsza. Ffffff...

Po drodze Chwiedźka zameldował, że w Dobratyczach wszystko po staremu, moja nieobecność nie zrujnowała, o dziwo, gospodarstwa: karmił zwierzęta, wydając im „dzienne porcje” tak jak tym z kliniki, czyli przywożone w wiadrach resztki z kuchni szpitala rejonowego. Wysiadłam koło CUM-u.

Po dniach spędzonych pod twierdzą sam na sam z bobrami dziwnie się czułam, idąc gwarnymi ulicami Brześcia; najbardziej



przeszkadzały mi teraz klaksony samochodów. Dlaczego ciągle tak trąbią, przecież to zabronione? Po paru krokach zrozumiałam przyczynę: wzdłuż całej alei Maszerawa co jakieś dziesięć metrów stały grupki młodych ludzi, ubranych w koszulki z wymalowaną literą. Litery układały się w napis „Harabiec to wolność”. Przejeżdżający obok kierowcy i pasażerowie trąbili z uciechy i machali do młodych. Pośród tych ostatnich dostrzegłam wkrótce Irynę Ławraniewską. Znałam ją; była z grubsza w moim wieku i studiowała historię starego, zburzonego do szczętu miasta. W sytuacji, kiedy za samo wymówienie na głos nazwiska któregośkolwiek z kandydatów - oczywiście z jednym wiadomym wyjątkiem - można było z dnia na dzień wylecieć z pracy, kiedy radio i telewizję opanowali gumowi ludzie, a ostatnie niepaństwowe gazety zdelegalizowano nie dalej jak w zeszłym tygodniu, akcja zdawała się śmiała i pomysłowa. Rozejrzałam się, żeby sprawdzić reakcję przechodniów - większość z nich radośnie uśmiechała się pod nosem, ale po chwili zauważyłam coś, co mnie zmroziło: uliczką za szkołą nr 13, wzdłuż brzegu rzeki sunął wielki wojskowy transporter. Kiedy zatrzymał się, z jego wnętrza wyskoczyli dobrze mi znani specnazowcy. Otwierałam już usta, żeby wrzasnąć „Milicja!”, ale na szczęście nie zdążyłam: siedzący opodal z gazetą na ławeczce niepozorny staruszek podniósł do ucha komórkę i cicho powiedział: „Achtung!” Łańcuch chłopców i dziewcząt błyskawicznie rozsypał się i rozproszył wśród przechodniów; wcześniej wszyscy zdążyli jeszcze zdjąć koszulki i rzucić je na ziemię. Trzydzieści sekund później na miejsce wpadli specnazowcy, ale mogli sobie co najwyżej pozbierać zdeptane koszulki. Ławraniewska spokojnie szła w sam środek milicyjnej obławy. Miała czarne okulary, zawrotnie wysokie szpilki i długą cygaretkę w eleganckiej lufce, czysta Sophia Loren. Po minie widać było, że nie zauważa jakichś ordynarnych milicjantów, a ci ustępowali jej drogi, nawet nie przypuszczając, że taka wielka dama jeszcze przed chwilą kierowała manifestacją.

Usiadłam na ławce obok staruszka.

- Jak się panu zdaje, co nowego wymyśli teraz nasz prezydent? - zapytałam, wskazując gazetę i mimowolnie uśmiechając się od ucha do ucha.

Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

- Gdybym był na jego miejscu - przed czym broń mnie panie Boże - myślę, że wydałbym rozporządzenie zakazujące twardej białoruskiej wymowy „cz” i „r” w słowach „mężczyzna” i „przerznąć”. Najwyższa pora. No, życzę wszystkiego dobrego - dziadek po staroświecku uchylił kapelusza, wstał i ruszył za Ławraniewską.

Towarzystwo w czarnych mundurach pozbierało koszulki i odjechało.

Tymczasem obok ławki zaparkował samochód. Był to swego rodzaju cud techniki: zdawało się, że wszystkie jego elementy - koła, przerdzewiałe błotniki i drzwi - przywiązane zostały do korpusu drutem i lada chwila odpadną. Wehikuł wyposażony był w tylko dwa siedzenia. Jedno z nich zajmował smagły, wesoły brunet z bujną czupryną i białymi zębami.

Wskazał miejsce, gdzie przed chwilą stali manifestanci.

- Nieźle! Zrobili, co trzeba, i zwinęli się akurat w porę. Nie to co niektórzy, jeszcze się nic nie zaczęło, a już drżą jak barany. Z takimi żadna robota. Podwieźć panią, madame?

- Nie mam pieniędzy na taksówkę - oświadczyłam.

- Nie jestem taksówkarzem - prychnął - tylko rajdowcem. Muszę ćwiczyć przed zawodami, dotrzyma mi pani towarzystwa? Gwarantuję niezapomniane emocje.

Spojrzałam ze zdumieniem na tego wariata. Ostatnio mam szczęście do, hm, nietuzinkowych typów. Błysnęły białe zęby.

- Jadę do Dobratycz, podrzuci mnie pan?

- Świetnie - zgodził się natychmiast. - Mogę trenować na każdej drodze.

Sposób, w jaki prowadził auto - a pakował się w najmniejsze szczeliny między innymi samochodami, nieustannie kręcił kierownicą, raptownie przyspieszał i równie raptownie hamował -

spodobał mi się tak bardzo, że po drodze zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Miał na imię Lawi. Tak, Lawi, nie Lew; był Cyganem i już od dziesięciu lat brał udział w rajdach.

- Jasne, że nie Formuły 1, organizujemy zawody dla normalnych ludzi, którzy zwyczajnie lubią szybką jazdę. W Niemczech, w Polsce, w Katalonii... Gdzie ja nie byłem! Umieję szybko jeździć dowolnym samochodem - ciągnął - tyle tylko, że często się rozbijam. Dlatego kupuję takie sterty złomu. Ta jest moja ulubiona, weteranka, nazywa się Anita.

Pokazałam Lawiemu polną drogę, którą niedawno sama gnałam na złamanie karku do Dobratycz, i opowiedziałam całą historię. Lawi był pod wrażeniem.

- O żeż! - ryknął z podziwem. - Chcesz, nauczę cię jeździć jak rajdowiec.

Chciałam.

Lawi też.

Anita mimo alternatywnego wyglądu była mocna, posłuszna i słuchała najłżejszego ruchu kierownicy. Brałam z rozpędu kolejne zakręty; silnik wył pośród dawnych bagnisk, spod opon sypały się fontanny piachu. Dwa razy omal nie wpadłam do rowu. Lawi śmiał się i klaskał dłońmi po obciążonych dzinsami kolanach.

- To jest to! - ryknął, kiedy zwolniłam przy wjeździe do Dobratycz. - Wiesz, czasem w zawodach startuje się dwójkami, będziesz ze mną jeździła? Wezmę cię z pocałowaniem ręki. Noooo, proszę!

Wszystko, co wydarzyło się tego dnia - wiadomość o zwolnieniu aresztowanych i o kłopotach władz, manifestacja i wreszcie znajomość z Lawim - wprowadziło mnie w doskonały nastrój. Pod wieczór zdawało mi się, że mam dwadzieścia lat i że przede mną jeszcze całe życie.

Ale w nocy przyśnił mi się gorzki sen, a przebudzenie było jeszcze gorsze.

## Szalona Małgorzata

Szalona Małgorzata biegnie przez świat z pustymi oczami, z mieczem w dłoni, a pszczelarze z kokonami zamiast twarzy przytupują dokoła... Bruegel nie umiał malować. Zrozumiałam to, kiedy jeszcze jako młoda dziewczyna usiłowałam skopiować *Małgorzatę i Pszczelarzy*. Nie umiał malować, ale umiał patrzeć. Ożenił się z córką szefa i tłukł sztychy na sprzedaż... A dzisiaj śnili mi się ludzie z jego obrazów. Kolorowe sny to pierwszy objaw schizofrenii.

Szczekanie, strzały i jęk wmieszały się w mój sen; sen pękł jak bańka mydlana. Co się dzieje? Wskoczyłam z łóżka. Psy - nie wiedzieć czemu tylko trzy - szczekały rozpaczliwie, z nienawiścią, a wkrótce szczek przeszedł w wycie - w cienki, żalorny i bezradny skowyt.

Wyrzałam przez okno.

Kukal.

Kukal z ochroniarzami, czy jak ich tam nazywa. Wszyscy oprócz szefa mają w rękach kałasznikowy.

Bezsilnie opadłam na łóżko. I wtedy, właśnie wtedy przegrałam. Człowiek przegrywa, kiedy godzi się na przegraną. A ja się zgodziłam. Pogodziłam. Wystraszyłam, chociaż nic się jeszcze nie stało, a tak nie wolno, jak słusznie powiedział Lawi. To mnie zgubiło. Zastanawiałam się jeszcze, czy nie wyjść do nich z siekierą,

którą babcia zawsze trzymała pod łóżkiem, ale co to zmieni? Śmiesznie. Głupio. Może zadzwonię na milicję? Po co, przecież milicja pracuje dla Kukala. Grób, mogiła. Telefon w kuchni milczał, zdążyli przeciąć druty. Kurczowo ścisnęłam w dłoni komórkę. Uljana? Zarnicka? Anton? Po co? Co to teraz pomoże?

Wyszłam na podwórko. Liczyłam już chyba tylko na litość tych bandytów, oszukiwałam samą siebie, ale całym ciałem czułam, że to koniec.

Spałam w ubraniu. Miałam skurczone palce - dopiero poprzedniego dnia zdjęłam gips - ledwie nimi ruszałam. Rozczochrana, w wymiętych ciuchach, stawiając stopy jak automat, przy akompaniamencie dobiegających z dworu wrzasków „Wy-chodź! Wy-chodź!” wyszłam na ganek.

Powitały mnie oklaski. Ochroniarze z kałasami stali w dwu rzędach; przeszłam pomiędzy nimi i stanęłam przed Kukalem. Siedział w niedbałej pozie przy stole pod gruszą. Obok ganku leżała w kałuży krwi Dama z rozplatanym brzuchem i wyprężonymi łapami. Konała. Reszta psów cienko skowyczała.

- Czego ode mnie chcecie? - zapytałam, podchodząc do stołu.  
- Jak mogliście zabić psa?

- Nie chciał nas wpuścić, musieliśmy go zastrzelić - odpowiedział spokojnie jak zwykle Kukal. Był ubrany gustownie, z niedbałą elegancją, z jaką ubierają się zwykle mądrzy i rozchwytywani artyści i fotograficy. - Jeśli nie chcesz skończyć tak jak on, nie wchodź mi więcej w drogę. Mówię poważnie. Tutaj jest - trzasnął zamek skórzanej teczki - akt rezygnacji z prawa do spadku, tutaj zezwolenie na sprzedaż domu i działki wcześniej niż przed upływem pół roku od śmierci spadkodawcy, a tu jeszcze umowa kupna-sprzedaży. Teraz to wszystko podpiszesz, a jutro poprosimy o autograf twoją siostrę.

Pokręciłam odmownie głową, nic nie powiedziałam i odwróciłam się, żeby wrócić do domu. Natychmiast poczułam pod żebrem chłodną lufę kałasza. Musiałam zawrócić.

Psy wciąż jeszcze skamlały. Nade mną wisiało puste, wypłowiałe niebo. Nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc.

Kukal bez pośpiechu wyciągnął komórkę i wystukał numer.

- Cześć. Jak tam? Świetnie. Poczekaj no chwilę - i zwrócił się do mnie: - Dzieci twojej siostry właśnie kąpią się w Bugu. Podpiszesz, czy mam powiedzieć, żeby mój człowiek strzelał?

- P-podpiszę.

- Na kolana.

Uklękałam. Rzucił mi w twarz długopis i dokumenty. Podpisałam. Jeden z ochroniarzy szybko zabrał papiery.

- Całuj mnie po stopach - powiedział Kukal, wciąż jeszcze trzymając telefon przy uchu.

Podczołgałam się i pocałowałam jego stopy - jedną, potem drugą, grube stopy w skórzanych sandałach.

- Dobra, możesz na razie wracać, załatwiliśmy sprawę - powiedział Kukal do telefonu.

Wciąż jeszcze klęczałam przed nim.

Wstał i krótko, profesjonalnie, bez rozmachu kopnął mnie w splot słoneczny. Upadłam.

- Jedziemy - powiedział. - Jutro przyniesiesz mi do „Kalinki” te papiery podpisane przez siostrę. Nie, nie jutro, pojutrze. Jak nie, to sama wiesz co. Zastrzelcie resztę psów - rzucił na odchodnym ochroniarzom.

Strzały. Leżałam na piasku i zatykałam uszy rękami, ale i tak słyszałam, dźwięki przenikały przez skórę, kości, mięśnie i żyły i każdy psi pisk czułam jak trzaśnięcie batem... Ochroniarze zużyli znacznie więcej niż trzy kule, psy nie poddały się łatwo.

W końcu odjechali.

Jakiś czas jeszcze leżałam, a potem wstałam, wzięłam łopatę i poszłam zakopać psy. Musiałam też wrócić do domu po siekierę, żeby wyrąbać głęboki dół w poprzerastanej grubymi korzeniami dobratyckiej ziemi.

Kiedy dół był gotowy, wyścieliłam go grubą warstwą liści orzecha włoskiego i na rękach zaniiosłam ciała psów. Najpierw starałam się nie ubrudzić ich krwią, ale były bardzo ciężkie, niosło się je niewygodnie, a pomysł wleczenia za łapy po ziemi z miejsca odrzuciłam. Ręce i szlafrok były całe we krwi. Kilka czerwonych kropeł prysnęło mi na twarz i usta.

Z trudem ułożyłam wszystkie psy obok siebie i przysypałam kolejną warstwą orzechowych liści. Nie chciałam, żeby piasek sypał się im do ran. Na wierzch rzuciłam kilka różowych jednorocznych dalii o przejrzystych listkach. Dziwnie i niedorzecznie nazywają u nas te kwiaty - „weseli chłopcy”.

I wtedy zza czeremchy wyszła plecami do mnie Lalka Młodsza. Ciągnęła po ziemi ciało swojej matki.

- Wrzuć ją tam - powiedziała, wskazując dół, i były to pierwsze sensowne słowa, jakie wypowiedziała, od kiedy ją znałam.

Ciężko było patrzeć na ciało, które tyle dni przebywało poza grobem. Mam je pochować razem z psami?

- Nie, chodź, zaniosimy twoją mamę na cmentarz. Wykopię taki sam dół, wyścielę takimi samymi liśćmi, wrzucę takie same kwiatki. Cmentarz jest koło cerkwi, na święconej ziemi. Mama będzie tam leżała pod okiem pana Boga.

- Nie. W zeszlą niedzielę byliśmy w cerkwi. I w jeszcze zeszlą też. Pochowaj ją tutaj.

- Dobra. Niech będzie.

Nic już nie rozumiałam, nie chciałam, nie mogłam.

Musiałśmy zanieść ciało do dołu i jakoś je tam ułożyć.

Wokół było cicho. Dobratycze milczały. Nikt nie przybiegł, kiedy psy wyły, a ochroniarze strzelali, nikt nie zainteresował się tym zamieszaniem, nikt nie sprawdził, czy ktokolwiek w domu został żywy.

A nie, jednak. Ktoś podszedł do furtki.

- Dzień dobry - zawołał jak zwykle uśmiechnięty Miszyk Jarasz. Omiótł spojrzeniem podwórze i uśmiech zamarł mu na

ustach. - Co tu się dzieje? Idę prosto z pociągu, babcia mówi, że u was... - przerwał, nie mogąc oderwać wzroku od tego, co przedstawiało sobą ciało starej Lalki.

- A, to ty? Świetnie, że przyszedłeś, pomożesz mi zakopać ciotkę. Sama chyba sobie nie poradzę, nie chcę jej rzucać byle jak, a znów jeśli wejdę do dołu, podepcę psy - tak źle i tak niedobrze. No, chodź.

Miszyk zrobił krok wstecz.

- Co jest? Chodź - nalegałam. - A właśnie, już dawno miałam cię zapytać: na czyje polecenie śledzisz ludzi we wsi? Kukala? KBB? Co tak zaniemowiłeś?

Miszyk cofał się jeszcze chwilę, a potem zrobił w tył zwrot i dał nogę.

- Ej, natchniony poeto, dużo ci zapłacili?

Ostatnie słowa rzuciłam, kiedy uciekał już na złamanie karku.

W końcu z pomocą Lalki ułożyłam jakoś ciało w dole, obyło się bez rzucania. Słodki aromat orzechowych liści przytłumił ohydny fetor zwłok; na wierzch położyłyśmy jeszcze kilka naręczy ledwie rozkwitłych dali i zasypałyśmy grób piaskiem. Wyszło całkiem niezłe. Lalka Młodsza wygładziła kopczyk rękami, a potem, kiedy poszłam odstawić łopatę na miejsce, zniknęła w lesie.

Znowu zostałam sama.

Umowa, którą zostawił mi Kukal, leżała na werandzie. Przeczytałam ją, brudząc papier zakrwawionymi rękami.

Kukal kupował od nas za grosze całą ziemię i dom. Na dole widniał mój krzywy podpis. Obok puste miejsce na podpis siostry. I zamaszyste, bezczelne faksymile.

Zawaliłam sprawę. Nie wytrzymałam. Nie pierwszy raz.

Jak ja to powiem Uljanie?

Po co w ogóle wylazłam z budki koło żeremi? Dlaczego wiecznie prześladuje mnie pech? Gigantyczny pech. Po co ja w ogóle żyję? Ta ostatnia myśl przyczepiła się do mnie. No właśnie, po co? Dla kogo? Nie ma ze mnie żadnego pożytku. Siostra ma



mnie już wyżej uszu. Mąż odszedł. Dzieci nie mam. Przeżyłam swoją córeczkę. Zmarła babcia, ludzie ze wsi też jakoś poznikali. Tolik... Może on by mnie pożałował? Nie. Tolik też nie. Zostali tylko Kukal, Szuszko i Pacziwy, Hrajczyk i Majdzienka - jak zaraza, jak śmiertelna narodził rozrastali się na naszej ziemi.

Niedługo ten wrzód pęknie tutaj, w Dobratyczach, i gnój rozplynie się po całej okolicy.

Kukal zatryumfuje. Zatryumfuje gnój.

## Rośliny lecznicze w Dobratyczach

W nocy czułam się jeszcze gorzej. Nie mogłam zasnąć, leżałam, a myśli krakały mi w głowie jak kruki. Myśli ciążyły jak kamienie. Myśli biegały w kółko jak pająki, snując sieć wiodącą wprost na półkę z Cardiotimem Forte.

Tej nocy wspominałam wszystko ohydne i podłe, co spotkało mnie w życiu i czemu zresztą sama byłam winna. Jak babcia mnie zabiła, kiedy przeze mnie zdechła krowa. Co działo się w noc poślubną (nigdy nikomu o tym nie mówiłam i nie powiem). Twarzyczka mojej córki w trumnie. Gosza. Więzienie. Zdrada Antona. Mój strach, moja niepewność. Moja słaba wola. I wreszcie *clue*: opuchnięta, wilgotna stopa Kukala, którą musiałam całować.

Wystarczy połknąć parę tabletek i już nigdy więcej te koszmary do mnie nie wrócą. Zapomnę o nich, a ludzie zapomną o mnie. Życie nie jest dla takich jak ja.

Rozwidniło się i wkrótce weszło słońce. Musiałam zaczerpnąć ze studni cztery wiadra wody dla kur, świni i reszty. Wciąż trwała susza. W ustach czułam gorycz, na duszy też było mi gorzko. Pod bezlitośnie palącym słońcem wiły się czarne myśli. Zakryłam oczy dłonią i spod palców popłynęły łzy. Chcę umrzeć. To prostsze, niż udowodniać swoją niewinność - siostrze, prokuratorowi, samej sobie - i na pewno łatwiejsze niż znowu zobaczyć jutro tu, na pagórku, ludzi z teodolitami. Mam już pięćdziesiąt lat, wystarczy.

Kiedy babcia miała siedemdziesiąt osiem, też chciała utopić się w jeziorze. I wtedy przyśnił jej się sen: ktoś w niebie dał jej, samobójczyni, prośbę i odwrócił się od niej. Nie zabiła się, bo wierzyła w Królestwo Niebieskie. Ale ja nie wierzę.

Czułam okropny ból, mocniejszy niż ból złamanych kości. Nie myśląc już o niczym, szepnęłam:

- Mamo, mamusiu, po coś ty mnie urodziła?

Na półce czekał na mnie Cardiotim Forte, a ja wspinałam się do niego jak pajak po cienkiej nici.

Absolutnie spokojnie i w pełni świadomie wysypałam na dłoń z buteleczki kupkę malutkich białych pigulek. I wtedy usłyszałam twój niski, huczący głos:

- Cześć! Co robisz?

Nigdy nie było między nami nic więcej, niż naprawdę było. Nigdy nawet nie powiedziałeś, że mnie kochasz - ani wtedy, kiedy byliśmy tacy młodzi, na zielonym, aksamitnym od wilgoci mchu, ani tym bardziej teraz - nocą w lesie, pośród cieni głębokich jak nicłość. Ale to właśnie ty uratowałeś mnie od śmierci i nawet od czegoś gorszego. Nie zauważyłam, kiedy przyjechałeś, bo byłam w takim stanie, że nic już do mnie nie docierało; ocknęłam się dopiero, kiedy wszedłeś na ganek.

Stanąłeś w drzwiach, w smudze światła; niemal nie widziałam twojej twarzy, ale poznałam: Tolik. Zrobiłeś kilka kroków w moją stronę. Odwróciłeś moją dłoń i przesypałeś tabletki do swojej, a potem poszedłeś do kuchni. Powlokłam się za tobą. Wrzuciłeś je do pieca; od razu spłonęły i zmieszały z dawno niewybranym popiołem.

- Co się stało? - zapytałeś cicho.

Usiedliśmy przy kuchennym stole zaścielonym wytartą ceratą i wszystko ci opowiedziałam. O tym, jak babcia mnie zabiła, kiedy przeze mnie zdechła krowa. Jak prześladowała mnie twarz mojej córeczki w trumnie. Jak wykorzystał mnie Gosza. Jak mnie sponiewierali w więzieniu. Jak Anton mnie zdradził. Jak moja bojaźliwość,

niepewność i słaba wola irytowały siostrę. I że nigdy nie powiedziałaś, że mnie kochasz. I że odkąd doczołgałam się na kolanach do opuchniętej stopy Kukala, pragnę już tylko jednego: zapomnieć o wszystkim. Po prostu nie będę w stanie patrzeć, jak Kukal zmieni Dobratycze w jeden wielki burdel.

Zwiesiłeś głowę i milczałeś. Co niby miałeś powiedzieć?

Dobrze to rozumiałam.

Potem znalazłeś odpowiednie słowa. Zajrzałeś do mnie przypadkiem, nie powiedziałeś, że kochasz, zabrałeś mnie tylko ze współczucia i czułości, wiedziałam, ale i tego mi wystarczyło.

- Jedziemy - powiedziałeś mi wtedy, siódmego lipca. - Dziś jest święto Kupały, trzeba nazrywać lipy i bagna. Chodź. Mam w traktorze wino - dorzuciłeś po chwili.

Wino przesądziło sprawę.

Od kiedy Uljanka rzuciła mi prosto w twarz: „Wszystko potrafisz schrzanić!”, od kiedy rozbiła butelkę o ścianę, nawet nie patrzyłam w stronę alkoholu.

Tolik sprawnie odczepił cysternę i wlaźł za mną do kabiny traktora. Wyciągnął z boku, spod siedzenia napoczęte wino, wyrwał zębami korek i podał mi flaszkę. Potem odpalił silnik i uwolniona od przyczepy maszyna żwawo ruszyła wiejską drogą.

Łyknęłam z gwinta i już nie oddałam flaszki.

Do Hor jest nie tak znów blisko. Jechaliśmy przez las, potem szosą (przy wjeździe na szosę stał słupek z tabliczką „W okolicy odnotowano przypadki wścieklizny. Prosimy unikać kontaktów z dzikimi zwierzętami!”), potem znów drogą gruntową. Płaskie suche pola, pożółkła trawa na poboczach, krótki cień biegnący za traktorem. Dzikie zwierzęta jakoś nas nie napastowały.

Milczeliśmy.

Mercedesa zauważyliśmy jednocześnie: nad wielką zatoką za śluzą, przy ostrym zakręcie drogi stał znajomy czarny samochód, a obok jeszcze jeden, srebrny. Tolik wyłączył silnik. Serce zaczęło

mi walić tak, że jego łomot zagłuszał plusk fal w zatoce.

- Zawracaj. Nie chcę się z nim spotkać. Zawracaj, na Boga.
- Spokojnie. Zobaczę, co się tam dzieje.

Tolik zeskoczył na ziemię i nie zatrzasnąwszy drzwi, zanurkował w cień krzaków. Lekko schylony szybko przedzierał się naprzód. Wreszcie przystanął, chwilę nasłuchiwał, odwrócił się i machnął do mnie ręką: chodź! Szybko! Szybciej! Chcąc nie chcąc, wyskoczyłam z kabiny i słońce mocno uderzyło mnie w kark.

Tolik ostrzegawczo przycisnął palec do ust.

Zza krzaka doskonale widzieliśmy całą okolicę.

Kukal stał na oko dziesięć metrów od nas, odwrócony plecami, w kąpielówkach. Wielki, władczy i podpity, co rozpoznaliśmy z daleka. Nieco dalej, za krzakami, pluskali się w zatoce jacyś ludzie, pewnie koledzy Kukala; od czasu do czasu piski kobiet zagłuszały szum wody przy słuzie. Na trawie leżał niebieski obrus, a na nim butelki i jedzenie.

Nie zdążyłam dokładniej przyjrzeć się temu wszystkiemu ani nawet pomyśleć, bo nagle Tolik schylił się, jednym skokiem pokonał dzielącą nas od Kukala odległość i jak ryś rzucił się na Iwana Mitrycza. Ten najzupełniej nie spodziewał się ataku. Po chwili obaj stoczyli się do wody.

Oniemiała i osłupiała patrzyłam, jak Tolik usiłuje przytrzymać głowę Kukala pod wodą; Tolik był chudy i zręczny, a Kukal wielki i spasiony. Sama nie wiedząc, co robię, podbiegłam do nich, wskoczyłam do zatoki i całym ciałem przywaliłam nogi Kukala, żeby nie mógł wstać. Gdyby się nam teraz wyrwał i zaczął krzyczeć, zaraz przybiegliby jego znajomi. Drań był silny, ale chyba pijany, a my działaliśmy wspólnie; poza tym, żeby utopić człowieka, wystarczą trzy minuty. Dlatego nam się udało.

Kiedy przestał się rzucać, dotarło do mnie, co zrobiliśmy.

Wstałam z kolan i mocno mną zatrzęsło. Prąd pod wysokim napięciem przeszedł przez moje ręce, głowę i serce.

Topielec kołysał się na płyciźnie twarzą w dół.

Pijany Kukał spadł z brzegu i utonął. Co z tego, że wody jest tu po kolana - wiadomo, jak to bywa z pijakami. Z wodą nie ma żartów. Życie człowieka wisi na cieniutkiej nitce... Tak powiedzą ludzie, jeżeli uda nam się uciec.

Jesteśmy mordercami.

Nie pamiętam, co było potem i jak znalazłam się w kabinie traktora. Tolik odpalił silnik i zawrócił. Kałuża na podłodze, mokry profil Tolika, jego zmrużone ciemne oko.

Co dzieje się teraz tam, w wiklinie nad zalewem? Może koledzy Kukała już wrócili i znaleźli trupa? Może nas jednak widzieli i rzucają się w pościg albo dzwonią na milicję? Tak czy tak, marny nasz los.

Tolik gnał, ile fabryka dała, aż mną rzucało po całej kabinie.

- Pojedziemy do Hor przez letnisko. Trzeba, żeby nas tam zobaczyli. To wprawdzie nie alibi, ale lepszy rydz niż nic. Mogli widzieć, jak wyjeżdżaliśmy z Dobratycz, w razie czego niech myśla, że naprawdę wybraliśmy się do Hor, ale inną drogą, przez ogródki. Letnicy rzadko patrzą na zegarek, raczej już na słońce. To może nam się przydać. I nie bój się tak, pewnie nikt nas nie ruszy. Cholera - mruknął przez zęby, kiedy skręciliśmy na szosę.

- Co się dzieje?

- Czarota. Pewnie też nas zobaczył. O, jego samochód.

Biała niwa właśnie wjeżdżała na szosę jakiś kilometr od nas, z dobratyckiej drogi. Skręciła nie w naszą stronę, ale kierowca faktycznie mógł nas zobaczyć - akurat wychynęliśmy z drogi prowadzącej od śluzy.

- I co teraz?

- Trudno. Co ma być, to będzie.

Specjalnie porykując silnikiem traktora, Tolik jechał przez ogródki, ale ludzi nie było. Może pochowali się do domków przed palącymi promieniami słońca i nie spuszczają oczu z zegarków w oczekiwaniu na pociąg do Brześcia? Jeżeli tak, to na pewno zapamiętają, kiedy dokładnie byliśmy w okolicy. Może właśnie popełniamy

błąd, za który przyjdzie nam słono zapłacić? Wyobraziłam sobie taką oto rozmowę: „Ekspertyza wykazała, że śmierć nastąpiła o godzinie 12.30. Według zeznań świadków o 12.40 skręciliście na szosę z tej drogi, a o 12.50 przejechaliście przez teren ogródków działkowych «Weteran». Pośrednio dowodzi to, że możecie być sprawcami zabójstwa...” Nie, cholera, jakie znowu pośrednio! Inaczej: „Na miejscu przestępstwa znaleziono ślady kół traktora, a na brzegu zatoki ślady waszych stóp. Jeśli dodamy do tego zeznania świadków, którzy widzieli traktor, wniosek jest oczywisty”. To nawet nie będzie rozmowa, tylko zwykły monolog, bo niby co miałabym powiedzieć takiemu, założmy, prokuratorowi Majdzience ze spaloną skórą i ogniem w oczach?

Tolik skręcił w kępę dębów i zgasił silnik.

- Szybciej, szybciej - wcisnął mi w ręce koszyk i wypchnął z kabiny.

- Rwij cząber - pchnął mnie w plecy. - No, raz, raz, nie ma czasu się gapić.

Kurczowo ściskając koszyk, powoli rozejrzałam się wkoło.

Wiał silny wiatr. Tutaj, w starym borze pod Horami, samo z siebie budziło się echo i szumiało, stukało, wyło między pniami drzew, w jasnym słońcu. Na pagórku, gdzie stał kiedyś chutor, pachniały potężne lipy, z których Tolik naprędce zrywał teraz kwiaty wraz z małymi gałązkami; obok rosły zdziczałe już śliwy; w plamach słońca wygrzewały się poduszcзки cząbr i rozchodnika; w dole, gdzie dawniej płynął strumień, dolinę zalewały wzburzone fale miłka wiosennego. Pachniało stamtąd bagnem i wilgocią.

- Weź się w garść - zawołał Tolik ze złością (tak mi się w każdym razie wydawało) i wyrwał mi kosz z ręki. - Co się tak przejmujesz? Wszystko OK. Czysta robota. No, co jest?

- Tolik, boję się!

- Przestań! - Tolik padł na kolana i pospiesznie napełniał kosz cząbrem. Razem z ziołami zbierał igliwie, piasek i mech. -

Sama powiedz, co chciałaś zrobić dziś rano, kiedy do was przyjechałem? Otruć się, tak? Tak. Czyli po czymś takim nie masz się już czego bać, do nagłej cholery! - ryczał. - Czego się boisz, skoro nawet śmierci się nie boisz?

Złapał oba kosze, drugą ręką chwycił mnie za ramię i powłókł do traktora.

- Siedz teraz w domu i nigdzie nie wychodź. Zawiozę krowom wodę, potem skoczę po Walika i przyjedziemy do ciebie. Gdyby ktoś o coś pytał - nikt nie będzie pytał, ale tak na wszelki wypadek - mów, że nic nie wiesz, nie jechaliśmy koło śluzy, nic nie widzieliśmy - instruował mnie po drodze i dociskał pedał gazu. Przemknęliśmy z powrotem przez ogródki, szosę i dobratycki las. - Zamknij drzwi i nikomu nie otwieraj. Kiedy wraca Uljana?

- Nie wiem, pewnie pod wieczór. Ma dziś sporo spraw do załatwienia.

- Wpadniemy wcześniej. No, koniec tej hysterii. Wszystko będzie dobrze.

Dojechaliśmy. Traktor zniknął między drzewami. Tolik zostawił mi pół flaszki wina.

Niepewnym ruchem otworłam furtkę, lekko uderzając się przy tym kolaniem o słupek. Kolano zabolęło. Uniosłam wciąż jeszcze mokrą spódnicę i zobaczyłam, że całą nogę mam w siniakach.

Były to ślady szarpaniny z Kukalem. Poczułam, że za chwilę zwymiotuję. Kukal bronił się, kopiąc na oślep, i teraz na moim ciele widniał cały zestaw dowodów zabójstwa. Nagle zobaczyłam wszystko raz jeszcze: szum wody, Tolik, nogi Kukala kopiące mnie w brzuch i drobne włoski na łydkach. Trudno nawet powiedzieć, że zabiłam drania własnymi rękami. Zabiłam go swoim ciałem, grubym ciałem pięćdziesięcioletniej idiotki.

Coraz lepiej. Morderstwo. Zaczynam wyręczać pana Boga.

Zatrzasnęłam się na werandzie i w mokrym ubraniu padłam na podłogę. Kiedy tylko zamknęłam oczy, znów usłyszałam szum



wody i zobaczyłam naprężone mięśnie na rękach Tolika. Nogi Kukala znowu kopały mnie w brzuch... Odkorkowałam wino i nagle poczułam, że nie mogę. Nie przełknę. Że gardło ciała-mordercy ścisnęło się na amen. Picie to święto. A święta już się dla mnie skończyły.

Gdzieś w środku mnie drgnęła jakaś sprężyna, wyprostowała stalowe ramię i uderzyła tak, że zawylałam. Taki ból czuje człowiek podczas zawału albo choroby wrzodowej. Taki ból czuje człowiek, kiedy rodzi. I może kiedy się rodzi. Może kiedy umiera.

Ale nie umarłam.

## Nosił wilk razy kilka

Uljanka i Walik zareagowali na opowieść Tolika całkiem nie tak, jak oczekiwałam. Całkiem nie tak, jak oczekiwałam, zareagowali na to, że siedzą na jednej derce z mordercami. Rozścieliliśmy derkę w ogrodzie i przenieśliśmy się tam, żeby spokojnie porozmawiać z dala od ewentualnych podsłuchów.

Uljanka przyjechała zdenerwowana i spięta, ze spuszczonej oczami. W połowie opowieści podniosła je, wbiła we mnie wzrok i tak już zostało.

Zadzwoniliśmy do Zarnickiej, żeby nie wypuszczała Liny i Kazika na dwór, dopóki nie przyjedzie po nich wszystkich Jurka.

- I tyle. Koniec z Kukalem. Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Kwestia sprzedaży domu rozwiązała się sama. Ale wciąż nie wiadomo, jak się to wszystko skończy - powiedział Tolik.

- Całkiem zapomniałam - machnęła ręką Uljana i otworzyła walizkę. - Przywiozłam ci egzemplarz autorski twojej książki - i podała mi zielony tomik.

- Dobrze, że dzisiaj taki wiatr, pewnie piasek zasypał już ślady traktora na drodze - odezwał się Walik, który wciąż myślał, jak tu odsunąć od nas podejrzenia.

Potem popatrzył na mnie i całkiem spokojnie dodał:

- Co się tak trzęsiesz? Przecież to było jedyne rozwiązanie.

Możecie być z siebie dumni. Jak dożyję, wnukom będę o was opowiadał.

Krótko mówiąc, wpadliśmy w towarzystwo ludzi kompletnie zdemoralizowanych, dla których zabójstwo Kukala zamiast przedmiotu skruchy i wyrzutów sumienia stanowiło jakiś bohater-ski wyczyn i niemal prezent dla świata.

Popatrzyłam na nich wszystkich i otworzyłam zielony tomik.

## I znowu dół

Przez parę następnych dni byłam jakaś rozbita, nijak nie mogłam uspokoić się i skupić.

Zostałam niemal sam na sam ze swoimi nerwami: Uljanka uściśnęła mnie na pożegnanie i poleciała na kolejne spotkania przedwyborcze w wioskach stolinszczyzny, Tolika z Walikiem Czarota zaprzągnął do kampanii zniwnej tak ostro, że wykrywacz metalu zaczął już rdzewieć w komórce; na szczęście Tolik wypożyczył go na dłużej. Zajrzał na godzinkę Jurka z dziećmi. Poszli na grób babci i wrócili do Mińska.

A ja dalej plątałam się sama po podwórku.

Bogiem a prawdą, wyrzuty sumienia przeszły mi jak ręką odjął i żaden duch Kukala nie dzwonił po nocach łańcuchami. Raz jeszcze na zimno przemyślałam sprawę i stwierdziłam, że nie ma się czym przejmować: złamałam przykazanie „nie zabijaj” - zabiłam człowieka, ale, jak powiedział Azazello, „tego człowieka koniecznie trzeba było zabić”. Bardzo pomogły mi słowa zawsze rozważnego Walika o tym, że kiedyś opowie całą tę historię wnukom. Dobra, najwyżej po śmierci pójdę do piekła. Kukal zamieniał w piekło życie tu, na ziemi, i wcale nie żałuję, że go powstrzymałam.

Nie żałowałam morderstwa, za to bałam się kary.

Panicznie bałam się, że trafię do więzienia. Co innego spędzić tam kawałek młodości, chociaż to też nie miód z boczkiem. Ale

z pięćdziesiątką na karku, i to jeszcze przez takiego drania jak Kukal... Nietrudno przewidzieć, co zaraz zrobiłaby z tym faktem moja znajoma redaktorka z telewizji. Znowu podłożę świnię Uljanie, znowu wszystko będzie na mnie. O nie, za nic. Lepiej już sama... I znów spojrzałam na półkę z wiadomym lekarstwem na serce.

Były takie chwile - gdzie tam chwile, całe długie godziny - kiedy wpadałam w kompletną rozsypkę. Co i rusz wyglądałam na drogę, czy zza leszczyny nie idzie już po mnie milicja a) z pozdrowieniami od czarnego prokuratora i aresztować mnie za zamordowanie babci; b) z pozdrowieniami od dowolnego innego urzędnika i aresztować za zamordowanie Kukala, albo też c) bez żadnych pozdrowień, za to z oddziałem specnazowców zaprawionych w biciu po mordzie, w końcu kampania wyborcza jeszcze się nie skończyła.

Pewnie byłoby mi lżej, gdybym mogła się upić. Ale nie mogłam: gardło miałam cały czas ściśnięte, ciało nie przyjmowało alkoholu; mogłam jedynie potrzytać sobie szklankę w drżącej ręce, a potem wylać jej zawartość na ziemię.

## Do domków na obrzeżach letniska...

W końcu zza leszczyny wychynął posterunkowy. Karma dla świni wylądowała tuż obok koryta. Gdybym umiała się modlić, byłabym już w połowie litanii. Perfidna zemsta, czytaj: sprawiedliwość, odczekała tydzień i kiedy już prawie oszalałam ze strachu, dosięgła mnie w osobie wysportowanego młodzieńca o szczerej, miłej twarzy, tak rzadko spotykanej w naszych czasach. Posterunkowy zamknął furtkę i podszedł do chlewa.

- Dzień dobry.
- Dzień dobry.
- Może mi pani poświęcić parę minut? Musimy porozmawiać.
- Proszę, niech pan usiądzie na ławce przy stole. Zaraz przyjdę, tylko nakarmię świnię.

„Spokojnie, spokojnie” - powtarzałam w myślach, wyrównując zrytą przez świnię ściółkę i dorzucając słomy, ale w rezultacie zdenerwowałam się jeszcze bardziej.

Posterunkowy bacznie przyglądał mi się spod gruszy, kiedy myłam ręce.

- Jeszcze minutkę - powiedziałam, krzywiąc twarz w uśmiechu, i poszłam na werandę.

Wyciągnęłam z lodówki flaszkę. Nie, od razu wiedziałam, że nie uda mi się nic przelknąć, po prostu zabrałam ze sobą whisky, szklanki i lód.

- Może kropelkę? - zaproponowałam gościowi.

Lekko przechylił głowę, żeby przeczytać napis na etykiecie, i niespodziewanie się zgodził.

- A pewnie, co tam! Tylko proszę dużo lodu.

Ranek był upalny i chociaż podwórko wciąż jeszcze zacięniały drzewa, o miłym chłodku można było zapomnieć.

Milicjant wziął szklankę, zastukał lodem, spróbował i zaczął mówić.

- Dobra rzecz. Nawet smaczne. O czym to ja... Aha. Pamięta pani, pierwszy raz rozmawialiśmy ze sobą, kiedy tutaj w pobliżu znaleziono ciało mężczyzny. Teraz też przyszedłem z powodu trupa, tyle że innego.

Zimny strumyczek potu popłynął mi wzdłuż kręgosłupa. Mam coś powiedzieć? Może lepiej nie?

Milicjant rzucił mi czujne spojrzenie i kontynuował:

- Dokładnie tydzień temu w okolicy znaleziono topielca, bardzo wpływowego i znanego człowieka, bogatego biznesmena... Znała go pani, prawda?

„Mmm” i wariackie spojrzenie musiały mu wystarczyć za całą odpowiedź.

- Iwan Mitrjewicz Kukul - wyjaśnił posterunkowy. - Wiem, że była z nim pani w jakimś konflikcie.

Niemal się trzęsłam. Jeszcze sekunda i zemdleję, to ponad moje siły. Byłam o krok od ataku hysterii, ale w ostatniej chwili podniosłam wzrok i zobaczyłam za plecami milicjanta pagórek, dąbrowę, owal jeziora, kawałek siniego horyzontu... Cokolwiek się ze mną stanie, ten pagórek przetrwa, nikt go nie rozkopie, nikt nie zasypie jeziora, nie zrąbie dębów... Przynajmniej na razie. Przynajmniej na razie dobratyeckich ścieżek nie będą deptać stopy bandytów i kurew. I raptem całkiem się uspokoiłam. Cholera! Co ma być, to będzie.

Nalałam do szklanki wody z miseczki, w której roztapiał się już w upale lód, i wylałam sobie na głowę.

- Gorąco - wyjaśniłam posterunkowemu. - Trzeba się jakoś orzeźwić. Proszę nie zwracać uwagi. Ale, ale, co też pan powie,

Kukal się utopił? Nie, nie nie słyszałam. A co do konfliktu, to faktycznie, nie przepadaliśmy za sobą. Tak że płakać po nim nie będę. Sam się doigrał.

Milicjant po akcji z wodą zdecydowanie poweselał. Siorbnął ze szklanki i uśmiechnął się promiennie.

- Śledztwo w tej sprawie prowadzi prokuratura rejonowa, ale ponieważ do zdarzenia doszło na moim terenie, wciągnęli mnie do współpracy. Tyle że, szczerze mówiąc, wpadłem teraz do pani niezbyt oficjalnie, no, raczej prywatnie - na znak prywatności spotkania pomachał szklanką z whisky. - Dochodzenie jest już prawie zamknięte. Pomyślałem, że zaciekawi panią, do jakich wniosków doszliśmy.

- Skoro pan tak uważa...

- Powiem krótko. Śmierć nastąpiła, kiedy Kukal ze swoimi współpracownikami i przyjaciółmi przebywał na pikniku. Wszyscy jak zwykle sporo wypili i byli już mało przytomni, więc podczas przesłuchań przeważnie mówili od rzeczy. Tylko szofer Kukala był w miarę trzeźwy i zeznał, że denata znaleziono w wodzie. Wyciągnięto go, próbowano reanimować, choć może sobie pani wyobrazić, jak to wyglądało, i w końcu odwieziono do szpitala. Następnego dnia rozpoczęło się śledztwo, specjaliści obejrzelі miejsce zdarzenia... Pod uwagę brano dwie hipotezy. Pierwsza: denat w stanie upojenia alkoholowego wpadł do wody i utonął. Ekspertyza wykazała, że było inaczej. Mniejsza o szczegóły, powiem tylko, że istnieją metody, którymi można zbadać, czy człowiek utopił się sam, czy też z czyjąś pomocą. No więc na pewno z pomocą. Czyją? To pytanie od razu rozpadło się na dwa kolejne: czy sprawcą był któryś z uczestników pikniku, czy też ktoś postronny, kto akurat przyszedł - albo, powiedzmy, przyjechał traktoem - nad zatokę?

Oględziny miejsca zdarzenia niewiele wyjaśniły - silny wiatr zatarał wszelkie ślady, mogliśmy więc oprzeć się jedynie na zeznaniach świadków.



Jedna rzecz od razu zwróciła naszą uwagę: na piknik przyjechały dwa samochody - jedna z pań się wygadała - a do szpitala pojechał tylko jeden, drugi gdzieś zniknął. Przy czym kiedy podczas przesłuchań zapytano o to kolegów Kukala, początkowo zaprzeczali, jakoby w ogóle był jakiś drugi samochód. Dopiero przyparci do muru potwierdzili, i okazało się, że drugim samochodem przyjechał... - tu znowu zaczęli kręcić i trzeba ich było przycisnąć - no więc przyjechał niejaki Kula z obstawą, znany miejscowy mafiozo, którego zresztą milicja szuka już od dość dawna. Żadna tajemnica, że Kukał miał swoje porachunki z Kulą, wiedzieliśmy, że za sobą nie przepadają.

Świadkowie zeznali, że piknik zorganizowano właśnie z okazji zawarcia zgody przez obu panów, tak zwanych „dwu K”. Według nich Kula razem ze wszystkimi kąpał się nieopodal i razem ze wszystkimi stamtąd wracał. Kiedy znaleziono denata, natychmiast odjechał - pewnie zdawał sobie sprawę, że nie obejdzie się bez milicji, a to mu się nie uśmiechało. Możemy więc przypuszczać, że podczas pikniku między starymi wrogami doszło do kłótni, albo też Kula od samego początku planował zlikwidować konkurenta, pozorując imprezę na zgodę; w każdym razie, wybrawszy odpowiedni moment, albo sam Kula, albo ktoś z jego ludzi utopił Kukala w zatoce. Świadkowie nie potwierdzili tej wersji wydarzeń, ale całkiem możliwe, że sami nie zdążyli się połączyć i faktycznie nic nie widzieli; jeśli natomiast widzieli, po prostu boją się Kuli i dlatego milczą.

Sprawdzono też alternatywną wersję wydarzeń, zakładającą, że zabójcą był ktoś postronny. Przesłuchano wędkarzy, łowiących akurat w okolicy, i letników z ogródków działkowych. Jeden z letników zeznał, że w czasie, kiedy prawdopodobnie dokonano zabójstwa, widział w okolicy traktor obywatela Anatola Haduna, a w nim oprócz tegoż obywatela „jedną z siostr bliźniaczek z Dobratycz”. W pobliżu miejsca zbrodni odkryto ślady traktora, niestety

nie udało się porządnie ich zidentyfikować, ponieważ zatarł je wiatr; z tego powodu postanowiono jednak staranniej rozpracować cały ten wątek śledztwa. Szybko okazało się, że prowadzi on donikąd: dwu wiarygodnych świadków zeznało, że widziało was w czasie, kiedy hipotetycznie powinniście się byli znajdować na miejscu przestępstwa, a zatem ślady nad zatoką musiał zostawić jakiś inny traktor. Pierwszy świadek to dyrektor Agrowitaliki+, niejaki Czarota, pewnie go pani nie zna. Zeznał, że dokładnie o 12.40 wyjechał na szosę z Dobratycz i zobaczył, jak traktor Haduna skręca do Hor od strony Stradycz, a więc przeciwnej niż śluza, następnie zaś kieruje się, jak to określił świadek, „do domków na obrzeżach letniska”. Rozpoznał traktor, ponieważ własne maszyny rozróżnia po odgłosach silnika, a poza tym rzeczony traktor ma trudną do przeoczenia cechę charakterystyczną: jeden czerwony błotnik. Czarota rozmawiał potem z Hadunem, Hadun wyjaśnił, że jeździł do lasu w sprawach osobistych, konkretnie po zioła lecznicze, Czarota zrobił mu nawet awanturę o wykorzystywanie pojazdu służbowego do celów prywatnych. Drugi świadek przypomniał sobie, że widział niebieski traktor z czerwonym błotnikiem dzień wcześniej, o 12.30, w Stradyczach. W ten sposób okazało się, że macie państwo alibi.

- Kto był tym drugim świadkiem? - zapytałam, usiłując ukryć oszołomienie.

- Ja - odpowiedział spokojnie milicjant. - Byłem w Stradyczach w pewnej sprawie i widziałem wasz traktor pod sklepem. A godzina sama mi się zapamiętała, bo akurat spisywałem protokół i musiałem ją tam odnotować.

Patrzyliśmy sobie prosto w oczy i czułam, że zaraz się rozplaczę...

Czarota, którego syn z winy Kukala popadł w narkomanię, widział, jak jechaliśmy spod śluzy, zeznał jednak, że skręcaliśmy w stronę Hor z całkiem innej drogi i że zmierzaliśmy do „domków

na obrzeżach letniska”... Ten zaś młody milicjant nienawidził Kukala równie mocno jak ja i też widział nasz traktor gdzieś, gdzie go nie było...

- Wychodzi na to, że czasem opłaca się mieć czerwony błotnik w niebieskim traktorze, chociaż drogówce pewnie by się to nie spodobało - wstał od stołu. - A znów kiedy indziej warto z rana chlapanąć szklaneczkę whisky. Jak to mawiają: wypijesz rano, masz cały dzień z głowy. No, najlepszego! Pójdę pochodzić po lesie. Podobno grzyby znów się pojawiły.

Życzyłam mu miłego spaceru i poprosiłam, żeby wpadał o poranku zawsze, kiedy tylko zamarzy mu się dzień bez picia, a potem długo patrzyłam, jak odchodzi, dopóki w końcu nie zniknął pośród krzaków.

## Nie dostałam autografu

Tak znakomity początek dnia sprawił mnie w euforię. Czułam bezgraniczną a niespodziewaną lekkość - jak w dzieciństwie, kiedy obcięto mi długi, zapuszczany całe życie warkocz. Praca w gospodarstwie, która zwykle ciążyła mi jak kula u nogi, robiła się teraz sama. Urządziłam gęsiom basen w świńskim korycie, drapałam świnię po karku (natychmiast przewróciła się ratkami do góry i słodko zachrzękała), pogawędziłam z Jaraszyczą, Lonichą i Urugwajcem przy stacji benzynowej o tym, ile dni po wyborach będą jeszcze świeciły palące się od wczoraj latarnie... Ze szczególnej serdeczności, żartów i tego, jak wszyscy się do mnie odnosili, wywnioskowałam, że historia z Kukalem żyje już swoim życiem i że Dobratycze stoją za mną murem. Podbudowało mnie to jeszcze bardziej. Nawet psie budy zdemontowałam w dobrym nastroju, bez żadnych złych wspomnień. Po obiedzie postanowiłam wleźć na dach. Wracałam do życia - i znowu zapragnęłam zajrzeć do nory w czasie. Stałam na podwórku, patrzyłam na dach i zastanawiałam się, dlaczego tu i ówdzie, w pewnych miejscach i chwilach trafiam w odległe epoki. I, na miły Bóg, czy trafiam tam na prawdę, czy może tylko w wyobraźni? To, co widziałam w norach, było tak wyraźne i tak różnorodne, a przy tym nieoczekiwane, że - jak powiedziałby zapewne niejaki Feuerbach - wskazywało na rzeczywistość o b i e k t y w n ą ; jednak mój zdrowy

chłopski rozum i wyłącznie materialistyczne doświadczenia życiowe podpowiadały, że to jedynie subiektywne halucynacje. Odwróciłam się, żeby przynieść drabinę, i aż podskoczyłam: za mną stał Miszyk Jarasz. Cichutko wszedł na podwórze, a teraz stał i nic nie mówił.

- Muszę z tobą porozmawiać - mruknął w końcu bez słowa powitania. - Przyznać się do czegoś - dodał po chwili.

- Jasne, chodź, usiądziemy.

Usiedliśmy przy stole pod gruszą, gdzie rano siedziałam z posterunkowym.

- To ja odpowiadam za śmierć babci Makryni - Miszyk ledwie mówił. - Ale nie chciałem, przysięgam.

Znów podskoczyłam.

- Ty? Jak to, dlaczego? Nie Kukał? Nie rozumiem...

- W domu leżą kserokopie starych dokumentów...

- Leżą.

- To przez nie. Pamiętasz, przyszedłem kiedyś do was, żebyś mi pokazała, jak doinstalować ukraiński słownik? Akurat zadzwoniła Uljana i wyszła z pokoju, a ja nie miałem co robić i od niechcenia zacząłem przeglądać te papiery. I od razu trafiłem na coś ciekawego...

- Na protestację Chrystofa Tryzny?

- Widziałaś to?

Skinęłam głową.

- Wiem, ile są teraz warte wyroby jego ojca. Od piętnastu lat pasjonuję się numizmatyką i antykami. To chyba wszystko tłumaczy. Co miałem zrobić? Pokazać ci ten tekst? Wypuściłbym z rąk taki skarb... Skąd mogłem wiedzieć, jak zareagujesz, przecież jesteś nieprzewidywalna! Chciałem spokojnie, bez pośpiechu przejrzeć wszystkie te dokumenty; myślałem, że znajdę coś jeszcze. Ale jak? W domu cały czas ktoś był. Makrynią nie przejmowałem się zbytnio, była już przygłucha i na w pół ślepa, ale ty... Wiedziałem, że sypiasz czujnie jak zajac pod miedzą i że nie oddasz się od domu. Pomyślałem, że cię uśpię. Tylko czym, żeby

nie narobić kłopotów tobie ani sobie przy okazji? Przeszukałem Internet i znalazłem na jakimś forum prosty przepis na środek nasenny: Cardioslim Forte zmieszany z kawą. Podobno gwarantuje długi, spokojny sen. Lekarstwo miałem w apteczce, babcia je zażywa, nawiasem mówiąc, w odróżnieniu od środków nasennych sprzedają je bez recepty. Jeszcze raz sprawdziłem w sieci, czy nie uda się znaleźć czegoś bezpieczniejszego, ale nie. Roztłukłem tabletki na proszek, wyszło pół buteleczki. Teraz pytanie, jak to mieszać z kawą i najważniejsze - jak ci podsunąć? Kupić jakąś egzotyczną kawę, „doprawić” i wręczyć w prezencie? Ryzykowne, zaczęłabyś coś podejrzać. Zakraść się do domu? Bez specjalnej nadziei poszedłem do was tamtej nocy, raczej na zwiad, ale, o dziwo, drzwi były otwarte! Nie zamykacie drzwi na noc?

- Zamykamy!

Nagle dotarło do mnie, że Miszyk zakradł się akurat tej nocy, kiedy okopywałam kartofle. Ziemia usunęła mi się spod stóp. Czyli to jednak moja wina! Gdybym wtedy nie poszła w pole, Miszyk nie dostałby się do domu i babcia dalej by żyła! Dobry Boże! Przypomniało mi się, jak zrzędziła, że latam gdzieś po nocach. I na swoje nieszczęście miała rację...

- Cichutko wkradłem się do domu - ciągnął mój młody sąsiad. - Wiedziałem, gdzie trzymacie kawę, czasem mnie częstowałaś... Następnego dnia czułem się jakoś nieswojo, postanowiłem zaraz rano wpaść do was i poczekać, aż wypijesz i zaśniesz.

No tak, a ja zamiast kawy piłam whisky po spotkaniu z widmem! Whisky uratowała mi życie, ale zabiła babcię.

- Myślałem, że od razu przeczytam dokumenty i koniec całej akcji. Ale coś mnie tknęło, znów wszedłem na tamto forum i - koszmar! - przeczytałem nowy wpis: jakiś lekarz ostrzegał, że taka mieszanka jest groźna nawet dla zdrowych, a chorych na serce może po prostu zabić! Pognałem do was, nie wyłączyłem nawet

komputera. Babcia siedziała nad kubkiem kawy i ledwie ją zobaczyłem, wiedziałem, że już za późno. Byłem w szoku. Zabiłem Makrynię... Nie wiedziałem, co robić. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to jest, kiedy człowiek czuje się mordercą - („Świetnie sobie wyobrażam, tylko widać Jaraszycza nie podzieliła się z wnukiem swoimi domysłami na temat mój i Kukala” - pomyślałam). - Właściwie mogłem wejść do domu i zrealizować swój plan, przejrzeć dokumenty, ale wtedy nawet nie przyszło mi to na myśl. Uciekłem. Dopadłem komputera, wbiłem wzrok w monitor i wpadłem w panikę. Stwierdziłem, że trzeba wrócić, zabrać paczkę z kawą i umyć kubek. Najpierw nie byłem w stanie się ruszyć, ale w końcu poszedłem. Koło płotu stał samochód Zarnickiej i usłyszałem twój płacz... Znowu było za późno.

Nie mogłem sobie wybaczyć. Chciałem zdobyć pieniądze, a zabiłem człowieka! W dodatku tobie nadal groziło niebezpieczeństwo - w każdej chwili mogłaś wypić tę nieszczęsną kawę! Postanowiłem przy pierwszej okazji zabrać paczkę, ale wieczorem, kiedy przyszliśmy z babcią czuwać przy trumnie, kawy już nie było. Co z nią zrobiłaś?

- Oddałam Zarnickiej. Powąchała i wyczuła, że coś nie tak.

- Naprawdę? - Miszyk był zaskoczony. - Nie wiedziałem. Przychodziłem jeszcze parę razy, szukałem, ale nic z tego. No i tyle. Wybacz mi, jeśli potrafisz. Kiedy zobaczyłem cię nad ciałem starej Lalki, postanowiłem się przyznać - zakończył.

Milczałam. Nigdy nie umiałam odróżniać prawdy od kłamstwa; nigdy, od kiedy pamiętam. Taki feler, coś jak kulawa noga. Zawsze wierzyłam: i słowu pisanemu, i temu, co mi mówiono... Nawet kiedy fałsz aż bił po oczach, nie potrafiłam powiedzieć kłamcy: łzesz! Po prostu nie przechodziło mi to przez gardło i mogłam co najwyżej przeprosić, odwrócić się plecami i wyjść. Ale po tym, co przeżyłam w ciągu ostatnich paru dni, zaczęłam się chyba zmieniać. Słuchałam Miszyka - którego znałam przecież od małego i którego babcia uratowała mi życie kilka tygodni temu -

i coś mi nie pasowało. Był jakiś nienaturalny. Jakby grał. Owszem, mówił prawdę, ale czy całą prawdę?

- Wiesz, Misza, myślę, że przyszedłeś nie po to, żeby się wyspowiadać, ale w jakimś innym celu. Nie wierzę ci i tyle.

Miszyk opuścił głowę.

- Jak uważasz - powiedział po chwili całkiem już innym tonem. - Ale po co miałbym kłamać? Po co miałbym oskarżać sam siebie? Przecież nie musiałem się przyznawać. Tym bardziej że - zniżył głos - wasze dni są już policzone. Jesteście silni i odważni, ale zniszczą was, zdepcą i wyrzucą. Niedługo wybory, a po wyborach nie będzie wam czego zazdrościć. A ja zostanę, będę tu dalej mieszkał i Bóg będzie dyktował mi wiersze. Wiesz, że to Bóg mi dyktuje? - musiałam przytaknąć. - No właśnie. I za pięćdziesiąt lat nikt już nie będzie pamiętał ani o tych wyborach, ani o was. A o mnie owszem. I o Dobratyczach, bo to o nich piszę. Poezja będzie żyć wiecznie.

- Więc napisz o tym wszystkim, co mi opowiedziałeś. I podpisz się. Daj mi swój autograf. Oskarżają mnie o zamordowanie babci, akurat przyda mi się taki dowód.

- Nie. Nie chcę się w to mieszać. Moje zeznania nic tutaj nie pomogą, sama to świetnie wiesz. Skoro postanowili wsadzić cię do więzienia, wsadzą tak czy inaczej. Prokurator na twoich oczach porwie moje zeznania i wyrzuci do kosza. Nic nie zrobisz. Możecie tylko uciekać, ty i Uljana, najlepiej za granicę.

- Aha! O to ci chodzi! Uciekać za granicę? Tak się o nas martwisz? Nie, to nie twój pomysł. Przysłali cię tutaj, żebyś po przyjacielsku skłonił nas do wyjazdu, prawda? Już wiedzą, że z nami nie tak łatwo, że biciem i zastraszaniem nic nie wskórają, i znów próbują po dobroci? Najlepszy poeta Białorusi prosi nas, silne i odważne, żebyśmy sobie odpuściły i zwiwały za granicę? Pewnie, dla nich to lepsze wyjście, niż ordynarnie nas zabić.



- Posłuchaj, wiem, co mówię. Kijem Bugu nie zawrócisz. Zniszczycie swoje życie, zniszczycie życie dzieci Uljany. Tutaj sytuacja nie dojrzała jeszcze do zmian, ludzie - nawet nie wiesz, co myślą ludzie - naprawdę popierają władze. I prędzej powolutku przekonam ich swoją poezją, niż wy całą tą waszą propagandą.

Nagle wszystko ułożyło mi się w głowie w sensowną całość.

- Już wiem, jak to było! Śledzili cię, uznali, że jesteś niebezpieczny! Pewnie, piszesz po białorusku, publikujesz w „Naszej Niwie” i w „ARCHE”, musieli mieć cię na oku! I raptem dowiedzieli się, że otrułeś Makrynię. A to im się poszczęściło! Przyszli z tobą pogadać i dali do wyboru: albo dla nich pracujesz, albo idziesz prosto do więzienia. Tak było, prawda?

- A co miałem zrobić?

- Jasne. Nie miałeś wyjścia. Pewnie jak zwykle kręcili, ściemniali, udawali, że wszystko wiedzą... A właśnie - znowu zrozumiałam coś jeszcze - pewnie myślałeś, że to oni zabrali paczkę z kawą? Nieźle... Tylko po co oszukujesz sam siebie?

- Jak to oszukuję?

- No, że niby będziesz przekonywał ludzi swoją poezją? Przecież już nigdy nie stworzysz p o e z j i, dociera to do ciebie? Będziesz teraz, przyjacielu, pisał agitki o swoim szczęśliwym dzieciństwie. Chciałbyś, żeby czytali cię za pięćdziesiąt lat? Biedaku! Podpisałeś na siebie wyrok śmierci. Wyrok na poetę. Koniec, nie ma już Michasia Jarasza, został tylko Miszyk Jaraszychin!

Był wściekły.

- Chciałem ci się wypowiadać, zrzucić to wszystko z serca. Chciałem cię ostrzec, jesteś w poważnych tarapatach. Ale widzę, że jak zwykle nic do ciebie nie dociera.

- Daj spokój z tą demagogią. Takie teksty możesz wstawiać swoim nowym pracodawcom. Idź już, Misza, do domu, i nigdy tu więcej nie przychodź.

Byłam bardzo zmęczona. Nawet nie zmęczona, wyczerpana. Jakby mnie kamienowali i w ostatniej chwili zostawili przy życiu.

Miszyk wstał i bez słowa poszedł w stronę furtki.

No tak, najpierw euforia, potem szok. I to wszystko jednego dnia.

Ale, ale, zauważcie: mamy tu w Dobratyczach mordercę na mordercy. Zbliża się koniec świata.

Również wstałam, żeby pójść do domu. Zrobiłam kilka kroków i trafiłam w miejsce, gdzie czołgałam się do stóp Kukala. I nagle świat rozsypał mi się w oczach. Zmienił się pejzaż wokół mnie. Dom zniknął, jakby go nigdy nie było. Powiało chłodem. Drzewa wyrosły w całkiem nowych miejscach, zapodziały się gdzieś grusza i orzech włoski. Gdzie ja jestem?

Dotychczas, wpadając w nory, zawsze widziałam ludzi, teraz zaś wokół było cicho, zimno i absolutnie pusto. Pustkowie przypominało mi myśl o bliskim końcu świata i poczułam strach.

Cisza. Musiałam ją jakoś przerwać. Krzyknęłam. I wszystko zniknęło. Usiadłam na ławce. Co to miało być? Nie wiem do dzisiaj. Może przyszłość. Może przeszłość. Nie wiem.

Tamtego dnia, w tamtej chwili zrozumiałam, w jakich miejscach trzeba szukać nor: tam, gdzie wydarzyły się jakieś tragedie, tam, gdzie ktoś przeżywał silne emocje. Tyle razy chodziłam do ławki i z powrotem i nigdy nic się nie działo.

Ale odkąd przeżyłam w tym miejscu poníženie i potworny strach, pojawiło się wejście do nory. To dlatego pierwszy raz wpadłam w norę w celi aresztu: nietrudno się domyślić, ile okropności przeżyli tam więźniowie przez wszystkie lata jego istnienia; to samo z twierdzą, gdzie ludzie umierali w mękach i śmiertelnym przerażeniu... Hm, a co z dachem? Musiałam to zbadać, natychmiast. Pobiegłam do Urugwajca.

Okurzał właśnie pszczoły i bardzo niechętnie oderwał się od pracy.

- Wujku Heniu - zapytałam niezrażona - budowałeś nasz dom, prawda?

- No.
  - Powiedz, co się stało, kiedy kładliście dach?
- Urugwajec spojrział na mnie podejrzliwie.
- A dlaczego pytasz?
  - Muszę wiedzieć. Muszę i już.

Zdjął kapelusz pszczelarski.

- Stało się, stało. Do tej pory aż mną trzęsie, jak o tym pomyśle. Stawialiśmy krokiew. Twój dziadek, ja i Jowyk; Makrynia nam pomagała. Na dole siedział mój Waleryk, miał wtedy może ze trzy latka. W pewnej chwili straciłem równowagę i upuściłem ciężką belkę. Mało brakowało, żebym zabił dzieciaka. Ale twój dziadek, niech mu ziemia lekka będzie, sturlał się na dół, podstaawił ręce i przechwycił krowie. Ręce mu połamało, ale Waleryk żyje. Tak to było.

Podziękowałam Urugwajcowi.

Zgadzało się! Miałam rację!

Nory w czasie otwierają się w miejscach, gdzie ludzie - stworzenia boże albo potomkowie małp - przeżyli coś wstrząsającego.

## Piąte dziecko Makryni

Boże, co się dzieje!

Bunt w mieście! Niezadowolenie narastało od dawna. Tu, w Brześciu, i pewnie zresztą wszędzie, ludzie zrobili się wyszczeni i rozeźnieni na życie; często słyszałam ich wściekłe wrzaski: na rynku, kiedy zdrożała sól, na moście, kiedy zaczęto pobierać myto od miejscowych wozów, pod ratuszem podczas posiedzeń rajców (równie głośno krzyczano po polsku, jak po rusku); pod kościołami, kiedy zjeżdżali się posłowie na sejmy i sejmiki... Żona nie dogodziła - ryk na całą ulicę; uczeń krzywo wykroił cholewę - lament; sąsiad-partacz przejął klienta - gwałt i mordobicie; przyszli po podatki - wrzask, jakby kogoś mordowali... Znałam już to miasto i znałam tych ludzi.

Kiedy zrozumiałam mechanikę (tak, to właściwe słowo) wpadania w nory, zaraz następnego dnia - z jakiegoś powodu miałam poczucie, że zostało mi już niewiele czasu - wybrałam się do twierdzy. Dzięki Ławraniewskiej wiedziałam mniej więcej, gdzie znajdowało się kiedyś stare miasto. Krążyłam po pustym kompleksie Heroiczna Twierdza Brzeska, między fortyfikacjami, kazamatami, betonowymi pomnikami i rzeźbami (pomalowanymi tak, żeby udawały spiżowe), wśród szarych i czerwonych asfaltowych ścieżek, po których - oczywiście przed wyasfaltowaniem - dumnie spacerowali w swoim czasie Trocki, Piłsudski, Hitler z

Mussolinim, Breżniew z Maszerawem i wreszcie Łukaszenka, a po nim Tarasienka i wielu, wielu innych; wsłuchiwałam się w siebie i budziłam nieładne podejrzenia w głowach dwu wyraźnie znudzonych i znudzonych bezczynnością ochroniarzy. Chciałam jeszcze mocniej rozciągnąć sprężynę czasu: ominąć owiane przejrzystym powietrzem wojny i epoki budowy, pożarów i głodu, i w mroku historii znaleźć odpowiedź na pytanie, którego nikt jeszcze nie odważył się zadać. Snułam się po twierdzy, często jako jedyna zwiedzająca, a krok w krok za mną podążali ochroniarze. Rozumiałam, że to ich praca, ale jednak przeszkadzali mi się skoncentrować. Nie było. Pomógł przypadek. Siedziałam na trawniku, bez pośpiechu starając się znów wpaść w dobrze mi już znany stan, zobaczyć świat rozbity na drobne szczegóły. Ochroniarze najpierw trzymali się z daleka, ale w końcu podeszli.

- Nie wolno siadać na trawnikach - powiedział jeden z nich. - Nie po to je posiano, żeby pani sobie siadała.

Nie odpowiedziałam, tylko wskazałam coś palcem. Ochroniarze obejrzeni się, jeden krzyknął i pobiegł. Za ich plecami, na parkingu pod restauracją „Obrona”, otwartą niedawno w piwnicach przy bramie i serwującą wódkę „Cytadela” plus niewiarygodnie twarde befsztyki „Kapitan Zubaczow” - więc otóż przed restauracją dwu chuliganów młóciło metalowymi prętami drogi samochód; wokół sypało się szkło, ale nic nie słyszeliśmy - byli zbyt daleko. Ochroniarze pognali i po chwili rzucili się na chuliganów; ci ani myśleli przestać. Kiedy do awantury włączyli się goście restauracji, nadszedł milicyjny opel. Ja natomiast, wreszcie sama, natychmiast wpadłam w norę. Metoda działała!

Od tej pory ochroniarze już mnie nie pilnowali. Właściciel drogiego samochodu zażądał od kompleksu kosmicznego odszkodowania i dyrektor nakazał ochroniarzom, żeby nie oddalali się z parkingu - następny taki eksces mógłby doprowadzić firmę do bankructwa.

Teraz nieźle już znałam stare miasto i nawet paru jego szczególnie krzykliwych mieszkańców. Rzucano mnie w różne miejsca, ale zawsze rozglądałam się za Makrynią. Wiedziałam, gdzie stoi jej dom - w północnej części twierdzy, na brzegu Bugu, na pustym obecnie, zasypanym potłuczoną cegłą placu, zarośniętym łopianem. Bywałam tam często, podobnie jak na rynku w sklepie pana Tryzny; Tryzna ożenił się z Makrynią, a wredna pani wójtowa jakoś nie umarła - często spotykałam ją na targowisku.

Kalwiniści (wśród nich Makrynia z dziećmi) zbierali się na modlitwy w wielkiej, starej cerkwi świętego Mikołaja. Trochę przeciekał w niej dach, z tynków i podłogi długo nie schodziły zacieki. Pan Tryzna z synami codziennie odwiedzał świeżo odbudowaną nad rzeką cerkiewkę świętej Paraskewy, zwieńczoną wesółymi blaszanymi cebulami. Raz udało mi się nawet trafić do szkoły: *pan dydyktor* dyktował kilku wyrośniętym chłopcom, siedzącym wokół niego, liczby i litery; uczyli się, o ile dobrze rozumiałam, wykreślać funkcję  $y=x^2$ , potrzebną do wyznaczenia trajektorii pocisku hakownicy. Byłam oszołomiona i spędziłam tam pół dnia; myślę, że trafiłam do słynnej brzeskiej szkoły brackiej.

Spodobało mi się również w karczmie, prowadzonej przez smagłą dziewczynę o imieniu Esterka; Esterka zawsze nosiła okrągłą czapkę, wyszywaną szklanymi paciorkami, i czystutki lniany fartuszek. Miałam ochotę spróbować miejscowych *paluchów* i *babki gryczanej*, podawanych za marne dwa szelągi, i kiełbas, serwowanych na deskach szczęśliwym posiadaczom grosza. Pachniał mi też wędzony sum... Najczęściej jednak goście - ci z szelągami, groszami i nawet tynfami - raczyli się tu trunkami, które mocno ich rozweselały.

Od czasu do czasu Esterka rozglądała się czujnie i biegła do domu Makryni, który stał nieopodal, po czym wracała, chowając pod chustą jakąś butlę czy dzban. Wkrótce połapałam się, że karczmarza handluje z Naczką, sługą Makryni, który z kolei w

tajemnicy pędzi wódkę i warzy piwo w piwniczce za domem.

Życie miasta całkiem mnie oczarowało.

Chłopcy o chudych nogach, przekradający się wieczorami pod murami zamku z ostrymi nożami w dłoniach.

Kobiety nad Bugiem, z kijankami i koszami; ich nawoływania; ich wielkie ciężowe brzuchy.

Rynek, a na nim rozmowy o kursie wymiany najróżniejszych europejskich walut i o podatkach, a tych było mnóstwo: dziakło, szelężne, podymne, pogłównne, solne, od śledzi i od dorszy, czopowe, myto, szos...

Hejnał każdego poranka.

Kłótnie murarzy w Nałozkach: miasto kwitło, trwał boom budowlany, rosły jak grzyby po deszczu nowe, piękne kamienice. *Faktorzy* przywozili potencjalnych kupców, ale ci kręcili nosami, ceny spadały i pan wójt, wiecznie nienasycony, znów narzekał.

Ulica Zgniła, zamieszкана przez Żydów; żydowski aptekarz *od febry* (w domu weszłam do Internetu: *febra* to wysoka gorączka) proponuje wywar z wierzbowej kory i czegoś tam jeszcze (tajemnica) i gwarantuje wyzdrowienie; wywar kosztuje trzy tynfy, dla pani wójtowej to żadne pieniądze, ale okazuje się, że ma tynfy moskiewskie, aptekarz rezygnuje; w końcu zamiast tynfów bierze kożę.

Kozy to w ogóle osobna kwestia. Młody dzierżawca z Kostomłotów, wychodząc w dobrym nastroju od Esterki, rozgonił szablą czterdzieści kóz pani Bahuszowej i cztery z nich gdzieś przepadły. Awantura w magistracie (leżę przylepiona do rzeźby *Pragnienie*, żeby nie uronić ani słowa). Pani Bahuszowa nie odpuści, nie ma przecież takiego prawa, żeby kozy nie mogły już sobie chodzić po ulicy! A dzierżawca niech zaprowadza porządki na swoich własnych gruntach!

I coraz częściej mówią o Chmielu: Chmiel zmniejszy podatki, Chmiel odbierze Żydom dzierżawę myta, Chmiel daje ziemię

Kozakom, Chmiel daje ziemię chłopom, Chmiel zmniejszy podatki... Pastuszkom z Kostomłotów ukazała się Matka Boska i przykazała, żeby czekali na Chmiela... *Oj, Chmielu ż mij, Chmielu...*

A wszystko takie ciekawe, że aż dech zapiera.

Dziś rano cały rynek zamruczał, zadrżał i wybuchnął. Zaraza! Król kazał przenieść posiedzenie sądu grodzkiego do Kobrynia; pierwsi zbuntowali się solarze z Kodnia, którzy przyjechali skarżyć brzeski kahał. Teraz będą musieli zmarnować kolejny dzień, jechać do Kobrynia, a w Kodniu czeka robota! Straty rosą, pieniądze się marnują! Solarze stali w grupkach pod ratuszem i groźnie pokrzykiwali.

Tymczasem do jatki pana Jarasza, rzeźnika handlującego też skórami, przyszedł Herman z Wołynki, grabarz, z informacją, że wprawdzie w ubiegłym tygodniu nieźle sobie zarobił, ale teraz zmarłych będą chować w zbiorowych mogiłach na koszt magistratu, a jak magistrat płaci, to wiadomo... Zaraz za nim do pełnej much jatki wparowała pani wójtowa; ludzie rozstąpili się przed nią; zaczęła macać i wachać udźce, oglądając z każdej strony żeberka - musiała wybrać najlepsze. Pan Jarasz zmarszczył brwi.

Chwilę później Cit, błazen z Wilna, wysoki i tak silny, że kamienie młyńskie podnosił, przeszedł wężykiem przez rynek i upadł w miejscu, gdzie kończył się bruk i zaczynało zielsko.

Pop pod jatką przeżegnał się i powiedział:

- Bóg gniewa się na brześcian.

Solarze krzyczeli coraz głośniej.

Pani wójtowa wytarła palce w spódnicę i rzuciła:

- Bo namnożyło się pogan, co to z wrogiem rodzaju ludzkiego kręcą geszefty, a dobrych chrześcijan trują i na pokuszenie wodzą.

Usłyszałam, jak Cit wymiotuje („Żebym się tylko nie zaraziła” - przemknęło mi przez myśl).

- Trzeba zrobić procesję - zaproponowała pani Bahuszowa,



która, jak już zauważyłam, wiecznie chodziła krok w krok za wójtową.

- Tylko co to pomoże, skoro w mieście pełno czarowników i innej herezji. Dobrze im tu, siedzą jak pączki w maśle.

- Jakich znów czarowników? - podskoczył pop, czujny w takich sprawach.

- Jak jakich? - pani wójtowa umie intrygująco zawieszać głos. - Toć młodszy syn Makryni ma sześć palców u nóg! Wiecie, ojcze, co to może znaczyć?

- Przecież jest ochrzczony!

- Wiemy, gdzie go chrzcili! W Młynach, u popa pijaka, co to ma dwie żony, nawet na diaka mu kiedyś pokutę nałożyli. Ten to i antychrysta do komunii zapędzi! Prawdę mówię, czystą prawdę: Makryńka zesła się z nieczystym i spłodziła wyrodka! Już dawno zauważyłam, że nawet latem mały cięgiem chodzi w butach. Niby dlaczego? Co to, królewicz jaki? Nie, czarownik, jak nic czarownik, tfu!

Argument trafił nie tylko do pani wójtowej i popa, ale i do reszty - wszyscy jak jeden mąż byli na bosaka.

- Liawko ma sześć palców? Skąd pani wójtowa wie? - zaważał się pop. - Pani Makrynia dobrze służy Bogu, w zeszłym roku latem dała na cerkiew w Stradczach, wcześniej w Kostomłotach...

- Ojcze, niech wam pieniądze nie zasłaniają oczu, pewnie - dużo dała, bo i grzeszy dużo. To przez nią Bóg zesłał na nasz Brześć zarazę i śmierć!

- Trzeba zabić wyrodka! - wybuchnął ktoś z tłumu, który tymczasem zebrał się pod jatką.

- Zabić! Zabić! - słowa pobiegły przez rynek, skręciły w wąskie uliczki.

- Nie bez kozery Makryni tak się darzy: kamienicę zbudowała, król osobiście przysłał jej konsens na zwolnienie z podatku. Kto z nas może się pochwalić czymś takim? Wiadomo, nieczysty jej pomaga!

Na rynek wjechała podwoda wyładowana trupami. Powozik dziwny typ, zdaje się w sztok pijany. Zaraza.

I wtedy pani Bahuszowa zaczęła lamentować:

- Pomrzemy, wszyscy wyzdychamy, Bóg się od nas odwrócił, bośmy o jego przykazaniach zapomnieli!

- Zabić wyrodka, zadusić, zarznąć! - pod jatką zbierało się coraz więcej ludzi. - Niech płacą, to ich wina!

- Idziemy do Makryńki! Niech oddaje wyrodka! Zabijemy go na chwałę Bożą!

Kodeńscy solarze wymachiwali nożami.

Moja babcia mawiała: *witar z Kodnia - to łaska Haspodnia*, ale nie wiedziałam, że w Kodniu warzy się sól i że zajmują się tym tacy histerycy! Czyżby sama konieczność przyjazdu do Brześcia wpędziła ich w krwiożerczy nastrój? Nie, to przez ich zawód, zawód psów ogrodnika: siedzą na bogactwie, ale nic z niego nie mają...

Przez rynek z kamiennymi ławami, wiatrem owiewającym stragany, głębokimi kałużami o czarnym grząskim dnie tłum ruszył pod dom Makryńki. Drżąc z emocji, rzuciłam się za nimi przez placyk, na którym stoją działa z czasów drugiej wojny światowej, obok odrestaurowanej rosyjskiej cerkwi. Modliłam się, żeby nic nie przeszkodziło mi obejrzeć zakończenia całej tej historii. Poszło znakomicie. Trafiłam do nory, zanim jeszcze tamci dotarli pod kamienicę Makryńki. Zdążyłam nawet zobaczyć, jak przewidująca Esterka pospiesznie zamyka okiennice karczmy. Wrzaski i hałas były coraz głośniejsze; tłum wiodła pani wójtowa, za nią kroczyła nieodłączna Bahuszowa; ludzi było już ze dwa razy więcej niż na rynku.

Kamienica Makryni milczała.

- Makryńko! Wyjdź no tu do nas! Wyprowadź do ludzi swoje diabelskie nasienie! - krzyczał stryjeczny kuzyn pani wójtowej, Iwan Kukał; znałam go, kilkakrotnie widziałam gdzieś na mieście. Teraz szedł w pierwszym rzędzie, tuż za plecami ciotki.

Cięnięty w okno kamień podarł natłuszczony papier, rozpięty na ramach.

Biała jak jej czepek Makryńka stanęła na kamiennym progu; w ręce trzymała szablę.

Wrzaski nieco przycichły.

- Niech Liawko pokaże nogi! - krzyknęła pani Bahuszowa. - I to już! Dlaczego tak go ukrywasz, skoro wszystko z nim w porządku? Dobrze wiesz, że to diabelskie nasienie!

- Za takie gadanie podam cię do sądu. Po co tu przyleźliście? Wyniuchaliście, że pan Tryzna wyjechał? O, pani wójtowa. No tak, wszystko jasne. Dawno już szuka na mnie haka, bo jej się nie daję! Wynocha! Nie macie prawa tu sterczeć, przeszkadzacie i ludziom, i mnie. Wynocha, bo zaraz Naczko zawoła strażników!

- Ona nam grozi! - oburzył się Kukal. - Dawaj tu Liawkę, więdźmo! Przez ciebie lud brzeski umiera! Śmierć więdźmie i jej pomiotowi!

Nagle z głębi domu wybiegł na ganek Liawko, widać ktoś go nie upilnował. Był w butach. Miał nie więcej niż dwa latka, a u stóp faktycznie po sześć paluszków (co wiedziałam dzięki dyskretnym wizytom w domu Makryńki). Pan Tryzna, Makryńka i dzieci uwielbiali tego pulchnego chłopczyka i starali się ukryć jego kalectwo. Tego lata pan Tryzna zamierzał zawieźć go do Cieplic, gdzie sławny chirurg obiecał przeprowadzić operację. Nie zdążyli.

- Łapać go! - ryknął Kukal i rzucił się na małego.

Równie błada jak gospodyni Raina wymknęła się na ganek, złapała chłopczyka, machnęła spódnicą i zniknęła we wnętrzu domu. Trzasnęły drzwi. Usłyszałam, jak ktoś przekręca klucz w zamku. Makrynia została sama, oko w oko z tłumem.

- Jazda, trzeba wyłamać drzwi i rzucić tych czarowników w ogień!

- W piątek poczęty, diabelskie nasienie! - wyła pani Bahuszowa.

- Łapać! Wszyscy weźmiemy ten grzech na nasze dusze! - ryczeli ludzie. Kukal przyskoczył do drzwi. Wyciągnął szablę, ale Makrynia zrobiła to samo; kopnęła go w podbrzusze i z rozmachem sieknęła po szyi. Kukal upadł, brocząc krwią. Tłum wzburzył się, ruszył w stronę Makryńki i pewnie źle by się to wszystko skończyło, gdyby nie odsiecz: na końcu ulicy rozległ się krzyk Naczka, a potem tętent kopyt i przed kamienicę wpadła straż grodzka. Tłum rozstępował się przed spasionymi końmi strażników, Naczko zdążył jeszcze przyłożyć batem kilku najbliższym krzykaczom.

Pani wójtowa znów wysunęła się na czoło.

- Aresztujcie tę morderczynię! - krzyczała, wskazując palcem Makryńkę. - Aresztujcie ją, zabiła mojego kuzyna, to wiedźma, matka czarownika!

Chudy i wąsaty pan Władysław, dowódca straży, potrafił łagodzić zatargi bez użycia broni.

- Rozejdźcie się, ludu pospolity, w imieniu miłościwie nam panującego króla nakazuję wam wracać do domów! Sąd i panowie rajcy rozpatrzą całą sprawę i wydadzą sprawiedliwy wyrok. Rozejdźcie się, ale już!

Strażnicy działali pewnie i profesjonalnie.

Kilku z nich zeskoczyło z koni i otoczyło Makrynię, która wciąż jeszcze stała na ganku z zakrwawioną szablą w dłoni.

Pozostali, wciąż konno, odpychali ludzi spod kamienicy. Nad ciałem Kukala została tylko pani wójtowa.

- Panie Władysławie, jestem krewną zabitego i żądam aresztowania morderczyni.

- Musiałam się bronić przed tłumem, siebie i moje dzieci! To ona ich podjudzała! A Kukal pierwszy rzucił się na mnie z szablą!

Pan Władysław uklonił się wójtowej, a potem podszedł do Makryni.

- Na mocy władzy danej mi przez miłościwie nam panującego króla aresztuję panią do czasu przesłuchania świadków

i procesu. Śledztwo przeprowadzi pan woźny, a pani, pani Makryniu, zgodnie ze Statutem i rozkazami króla posiedzi na razie w zamku.

Strażnicy odebrali Makryńce szablę. Na ganek wbiegła Raina, przyniosła węzełek z jedzeniem, pan Władysław nawet go nie sprawdził, chociaż pani wójtowa uparcie się tego domagała. Z domu wyszły dzieci Makryni i pana Starymy. Liawko zrozumiał, że matkę zabierają; rozpląkał się i podbiegł do niej, ale Raina zdążyła go odciągnąć; malutki chłopczyk, prawie jeszcze niemowlę, krzyczał rozdzierająco i wrywał się z rąk. Makrynię zabrano na zamek.

Aż do wieczora siedziałam koło kamienicy. Z miasta co jakiś czas dobiegały krzyki, wyraźnie coś się tam działo, ale nie chciałam się oddalać. O zmierzchu wrócił pan Tryzna. Naczko chwycił uzdę jego konia i po chwili wszyscy zniknęli za bramą.

Przesunęłam się trochę wzdłuż brzegu i trafiłam do wnętrza kamienicy. Najpierw do kuchni, a potem tam, skąd dochodziły głosy - do wielkiego pokoju.

Mówiła Raina:

- Wszystko przygotowałam, proszę pana. Nie ma na co czekać, niech pan zabiera dzieci i jedzie choćby do Dobratycz, a jeszcze lepiej do Lwowa. Kto wie, co tutaj z tego wszystkiego wyniknie...

- Tak, a ta flądra powie w sądzie, że wywieźliśmy Liawka, bo Makrynia naprawdę jest wszystkimu winna.

- Powie pan, że uciekliście przed zarazą, wszyscy teraz wywożą dzieci. Tak czy inaczej, nie możemy pokazać go sędziom.

- Racja. Może operację uda się zrobić we Lwowie i nie będziemy musieli jeździć do Cieplic.

- Znakomicie.

- Ruszamy po zmroku. Okrężną drogą, żeby się nie pchać przez most. Lepiej, żeby nikt nas nie widział.

- Tak.

- My z małymi weźmiemy szable, a Naczko niech przyszykuje hakownice - rzucił z kąta Chrystosz.

- Dobrze.

- W tej tureckiej trzeba naprawić zamek - Naczko wstał. - Chodź, chłopcze, pomożesz mi.

Naczko z Chrystoszem wyszli. Raina i Staryma zostali sami; przez papier w oknach przenikało rozproszone, żółtawe światło wieczoru.

- Nie myślałem, że zastanę tu coś takiego. Dobrze, zawiozę dzieci do Lwowa, spróbuję od razu umówić się z doktorem, potem szybko wrócimy. A może lepiej ty i Naczko pojedziecie z nimi, a ja tu zostanę przy Makryńce?

Raina pokręciła głową.

- Do Lwowa daleko, drogi niebezpieczne. Makrynia będzie spokojniejsza, jeśli pan sam pojedzie z dziećmi. A ja dam sobie radę. Jutro pójde do pana woźnego.

Staryma sięgnął za pazuchę, wyciągnął zza czerwonej kamizeli skórzaną sakiewkę i podał ją Rainie.

- Nie żałuj złota.

Ktoś przeraźliwie krzyknął, w pierwszej chwili nie mogłam się połapać - w starym czy w nowym mieście. Aha, w nowym, koło restauracji. Wróciłam do swoich czasów.

Do czasów, w których Ałka i Uljanka z Hadunów poradziły już sobie z Iwanem z Kukałów.

Gdzie czekał skarb pana Tryzny.

Gdzie z poboczy szos szczyrzyła zęby znenawidzona twarz.

Gdzie rodziły się i rosły nowe dzieci.

Gdzie - z każdą chwilą rozumiałam to coraz lepiej - los tych dzieci i treść billboardów w jakiś sposób, choć jeszcze nie wiedziałam jaki, zależały od tego, w czyje ręce trafi skarb.

## Typologia kobiet w „Księżęcej łodzi”

Było już całkiem ciemno. Chciałam wrócić do nory, ale jakoś mi to nie wychodziło. Po godzinie bezskutecznych prób stwierdziłam, że widać dziś już nic z tego i że pora do domu. A dokładniej nie do domu, ale do Zarnickiej - Zarnicka poprosiła swoją gosposię, żeby ta dała mi klucze, tak że w razie czego miałam gdzie nocować. Z czego zresztą kilkakrotnie przyszło mi skorzystać, kiedy dłużej zasiedziałam się w twierdzy.

Wyszłam z ciemnej twierdzy na oświetloną latarniami ulicę i nieco zwolniłam kroku. Poprosiłam przez telefon Chwiedzkę, żeby rano nakarmił świnię i resztę, i poczułam, że sama też mam ochotę coś przegryźć.

Szłam wzdłuż rzeki, w smugach żółtego światła sodowych latarni i ciemnych plamach cieni drzew; w porcie cicho warczały dźwigi; areszt białął w mroku świeżo otynkowanymi murami. Kawalek dalej migotały i złościły się okna nowej restauracji, miejsca rozrywki tych, którzy lubią tego rodzaju rozrywkę. Restauracja stoi na samym brzegu rzeki i ma coś w rodzaju tarasu na zacumowanej obok wielkiej barce. Pewnie dlatego nazwano ją „Księżęcą łodzią”. Zapachniało kawą, duszoną kapustą i grzańcem. Postanowiłam wstąpić na kolację. Na barce było tłoczno, wołałam posiedzieć w spokoju, więc weszłam do budynku. Sala była prawie pusta, panował w niej półmrok; dolatywały tu strzępy

muzyki, granej przez zespół na łodzi: um-pa-pa, um-pa-pa - chyba *Polesia czar*, stara piosenka jeszcze z polskich czasów.

Złożyłam zamówienie i zamyśliłam się.

Sześciopalczy drobniutki chłopczyk, Liawko Tryzna, wywoływał we mnie za każdym razem, kiedy widziałam jego białą główkę i zgrzebną koszulkę, jakieś dziwne rozrzewnienie. Pewnie tak patrzyłabym na syna, gdybym miała syna. Byłam niemal pewna, że to właśnie od niego wywodzimy się my, wszyscy Hadunowie. Wprawdzie nosiliśmy nazwisko jego matki, Makryni, a nie pana Tryzny, ale w tamtych czasach ludzie miewali dwa nazwiska, a poza tym często zamiast nich posługiwali się jakąś ksywą, która prędzej czy później trafiała do dokumentów: Liawko Tryznin Hadunow albo Liawko Makrynicz z Hadunów mógł z czasem stać się po prostu Liawkiem Hadunem. I nie przypadkiem Raina wspomniała o Dobratyczach - widocznie rodzina albo kupiła ten majątek, albo założyła go na swobodnym kawałku ziemi. Serce zabiło mi żywiej: przecież za jeziorem w Dobratyczach są dwie doliny, Liawkowa i Sierocina... Może Makrynię spalili jako czarownicę i Liawko został sierotą?

- To dla pani.

Uniosłam głowę, raptownie wyrwana z rozmyślań. Przy stoliku stała kelnerka. Podawała mi na tacce złożoną na dwoje kartkę.

- Dla mnie?

- Tak. Proszono, żebym przekazała.

W świetle stojącej na stoliku lampy przeczytałam: „Wiem, że pani siostra wypytywała o mnie, niech pani nie myśli, że nie zauważyłam. Pewnie ludzie nagadali jej jakichś głupot. Gdyby przyszła do mnie, powiedziałabym jej prosto w oczy: tak, nienawidzę pani, pani Ało. Kim pani jest? Nikim, starą babą. Pani już nie jest jego żoną. Dlaczego Anton kupił pani to mieszkanie i zapisał w testamencie część majątku? Jak się uciekało przed bumerangiem? Tak, to był mój pomysł. Mam jeszcze sporo takich pomysłów i



sporo przyjaciół. Niech pani zostawi Antona w spokoju, ostrzegam. On jest mój. Teraz to ja jestem jego żoną”.

I podpis: „A. Tłuska”.

Dłuższą chwilę w osłupieniu przyglądałam się kartce.

Co to ma być? Jaka znowu A. Tłuska? A tak... Faktycznie, siostra opowiadała mi o spotkaniu na dworcu w Brześciu, jak to szło? „Niech się pani trzyma z daleka od Antaniny Dłuskiej”. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała nazwisko. Pewnie Antanina Dłuska i A. Tłuska to ta sama osoba...

Kelnerka przyniosła crudités i sok.

- Proszę powiedzieć, kto napisał ten liścik? - zapytałam.
- Antanina Tłuska - odpowiedziała spokojnie kelnerka.
- Kto to taki?
- Piosenkarka, co, nie zna jej pani?

Piosenkarka! Takie buty! Jasne, pamiętam, przecież ten chłopak, Ukrainiec, mówił mi wtedy o jakiejś piosenkarce, mój mąż jest jej menedżerem! Czyli to ona, nowa żona Antona!

- Gdzie ona się podziała?

- Siedziała tutaj przy barze, a potem zobaczyła panią, napisała coś, poprosiła, żeby pani przekazać, i od razu wyszła. Ale mam jej kasetę, jeśli chce pani posłuchać, zaraz puszczę.

- Dziękuję, proszę puścić.

Nad barem zapalił się wielki ekran i zobaczyłam Antaninę Tłuska.

Oczywiście śpiewała piosenki Edith Piaf. Panny tego gatunku zawsze się za nie biorą w nadziei, że zrobią karierę na dobrym repertuarze, ale jakoś nie robią. Przesadnie zadbana, tacy ludzie lepiej sprawdzają się przed kamerą niż w życiu, w życiu bywają nieznośni. Szeroko otwierała usta i cały czas się uśmiechała - bezmyślnie, słodko i niedorzecznie. Jeśli ktoś śpiewa w ten sposób *Je ne regrette rien*, to sami rozumiecie... Nie, nie przemawia przede mną zazdrość, skąd, po prostu ta kobieta ewidentnie nie miała ani talentu, ani prawdziwej urody. Antonie, Antonie, żyj, jak

chcesz, ale - tak po prawdzie - gdzie ty miałaś oczy? No i gdzie ja miałam oczy, kiedy przegapiłam tak radykalny zwrot w twoich gustach...

Gestem poprosiłam barmana, żeby wyłączył nagranie. Zrobił to bez oporów.

Z barki znów dobiegło um-pa-pa, um-pa-pa starej piosenki, która widać na powrót stała się modna w pewnych kręgach.

- Przepraszam - wyrwała mnie z zamyślenia kelnerka - kucharz pyta, dlaczego pani nie je? Jeśli pani nie smakuje, przyniosę coś innego...

- Nie, nie, dziękuję, nie trzeba. Pyszny sos.

Kelnerka raz jeszcze przeprosiła i odeszła. Wzięłam widelec. Siedziałam teraz sama, wszyscy przenieśli się na barcę, po chwili jednak wpadło rozbawione towarzystwo, które widać nie zdołało się już tam wcisnąć. Przyjechali wielkim dżipem i zamówili wódkę. Widelec wypadł mi z ręki i zadzwonił o talerz: rozpoznałam wśród nich specnazowca Pacziwego. Był w zwykłych cywilnych ciuchach. Krótko ostrzyżone włosy, nalany tłuszczem kark... Tak, to on. Towarzyszyła mu czarna, energiczna dziewczyna, co chwila nachylał się do niej. Omiótł mnie absolutnie obojętnym spojrzeniem. Nie poznał.

Szybko wypełnili salę głośnymi rozmowami. Najpierw pili za państwa młodych i Pacziwy pocałował dziewczynę. Aha, mąż i żona! Wytężyłam wzrok i zobaczyłam na jego palcu obrączkę. Zza stołu dolatywały soczyste przekleństwa. Sądziłam, że komunikują się w ten sposób tylko z podłymi wrogami prezydenta, ale najwyraźniej nie: z ukochanymi również. Kobiety też zaczynały każde zdanie od kurwy: „Kurwa, spróbuj tej sałatki! Chodź, kurwa, zatańczymy!” Kiedy Pacziwy z żoną poszli tańczyć na barcę, pozostałe dwie panie natychmiast zaczęły ich oplotkowywać. Dowiedziałam się, że Elka jest już w czwartym miesiącu, że kantuje Saszkę z Gazmanem i że Saszka jest głupi, że dał się tak zrobić.

Rzuciłam okiem na barkę, na tańczących. W czwartym miesiącu i pije? No nie, niech sobie Wajciaszonak mówi, co chce, ale życie naprawdę ukarze takich ludzi pustymi oczami dzieci.

Szuszko, Pacziwy, Ściapan Fiodarawicz, Hrajczyk i Majdzienka plasowali się na szczycie mojej czarnej listy. Po tym wieczorze może nie całkiem zrezygnowałam ze swoich wrednych planów, ale zrobiło mi się jakoś lżej na duszy: po raz kolejny przekonałam się, że życie mści się na takich typach i bez mojej pomocy.

Tego wieczoru w restauracji na brzegu Muchawca zainteresowani mogli obejrzyć pośród innych atrakcji również paradę żon. W programie wystąpiły:

1. Żona porzucona (ja).
2. Żona bojowa i reprezentacyjna (Tłuska).
3. Żona, która już wkrótce zaskoczy swojego męża (madame Pacziwa).

Wychodząc z „Księżęcej łodzi” zabrałam kartkę od Tłuskiej, żeby wysłać ją Antonowi. Ale tu czekała mnie kolejna niespodzianka - kiedy, wkładając ją do kieszeni, ostatni raz rzuciłam okiem na tekst, litery zaczęły błyskawicznie blaknąć i wkrótce całkiem znikły! Tłuska pisała specjalnym atramentem, wszędzie sprzedają teraz takie długopisy. Albo nie doceniłam jej poczucia humoru, albo ona również wkrótce zaskoczy Antona. Anton i Antanina... Cholera, nawet imiona mają takie same! Dwie połówki buraka...

## W świetle księżyca

Nad stromym brzegiem jeziora kłębiły się stada komarów. Żaby i ptaki już zamilkły; tylko nietoperze sucho szeleściły skrzydłami, przelatując nisko nad moją głową. Światło księżyca leżało na owalu wody jak przewrócony znak „zakaz wjazdu”, a nieopodal poniewierał się ciśnięty przez rozszluszczonego Tolika wykrywacz metali. Milczeliśmy, bo i o czym tu mówić. Właśnie wróciliśmy przez grobowiec znad Bugu. Wszystkie nasze nadzieje, podsycane przez entuzjizm Tolika, legły w malowniczych gruzach.

Dwa tygodnie bez ustanku jak wściekłe krety przekopywaliśmy z Tolikiem i Walikiem okolicę. Drążyliśmy nory, tylko tym razem nie w czasie, a w suchej i twardej jak skała ziemi. Uljanka była zajęta, kampania wyborcza zbliżała się do finału, my natomiast nie wypuszczaliśmy szpadli z rąk. Czasu zostało niewiele, raptem dwa tygodnie.

Tylko dwa tygodnie. Któregoś dnia przy kolacji usłyszeliśmy w wiadomościach, że za dwa tygodnie z racji zbliżających się wyborów tudzież celem zachowania spokoju i porządku wszystkie służby mundurowe zostaną postawione w stan podwyższonej gotowości. Dotyczyło to również pograniczników: i tak nie przepuszczą przez granicę nawet muchy, a przy podobnym alercie wyhaczą każdego mikroba, odłowią każdą amebę... Przy czym wąsaty wojak z generalskimi pagonami podkreślił, że po wyborach

stan podwyższonej gotowości stanie się standardem. W praktyce oznaczało to, że wszyscy dotychczas niejawni pracownicy służb wyjdą na patrole, dostaną broń i rozkaz używania jej bez ostrzeżenia...

Oliwy do ognia dołał Sasza. Tegoż dnia spotkał swojego byłego kumpla, który wprawdzie też już nie pracował w KBB, ale nadal miał tam dobrych znajomych. Okazało się, że brzescy ryccerze płaszcz i szpady otrzymali z Mińska dosyć dziwne zadanie. Polecono im wybrać sporą grupę zaufanych i silnych fizycznie pracowników i w ciągu dwu tygodni przeszkolić ich do szukania skarbów w okolicy Brześcia...

Nie mieliśmy już złudzeń: albo doprowadzimy sprawę do końca natychmiast, albo nigdy.

Tolik i Walik, ryzykując, że Czarota wyrzuci ich z roboty, wzięli urlop i przystąpiliśmy do dzieła. Nigdy nie zapomnę tych dni. Harowaliśmy od świtu do nocy. Piekielnie bolały mnie plecy, szpadel niemal przyrósł do rąk. Krwawe odciski na dłoniach pękały i nie miały czasu się zagoić, ale mimo otwartych ran dzielnie kopałam dalej, nie miałam sumienia zrzucić wszystkiego na chłopaków. Żeby trochę zmniejszyć ból, owinęłam dłonie bandażem, ale kiedy tylko naciskałam na stylisko łopaty, na bandażu pojawiały się bure plamy krwi i ropy. Kiedy Tolik po raz pierwszy to zobaczył, nawrzeszczał na mnie i usiłował odesłać do domu. Ale nie tego: też na niego nawrzeszczałam, cisnęłam o ziemię wielką, świeżo wykopaną bryłą piaskowca i w niezbyt parlamentarnych słowach zaproponowałam, żeby sam spadał do domu albo wiadomo gdzie... Walik z trudem nas rozdzielił. Udało mu się dopiero kiedy - zazwyczaj taki spokojny i opanowany - posłał nas również wiadomo gdzie i oświadczył, że ani myśli dalej pracować z takimi idiotami, że przegięliśmy i że gdyby wcześniej wiedział, jak to będzie wyglądać, w życiu nie wchodziłby z nami w żadne spółki.

Słowem, byliśmy na granicy wyczerpania nerwowego. Ciężka praca nie przynosiła rezultatów. Znaleźliśmy tylko resztki kos,

widel i sierpów, jakiś łańcuchy, gwoździe, monety imperium rosyjskiego i radzieckiego, zardzewiałe hełmy z pierwszej i drugiej wojny, łuski naboju, odłamki bomb lotniczych, zamek od działa (z miejsca zidentyfikowany przez byłego artylerzystę Walika), puszki po konserwach i bezkształtne kawałki blachy - wykrywacz metalu wciąż piszczał, ale co z tego, co z tego...

Gryzło mnie sumienie i nadgryzały wątpliwości. Nie zdążymy, wszystko na nic. Nasz skarb zasili konta ropuch ze szklanego ekranu. Czułam się podle, jakbym ponosiła za to jakąś odpowiedzialność. Przecież to wszystko nie było przypadkiem, wiedziałam, czułam, że tak zwane zbiegi okoliczności zdarzają się w życiu całkiem nieprzypadkowo: stary dokument w grubej teczce, Taras Ślizołka w lwowskim archiwum, moje wpadanie w nory... Niby sprawy bez związku, ale jednak... Był w tym jakiś zamysł, jakiś plan, jakaś zagadka, i to właśnie nam powierzono jej rozwiązanie. Może właśnie po to wydeptujemy w świecie swoje czarne ścieżki, jak to kiedyś ujął Tolik. No i proszę, okazuje się, że zdradziliśmy sekret i teraz zamiast nas skarb znajdzie grupa odpowiedzialnych i silnych fizycznie pracowników wiadomych służb. A widać jest tego warty, skoro tylu ludzi przesunięto z frontu wyborczego; no i oczywiście jego odnalezienie okaże się kolejnym dowodem, że obecny prezydent jest wybrańcem Boga...

Duszę miałam nie mniej poranioną niż dłonie. Rany piekły.

Pracowaliśmy w dzień i w nocy, spaliśmy ledwie po parę godzin na dobę. Schudliśmy, zmizerniliśmy. Chłopcy mieli zatargi z żonami, bo oczywiście na razie nie przyznawali się, po co znikają z domu. Musieliśmy też uważać na pograniczników i cały czas działać w ścisłej konspiracji. A jednak każdego dnia i każdej nocy przeciskaliśmy się wąskim tunelem z grobowca, wylaziliśmy na łąkach i po cichu, ale metodycznie, piędź po piędzi przekopywaliśmy całą okolicę, kierując się to na prawo, to znów na lewo od miejsca, naprzeciw którego czerniały na polskim brzegu grube,

przegniłe pale - resztki młyna. Z każdym szpadłem ziemi gasła we mnie nadzieja. Walik poza tamtą jedną awanturą nieźle nad sobą panował, pracował spokojnie i w milczeniu (wtedy następnego dnia przyniósł mi rękawice, w których, muszę przyznać, kopało się znacznie wygodniej). W Toliku natomiast z nocy na noc narastał entuzjazm i przekonanie, że lada chwila znajdziemy nasz skarb. Kiedy powiedziałam, że mamy na to coraz mniejsze szanse, odparł:

- Nic podobnego. Im mniej nam zostaje do przekopania, tym większe szanse, że znajdziemy już dziś.

Ale mijały kolejne dni i nic nie znajdowaliśmy.

Przyjechała Uljanka z mężem Jurka. Ostatniej nocy, kiedy mieliśmy przeryć resztkę nietkniętej jeszcze ziemi dokładnie naprzeciw pali, wybraliśmy się nad Bug wszyscy razem.

- No, szykujcie się, zaraz wielki finał - oświadczył Tolik, wyłaząc z tunelu na suchą darń.

Guzik od polskiego płaszcza wojskowego i kawałek łańcucha - to wszystko, co znaleźliśmy tej nocy. Tolik i Jura wpadli do wody, przemokli i wybrudzili się błotem.

Przed świtem wróciliśmy przygnębieni do naszej postradzieckiej ojczyzny i usiedliśmy na brzegu jeziora.

Walik, suchy i najmniej z nas zmachany, podsumował:

- Mogliśmy się tego spodziewać. Nie to nie. Trudno. Uczciwie przeszukaliśmy całą okolicę. Nie trzeba się było tak napalać.

- Racja. I nie macie czego żałować - pocieszał nas Jurka. - Dzięki tej akcji uwolniliście świat od bandyty, a to już coś, no i wybiliście okno do Europy, mam na myśli grobowiec z tunelem. Aha, i zdobyliście unikatową mapę, Ałka może o niej napisać artykuł.

- Jaki znowu artykuł - machnęłam ręką.

- A mapa wcale nie jest unikatowa - dodała Uljana.

Jurka przekręcił się na brzuch, zapalił lатарkę i wyciągnął z walizki mapę, przywiezioną przez Waleryka z Nowego Jorku.

- Może i nie unikatowa, ale na pewno ciekawa - Jurka w świetle latarki studiował znaną nam już na pamięć topografię. - Bardzo ciekawa...

Tolik, który dotychczas jak padł, tak leżał, kaszlnął skądś z ciemności.

- A może w dokumencie był jakiś błąd? Może trzeba szukać na brzegu po stronie Kostomłotów, na lewym, nie na prawym?

Księżyc w pełni rzucał na nas upiorne białe światło. Niedługo stoczy się z nieba w bezdenną otchłań za Bugiem i z drugiej strony, znad Moskwy, nadmie się i wybuchnie czerwone słońce, a nad osuszonymi bagnami mgła zacznie się zwijać jak żmija i chłodne krople rosy wyschną w bezlitosnym, palącym wietrze czasu...

Fale księżycowego światła zalewały krajobraz. Milczeliśmy. Cisza leżała nad schowanymi w ziemi torfami, nad wapiennymi muszelkami dawno wymarłych małży, nad przywalonymi mułem szkielecikami karasi i piskorzy, nad skórkami węży i białymi kosteczkami zajęcy...

I nagle znów świat rozsypał mi się na szczegóły i w jakiejś paraliżującej, niemej panice poczułam, że dzieje się ze mną coś dziwnego: ciało wysycha, kurczy się, kości twardnieją i nietutejsze powietrze owiewa mi twarz. Chwytam je szeroko otwartymi ustami, smakuję, kręci mi się w głowie... Panika, narastająca panika. Widziałam siostrę i chłopaków, ale nie było mnie już z nimi, przeniosłam się w inne miejsce, czy, dokładniej rzecz ujmując, w inny czas. Gdybym wzięła się w garść, pewnie udałoby mi się samą siłą woli strząsnąć z siebie ten koszmar, ale wolę mam, jak wiecie, słabą, więc już po chwili przestałam być sobą i znalazłam się w kimś, kto biegł przez zalany światłem księżycy mrok, chyba w mężczyźnie; nie dość, że wpadłam w norę, to jeszcze znalazłam się tam, po drugiej stronie! Widziałam nieswoje muskularne ręce (choć jednocześnie czułam się sobą, Alką z Hadunów), przyciskałam do piersi ciężki kuferek i dyszałam, mknąc nocą wzdłuż



Bugu; w końcu całkiem wyczerpana przystanąłam i rzuciłam chłopcu, który pędził koło mnie:

- Czekaj, tchu mi nie staję, już nie mogę...

Ziemia zadrżała i skądś z tyłu dobiegł tętent kopyt zmieszany z wrzaskami i gwizdami, od których cierpła skóra.

Rozejrzałam się (to znaczy mężczyzna rozejrzał się) wokoło. Kompletna dzicz. Krzaki, błysk rzeki, znów krzaki, w oddali jakiś dach między drzewami. Pagórek. Na pagórku dąb, młody, ale silny. Dąb. Wpiłam się weń wzrokiem. Pod jednym z korzeni czerniała jama.

- Napiszę cedułę - wydyszałam. - Masz, bierz i uciekaj. I oddaj paniczowi Chrystoszowi...

Wystraszony chłopczyk złapał żółty świstek i czmychnął w mrok; krzaki zamknęły się za nim z lekkim szelestem.

Skoczyłam, to znaczy mężczyzna skoczył, w stronę dębu, poszerzyłam nożem wlot jamy, wrzuciłam do niej kuferek i starannie przysypałam go korą i suchymi liśćmi. Dobrze, teraz trzeba odciągnąć pogoń, zmylić trop... Mam nóż, żywcem mnie nie wezmą... Skórzane trzewiki ślizgały się po mokrej trawie. Zgubiłam gdzieś szeroką futrzaną czapę, ale dotarłam do rzeki i poczułam na ciele chłód jej nurtu... To mnie otrzeźwiło.

Znów siedziałam na brzegu jeziora. Tylko księżyc wciąż wisiał tam, gdzie wcześniej... Serce waliło mi jak szalone. Gorączkowo obmacałam całe ciało i przeżegnałam się - trzeci raz w życiu. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wszyscy pilnie słuchali Jurki.

- ...płynął nie tam, gdzie teraz. Patrzcie: na przykład ten cypel - cztery głowy pochyliły się nad mapą. - Tak? Naprzeciw cerkwi w Pryłukach? Teraz już go nie ma. Chodziliśmy tam przecież, sami widzieliście. Pamiętacie, Ałka nawet się burzyła, dopytywała, gdzie są niby te łuki, przy których była wieś. No właśnie, nigdzie, nawet na tej stuletniej mapie widać już tylko zatoczkę, ale jakieś czterysta lat temu Bug naprawdę wyginał się tu w łuk.

Rzeki z czasem zmieniają koryta, wiadomo. Kiedyś na geologii uczyliśmy się, jak wyliczać etapy tego procesu, ale mało już pamiętam. Z grubsza szło to jakoś tak, że rzeki cofają się w kierunku przeciwnym do ruchu Ziemi wokół własnej osi. Tak - Jurka wstał. - Bug płynie tędy - machnął ręką na północ. - Tamten brzeg jest stromy, czyli rzeka odsuwa się w stronę Polski. Bardzo możliwe, że kiedyś była znacznie bliżej nas. Może nasze jezioro to właśnie starorzecze.

- Bingo! - Walik aż usiadł z podniecenia. - Pewnie, rzeki zmieniają swój bieg, jak mogliśmy o tym zapomnieć! Co teraz?

- Hm, spróbujemy skonsultować się z jakimś specjalistą. Jeśli zbada rzeźbę terenu, strukturę gleby, specyfikę rzeki - no, prędkość nurtu, objętość wody i tak dalej - powinien w miarę dokładnie wskazać miejsce, którym Bug płynął czterysta pięćdziesiąt lat temu. Pytanie, czy będzie mu się chciało.

- Nie musimy szukać żadnego specjalisty - powiedziałam głuchym głosem i zakaszłałam. - Tolik, bierz swój wykrywacz i idziemy.

- Dokąd niby? - nie zrozumiał Tolik.

- Tam - wskazałam ręką dąbrowę na pagórku. - Szybciej, szybciej, potem ci wytłumaczę.

Tolik spojrział ze zdumieniem, ale posłusznie wstał i nic już więcej nie mówił.

- Wy też chodźcie.

Jurka, Uljanka i Walik pospieszyli za nami.

- Szukaj.

- Tu?

- Tu.

Moje spojrzenie mówiło chyba wszystko, bo Tolik bez zwłoki zarzucił na ramię pasek wykrywacza. Zamigotało czerwone światełko i rozległ się długi pisk. W milczeniu patrzyliśmy, jak metodycznie, od drzewa do drzewa przeczesuje dąbrowę. Dąbrowę,

pośrodku której rósł stary, rozłożysty, pięćsetletni dąb, otoczony setkami swoich synów i wnuków.

Raptem wykrywacz zawył. Czerwona lampka zgasła, zapłonęła zielona. Złapałyśmy się z Uljanką za ręce. Wycie nasilało się, aż w końcu przeszło w ryk jak przy alarmie.

- Jest! - powiedział Tolik przez ściśnięte gardło. - Czyżby to to?

Walik już pędził ze szpadlami.

- Ostrożnie, powoli! - sucha ziemia osypywała się strumyczkami do rozkopanej jamy.

- Patrzcie! - zabrzączał odrzucony szpadel, a z ziemi wychyliło coś ciemnego.

Tolik odgarnął piasek rękami. Kuferek? Podważyliśmy go łopatami. Walik z Jurka złapali i wyciągnęli na trawę sporą czarną skrzynkę.

- Zamknięty. Jak go otworzyć? Może rozbiję szpadlem?

- Nie, nie, zostaw. Uljanka, poświeć tutaj.

Wcisnęłam swoją latarkę siostrze i uklękłam przy kufereku. Pod palcami oddychało stare drewno, okucia na rogach oddawały wiekowy, żywy chłód ziemi. Pod prawą nóżką wymacałam niewielką wypukłość i nacisnęłam ją. Coś szczęknęło i wieko lekko się uchyliło. Zamek puścił...

Popatrzyłam na moich przyjaciół.

- No! Otwieraj! - szepnęła Uljanka.

Położyłam drżącą rękę na wieku.

- Nie, nie mogę. Boję się - odpowiedziałam też szeptem.

Tolik był odważniejszy. Padł na kolana i zdecydowanym ruchem otworzył kuferek.

Księżyc przystanął na niebie, żeby lepiej widzieć całą scenę. Za horyzontem podskakiwało słońce, próbując nas podejrzyć.

W miękkim świetle przedświt błyszcząły własnym, ostrym blaskiem kamienie; pierścienie powiązane drutem w schludne

wianuszki. Lwowski jubiler najwyraźniej specjalizował się w pierścieniach. Były tu złote i żółte, z czerwonymi, zielonymi i bezbarwnymi oczkami; cały, pełny po brzegi kuferek wielkości pudełka po butach.

- *Tam u poli try duby* - zaśpiewał nagle niskim basem na całe gardło Tolik.

- *Tam u poli try duby, try duby* - podchwycił Walik dwa tony wyżej.

- *Żbirałysia do kupy, żbirałysia do kupy!*

Dęby, o których śpiewaliśmy, cichutko szumiały na porannym wietrze.

A śpiewaliśmy już wszyscy. Ja - pierwszy raz w życiu, jeśli nie liczyć lekcji muzyki w szkole. Świat słuchał, wschodziło słońce i między nasze głosy wplótł się z wolna ten szósty - potężny i bliiski, który już kiedyś słyszałam, choć był wtedy przygłuszony i zdławiony. I którym kiedyś sama przemówiłam.

## Nowy klient Sotheby's

- Nie mógł się specjalizować w pierścieniach! - zaprotestowała Uljanka. - W siedemnastym wieku nikt nie słyszał o specjalizacji!

Właśnie opowiedziałam, jak wpadłam na to, gdzie konkretnie szukać skarbu. Uljana i pozostali chyba nie mieli specjalnej ochoty mi wierzyć, ale dowody leżały przed nimi, rozsypane na kuchennym stole. Cała czwórka długo wpatrywała się we mnie w milczeniu; dawno już nie wprawiałam nikogo w takie osłupienie. Teoria o norach w czasie zbiła całe towarzystwo z nóg: nie spodziewali się czegoś takiego po Ałce-alkoholiczce.

Błyszczące pierścienie leżały na pokrytym ceratą stole w starej kuchni; radośnie błyszczały oczy szczęśliwych poszukiwaczy.

Śmiało przynieśliśmy skarb do domu, w końcu oczyszczonego - dzięki niejakiemu Sanalejewowi - z podsłuchów. Szarmancki, łysiejący, milkliwy facet o szybkich ruchach błyskawicznie znalazł dwie malutkie pluskwy: jedną w drzwiach na dole, drugą pod wieszakiem na piętrze; chwilę czarował nad nimi jakimiś drucikami, później przykleił specjalne nakładki, otworzył laptopa, zamknął laptopa i oświadczył:

- Gotowe! Spreparowaliśmy wasze głosy, Lilka ponagrywała jakieś bzdurne rozmowy, niech sobie teraz towarzysze słuchają

do upojenia. Tydzień spokojnego życia macie jak w banku.

- Będą słyszeli nagrania zamiast tego, co naprawdę mówimy?  
- zapytałam.

- Tak. Lilka nauczyła się wymyślać całe listy dialogowe, mówi, że po wyborach zacznie pisać scenariusze seriali. A patent jak na razie działa w innych sztabach - odpukać - bez zarzutu.

Tak więc prosto spod dębu przytaszczyliśmy skarb do domu.

Tolik z miejsca podał nam przybliżoną wartość znaleziska. Jak się potem okazało, niewiele się pomylił, przy czym na naszą korzyść.

Zaciągnęliśmy firanki, zamknęliśmy drzwi i oglądaliśmy skarb, wciąż nie mogąc nadziwić się własnemu szczęściu i kompetencjom Tolika. Pierwsze było cudem, drugie cudem do kwadratu.

Po kolei braliśmy pierścienie, unosząc je w padających na stół czerwonych promieniach wschodzącego słońca, a traktorzysta firmy Agrowitalika+ informował pewnym, spokojnym głosem:

- Styl zachodnioeuropejski. Złoto i szmaragdy. Robota... no, powiedzmy, zadowolająca. Cena... zacznijmy od trzech tysięcy - odłożył błyskotkę na bok i wziął kolejną. - Hm, styl tak zwany miejscowy, robocizna wspaniała. Złoto, diament i... chyba szafir. No, no, ten jest wyjątkowo cenny, unikat, na świecie jest może z dziesięć podobnych. Myślę, że weźmiemy za niego co najmniej... dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy.

- Ile?

- Dziewięćdziesiąt dziewięć.

- Dlaczego akurat tyle???

- Sprawdziłem ceny w katalogach.

- W jakich katalogach? Skąd masz te katalogi?

- Napisałem do kolekcjonerów i mi przysłali - wzruszył ramionami Tolik. - Zaraz po pogrzebie babci Makryni, kiedy Uljana pierwszy raz przeczytała ten dokument i kiedy postanowiłem znaleźć skarb, dotarło do mnie, że znaleźć to dopiero połowa zabawy,

potem trzeba jeszcze spieniężyć coś takiego... Ale jak? Jak znaleźć odpowiednich ludzi? Tak, tak, najlepiej przez Internet. Kupiłem komputer. Żona mało mnie z domu z tym złodem nie wyrzuciła... No i koresponduję z agentami aukcyjnymi, nawet goście z Sotheby's do mnie napisali.

Słuchałam i miałam ochotę walnąć głową w ścianę. Chyba mnie Bóg opuścił, że kiedyś odmówiłam mu pójścia *na tańce*.

Jestem idiotką, skończoną kretynką! Jak mogłam go przegapić, nie docenić - m o j e g o Tolika. Teraz nawet głupio nazywać go moim, i to na własne życzenie... Trudno, za późno. Ani wilgoć zielonego mchu z tamtych czasów, kiedy mogliśmy policzyć sobie nawzajem wszystkie żebra, ani to, że całował moje zakrwawione odciski na rękach, nic już nie zmieni. Za późno.

Przegapiłam swoje szczęście. Wlepiłam w nie wzrok i nie widziałam. Zmarnowałam życie - swoje i jego. Gdyby wtedy starczyło mi rozumu, wszystko byłoby dzisiaj inaczej. Ale nie! Zawsze byłam głupia! To on powinien studiować historię, nie ja, nawet nasz nauczyciel mówił, że w całej szkole tylko Tolik Hadun ożywia się, słysząc słowo „archeologia”, i radził mu dalej uczyć się w tym kierunku. Egzaminy zdawaliśmy razem, ale ja miałam farta, a Tolik odpadł. Potem poszedł do wojska. Potem do pracy - musiał pracować, żeby jego starzy rodzice mieli co jeść. Traktor, traktor, z traktora, na traktor... Jeszcze potem nie poszłam z nim na tańce. A Hańdzia poszła... I tak mijało życie, trzeba było szklić szklarnie, sadzić hektary jabłoni, karmić świnie...

Teraz Tolik ożywia się tylko kiedy wypije. Ale talent to talent, zostaje na zawsze, tli się gdzieś pod mchem. I kiedy przychodzi decydująca chwila, wybucha jasnym płomieniem. Jasnym, pięknym i mocnym.

Świeżo upieczony znawca sztuki omiółł nas spokojnym spojrzeniem i kontynuował:

- Krótko mówiąc, wszystko przygotowałem. Teraz musimy tylko zdecydować, jak podzielić pierścienie: czy na cztery części i każdy zajmie się swoją sam, czy powierzycie mi całość, a ja sprzedam ją za granicą i wtedy weźmiemy swoje działki? Tak czy inaczej, najpierw musimy zrobić spis i choćby przybliżoną wycenę. Ałka, bierz papier i długopis, pisz.

- Czekajcie - wpadła mu w słowo Uljanka. - Jak to za granicę? Coś mi się zdaje, że nasze prawo tego zabrania. Skarb należy do państwa...

- Nasze prawo? - Tolik uśmiechnął się ironicznie. - To znaczy czyje? Moje? Twoje? Czy tych sukinsynów?

- A państwo to my - poparł go Jurka.

- No tak, ale powinniśmy to oddać do muzeum - oświadczyła Uljana.

- Jasne. Będziesz miała figę z makiem, a pierścienie pana Tryzny długo miejsca w muzeum nie zagrzeją, twoje państwo zaraz położy na nich łapę i tyle całej historii...

- Mówcie, co chcecie, ale ja kategorycznie protestuję przeciwko sprzedaży za granicę. Może to zabrzmiało patetycznie, ale ten skarb należy do całego narodu, w tym też do przyszłych pokoleń - Uljana mówiła spokojnie i całkiem poważnie.

- Aha, to po co go w ogóle szukaliśmy? - zapytał złośliwie Walik.

- Dostyc tego! - głos Tolika zabrzmiał podejrzanie ostro. - Od początku wiedziałem, że się o to pokłócimy, i długo kombinowałem, jak rozwiązać sprawę. I wykombinowałem. A raczej miałem szczęście, jak my wszyscy w całej tej historii.

Słuchajcie. Poznałem przez Internet niejakiego Mojżesza Patapczuka, dyrektora największego kanadyjskiego banku Business City Bank. Facet urodził się w Brześciu. Okazało się, że to rówieśnik babci Makryni i że nawet kiedyś w młodości się spotkali. Szanowny pan Mojżesz jest też właścicielem bodaj największej na świecie kolekcji tych, cholera, jak im tam, ciągle zapominam... a...



artefaktów, pochodzących z naszych okolic. Dawno już zapisał całą kolekcję miastu Brześć - pod warunkiem, że będzie ogólnodostępna i że władze zapewnią jej należyłą ochronę. Ponieważ władzom jakoś się nie spieszy, na razie wszystko leży jeszcze w Kanadzie, w depozycie bankowym. No i pan Patapczuk gotów jest kupić nasz skarb. Zapłaci uczciwie, już ja się o to postaram.

- Dobra. Teraz tak: Urugwajec, Lonicha i Jaraszycha też powinni dostać swoje działki. W końcu to ludzie z Dobratycz - Uljanka jak zwykle musiała mieć ostatnie słowo - a skarb leżał w dobratyckiej ziemi.

- Czemu nie? - zgodził się Tolik. - Dostaną. Ale na razie przyjrzyjmy się dokładniej, co my tutaj mamy... Ałka, pisz.

Wycena skarbu (z przerwą na karmienie świni i drobiu, picie herbaty i smażenie placków) zajęła nam bite cztery godziny. Byliśmy oszołomieni. Wyszła jakaś astronomiczna suma, nawet nie powiem wam jaka. Wpadliśmy tego poranka w euforię wprost proporcjonalną do wartości skarbu w dolarach USA.

Tymczasem pierścienie leżały na starej, wytartej ceracie. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie widziałam nic równie pięknego. Jeszcze długo oglądaliśmy je po kolei, przekazując sobie z rąk do rąk. W końcu nie wytrzymałam:

- Chciałabym zostawić sobie jeden na pamiątkę, dobrze? Odliczcie mi go potem od mojego udziału.

- Śmiało... - Tolik zrobił szeroki gest ręką. - Myślę, że ci się należy. To dzięki tobie dotarliśmy do skarbu pana Tryzny. I pewnie pan Tryzna też by sobie tego życzył.

Pochyliłam się nad stołem i powolutku przesunęłam dłonią nad pierścieniami. Co tu wybrać? Może ten z malutkimi szarymi perłkami zatopionymi w matowym złocie? Albo ten z czerwonym, bezdennym jak dusza krwi szafirem? Albo ten, o którym Tolik powiedział: „z rzadkim akwamarynem typu błękitnego”? I nagle coś poczułam. Może lekki szum w uszach, może ciepło na dłoni...

Błysnął jakiś kamień. Wszuchałam się w siebie i delikatnie wzięłam pierścionek ze stołu. Ten? Tak, ten.

Tolik powiedział, że jubiler nie zdążył go wykończyć. Drobnutkie, ciemne, nieszlifowane agaty zatopione w nieszlifowanym srebrze. Włożyłam go na serdeczny palec lewej ręki. Pasował. Zajął niemal pół palca. I znów coś się stało - poczułam dotknięcie, usłyszałam echo jakiegoś okrzyku. Tak, ktoś się ze mną witał, i dobrze wiedziałam kto. Domyślałam się nawet, dlaczego wybrał akurat mnie. I jestem pewna, że jeszcze kiedyś się z nim zobaczę - albo przynajmniej zobaczą się nasze dusze. A wtedy dowiem się wszystkiego dokładnie, wtedy porozmawiamy jak należy.

Tolik pieczołowicie spakował pozostałe pierścienie z powrotem do kufierka.

- Pora oblać nasz sukces - zaproponowała wesoło Uljanka. - Ała, sięgnij no do swoich zapasów!

Przyniosłam wino i pięć szklanek. Sobie od razu nalałam kompotu z dzbanka i wyjaśniłam:

- Od czasu, kiedy załatwiliśmy Kukala, jakoś nie mogę pić.

Tolik też podstawiał szklankę pod dzbanek:

- Od czasu, kiedy znaleźliśmy skarb, nie chcę już więcej pić.

- No i mamy dwoje alkoholików mniej - uśmiechnął się szeroko Jurka. - Dobrze, wypijmy za spełnione marzenia!

Stuknęliśmy się szklankami.

## Stworzony na nowo świat i kim jest szatan

Tolik nie tracił czasu. Jeszcze tego samego dnia razem z Walikiem i Jurka wystąpił o wydanie wiz w trybie przyspieszonym, a potem zadzwonił do Zarnickiej i poprosił, żeby tej nocy nie kładła się spać. Na szczęście nasze służby nie są w stanie podsłuchiwać wszystkich rozmów przez komórki.

Wieczorem Tolik i Walik sprawnie przeszli tunel wiodący od grobowca i sforsowali Bug. Zarnicka omal nie dostała zawału, kiedy zapukali do jej okna. Przekazali skarb, krótko wytłumaczyli, o co chodzi, i obiecali zajrzeć nazajutrz.

Tą samą drogą wrócili do Dobratycz i kilka godzin później wraz z Jurka najzupełniej legalnie przekroczyli granicę, pożartowali z celnikami, w godzinę dotarli piechotą do Kostomłotów, wzięli skarb od Zarnickiej, złapali autobus do Białej Podlaskiej, a stamtąd zaprzyjaźniony z Jurka architekt bez żadnych przygód zawiózł ich samochodem do Pragi. W pełnej turystów Pradze, w hotelu z widokiem na Most Karola spotkali się z byłym mieszkańcem Brześcia, Mojżeszem Patapczukiem.

U nas tymczasem przeszła burza, więc chłopcy wrócili już do innego świata.

Tę burzę pewnie wszyscy dobrze pamiętają. Dała się we znaki całemu krajowi, w tym również Dobratyczom.

Zacząło się od suszy. Takiej suszy jak owego lata nie mieliśmy jeszcze nigdy: ziemia od wiosennych roztopów pragnęła deszczu, ale deszczu nie było. Nie spadł na Wielkanoc ani na Wniebowstąpienie. Nie spadł w Zielone Świątki. Nie kropił w Przemienienie. W Dobratyczach padał tylko raz: tego dnia, kiedy poszłam okopać ziemniaki, pamiętacie?

Trzy dni po wyjeździe chłopców usłyszałam przez radio ostrzeżenie o huraganie: spodziewano się silnego wiatru, burz i ulewnego deszczu. Spiker czytał komunikat niepewnym głosem. Na początku nawet się ucieszyłam. Ha, deszcz! Nareszcie! Uli nie było w domu, znów pojechała do Mińska. Starannie obejrzałam spalone słońcem podwórko, suchy piach, zmarniałe krzaki bzu i wzniosłam oczy do nieba - ani jednej chmurki.

Ale coś było nie tak. W powietrzu stała podejrzana cisza. Wiatr ścichł, liście na drzewach zamarły w bezruchu. Ptaki przestały śpiewać. Szaromiedziane sosny wyprężyły pnie, jakby szykując się do jakiejś walki. Z bezdenne go, pustego nieba paliło słońce. Upał ścisnął mi skronie. Podeszłam do barometru i zmarszczyłam brwi: ciśnienie spadło tak, że wskazówka oparła się o brzeg skali. Ogarnął mnie nieokreślony strach. W radio nadano kolejne ostrzeżenie; tym razem w głosie lektora wyraźnie pobrzmiwała panika. Wysłałam na ganek.

Tak, nadciągał gniew Boży.

Skądś z daleka, zza Bugu, dobiegły pierwsze grzmoty: cichy turkot, a potem, po chwili, nieco głośniejszy - jakby ktoś turlał po niebie puste beczki.

Znad rzeki napłynęła ogromna, czarna chmura. W jej wnętrzu nieustannie już grzmiało i błyskało. Nad wikliną wzniosły się porwane, podbite bielą drobne chmurki i znowu wszystko ucichło - nastał ten straszny moment, kiedy tuż przed burzą cały świat zamiera, nie drżą nawet liście wiecznie rozdygotanej osiki. A potem pierwszy delikatny, pieszczotliwy powiew wiatru i drugi, tylko troszkę mocniejszy, i nagle wiatr wzmaga się, uderza, i oto

już pędzi przed sobą piach i sypie nim w oczy... Burza rozpętała się na dobre.

Gęsty, mocny wichur przyginał grube pnie sosen niemal do samej ziemi. Zwarte fale powietrza zbijały z nóg. Krople deszczu zlały się w szerokie strumienie. Wszędzie rozlegał się trzask łamanych drzew i nieustanne grzmoty, a niebo rozrywały splątane ze sobą błyskawice. Runęła wielka sosna przed domem. Piorun łupnął w koronę brzozy na pagórku. I nagle usłyszałam nowy dźwięk, który zagłuszył wszystkie pozostałe: potężny ryk, wycie, skowyt. Tak mógłby ryczeć jakiś koszmarny potwór, może smok, a może diabeł, odwalający kawał skały, pod którym był uwięziony... Potwór nadchodził z południa. Trzęsąc się z przerażenia wbiegłam na piętro, żeby lepiej widzieć. Wyjrzałam przez okno. Włosy dosłownie stanęły mi dęba. Tym smokiem czy potworem była po prostu woda. Potężna fala, pionowa ściana wody, na oko jakieś dziesięć metrów wysokości. Pędziła wprost na Dobratycze. W jej środku coś kotłowało się i klekotało: na powierzchnię wypływały i po chwili znikwały w ciemnej głębinie deski, całe drzewa, stalowe rury, mignął nawet sponiewierany czerwony samochód...

Stercząca na baczność włosy nie zdążyły mi opaść, kiedy potworna fala uderzyła o dom. Poczułam, że zalewa mnie zimna woda, dach trzeszczał, podłoga uciekła spod nóg. Straciłam przytomność. Ale nie na długo. Ocknęłam się na mokrej podłodze. Otworzyłam oczy. Fala odeszła; teraz słyszałam jej ryk gdzieś na północ od wsi. Znowu drżałam. Wstałam i rozejrzałam się po domu: dach zerwało niemal całkiem, piętro było kompletnie zrujnowane, a sam budynek jakby nieco się przesunął. W ulewnym deszczu zesłam na dół. Kuchnia stała pod wodą. Usiadłam na schodach i poczułam, że zaraz umrę. Przez okno widać było tylko szare fale, wszędzie, aż po horyzont; tu i ówdzie sterczały z nich połamane pnie drzew. Krajobraz zupełnie się zmienił i w niczym nie przypominał już tego, który znałam od dziecka.

Świnia, szybko przebijając ratkami, pływała w swojej zagrodzie

(nie zdążyłam zamknąć chlewika przed burzą). Nawet przez deszcz dokładnie widziałam jej zatroskany ryj. Nie wiedzieć czemu, piekielnie mnie to rozbawiło. Wybuchnęłam śmiechem. Śmiałam się histerycznie, płakałam i ryczałam, siedząc na schodach zrujnowanego domu, a deszcz wciąż padał i padał.

Po tej burzy nic już nigdy nie było takie jak dawniej.

Później okazało się, że powódź w naszych okolicach była wynikiem przerwania tam na dwu wielkich zbiornikach retencyjnych: Szackim na Ukrainie i Myczkowieckim w Polsce. Uwolnione z nich wody zlały się w jedną potworną falę, która przeszła między innymi przez Dobratycze. Podobne fale przetoczyły się też przez Polesie, Pojezierze i okolice Mińska; okropieństwa, które widzieli wówczas ludzie - pływające po ulicach trupy z rozmytych grobów, zrujnowane wioski i miasteczka, zniszczone pola i lasy, oszalałe ze strachu zwierzęta, atakujące ludzi i siebie nawzajem - zostały w nas już na zawsze...

Ale wróćmy do tamtego popołudnia w Dobratyczach.

Deszcz przestał wreszcie padać. Nadal wiał silny, zimny wiatr; postanowiłam wyjść na podwórko i rozejrzeć się w sytuacji. Wszędzie leżały powalone i wyrwane z korzeniami drzewa. Świnia i drób zniknęły, a klatki z królikami były całkiem zalane - przez mętną breję dostrzegłam kołyszące się w nich długie, martwe ciała... Brodząc w głębokiej niemal po pas wodzie, ruszyłam do wsi: może uda mi się wyciągnąć kogoś spod ruin...

Na podwórku Jaraszychy rozbiło tylko łaźnię. Niemordowana - choć i zapłakana - gospodyni zapędzała właśnie świnie po schodach na piętro; w odróżnieniu ode mnie pamiętała, żeby zamknąć chlewik. Pomogłam jej i już razem ruszyliśmy do Urugwajca, ale ten właśnie wyszedł nam naprzeciw, poganiając krowę. Zawrócił nas do Lonichy, na pagórek. W pierwszej chwili ledwo go poznałam i nie do razu połapałam się, o co chodzi: okropnie wykrzywił twarz i mówił, jakby miał usta wypchane ziemiakami; tak właśnie,

z ziemniakami, płacząc z rozpaczy i rozżalenia, że go nie rozumiemy, powiedział, że Kacię przygniotło na śmierć spadające na dom drzewo, a on na ten widok dostał jakichś skurczów... „Na górkę, szybko na górkę” - poganiał nas nerwowo.

- Muszę wracać do Kaci, idźcie same, tylko szybko, szybko...

Tej nocy u Lonichy spali wszyscy, którzy pozostali przy życiu, całe Dobratycze. Dom Lonichy stał wysoko i woda tu nie dotarła.

Przez kilka kolejnych dni nie było elektryczności, nie działały telefony, nie kursował pociąg, a rozmytej szosy nigdy już potem nie odbudowano. Nikt z nas nie miał radia; kołchoźniki i moja komórka milczały. Byliśmy odcięci od świata: tylko wojskowe helikoptery krążyły nad stojącymi pod wodą polami i zniszczonymi lasami. Ale nie zrzucali nam konserw ani ulotek ze słowami pocieszenia, nic. W kraju zachodziły akurat przemiany polityczne, o których dowiedzieliśmy się dopiero grubo później, a które teraz nie schodzą z ust naszych obywateli.

Kobiety płakały od rana do nocy; woda nie opadała już trzeci dzień, a to oznaczało, że wszystko zgnije: warzywa w ogrodach, ziemniaki, zboże i owoce. To zaś z kolei oznaczało głód. Dobratyckie kobiety dobrze wiedziały, co to takiego głód...

Kacię pochowaliśmy na pagórku; Urugwajec nie mógł przeboleć, że bez popa.

Czwartego dnia woda zaczęła opadać. Pokazały się pierwsze piaszczyste wysepki, a na nich brudna piana, cuchnący muł, żółte pęki wodorosli i jakaś zgnilizna. Trawa wychynęła spod wody martwa i całkiem bura. Na pniach zwalonych drzew wykwitły żółte i purpurowe plamy grzybów i pleśni. Wszędzie wałyły się zdechłe żmije nieznanymi mi gatunków: ohydne szaro-żółte stworzenia z białymi brzuchami i płaskimi głowami, przy czym w różnych stadiach rozkładu... Skąd się wzięły? Woda wypłukała je z nor, z głębi naszej ziemi, czy przyniosła z daleka?

- Ałka, wiesz, nie mogę chodzić po tej ziemi - skarżyła się

Lonicha. - Skąd tu tyle tego paskudztwa? Aż mnie mdli, jak patrzę...

Mimo to Lonicha nad podziw szybko wróciła do swoich normalnych zajęć. Już drugiego dnia po burzy wyciągnęła z *kluni*, czyli komórki, zrobioną z pnia drzewa *krype*, zwaną też dłubanką, i sprawnie manewrując starym wiosłem, popłynęła w stronę kompletnie zalanej granicy. Wróciła po godzinie.

Z przerażeniem dostrzegłam w łódce *czarnego szatana* w białym całuniecie!

Szatan nazywał się Ngwaasi i całkiem niezłe mówił po angielsku. Siorbiąc przy stole Lonichy gorący barszcz, opowiadał:

- Uciekamy. Ja, moja żona, dzieci, rodzina brata, rodzina drugiego brata i sąsiedzi. Jesteśmy z Konga. Tam się nie da żyć, można tylko umrzeć. Tam jest mnóstwo słońca, ale słońce jest czarne. Musieliśmy uciekać. Miałem dziewięcioro dzieci, zostałem sam. Umierały na moich rękach - Ngwaasi odłożył łyżkę i pokazał mi różowe dłonie. - Najpierw szliśmy nad morze, potem jeden kapitan dowiózł nas do Turcji, przeszliśmy przez Turcję, potem znów płynęliśmy morzem - na Ukrainę, aż w końcu trafiliśmy na Białoruś i stąd chcemy przez Polskę dostać się do Niemiec.

- Dobry Boże! Przecież to pół świata! Jak długo tak wędrujecie?

- Trzy lata. Po drodze rodziły nam się dzieci i umierali starcy. Już tutaj, na Białorusi, złapała mnie kiedyś milicja. Powiedzieli, że mnie deportują, ale nie przyznałem się, skąd jestem, a kiedy myśleli, co tu ze mną zrobić, uciekłem przez okienko ubikacji.

- Jak wam się udało dotrzeć tak daleko? Co jedliście, gdzie spaliście? Skąd braliście pieniądze?

Ngwaasi sięgnął ręką pod białą szatę i wyciągnął woreczek.

Z woreczka wysypał na dłoń kilka szorstkich, białawych szkiełek.

- To cały nasz majątek. W Kongo pracowałem w kopalni.



Musieliśmy oddawać wszystkie znalezione kamienie, inaczej groziła nam śmierć. Chcieliśmy żyć, więc zaryzykowałem. Wyruszyliśmy, kiedy nabierałem trochę takich kamyków. Moja przyjaciółka studiowała w Niemczech i powiedziała, że tam właśnie musimy się dostać. Wiem, że teraz są statki przemycające ludzi prosto do Hiszpanii, ale wtedy ich jeszcze nie było. Musieliśmy jechać przez Turcję.

Trzy lata! Szli trzy lata, rodząc dzieci i chowając starców! Wyobraziłam sobie tych czarnych jak kawa ludzi na kamienistych, zimnych, wrogich bezdrożach...

Do kuchni zajrzała Lonicha.

- No, Waśka, podjadłeś? To chodź do łodzi. Wszystko już gotowe.

I wyszła.

Ngwaasi pospiesznie dojadł barszcz, dopił wprost z miski ostatnie krople i szybko zakończył opowieść:

- Ciotkę Manię spotkałem przypadkiem: doszliśmy do Brześcia i łaziliśmy wzdłuż granicy, nie wiedząc, co robić dalej. Takich zasieków jeszcze nigdzie nie widzieliśmy. Spaliśmy w lesie. A ciotka Mania chodziła tam po... jak im... no, te z kapeluszami. Ona jest bardzo dobra. Powiedziała nam: chodźcie do mnie. Tam, gdzie się trzyma drzewo do pieca, w komórce, moja żona urodziła syna. A potem ciocia Mania pokazała mi grobowiec na cmentarzu i wykopałem tam tunel do samego Bugu. I przeszliśmy granicę. Teraz moja rodzina jest już w Niemczech, przeszliśmy, ale za nami idą jeszcze inni, więc wróciłem, żeby im pomóc. Mam tu w pobliżu kryjówkę i kiedy przychodzili w nocy, ciotka Mania prowadziła ich do mnie. Nie chciała brać od nas pieniędzy, mówiła, że jesteśmy *boży twaryny taksami* (ostatnie słowa Afrykańczyk powiedział po naszymu). Nikomu nic nie zdradziła i przynosiła mi jedzenie do grobowca. Kocham ciotkę Manię.

Nooo, pomyślałam, ja też kocham ciotkę Manię! Zorganizować taką kontrabandę to nie w kij dmuchał. Brawo, Lonicha!

Ostatnią grupę uchodźców burza dopadła na samym brzegu Bugu. Uciekli przed falą powodziową na drzewa. Przez tych kilka dni nieźle się przegłodzili, ale teraz, kiedy Ngwaasi zawiezie im barszcz, będą mieli siły ruszyć w dalszą drogę.

Ngwaasi położył na górnej półce etażerki, obok budzika i Biblii, spory kamyk.

- Pokaż to ciotce Mani. To na pamiątkę od ludzi z Konga.

Ngwaasi powiedział też, że widział, jak przekopywaliśmy po nocach brzeg Bugu, i zorientował się, że czegoś szukamy, ale oczywiście ani on, ani jego krewni nie chcieli leżeć nam w oczy.

Ngwaasi wypłynął na głębszą wodę, obejrzał się i pomachał. Ciotka Mania energicznie odmachala. Wąziutkie czółno skryło się za drzewami.

Piątego dnia Lonicha wybrała się na letnisko i przyniosła wieści, że z domków prawie nic nie zostało - większość zabrała fala, reszta stoi po okna w paskudnym błocie.

Tegoż dnia pomagałam Lonisze przenosić drwa (czy, jak to ujął Ngwaasi, drzewo do pieca) spod wiaty na podwórku do drewni. Po kilku godzinach odkopałam spod grubych polan rower z wykręconą kierownicą i pogiętymi w ósemki kołami.

- Co to jest, ciociu Maniu?

Lonicha zrobiła głupią minę.

- Eeee, wiesz, to tego Siwego. Ciągle za mną łąził. W kółko mówił: „Wyjdź no do mnie, Maniu!”, a ja mu na to: „Przecież masz żonę!”, a on: „Rzucę tę żmiję, życie mi złamała, całą krew wypila. Wychodź, Maniu, dobrze nam będzie żyć razem!” - no i tak bez końca. I któregoś razu, niedługo przed śmiercią, znów przyszedł namawiać, żebyśmy żyli razem. „Przeprowadzę się - mówi - do ciebie! Nie będziesz stratna! Zaraz dostanę pieniądze, bardzo dużo pieniędzy. Starczy nam do śmierci i jeszcze zostanie”. Skąd niby te pieniądze? Siwy robił przecież na gówniarni...

- Gdzie?!

Ciotka niepewnie chrząknęła.

- No, tam gdzie zbierają gówna z całego Brześcia...

- A, w oczyszczalni ścieków!

- O to, to, on też tak jakoś mówił. Pilnował tej gówniarni. I kiedyś zobaczył, jak jacyś ludzie topią coś w zbiorniku, jakby worek - może to był trup, a może co innego, czego chcieli się pozbyć. No to poszedł do nich i nawrzeszczał: zakaz wstępu, co to za worek i tak dalej. A Kukal mówi do niego: siedź cicho, dziadu, to damy ci za to pieniądze. A ten dumny się zgodził. I zamiast pieniędzy dostał przez łeb na szosie.

- Czyli to oni go wtedy rozjechali...

- Oni, oni. Sama widziałam, siedziałam w lesie i wszystko widziałam na własne oczy. Taki wielki srebrny samochód, pędził jak wichur i bęc w Siwego, a potem zawrócił i jeszcze raz przejechał ciało, dla pewności... Wezwałam milicję, ale nic im nie powiedziałam, tylko że trupa znalazłam. Bałam się, że mnie też zabiją. Dla nich zabić człowieka to jak muchę pacnąć. A rower zabrałam - co się będzie marnować, przecież Siwy chciał u mnie mieszkać, to mi się należy, a mój już ledwo jeździ. Poproszę Urugwajca, może naprawi...

Tylko podrapałam się po głowie. Nieszczęsny pijak Siwy próbował szantażu i zginął z rąk Kukala... Kukal nabruździł chyba wszystkim w naszej okolicy...

Szóstego dnia, kiedy łąziłam ze szpadlem po podwórku i zakopywałam zdechłe żmije, kury i króliki oraz smętnie spoglądałam na ruiny domu, wrócili Tolik z Jurką i Uljaną. Przyszli z Brześcia piechotą, tu i ówdzie przeprawiając się przez rozlewiska gumowym pontonem.

A świnka wróciła dopiero po pół roku. I to nie sama - z młodymi. Ciekawe, gdzie znalazła im ojca... Ale wtedy różne rzeczy działy się po lasach. Nie było mnie w Dobratyczach, więc całą gromadkę przygarnęła Lonicha. Świnka stała się.

protoplastką nowej rasy, bardzo popularnej później na Białorusi: czarnej wielkoryjej Świni nowego tysiąclecia. Jej potomkowie odziedziczyli umiejętność znajdowania grzybów, tresura byłych specnazowców Saszy i Dzimy nie poszła na marne. Przydało się, jak znalazł, kiedy w okolicy powstały przemysłowe hodowle czarnych truflí piemonckich. Nawet Francuzi kupują teraz nasze prosiaki, właśnie ze względu na węch.

## Dzień W

Uljancka przed chwilą skończyła czytać to, co dotąd napisałam, i dała mi pewną radę. Mówi, że opowieść jest żywa i autentyczna, ale powinnam dokładniej opowiedzieć o wyborach. Podobno czytelników zainteresuje moje zdanie na ten temat. Możliwe. Dlatego też, mimo że sama w dniu W byłam odcięta od świata w zatopionych Dobratyczach, opiszę tamte wydarzenia, posiłkując się relacjami znajomych.

Wybory odbyły się nazajutrz po burzy. Do urn nie pokwapił się absolutnie nikt, zresztą same punkty wyborcze - szkoły, przychodnie, rady wiejskie - stały już w ruinie albo pod wodą. Wszyscy szukali zaginionych, chowali zmarłych, opatrywali rannych, porządkowali obejścia, wywozili dzieci w bezpieczne miejsca... Kraj miał na głowie ważniejsze sprawy niż wybory.

Natomiast władzom tak bardzo zależało na pomyślnym zakończeniu całej kosztownej przecież akcji, że z nerwów i głupoty całkiem straciły poczucie rzeczywistości. Inercja systemu okazała się nie do przeskoczenia. Zamiast likwidować skutki katastrofy, wysłano w teren wojskowe helikoptery i amfibie, które w zastępstwie radia i telewizji informowały przez megafony, że według danych z godziny 12.00 głosowanie przebiega bez zakłóceń, że w zamkniętych punktach wyborczych obecny prezydent otrzymał

99,9% głosów i że według wstępnych szacunków komitetu partii Czerwono-Zielona Ruś jego ostateczny wynik we wszystkich obwodach szacuje się na około osiemdziesiąt sześć procent...

Ale ludzie mieli to w nosie.

Władze połapały się, że coś jest nie tak, dopiero kiedy na konferencję prasową Centralnego Biura Wyborczego, na oficjalne ogłoszenie wyników nie przyszedł ani jeden dziennikarz. Przewodnicząca komisji drżącym głosem odczytała informację o wielkim zwycięstwie prezydenta, ale w pustej sali odpowiedziało jej tylko echo. Władze zostały ze swoją radością same.

Billboardy leżały potrzaskane wzdłuż szos.

Zero szacunku dla władz. Zero strachu - ten, kto przeżył potop, nie boi się już nikogo, chyba tylko Boga.

Aksanka straciła podczas powodzi męża i syna. Kiedy tylko rozpuściła się burza, Siarhiej pobiegł do swoich traktorów ratować, co się da, a syn za nim. Wieczorem znaleziono ich ciała pośród pogiętych blach.

Aksanka upadła na trupy i przeleżała tak całą noc, usiłując je rozgrzać, ożywić, licząc na jakiś cud...

Rano, kiedy tylko się rozwidniło, wstała i tak jak stała, wyszła z domu. Była jedynym człowiekiem w całych Stradyczach, który poszedł tego dnia głosować. Dotarła do punktu wyborczego, cały dzień przesiedziała jak skamieniała przy urnie, podpisała prawdziwy protokół, a te przygotowane wcześniej porwała na strzępy. Pod wieczór przyjechał dżipem jakiś działacz partyjny z rozmytą twarzą i obłędem w oku; kiedy starym zwyczajem próbował podmienić karty w urnie, Aksanka spojrzała na niego tak, że natychmiast zrejterował.

Aksanka zrobiła swoje. Napisała jeszcze sprawozdanie, opieczętowała urnę i wróciła do domu, do martwych ciał męża i syna, do żywych córek i wnuków...

## 903 słowa

Jakiś czas temu przestawiłam się na amerykański styl pisania: codziennie wystukuję określoną liczbę słów. Zdecydowałam się na to po rozmowie z niejakim Horstem Davidem, który oprócz tego, że jest dziennikarzem, pisuje też scenariusze dla hollywoodzkich wytwórni filmowych. Kiedy dowiedział się, że również piszę, od razu zapytał:

- A ile słów dziennie?

Cholera wie, pomyślałam. Mniejsza już o jakość, ale faktycznie, dobrze byłoby kontrolować choćby ilość. Dlatego też kiedy skończę ten ostatni rozdział, policzę: ilu słów potrzebuję, żeby sensownie zamknąć historię.

OK, zaczynam i postaram się streszczać.

Pierwszy kłopot po przelaniu pieniędzy na Białoruś i wyciągnięciu ich z banku pojawił się natychmiast: w jakiej formie i pod jakim pozorem wypłacić działki Jaraszychy, Urugwajca i Loniczy? Oczywiście powiedzenie prawdy nie wchodziło w grę: dekret o zakazie poszukiwania skarbów formalnie wciąż jeszcze obowiązywał i wówczas nie spodziewałam się nawet, że kiedykolwiek zostanie uchylony. W końcu wymyśliliśmy, że niby Waleryk przysłał z Ameryki pomoc dla powodzian. Zadzwoniliśmy do niego; mało nie zemdłał, kiedy usłyszał, jakie to sumy rzekomo

przekazał mieszkańcom Dobratycz, ale na szczęście zgodził się na tę fikcję.

- W porządku, tylko dlaczego nie chcecie działać we własnym imieniu?

- Wiesz, podatki i te sprawy - wyjaśniła Uljanka.

Obywatel Stanów Zjednoczonych na słowo „podatki” zmiękł.

- No, skoro musicie, nie ma sprawy... Szczególnie, że pieniądze dostanie również mój ojciec...

I ojciec dostał pieniądze, a potem jednak wreszcie wyjechał do Ameryki.

Jaraszycha całą swoją „pomoc humanitarną” oddała Miszykowi, po czym przeprowadziła się do niego. W ten sposób zabójca mojej babci wszedł w posiadanie części skarbu, dla którego zabił - niech będzie, że nieumyślnie... Może to dziwne, ale nie czuję do niego nienawiści, nie chcę się mścić. Opuściłam. No i warto pamiętać, że to on napisał wiersze, w których według słów ukraińskiego śpiewaka żyje dusza tej ziemi. Nie będę go osądzała: nie takich jak on pieniądze sprowadzały na manowce. Zresztą w kraju wszystko się zmieniło, więc może stworzy jeszcze genialną poezję, poezję nowych czasów.

Lonicha zaniósła swoją dolę i podarowany przez Ngwaasiego diament baptystom; dzięki jej szczodrości energiczni protestanci błyskawicznie wybudowali zbór. Biały, wysoki, z krzyżem pod samym niebem, stoi na półwyspie, patrzy na jezioro, które powstało w miejscu dawnego letniska, i przyciąga wzrok podróżujących koleją... Lonichę baptyści przeprowadzili z wymarłych Dobratycz do Stradycz, do solidnego domu.

Dobratycze opustoszały i na mapie wydanej niedawno przez Biølgeodezję obok nazwy wsi umieszczono w nawiasach uwagę „brak mieszkańców”. Tak, Dobratycze umarły, ale my żyjemy. Przeżyliśmy wszystko. Dopiero kiedy zobaczyłam tę nową mapę, zrozumiałam, po co otrzymaliśmy skarb: na nas kończy się historia



naszego rodu; nasze dzieci, nawet jeśli dziedziczą po nas nazwisko, to już inni ludzie i inna historia. Byliśmy ostatnimi, którzy widzieli, słyszeli i brali udział w życiu, którym przez kilka stuleci żyli nasi ziomkowie. Teraz zaczyna się nowe życie. Inne.

Walik z Wola mieszkają jak mieszkali, w Stradyczach, tylko Wola nie pracuje już w szalecie. Dalej ma smutne oczy. Walik też zwolnił się z Agrowitaliki+. Leży brzuchem do góry, sporo czyta i dzięki temu nie czuje się już taki samotny.

Uljanka przekazała swoją część skarbu na sfinansowanie niezależnego kanału satelitarnego. Powstał bardzo szybko. To Bellsat na nadajniku Sirius, pewnie go oglądacie. Sama również w nim pracuje i oczywiście jest wiecznie zajęta. Rzadko się widzujemy. Częściej rozmawiam z Liną i Kazikiem. Mówimy teraz naszym, dobratyckim językiem, czego nie robiliśmy nigdy wcześniej; często wpadają do mnie na Czerwonoarmijską albo do schroniska. Tak, otworzyłam schronisko dla bezdomnych ludzi i zwierząt, i teraz Maria Wajciaszonak przyprawia mi hurtem znalezionych na śniegu morderców, narkomanów i pijaków. Mieszka też u nas Lalka Młodsza. Wiecznie kogoś leczymy, myjemy, karmimy. Mam świetnych współpracowników, nie boją się żadnej roboty. Oczywiście nie domyślają się i pewnie nigdy nie domyśla, że najbardziej bezdomna w całym tym tłumie jestem ja, ich szefowa, i że nie ma lekarza, który mógłby mi pomóc...

Tolik cudownie rozmnożył swoją dolę. Otworzył biuro podróży, i to jeszcze zanim z granicy zniknął drut kolczasty. Kiedy stalinowskie zasieki przeszły do historii, był już szczęśliwym posiadaczem kupionego w Niemczech wielkiego, przezroczystego zeppelina i rozkręcał wycieczki pod nazwą Niebo nad Bugiem. Impreza cieszy się wielką popularnością wśród turystów z całej Europy; gdybyście mieli ochotę zarezerwować bilet na, powiedzmy, dwunastego następnego miesiąca, dzwońcie do biura w Brześciu. Dwunastego przyjedźcie do twierdzy brzeskiej i wejdźcie na pokład zeppelina. Potężna machina latająca powoli wzniesie się w

powietrze, odbije w niezliczonych jeziorach i dostojnie popłynie nad szeroką rzeką i ciężkimi, falującymi kobiercami lasów. Zobaczą, gdzie działa się cała ta historia. I tak będzie od Brześcia aż do Lwowa, z przystankami po obu brzegach rzeki. Tolik zapewni kompetentnych przewodników i komfortowe noclegi, na pewno się wam spodoba. A może nawet poleci razem z wami. Myślę, że nie odmówi wam wówczas długiej opowieści. Kiedy sterowiec podejdzie do pierwszego przystanku, przeplynie nad pagórkiem i niemal okrągłym jeziorem, Tolik pokaże wam, gdzie kiedyś śpiewaliśmy na pięć głosów pod dębami, a księżyc i słońce podskakiwały na niebie, żeby zajrzeć do starego kufierka. Dokładnie w tym miejscu stuletni kanadyjski kolekcjoner wybudował muzeum, do którego ściągają dziś ludzie z całego świata, żeby obejrzeć jego wspaniałe zbiory.

A główną atrakcją są oczywiście pierścienie pana Tryzny.

Nawiasem mówiąc, znalazł się też spadkobierca Kukala. Syn. Podobno mieszka gdzieś w Surgucie. Chodzą słuchy, że niedługo zjawi się tu po swoje pieniądze. No i dobrze. Jeśli będzie chciał kontynuować działalność ojca - też dobrze. Mamy już sposób na takich. Sprawdzony.

A nory w czasie są splątane ze sobą. Można wpadać z jednej do drugiej, nie wychodząc na wierzch. Dowiedziałam się o tym niedawno, ale to już całkiem inna historia.

## Spis treści

Historia z łysym czortem	5
Deszcz	7
Nory w czasie	9
Stradycze, Lubcza i Dobratycze	10
<i>Welcome to Dobratycze</i>	17
<i>Welcome to our polyphony</i>	19
Miłość i szczęście Heńka Urugwajca	23
Noc po deszczu	30
Czarne Bagna	36
Cudza śmierć	43
I rzucał nieprzystojne słowa, gdyż był pijany swoją władzą	51
Pierwsze spotkanie z Iwanem Mitryczem Kukalem	61
Nieto!	72
Dawno już nikt tu nie śpiewał	79
<i>My, Białarusy, dzieci swobody</i>	85
Powiedzmy to sobie szczerze	91
Czuję się stara	95
Brześć-Włodawa	99
Rodzona siostra i dwa dworce	101
Aksanki nie ma w domu	105
Ale po co?	106
Nowa dusza	107
Madame sąsiadka	109
Czerwony żakiet	117

Pachnie człowiekiem	121
Krąg	131
Ochrzan od Wajciaszonak	134
Nie wygracie tych waszych wyborów	136
Pozdrowienia od Tarasa Ślizki	140
Na granicy i za granicą	145
Nie wszystkie bumerangi wybierają wolność	153
Na czatach	157
Sasza i Dzima w akcji	160
Chmury nad Ameryką	164
Lepiej kłaniać się własnej dupie	168
Z procą do ONZ	170
Śmierć nie opuszcza Dobratycz	176
U nas każdy ma prawo głosu	178
Zakrwawiona szmata - reaktywacja	184
Rak	191
Pułapka na osy	198
Miasto ryb	209
Jeszcze jedno rozporządzenie	214
Szalona Małgorzata	221
Rośliny lecznicze w Dobratyczach	227
Nosił wilk razy kilka	235
I znowu dół	237
Do domków na obrzeżach letniska	239
Nie dostałam autografu	245
Piąte dziecko Makryni	253
Typologia kobiet w „Księżęcej łodzi”	264
W świetle księżycy	269
Nowy klient Sotheby's	278
Stworzony na nowo świat i kim jest szatan	284
Dzień W	294
903 słowa	296